



1654 692 12

# WSPOMNIENIA KAUKAZU

PRZEZ

H. JAWORSKIEGO.

CZĘŚĆ I.  
(Rys historyczny Kaukazu.)

POZNAŃ.  
NAKLADEM I. K. ZUPAŃSKIEGO.  
1877.



CZĘŚĆ II  
zawierać będzie  
(Epizody z życia Kaukaskiego.)

CZĘŚĆ III.  
zamykająca całe dzieło zawierać będzie

(Ajchanym.)



II. 131. 254

Drukarnia Henke i Chociński w Poznaniu.

## SŁOWO WSTĘPNE

i krótki pogląd na

charakter i zwyczaje ludów kaukaskich.

Mało kto z Polaków pisał o Kaukazie; ci zaś co podejmowali tę pracę, dali nam opisy bardzo niedokładne, lub co gorsza, zupełnie fałszywe.

Anglicy, Niemcy i Francuzi pisałi o Kaukazie z wielką znajomością kraju i jego historyi: — ale dotąd nie zdarzyło mi się spotkać z przekładem polskim tych opisów, i nie mogę dosyć wydziwić się obojętności moich ziomków w tym względzie.

Podczas mojej jedenaścieletniej służby w korpusie kaukaskim, znalazłem wielu Polaków, z wykształceniem i pisarskimi zdolnościami, — żaden z nich nie zostawił nam drukowanej pamiątki swego pobytu w tym kraju, a jednakże jest on dla każdego, z wielu względów, nadzwyczaj interesującym, a dla nas szczególnie bliskim, — bo czyż jest rodzina w Polsce, co by kogoś ze swych członków nie miała na Kaukazie.

Jakkolwiek winni są ci, co mogą nie chcą pracować, aby nabytemi wiadomościami, gruntowną znajomością, żywo obchodzącego nas kraju, wzbogacić piśmiennictwo nasze, — dać o nim ziomkom dokładne wyobrażenie; — winniejsi jednakże są ci, co wcale nie znając Kaukazu, lub z powodu stronniczego zapatrywania się, piszą, co im własna wyobraźnia nasuwa.

Kiedy się pisze romans lub powiastkę, wolno jest, nawet potrzeba popuścić wodze fantazyi, a byle styl był gładki, sytuacje zajmujące, charakterzy prawdziwe, — wszystko jest dobrze, o resztę nikt nie pyta; — ale wcale inna rzecz, podawać opis historyczny; — tu wszystko musi być rzeczywiste i bezstronne, — inaczej, autor dopuszcza się występku, obalamucając czytelnika niebywałymi faktami, — dając im kłamane pojęcie o ludach, ich historii, itp.

W 1858 roku drukowałem „Wspomnienia Kaukazu“ pod pseudonimem, Mieczysława Terlicy; — jako żołnierz, pisałem bez obliczenia na efekt, bez pretensyi do nazwy literata; — chodziło mi głównie o to, aby mój opis był rzetelnym, — a że jest takim, za to ręczę.

Przybywszy do Paryża, znalazłem w Wiadomościach polskich, z d. 6 listopada 1848 r., bardzo pochlebną dla mnie krytykę, moich wspomnień Kaukazu, — w końcu tylko krytyk czyni mi zarzut, że w żadnym pociągu mego pióra, nie przebija się myśl, że sam ujarzmiony, służyłem za ujarzmiacza; — na to mógłbym odpowiedzieć, że pisząc Wspomnienia Kaukazu, byłem *Bau-Adjutantem* pałaców cesarskich, i to byłoby dostateczne; — lecz jestem szcze-

rym, — powiem prawdę, — a to może się przecież przyda.

Podczas mojej wędrowki na Kaukaz, nieraz nasuwała mi się myśl, że będę musiał powiększyć liczbę ciemiężców, — że idę bić się przeciw ludom, co z bohater-  
skiem poświęceniem i wytrwalością walczą za niepodległość — i podwójnie czułem moje nieszczęście, — bo te ludy posiadały moje współczucie, bo ich uważałem za towarzyszy niewoli, — za braci!

W pierwszej wyprawie, którą w parę tygodni po mojem przybyciu do pułku odbyłem; — patrzyłem na wszystko z pewnym rodzajem niedowierzania, ze smutkiem, a nawet z obawą; — rozpytywałem starych żołnierzy; — a po wszystkiem, co mi mówiono, po każdym własnem spostrzeżeniu, wiara moja w bohaterstwo górali, — w ich szlachetność i świętość sprawy, zmniejszała się.

Zapaleni zwolennicy niepodległości, *quand-même*, rzucą na mnie klątwę, ale cóż robić, — lepiej to, aniżeli miałbym splamić się klanstwem, zadać fałsz własnemu przekonaniu.

Dziś, kiedy lat trzydzieści od czasu pobytu mego na Kaukazie upłynęło, — kiedy z wiekiem i okolicznościami, nabyte doświadczenie, nauczyło mnie dostatecznie, że bywają wypadki, gdzie niepodległość prowadzi do najokropniejszej niedoli, że tylko cywilizacja i oświata, daje narodom istotną niepodległość, — że nie forma rządu, ani też nazwa jego naczelnika, — lecz instytucje, ściśle zastosowane do stopnia tejże cywilizacji i oświaty, dają dobrobyt i szczęście, — powziąłem niczém niezachwiane przekona-

nie, że swobody powinny być udzielane według zasług, stopnia oświaty i moralności; — inaczej prowadzą naród do anarchii, i koniecznie do upadku. — Dobre prawa są najwyższym dobrem, — dla tego też bezwarunkowo powinny być szanowane.

Zobaczmy teraz i porównajmy stan krajów kaukaskich, przed okupacją rosyjską, z obecnym ich położeniem.

Nie będziemy tu mówić o Gruzji i Armenji, — które będąc w ciągłej wojnie z Turkami, Persami i Tatarami, szarpani przez nich, mordowani, nie mając czasu zająć się ani rolnictwem ani handlem, — doprowadzeni do upadku, przyjęli opiekę Rosyji jako prawdziwe dobrodziejstwo, — a w początku tego stulecia, ostatni król Gruzji, Kachetji i Imeretji, dobrowolnie poddał się jej rządowi.

Od owego czasu kraje te cieszą się pokojem, — zakwitnęły przemysłem, handlem i cywilizacją, — wojsko rosyjskie zaslania one od wszelkiej napaści, a liczni członkowie książęcych i szlacheckich rodzin, zaciągają się w jego szeregi, i dochodzą do najwyższych godności.

Mówić więc będziemy o tych pokoleniach, które zamieszkują góry, brzegi Kubani, Tereku i dwa Degestany.

Ludy te pomimo częste ich stosunki z europejczykami, są dotąd w stanie pół dzikim; — wszyscy bez wyjątku, są wyznania mahometańskiego, i na tym punkcie tylko pojmują patriotyzm, posunięty do ostatnich granic fanatyzmu; — każdy wyznający inną wiarę, jest niewierny (Giaur.) i zasługuje na śmierć. —

Trudnią się rolnictwem, chowem bydła, owiec, i lupieżtwem; — są leniwi do pracy, — w ogóle biędni i bardzo nieochędoźni. —

Rządzeni przez Chanów, Bejów lub Beków są ofiarą najokropniejszego despotyzmu. — Każdy z tych naczelników, ma prawo życia i śmierci, nie mówiąc już o konfiskacie osób i majątków. — Sam bywałem świadkiem, jak Achmet — Chan Mechtuliński wielkorządca Awarji, kazał bez żadnego sądu, obcinać mieszkańcom ręce, uszy i nosy i często całe rodziny wtrącać w przepaść.

Zapytuje więc, czy ludy te, żyjąc w takich warunkach są niepodległymi, — czy mogą marzyć o szczęściu, lub nawet osobistym bezpieczeństwie, i dowolnym rozporządzeniu własnością? —

Czyliż prowincye będące obecnie pod rządem rosyjskim, nie są stokroć swobodniejszymi, — zupełnie bezpiecznymi i szczęśliwszemi? — życzylbym z całego serca, tym narodom, które nie mają szczęścia cieszyć się autonomią, aby choć takich doznawały swobód! —

Miasta: Derbent, Kuba, Baku, Nucha, Szemacha i inne, trudniące się przemysłem i handlem, posiadają znaczne majątki i czują całą potęgę opieki, jakiej im rząd udziela, zabezpieczając ich własność od rabunków, a własne ich życie od morderstwa, — są też obecnie wiernymi poddanymi i za nic nie zgodziliby się cofnąć o lat pięćdziesiąt. —

Pamiętny jest na Kaukazie, napad górali, pod dowództwem Kazi Mully, w 1831 roku, na bezbronne i spokojne miasto Kizlar; — ze drzeniem dotąd wspominają

o strasznej rzezi połączonej z nieopisanemi okrucieństwami; — o pożogach i lupiestwie, — o tysiącach kobiet i dzieci wydartych z łona rodziny. — Gdyby ten napad uczyniony był na jaką rosyjską twierdzę, gdyby cały garnizon padł onego ofiarą, zrozumiałbym to, i może wraz z innymi wykrzyknąłbym: — dobrze im tak! czego wlażą do cudzej ziemi! — chociaż każdy uczciwy i zdrowo myślący człowiek, pojmując zapewne, że dzisiejsza okupacja Rosyi nastąpiła w skutek konieczności, nie mówiąc już o tém, że cywilizacja Kaukazu, jako sąsiedniego kraju, jest jej koniecznym obowiązkiem; — ale nie, — Kasi Mulla i jego banda, myśleli tylko o mordowaniu chrześcian, i o kradzieży; — niechże sobie kto chce głosi ich waleczne czyny, ich zamilowanie swobody, — ale ja tego nie uczynię, bo ich znam.

Do dziś dnia widzimy, że pokolenia nie będące jeszcze pod rządem rosyjskim, a czasem nawet i te co mu są podległe, napadają na swych sąsiadów, — zabierają im konie, owce i bydło, uprowadzają kobiety, — a jeżeli są ścigani, następuje zacięta walka, która zwykle kończy się śmiercią znacznej liczby ściganych i ścigających. —

Oprócz tego, mieszkańcy Kaukazu, w ogóle, mają pociąg do pieniactwa. —

W roku 1842 Cesarz Mikołaj, przysłał na Kaukaz, ówczesnego ministra wojny, księcia Czernyszewa, dla zbadania stanu kraju, powodów ciągłej wojny i wyszukania środków dla ustalenia pokoju, — i polepszenia bytu mieszkańców. — Byłem przeznaczony dla towarzyszenia księciu w czasie jego podróży od Tarku do Mielnińskiej prze-

prawy, a odpowiadając na liczne jego zapytania, mogłem łatwo zdać sobie sprawę z polecenia, z jakim przybył na Kaukaz. —

Rezultat tej podróży był taki, że rozkazano zawiesić wszelkie zaczepne kroki, pozostawić mieszkańców w zupełnej spokojności, — ustanowić sądy, któreby rozstrzygały ciągle ich spory, — słowem, dać im wszelkie przywileje, jakie do ich dzikiego stanu zastosować by się dały. —

Do owej epoki, — prowincye kaukazkie, należące do Rosyi podzielone były na udziały, [uczastki,] których zarząd powierzony był oficerom wojskowym. — Codziennie prawie zdarzało się, że ktoś z mieszkańców, dopuszczał się kradzieży lub rozboju, — skarga wytaczała się przed naczelnika udziału [uczastkowego zasiedziela], a ten, wysłuchawszy obie strony i świadków, — winnego, *stante pede*, pałkami w pięty ukarał, — i zwykle obie strony odchodziły zadowolone. —

Po wyjeździe z Kaukazu księcia Czernyszewa, przybył do Tyflisu, w tymże 1842 roku, tajny radca, senator Hahn. — W szumnej odezwie, przelożonej na wszystkie narzecza krajowe świadczył On, że Najjaśniejszy pan w nieograniczonem swém miłosierdziu, raczył ludy kaukazkie, jako swe ukochane dzieci, porównać politycznie ze swemi dziećmi w Cesarstwie; że w tym celu, on senator Hahn, przybył na Kaukaz, aby ustanowić wszędzie sądy, trybunały itp., — których obowiązkiem będzie bronić każdego mieszkańca od wszelkiej niesprawiedliwości, od wszelkiego ucisku. —

Nie dziw, że ludzie, co zawsze i przez wszystkich byli uciskani, — przyjęli tę wiadomość z entuzjazmem i na niej całe przysze szczęście budowali. —

W krótkim czasie, zjawily się po miastach, sądy powiatowe (ujezdnyje) trybunały, (graźdańska p<sup>o</sup>falaty) a razem z nimi, mnóstwo prezesów, prokuratorów, radców, adwokatów, pisarzów, komorników, woźnych itp.

Zaledwie rozpoczęły się posiedzenia, aliści zjawia się np: Abdula ze skargą, że sąsiad jego Mahoma, ukradł mu kurę; —

— To bardzo dobrze, odpowiada pisarz, —

— Jak to, dobrze! krzyknie olurzony Abdula, —

— A no, zapewne mówi pisarz, zaskafz go, a on zmuszony będzie zapłacić tyle, ile sobie kurę ocenisz.

— Toć ja właśnie skarżę, mówi Tatar, —

— To prawda, ale skarga musi być na piśmie, —

— Ja pisać nie umiem; —

— Ale ja umiem,

— A więc pisz, —

— Bardzo dobrze, ale mi zapłać; —

— A ileż to będzie kosztować? —

— Rubla srebrem, —

— Przecież moja kura warta tylko jeden abaz, (20 kop. sr.).

— To nic nie szkodzi, Mahoma będzie musiał zwrócić wszystko.

— A no, kiedy tak, to dobrze; — i biedny Tatar nie mając pieniędzy, sprzedaje barana, otrzymuje za niego rubla, i takowego oddaje pisarzowi.

— Teraz potrzeba zapłacić wpis, bo inaczej sprawy nie będzie, —

— A ile wpis kosztuje? —

— Dwa ruble. —

— Ależ mówilem ci, że kura kosztuje tylko jeden abaz.

— Wiem o tém, ale taka jest forma, zresztą za wszystko Mahoma placić będzie.

— Zgoda; idzie znów Tatar do domu, sprzedaje jałówkę i niesie pisarzowi dwa ruble; — pisarz bierze pieniądze, a ukazując na swego koleżę, mówi: oto jest pan adwokat, — on musi bronić twój sprawy, inaczej nie nie wskórasz. —

— Bardzo dobrze, niechże broni, kiedy to jego obowiązek. —

— Jemu także musisz zapłacić, bo on z tego tylko żyje. —

— A ileż mu się należyć będzie?

— Pięć rubli srebrem. —

Tu już Tatar chce gniewem wybuchnąć, ale przeczorny urzędnik zapewnia go, że wszystkie przez niego poniesione koszta, przeciwnik jego placić będzie. — Ucieszony więc, że tak zupełną zemstę nad swym przeciwnikiem osiągnie, idzie znów do domu, a sprzedawszy roboczego wołu, lub wierzchowego konia, placi adwokata.

Tym razem zdaje się, że już wszystkich formalności dopełnił, — jakoż sprawa przywołana, oskarżony i świadkowie przesłuchani, — zapadł wyrok skazujący Mahome, na zapłacenie kury, i zwrot wszelkich kosztów. —

Skazany, przerażony ogromem summy, jaką skradzioną chudą kure musiałby okupić, — podnosi krzyk, upewniając, że prędzej Abdula, jego całą rodzinę i siebie w dodatku zabije, aniżeli te pieniądze zapłaci. — obwiniając sąd za tak krzyczącą niesprawiedliwość: — tenże sam pisarz, któregośmy już poznali, człowiek miłujący spokojność i świętą zgodę, mówi mu: Ależ głupi jesteś, mój kochany, — któż ci powiedział, żeś przegrał bezwarunkowo? — trzeba tylko radzić; —

— A to jak?

— Złożyć opozycję.

— A więc załóż.

— Kiedyż to kosztować będzie; — i znówu słowo w słowo, powtarza się taż sama historia, co z Abdulą; — Mahoma, z kolei, rujnuje się, na opozycję, obrony, apelacye i t. d.: tak, że po upływie sześciu miesięcy, — powód i pozwany, zostają bez koszuli, a Abdula nawet do swojej kury przyjść nie mógł. —

Fakta podobne powtarzały się dosyć często; — pomimo to, sama instytucja jako też jej zaprowadzenie w kraju, gdzie tylko absolutyzm był na porządku dziennym, były konieczne; — nie mogła się przyjąć od razu, bo z jednej strony, razila formą lud ciemny, przywykły do natychmiastowych decyzji, z drugiej zaś, nadużycia urzędników wywoływały ogólne oburzenie. —

Nie mam zamiaru szykanować sądownictwo rosyjskie, podaje tylko fakta spełnione; — ale proszę mi pokazać choć jeden najbardziej ucywilizowany kraj, gdzieby podobne nadużycia nie miały miejsca.

Taki stan rzeczy i zupełny spoczynek, w jakim przez rok cały wojska pozostawiły mieszkańców i pozwoliły im spokojnie sprzątnąć zboże i owoce, spowodowały: — że Szamyl, zaopatrzwszy się w żywność i amunicję, powołał wszystkich muridów pod broń, i z korpusem do trzydziestu tysięcy dochodzącym, rzucił się na warownie i forty rosyjskie, w Dagestanie i w Awarji położone. —

Oprócz załóg fortecznych, które walczyć musiały przeciw stokroć silniejszemu, z kolei oblegającemu każdą z nich, nieprzyjacielowi; — dowodzący wojskami w północnym Dagestanie, generał Kluki von Klugenau, zdołał zebrać zaledwie około trzech tysięczny oddział, i z nim pośpieszył na odsiecz; — ale jak mówi przysłowie; — *nec hercules contra plures*, tak też i tu; — niepokojeni licznymi oddziałami muridów, — walcząc nieustannie z nadzwyczajnymi trudnościami w przeprowadzeniu artylerji, przybyliśmy na miejsce, aby przekonać się o najokropniejszych okrucieństwach dokonanych na nieszczęśliwych, załogi składających, — i znajdowaliśmy tylko budynki w gruzach, i stósy niepochowanych trupów.

Po wzięciu warowni *Uncukul*, — zwycięzcy, dla urozmaicenia zabawy, wprowadzali różne *intermezza*; — i tak np.: był wzięty do niewoli między innymi, podporucznik artylerji, Potemkin, młodzieniec lat 24, piękny, nadzwyczaj miły i bardzo ukształcony, — wsadzono go żywcem na rożen i pieczono na wolnym ogniu; — czyn ten niepotrzebujący komentarzy, dokonany był przez tych samych Lezginów, których jeden z ziomek naszych, w dzielku



pod tytułem: Kaukaz, przedstawia jako wzór bohaterstwa i szlachetności. —

Piszę to dla tego, aby sprostować zdania, mylnie przez fałszywe opisy wyrobione, aby każdy z czytelników, miał prawdziwe pojęcie, nie tylko o samym kraju, ale téż i o jego mieszkańcach. —

W témże samém dziełku czytałem, że Lezgini zamieszkują piękne domy, — sam Szamyl mieszka w pałacu i mówi po polsku, (sic) żołnierze jego rozmieszczeni po koszarach?? — Kobiety lezgińskie, urodziwe i miłe, ubierają się w kosztowne tkaniny, złotą lamę wyszywaną drogiemi kamieniami; — spacerują po pięknych ogrodach przygrywając sobie na teorbanie, oznaczają rendez-vous w altanach! a w nocy z pięknego łóżeczka i miękkiej pościeli zbiegają maleńkiemi bosemi nóżkami, aby odchyliwszy *frankę*, otworzyć okno i wpuścić niecierpliwego kochanka. —

Rozumie się, że taki uroczy opis, nasunie koniecznie myśl, że naród, co tak dobrze pojmuje cały wykwiłt życia, nie może być nietylko dzikim, ale przeciwnie, musi posiadać inteligencją i wykształcenie, wysokie poczucie piękna, troszkę powalnego zepsucia, — a zatem jest ucywilizowany i wpływ Rosyi jest mu przynajmniej nieużytecznym.

Przez jedenaście lat, nie wyjeżdżając z Kaukazu, miałem czas i sposobność poznać gruntownie ten kraj, mieszkańców, ich zwyczaje, a nawet niektóre ich języki; — podam więc opis ich życia i obyczajów, niepowalny, ale rzetelny.

Wszystkie w ogóle plemiona góralskie, do jakich należą Lezginy, Andyjcy, Kajsobulińcy, Awarcy i Tuszyńcy, budują swoje wioski (auly), na pochyłości góry, amfiteatrem, w taki sposób, aby przejścia między domami, bo ulic wcale nie ma, były kręte i wąskie, — a to tak dalece, że jeżeli w którym z nich, osiołek, a jest ich mnóstwo, stanie na poprzek, zatamuje zupełnie przejście. — Domy (sakle) budowane są w ten sposób, że z przodu połowa onego, aż do piętra, jest zupełnie otwarta pokryta tylko płaskim dachem, służącym zarazem za taras i wejście do mieszkania na piętrze, i tutaj to jest skład sprzętów gospodarskich. — W drugiej połowie, w głębi mieszczą się: konie, bydło, owce i osły. — Na piętrze taras, jak powiedziałem, prowadzi do izby, odpowiadającej objętością, oborom i stajniom, bo nad nimi jest zbudowana. Wszystko to murowane z wapiennego kamienia, na zwyczajnej glinie, bez żadnej symetrii. Wewnątrz ściany i podłoga, wylepione gliną, — w jednej ze ścian, komin, — reszta zaś ubrana jest stósownie do zamożności właściciela; bogaci mają dużo kufków i pościeli, które piętrzą się pod ścianami i służą im za ozdobę; — oprócz tego, pozawieszane są na sznurkach, przedziurawione miski, talerze gliniane, a czasem cynowe. — Otwory po obu stronach komina przedstawiają okna, pozostają dzień cały, bez względu na pogodę lub porę roku, nie zakryte, na noc tylko zamykają się dwiema deskami, dartemi z pnia za pomocą siekiery i klina, bo piły nie znają, przytwierdzonemi za pomocą wici, i założonemi grubym drągiem, wsuniętym wewnątrz domu, w wyłobieniu w murze.



Lózek wcale nie mają, nie wyłączając Chanów, — śpią wszyscy pokotem, na ziemi. — zupełnie nadzy. —

O altanach nikt nigdy nie słyszał, — ogrodów w górach wcale nie mają, bo miejscowość na to nie pozwala, tam zaś, jak n. p. nad brzegami rzek: Tereka, Sulaka, i innych, — mają ogrody wszyscy w jednym miejscu, z dala od Aulu, aby obronnego położenia nie osłabiać; w tych ogrodach hodują wino, kukurydzę, cebulę, czosnek, groch szablasty, kasztany i orzechy, — te ostatnie dochodzą do olbrzymiej wielkości. —

Kobiety wyłącznie oddane pracy, — mężczyźni zajmując się tylko wojną i nabiegami, w wolnych chwilach przepędzają czas na pogadance, i struganiu potyczków, obsługiwani są przez żony i domownicy. —

Ubiór kobiet składa się z koszuli z grubego sinawego, lub ceglatego koloru płótna, i z takich, do kstek dochodzących, szarawarów, — włosy splecione w mnóstwo warkoczyków, głowa pokryta chustką kolorową, — nogi zwykle bose, a w podróży tylko noszą mokseny, rodzaj łapci z surowej skóry. —

Gdy są wolni od pracy, zbierają się mężczyźni i kobiety, i zasiadają pod płotem lub murem, — a zdjąwszy niektórzy koszule, inni szarawary, odbywają zajadle polowanie na trapiące ich zwierzątka.

Żałuję bardzo, że tak prozaiczny przedstawiam obraz, ale inaczej, opowiadanie moje nie będąc ściśle prawdziwym, straciłoby na wartości. Podczas zimy, mieszkańcy obojg płci, noszą wielkie kożuchy.

Krótki ten pogląd na charakter i zwyczaje mieszkańców kaukaskich, będzie wystarczającym dla czytelnika, aby o nich wyrobił sobie jak najdokładniejsze pojęcie. W następnych rozdziałach będziemy zajmować się samym krajem i wojną, co dopełni całości opisu. —

Nie zajmując się wcale polityką nie przesądzam o przyszłości ludów kaukaskich, — będzie ona zapewne taką, jaką im Opatrzność i okoliczności naznaczą; — zresztą każdy, według faktów już dokonanych, wyrobi sobie o niej własne zdanie, stosownie do stopnia dojrzałości i kierunku, w jakim na świecie postępuje.

Ponieważ praca moja, może kiedyś posłużyć za przyczynek do historii, staram się o to, aby najsurowsza krytyka nie mogła mi fałszu i niesumienności zarzucić.

Przy tej sposobności nadmienić muszę, że piszący współczesną historję musi koniecznie być naocznym świadkiem faktów, które opisuje, — inaczej, czerpiąc nawet szczegóły historyczne z poważnych źródeł, i dzieł z talentem napisanych, może popaść w błąd, i mimowolnie podać opis skrzywiony z poglądem stronniczym.

Jako oficer Apszerofskiego pułku piechoty, zajęty służbą, — nie miałem czasu na zwiedzenie całego Kaukazu; te części onego są mi tylko dobrze znane, przez które zdarzało mi się często przejeżdżać, lub też gdzie corocznie odbywałem ekspedycje; — a że tu muszę wspomnieć także i o wielu innych, posiłkowałem się niektórymi dziełami, uznanymi za najlepsze, — i przekonałem się, że popełniłbym mnóstwo błędów, gdyby mi wypadki, miejscowość i ludy mniej były znane.

## Fizyonomja Kaukazu.

Wielki łańcuch gór rozdzielający dwie części świata, ciągnie się od morza Czarnego, gdzie zamieszkują Czerkiesy i Szapsugi, aż do Kaspijskiego, w kierunku południowo-wschodnim, ku przylądkowi Apszerońskiemu, gdzie palą się wieczne ognie, którym poklaniają się ostatni wyznawcy Zoroastra.

Łącząc góry drugiego rzędu, i ich rozgałęzienia, Kaukaz, w którym spostrzegamy trzy łańcuchy gór, liczy na szerokość, około trzech set wiorst. Na południe, i w bliskości Czarnego morza, łączy się przez wzgórza, z wielkim łańcuchem Araratu; na północ jego ostatnie wysokości nikną w stepach południowej Rosyi.\*)

Spoglądając na wielkie łańcuchy gór, widzimy na najbliższych punktach: *Besz-Tau*, czyli góry Piatygorska i Elbrus, który wysokością przenosi wszystkie inne góry.

*Besz-Tau*, dawna ojczyzna Kabardyńców, składa się z pięciu gór, w bliskości jedna od drugiej, — cztery z nich, pokryte lasem, połączone są grzbietem, nazwanym „Osle plecy“; i formują zaokrąglenie, z pośród którego wybiega najwyższa z pięciu gór *Maszuka*, u jej stóp wytryskują sławione mineralne wody siarczane.

Elbrus, najniższy utwór siły wulkanicznej, wznosi się osobno na podłużnej płaszczyźnie, wysokiej około dziesięciu tysięcy stóp, poprzecinananej zębistemi skalami. Ich stromy spadek formuje rodzaj krateru, z pośród którego

\*) Fr. Bodenstedt 1859.

wystają dwa stółkowate wierzchołki, wiecznym pokryte śniegiem; wysokość jego jest: siedemnaście tysięcy, trzysta pięćdziesiąt dwie stóp paryzkich.

Cudowne legendy łączą się z tym olbrzymem, a są tak rozmaite jak nazwiska, które mu nadano.

Persowie i Tatarzy nazywają go *Kaf-Dagh*, Rosyanie *Szatgóra*, Abchazcy, *Orfi-Itub*, a Adygi i Czerkiesy, *Oszga-Maszua*, to jest, góra Szczęśliwych. Nazwa najczęściej upowszechniona u górali jest: *Dżin-Paradisach*, król duchów, — ponieważ jego wąwozy, podług podania, prowadzą do *Dżinnistanu*, czyli krainy duchów, gdzie zamieszkują eteryczne i błogosławione wróżki Wschodu, *Péri*; wiecznie młode i piękne.

Na jego niedostępnych wyżynach mieszka *Zimurg*, starożytny bóg ptaków, który jednem okiem widzi przeszłość, a drugim przyszłość. Gdy *Zimurg* buja w powietrzu, poruszenie jego skrzydeł sprawia trzęsienie ziemi; wyją wiatry, morze wzdyma się wysoko, a huk jego balwanów budzi duchy uspione w otchłaniach.

Czasami jęki i narzekania potrąca o lotny tron mądrego ptaka proroka; — wtedy szczebiotania cichną po lasach, kwiaty skłaniają główki, szalonym pędem huczą strumienie, a góry na znak żaloby kryją w ciemnych chmurach błyszczące korony.

Lecz gdy wzniosły tron *Zimurga* zabrzmiał hymnem błogosławionych, przy dźwięku harf tysiąca, niebo przybiera lazurową barwę, a na śnieżnych wierzchołkach góry, jak złote myśli, odbijają się promienie słońca, — szum bystrego strumienia przechodzi w szmer rozkoszny, a kwiaty

tak miłą wydają woń, jak oddech czarownych ust Péri.

W północno-zachodniej stronie, gdzie podanie wskazuje skałę Prometeusza, *Pelaw-Tepesz*, czyli jarmulka *Saffer-Beja*, i *Oszten*, w kraju Abchazców i Abazechów, *Idokopas* i *Szapsug*, w kraju Czerkiesów, są najwyższe szczyty.

W południowo-wschodniej, w krainie Ossetyńów, w bliskości wojenno-gruzyjskiej drogi, wznosi się *Kazbek*, wysoki piętnaście tysięcy pięć set stóp, i stanowi niejako centrum głównego łańcucha gór.

Daliej, idąc drogą wojskową, z północy na południow-schód, spotykamy *Krzyżową górę*, pokrytą wiecznym śniegiem; — u jej stóp znajduje się stacya pocztowa *Kobi*.

Pięć wiorst od Kobi, leży słynna wioska *Bajdar*, zamieszkała przez biednych Ossetyńów, którzy niosą pomoc zbłąkanym podróżnym, w czasie burzy i śniegów, i utrzymują się z datków, jakie im ciż podróżni ofiarują.

Biorąc *Kazbek* za punkt środkowy i idąc wzdłuż wielkiego łańcucha, ku południow-schodowi, aż do przyłądka Apszerońskiego, spotykamy naprzód w Lezgistanie *Barbelę* przewyższającą o wiele linie śniegów; — następnie *Szach-Dagh*, (Królewską górę) w prowincyi Kubińskiej; *Dost-Dagh*, (przyjacielską górę) i *Baba-Dagh*, (Ojcowską górę,) między *Szeki*, *Szirwan* i *Baku*; — na koniec przy samym Kaspijskiem morzu, gdzie przebywały wojownicze Amazonki, o których wspomina Herodot, przedstawia się *Besz-Parmakaj-Dagh*, czyli góra pięciu palców,

która wznosi się około trzech tysięcy stóp nad powierzchnią morza, a której kształt usprawiedliwia nazwę.

Roślinność tego kraju jest tak okazała i tak odznaczająca się swą zadziwiającą różnaitością, jak same góry, w których ma siedlisko.

Według stopnia położenia i temperatury znajdują się tu bardzo obficie, płody roślinne dwóch stref umiarkowanych.

Wówczas, gdy na wyżynach, lasy sosnowe i jodłowe wspaniale rosną, szumiąc po nad wesołemi dolinami; — słowik śpiewa na równinach, bujając się na laurowej gałęzi; — winne łoży pną się do góry obwijając cieniste wiązy; — wysmakłe cyprysy, podobne do zielonych wieżyc, wystają ponad wierzcholki swych inorodnych towarzyszy, wiatr szeleści listkami orzecha, jaworu i drzew daktylowych; — *rhododendron* i *azaléa pontica*, kwitną z niewidzianą pięknnością i wspaniałością.

Natura pod każdym względem hojnie uposażyła cały kraj kaukazki, wszystkie płody ziemi są pełne siły i świeżości, — są tak dzikie jak jego mieszkańcy; — pomimo całej bogactwa tej ziemi, wiele lat jeszcze upłynie, zanim przemysł i rolnictwo w należytych rozwoju zakwitną.

Pas lesisty nie przewyższa siedmiu tysięcy czterech set stóp; — w wyższych strefach, karłowate krzaki, gubią się w zieloności traw, lub w kamienistych pustyniach.

Wschodni brzeg Czarnego morza pokryty jest gestemi lasami; bukszpany, klony, (*platanus orientalis*) jasiony, dęby, orzechy i wszelkie dzikie drzewa owocowe, dochodzą do zadziwiających rozmiarów. Owoce zasługują

jące na wzmiankę, są: wyborne brzoskwinie, morele, jabłka, gruszki i czereśnie.

W dolinach, *Kuru*, *Fazis*, *Muzani* i *Joza*, oraz w Kacheti, uprawiają rozległe winnice, — Kachetyńskie wino dorównywa dobrocią doskonałemu Chambertynowi.

Okolice Derbentu, Szeki i Szyrwana, posiadają bogate plantacje; drzew morwowych, bawełny, szafranu, tytoniu, marzanny, indigo, i trzciny cukrowej. — Oprócz tego wysyłają na sprzedaż, jedwab', wino, ryż, migdały, proso, jęczmień, kukurydzę i pszenice.

Rzek splawnych jest tylko trzy; *Kura*, *Rion* i *Szopi*; następnie liczyć należy *Terek*, — wypływa on ze stóp Kazbeka, w kraju Ossetynów, — przepływa wąwozem *Darjelski* aż do *Władykaukazu*; przedziela *Kabardę*, aż do *Ekaterynagrodzkiej* stаницy, — przy fortecy *Amir-Hadżi-jurt*, łączy się z *Sundżą*, a minąwszy *Kizlar*, — wpada kilkoma odnogami do morza Kaspijskiego. — Kubań bierze początek u stóp *Elbrusa*, zabiera mnóstwo mniejszych rzek i około *Ekaterynodaru*, rozdziela się na dwie odnogi, z których jedna wpada do morza Azowskiego, a druga nazwana *Karakuban*, (Czarny Kubań) do morza Czarnego. — *Kara-Kojsu*, *Andyjskie Kojsu*, *Awar-skie Kojsu*, *Kazikumyjskie Kojsu*, *Sulak*, *Samura* i *Araksa*, należą także do większych rzek na Kaukazie.

W roku 1845 kiedy właśnie opuściłem Kaukaz, — komunikacja z Rosją ograniczała się na dwóch drogach: Wojenno-gruzyjskiej, prowadzącej przez sam środek gór, do *Tyflisu*, — i Kaspijskiej od *Kizlaru* do *Baku*, przez kraj *Kumyków*.

Dziś oprócz wielu gościńców i dróg bitych, kraj posiada linię drogi żelaznej aż do *Tiflisa*.

Dawniej wszystkie produkta, w jakie Kaukaz obfituje, również i przemysł miejscowy, nie mając zbytu, nie przynosiły jego mieszkańcom prawie żadnego dochodu; — przez otwarcie komunikacji i stosunków z Europą, bogactwo kraju z każdym dniem wzrasta, i cywilizacja czyni olbrzymie postępy.

Klimat kaukaski nie da się ściśle zdefiniować; — są tam wszystkie klimaty, od wiecznych lodów na wierzchołkach gór, aż do upałów podzwrotnikowych, w dolinach i na wybrzeżach mórz: Kaspijskiego i Czarnego. — Gruzja, *Karthalja*, *Imeretia*, *Mingrelia* i północny *Dagestan*, są najzdrowsze; *Abchazja*, zwłaszcza ku brzegom morza, z powodu licznych bagnisk, jest bardzo szkodliwa, szczególnie dla cudzoziemców.

### Dowództwo wojsk i zarząd prowincyj.

Jeneral *Nejdhart* objąwszy główny zarząd korpusu Kaukazu, rozdzielił dowództwo w sposób następujący:

Na miejsce jenerala *Grabbe*znaczony został jeneral *Hurko*, jako dowodzący armią północną i zarządzający wyższymi Kaukazem, — główna kwatera w *Stawropolu*. —

Jenerala *Kotzebue* zastąpił jeneral *Trasskin*, jako szef głównego sztabu, w *Tyflisie*.

Jeneral *Aurcpp*, później *Budberg*, mianowany naczelnikiem fortów, na wschodnim brzegu Czarnego morza.

Stanowiska drugorzędne zajmowali jeneralowie, znani z odwagi i zdolności; — Kluki von Klugenau, Freitag, książę Argutyński — Dolgoruki, Szwartz, Kozłainów, Passek i pułkownik Nestorów.

Książę Woronców podzielił podbite prowincje Kaukazu na cztery gubernie:

1. Gubernia Derbencka, 2. Szamachińska, 3. Tyfiska i 4. Kutaiska. —

Ostatni podział jest taki:

Gubernia Stawropolska, obejmująca północno-wschodnią część stepu, przestrzeń około 5,000 wiorst kwadr.: 371,000 mieszkańców. —

Powiat Kozaków Kubańskich dotyka gubernii Stawropolskiej, mórz: Czarnego i Azowskiego, i wielkiego łańcucha Kaukazu, aż do Elbrusa. — Rezydencja w Ekaterynodorze nad Kubanią; — przestrzeń około 5,000 wiorst kwadr., 600,000 mieszkańców.

Powiat Kozaków terekskich: 4,800 wiorst kwadr., 450,000 mieszkańców. Rezydencja Władykaukaz nad Terekiem, przy wejściu do słynnego wąwozu darjelskiego, prowadzącego do Kazbeku. —

Powiat Dagestański: 2,400 wiorst kwadr., 450,000 mieszkańców. Stolica, Temir-Uhan-szura, kraj zupełnie uspokojony, od wzięcia Szamyla w Gunibie, 1859 roku.

Gubernia tyfiska: 3,250 wiorst kwadr., 650,000 mieszkańców. Ta prowincja, która obejmuje część dawniej Gruzji, przedstawia najwybitniejsze sprzeczności. — Spotyka się tam wyborną uprawę roli, winnice mające zasłużoną sławę, krajobrazy czarujące, mianowicie doliny

Alazani i Rionu; — w innej stronie bezpłodne pustynie i góry liczące się do najwyższych i najdzikszych w świecie.

Stolica Tyflis liczy obecnie, 100,000 mieszkańców. Gubernia Kutaiska, obejmująca pas źródeł, Rionu i Inguru, liczy 650,000 mieszkańców, chociaż jej powierzchnia dochodzi zaledwie 1,400 wiorst kwadr. Jest to prowincja najbardziej zaludniona; najprzyjemniejsza, najbogatsza, i mająca przed sobą najpiękniejszą przyszłość.

Ta uprzywilejowana okolica, brzegami morza Czarnego ochłodzona i zakryta od palących wiatrów stepowych, posiada najżyźniejsze płaszczyny i pochyłości gór odkryte pysznymi lasami. — Przerznięta przez całą długość koleją żelazną, zdaje się być przeznaczoną na wielkie targowisko zboża, przy morzu Czarnem.

Część brzegu Czarnego morza, ściśnięta w podstawach gór, dzieli się na dwa małe okręgi wojskowe, Suchum-Kale, który się ciągnie do Pitzundy i liczy 66,000 mieszkańców, na 500 wiorstach kwadr. i brzeg Czerkieski, dziś prawie opustoszały.

Gubernia Erywańska obejmuje pas nad Araksą. Dotyka z jednej strony Tiflisu, z drugiej, granic tureckiej i perskiej. — Ludność 436,000 dusz, przestrzeń 1,900 wiorst kwadr., złożona po większej części z płaszczyn wyniosłych i bezpłodnych. — Są jednakże niektóre miejsca, mające dostateczną irrygację, — i są dosyć żyzne. —

Gubernia Elisabetpolska, 3200 wiorst kwadr., 503,000 mieszkańców, graniczy z guberniami; Erywańską, Tyfiską i Bakińską, rozciąga się aż do Araksy, nad granicą perską. — Jej stolica Gundszo, nie ma żadnego znaczenia;

główne miasto jest: Nucha, na wschodnim krańcu gubernii położone. — Jest ono środkowym punktem handlu jedwabiem, — który przybiera wielką doniosłość na Kaukazie. Ten pas, równie jak tyfliski, składa się z bezpłodnych i bogatych dolin.

Nakoniec gubernia bakińska, między poprzednią a Dagestanem, posiada 486,000 mieszkańców, na przestrzeni 2,800 wiorst kwadr. Stolica jej Baku, ma najlepszy naturalny port przy morzu Kaspijskiem, a jej drugie miasto Szemacha jest środkowym punktem przemysłu znacznie rozwiniętego, chociaż podpada częstym trzęsieniom ziemi.

Części, północna, okręg Kubiński i południowa, okręg Lenkorański, są żyzne i lesiste; reszta stepy.

### Mieszkańcy.

Zacniemy od rasy Kartwelskiej, jako najliczniejszej i najwyżej stojącej, pod względem fizycznym i intelektualnym. — Z niej pochodzą: Gruzini, Imeretińcy, Guryjcy, Mingreley i Swanety.

Wszystkie te ludy mówią jednym językiem gruzyjskim, mają jedne zwyczaje, i są chrześcianami. — Jeżeli czasem jakaś różnica spostrzegać się daje, w ich fizyonomiach lub obyczajach, jest to naturalnym następstwem różności położenia geograficznego, i wpływu jaki wywierały na nich stosunki z krajami sąsiednimi, bardzo wojowniczymi. —

Historja ich jest prawie nieprzerwanym łańcuchem gwałtów i zniszczenia; tak dalece, że ani nauki ani sztuka

nie mogły się u nich rozwinąć; — ztąd też pochodzi nędza, i stan dziki tych okolic, chociaż natura złała na nich obficie wszystkie dobrodziejstwa; ztąd niski stopień cywilizacji, chociaż chrześcianizm zaszczerpiony przeszło od piętnastu wieków. —

Piękny naród gruzyjski naznacza swój początek przed tysiącami lat i jest dumny swym pochodzeniem. — Król Wachtang tak o nim mówi:

„1792 lat po Adamie, Thorgamasz żył na górze „Ararat lat 600; miał ośmiu synów: Hhaoss, Karthloss, „Bardass, Mowakan, Lekoss, Heross, K'anok'ass i Egrass. „Ci zaś byli ojcami pokoleń, Somaschita (Ormianie) Karthultha (Gruzini) Rantha (Szirwanicy) Moszek'antha (Erywanicy) Lektha (Lezgini) Megreltha (Mingreley, Kawkasatha (Kaukazy) K'achetyńcy i Iméréthyńcy, wszystkie sobie pokrewne.“ —

Chrześcianizm wprowadzony do Gruzji około 320 r. pod panowaniem króla *Miriana II*. Podanie niesie, że jedna święta dziewczyna, imieniem Ninou, przybywszy z *Konstantynopola do Mtzheti*, dawniej stolicy Gruzji, dokazała mnóstwo cudów, aby lud nawrócić, — ocaliła życie żonie i synowi *Miriana*, i nakłoniła ich do przyjęcia Chrześcianizmu.

Cesarz *Konstantyn Wielki*, na żądanie króla *Miriana*, wysłał do *Mtseti*, *Eustachego*, arcybiskupa Antiochii, który opowiadając nową wiarę, nakłonił cały dwór do przyjęcia chrztu, a lud poszedł za ich przykładem.

Przez wiele wieków Gruzja była łupem rozmaitych ciemności, — Turków, Persów i Tatarów; — nako-

niec po ciągłych klęskach zaczęła wzmacniać się pod panowaniem Dawida III, (Aghma Schancheli) nazwanego *odnowicielem*, ponieważ odbudował miasta zburzone w jego państwie. — Odtąd zaczyna się kwitnący stan Gruzji. —

*Dawid III*, wojownik, odznacza się między swymi następcami, *Dymitrym*, *Dawidzie* i *Giorgi*. — Pokonał Turków i Persów, powiększył znacznie państwo; — a kiedy królowa *Tamara*, córka *Giorgi*, wstąpiła na tron, Gruzja doszła do najwyższego stopnia potęgi, jaką przedtém kiedykolwiek posiadała.

Przypisują tój królowej założenie Gorji, terazniejszej stolicy Kartali, również budowę wielu twierdz i kościołów.

W 1220 roku Tyflis był zajęty przez wojska Dżingischana, w 1388 był zniszczony przez Tamerlana; w początku XVI. wieku dostał się w ręce Turków, którzy będąc wypędzeni, powrócili w 1722. pod panowaniem Mahometa V. i przez trzynastcie lat pozostali panami Gruzji.

W 1735 roku *Nadir Szach*, król perski wypędził Turków, oświadczył Tiflisem, i osadził na tronie gruzyjskim *Teimurasa*, z rodziny Bagrationów, pod protektoratem Persyi. —

Lud gruziński w ogóle jest najpiękniejszym ze wszystkich ludów na świecie. Mężczyźni są wysokiego wzrostu, silnej budowy, kobiety zaś wysmukłe, doskonałych kształtów, rysów szlachetnych i z wielkimi oczami. —

Jednakże cywilizacya i ukształcenie, tak silny wywierają urok, że napróżno szukalibyśmy u nich tój zachwycającej piękności, gdzie dusza, serce i rozum, odbijają się

w spojrzeniu, a którą tak często u naszych kobiet znajdujemy. Kobieta europejska zyskuje na bliższym poznaniu; często się zdarza, że twarz na pierwszy rzut oka zdaje nam się bez wyrazu, a w końcu zachwycą nas wymową spojrzenia, delikatnością ust, grą fizyonomji; — jej ubiór prosty podoba się, gdy rozpatrzemy się w szczegółach, odznaczających się wykwintem i staraniem około swej osoby.

Gruzinka sprawia zupełnie inne wrażenie; olśniewa przy pierwszém wejrzeniu, lecz po bliższym przypatrzeniu się traci zupełnie.

Ubarwienie twarzy i ubiór są obliczone na efekt, nóżki obute w śliczne pantofelki, zdają się jeszcze mniejsze, pod szerokimi faldami jedwabnych szarawarów, — strój głowy podobny do diademu, nadaje jej postać królowej, a jej chód wdzięczny i poważny zwiększa tę illuzję; ale jak się powiedziało, trzeba tylko w pewnej odległości zachwycać się tym obrazem. Strój mężczyzn jest także nadzwyczaj malowniczy, — składa się: z wysokiej czapki, z czarnego bucharskiego barana, z długich kolorowych, miękkich i aż do kolan sięgających butów, spodni czarnych, spadających na takowe szerokiemi faldami, jedwabnego beszmeta, i wierzchniego odzienia sukienego lub aksamitnego, w różnych kolorach, obszytego galonem srebrnym lub złotym, z długimi na wyloty rękawami. — Czerkieska szabla, kindżał i pistolety, dopełniają ubioru.

Są nadzwyczaj waleczni i prawi, nie odznaczają się atoli ani pracowitością, ani zdolnościami do nauk; — dla tego téż cały przemysł i handel jest w ręku Ormian. —



Gruzini trudnią się rolnictwem, chowem bydła i uprawą winnic.

2. *Ingusze, Kisty i Ossétyny*, — plemiona nie mające żadnego politycznego znaczenia w historii Kaukazu, podległe od dawna Rosyi, nie posiadają żadnych wybitnych cech zasługujących na szczegółowy opis; — pochodzenie ich, różni różnie tłumaczą; — jedni utrzymują, że to są dawni Polowcy, drudzy wywodzą ich ród od Germanów, inni nakoniec utrzymują, że oni dali początek Irlandczykom. — Usposobienia łagodnego, po największej części, blondyni z niebieskimi oczami, zajmują się uprawą roli, i chowem bydła.

Będąc ciągle podbijani, to przez Gruzynów, to przez Turków lub Persów, stawali się z kolei chrześcianami, lub muzułmanami, — wszakże zawsze wracali do poganizmu i do dziś dnia poklaniają się swoim bogom; — pomimo to, noszą imiona chrześciańskie, zachowują niektóre posty, obserwują ważniejsze święta, — a w modlitwach wzywają świętych chrześciańskich. — Ich kapłani są bardzo szanowani, nazywają ich *Zani-stag*, to jest, święty człowiek. — Wierzą w Boga, w przyszły żywot, w niebo i piekło. — Niektóre miejsca są uważane za święte i wierzą, że w przyszłym życiu dobrzy składają będą jedną tylko rodzinę, że będą się przechadzać po pięknych ogrodach, jeść wyborne potrawy, — że wielożęństwo istnieć będzie z młodemi dziewczynami, które zachowają wieczną dziewiczość, a których piękność mniej lub więcej doskonała, będzie według zasługi tych, którym się w udziale dostanie.

3. *Czerkiesy*, pochodzenie ich sięga najodleglejszych czasów; ich rycerskie uczucia, obyczaje proste, patriarchalne, ich cudowne kształty mieszczą ich niezaprzeczenie, w pierwszym rzędzie ludów kaukaskich.

*Klaproth*, wywodzi ich nazwę: „*Czerkies*“ od tureckiego wyrazu *Czerkas*, co oznacza tego, co zatrzymuje na gościńcu, — a *Senkowski* od perskiego *Serkech*, co oznacza, bandyta, dowódzca. —

Religia ich jest mieszaniną, poganizmu z islamizmem i chrześcianizmem. — Chrześcianizm, którego już bardzo mało ślad pozostał, wprowadzony był w V. wieku; utrzymywał się ciągle, bez przerwy, wyznawany przez książąt i szlachtę, jako religię krajową aż do chwili, w której zjawił się słynny *Szeik-Mansur*.

Przybył on na Kaukaz w roku 1785, wysłany przez Turcyą, z zupełnym pełnomocnictwem, jako emisaryusz, dla rozpowszechnienia między plemionami kaukaskimi, dogmatów Mahometa i podburzania ich przeciw Rosyjanom, jako wyznawcom innej wiary. —

Wzięty do niewoli, przy zdobyciu Anapy, w roku 1791 umarł na wyspie Solowieckiej. —

Po jego śmierci książęta, szlachta i ich poddani, przyjęli islamizm, mała tylko cząstka mieszkańców, pozostała wierną dawnym swym bogom.

Znamienitsze ich bóstwa są:

1. *Chible*, bóg piorunów, wojny i sprawiedliwości. Ci co idą na wojnę, modlą się do niego, — a powróciwszy z niej szczęśliwie, oddają mu na ofiarę najpiękniejsze owce. — Burza wśród ataku, uważana jest za szczę-

śliwą wróżbę; drzewo, w które piorun uderzył, jest święte, a największy zbrodzień, znajduje pod galeziami onego, bezpieczne schronienie; — człowiek rażony piorunem uważany jest równie za świętego, i chowany z największemi honorami. —

2. *Tleps*, bóg ognia. — Cześć oddawana temu bóstwu zdaje się być zabytkiem religii, czcicieli ognia, *Gwebrów*. —

3. *Soserech*, (*Seozeros*), bóg wody i wiatrów. — Morza i chmury są mu posłuszne, — on to spycha śnieżne obwały i rozkazuje zdrojom, wytryskiwać z pośrodku gór. — Rólnik prosząc o deszcz, zrasza napojem wyschłe pole; narzeczona, gdy jej kochanek jest na morzu, żona za męża, matka za syna, dają ofiary rzecze wpadającej w morze; bystre jej wody mają nieść prośbę, aż do głębin, gdzie jest tron bóstwa; — które w podmuchu wiatrów lub kierunku chmur, przesyła swą odpowiedź. —

4. *Sekutcha*, bóg podróżnych, objawia się szczególnie tym, co odbywają pielgrzymkę do miejsc świętych. Wynagradza gościnność przez błogosławieństwo i powodzenie, udzielając onych tym mieszkaniom, w których takowa daje się chętnie i bezinteresownie przy wejściu i odejściu gościa, gospodarz niesie napój temu bóstwu w ofierze.

5. *Mezitcha*, bóg lasów, odbiera hołdy pod ich cieniami, gdzie wszyscy inni bogowie mają także swe poświęcone miejsca, są one oznaczone, jak niegdyś świątynie Rzymian i Greków; przestępca również tam znajduje bezpieczne schronienie. —

Gdy starce mają roztrząsać ważne sprawy, zbierają

się pod cieniem świętego dębu, — tam radzą o wojnie i pokoju, tam się zgromadzają przed bitwą, itp.:

6. *Pekoach*, bogini wód, rodzaj najady, o której nie mamy podań.

7. *Achin*, bóg bydła i trzody, uważany jako bardzo potężny, — do dziś dnia jeszcze noszą mu na ofiarę zwierzęta. —

8. *Jemech*, bóg owiec. — W jesieni obchodzono jego święto.

Jest jeszcze wielu innych bogów, których atrybucye nie są nam znane, — oprócz nich Czerkiesy zawsze czcili istotę wyższą od tych, których tu wymieniliśmy, nazywają go stwórcą świata i geniuszem zachowawczym wszech rzeczy, — nazywali go, *Tchachcho*, najwyższy bóg. —

Czerkiesy nie czynili nigdy ofiary z ludzi, ale wierzą w prorocтва, i mają mnóstwo zabobonów. — W każdym zdarzeniu starają się czytać w przyszłości, za pomocą linij, wklęsłości i wypukłości kości łopatkowej baraniiej. Fasola służy im także do wróżenia.

Czerkiesy wierzą w diabła, który zamieszkuje w ludziach. Sądzą, że dusza ludzka spokrewniona ze złymi duchami, przechodzi w wilków, psów i kotów; osoby znajdujące się w mocy złego ducha, nazywają *Uddas*; mogą się stać niewidzialnymi, i na nich to zwalają wszystkie nieszczęścia, trapiące ludzi. —

Wskutek tego Schott mówi: „Niektóre plemiona czerkieskie wyobrażają sobie, że *Uddasy* w czasie wiosny, wstępują na górę *Sabr-Oachch*, położoną na ziemi *Seapsugów*; dosiadając rozmaitych zwierząt domowych i dzikich.“

Praw pisanych nie mają, wymiar sprawiedliwości odbywa się stósownie do dawnych zwyczajów, zmieniając się mniej lub więcej w każdym pokoleniu. —

W tych, gdzie islamizm ma przewagę, prawa gruntują się na Koranie, zmodyfikowane przez zwyczaje i okoliczności miejscowe. W innych zaś, najstarsi wiekiem, i najczęściej szanowani w Aule, zgromadzają się dla osądzenia sprawy, a ich wyrok jest zawsze przyjęty bez szemrania. —

Czerkiesy dzielą się na trzy klasy: książąt, szlachtę i chłopów, walczących pod ich rozkazami. — Duchowieństwo jest w tak małej liczbie, że oddzielnej klasy nie stanowi; — otrzymuje honory należne szlachcie i nawet książętom. —

Liczni niewolnicy, są to jeńcy wojenni, lub też desertery, którym wojownicy z wielką trudnością otwierają swe szeregi; używają ich do prac rolniczych, i do usługi domowej.

Każdy Czerkies rodzi się żołnierzem, i ma głos w zgromadzeniach ludowych, gdzie radzą o wojnie i pokoju; — chociaż wszyscy są wyćwiczeni w sztuce wojennej, nie wzywają jednakże rólników, chyba w ostatniej konieczności. Książęta i Uzdzenie (szlachta) są jedynymi właścicielami ziemskich posiadłości; — wydzierzawiają swe grunta chłopom, i otrzymują w czynsz zboże i bydło. —

Chłopi odrabiają także panom pańszczyznę, — jednakże wolno im jest od niej się wykupić; —

Zemsta jest pierwszym obowiązkiem Czerkiesa, — jednakże rodzina zmarłego, może bez ujmy swego honoru,

ru, pogodzić się z zabójcą, który w takim razie, obowiązany jest zapłacić jako karę, naznaczoną cenę krwi. — Lecz takie pogodzenia zdarzają się nie często, a rzadziej jeszcze ich warunki są wypełniane. — Jeżeli zabójca zdoła pochwycić dziecko swego śmiertelnego wroga, i wychowuje ono tajemnie, jest już na zawsze wolnym od zemsty. Gdy dziecko dorośnie i on odprowadzi takowe ojcu, nienawiść ustaje natychmiast, a pokój na zawsze zawarty. Jeżeli Uzdzenie zabije, czy to umyślnie czyli też przypadkiem cudzego chłopca, musi zapłacić za niego dziewięciu niewolników, — a pomimo to nie jest wolny od zemsty.

Ktokolwiek jest przekonany o kradzież lub schwytany na uczynku, skazany jest na zwrócenie właścicielowi, wśród białego dnia przedmiotu skradzionego, a oprócz tego winien jest dać parę wołów, księciu lub Uzdzeniowi, od których zależy. —

Obowiązek zwrócenia skradzionego przedmiotu, jest dla Czerkiesa najokropniejszą karą, wystawia go bowiem na pogardę i pośmiewisko całego aulu. — Nie dla tego rumieni się, że ukradł, ale wstyd mu, że się dał złapać, ponieważ kradzież jest dozwolona u Czerkiesów, tak jak dawniej u Spartanów. Zręczny złodziej jest tak dumny ze swych czynów, jak z największych dowodów mężstwa, niezręcznym tylko pogardzają. —

Beztęność jest ubliżająca honorowi, — kto nie ożenił się do pewnego wieku, staje się pośmiewiskiem całego pokolenia. —

Małżonek wykrada lub uwozi siłą swoją małżonkę, a lubo Kalym (zapłata za żonę) jest uiszczony, musi ją

wydrzeć rodzinie z bronią w rękę, (rozumie się jest to tylko udanie). Ten zwyczaj istnieje prawie u wszystkich ludów Kaukazu.

Poszanowanie starszych zachowuje się we wszystkich klasach a to tak dalece, że młodszy brat wstać musi, kiedy się zbliża starszy, — mileży kiedy tamten mówić zaczyna, — i nie odezwie się bez jego pozwolenia. —

Otyłość jest hańbą dla mężczyzn i dla kobiet; górale zwykle są nieczuli na kalectwo, wyjąwszy ślepoty. — Osoby dobrej tuszy, i których powierzchowność jest śnieżna, nie pokazują się na ucztach i zebraniach publicznych.

Jak u wszystkich pierwotnych ludów, tak też u Czerkiesów, gościnność uważaną jest za obowiązek święty, podróżny bez względu na stan lub majątek, jest przyjęty wszędzie szczerze i serdecznie. Wszyscy powstają na jego powitanie, a gospodarz domu nie usiadzie, dopóki go gość nie poprosi. — Życiem swoim odpowiada za życie gościa, a choćby on był śmiertelnym jego wrogiem, jest zupełnie bezpieczny, dopóki u niego w gościnie pozostaje. —

Wewnętrzne życie Czerkiesów, podlega bardzo surowym prawdom; — niewolno jest nikomu, nawet najbliższemu krewnym być świadkami najzwyczajniejszych oznak przywiązania, — jak np. pocałunek, — uściśnienie ręki itp.

Mąż czuje się obrażonym, gdy go zapytują o zdrowie żony lub córek; — nawet rodzice jego żony, nie odważyliby się uczynić podobnego zapytania, w obec obcych. Tak samo dzieje się i u innych ludów kaukaskich.

Mężczyźni nie są przypuszczeni do zgromadzeń kobiecych, jak również kobiety do męskich.

Rozwód, jakkolwiek upoważniony koranem, jest bardzo rzadki; — mąż ma nieograniczone prawo w kółku swęj rodziny, — może ukarać śmiercią żonę lub dziecko, a nikt go nawet o powód tego nie zapyta. Żona niewierna, jest już skazana na śmierć. —

Chłopcy wznastają zdala od domu rodzicielskiego wychowani przez obcych, aby nie stali się zniewieściami. Biedni są tu wyjątkiem, dla tego też są przeznaczeni do uprawy roli.

Ci, którzy trudnią się wychowaniem chłopców, nazywają się: *Atalik*; wychowanie to zasadza się na ćwiczeniach wojskowych w całej rozciągłości; cały dzień prawie chłopiec przepędza na koniu, na robieniu bronią, strzelaniu, polowaniu, i t. p.: starają się, aby był śmiały, zręczny i przebiegły. Dla tego też kradzież jest dozwolona, a jeżeli chłopiec skradł w sąsiednim aule konia, wołu, lub owcę, i nie był spostrzeżony, — jego *Atalik* jest tak dumny tym jego czynem, jak gdyby mu przyniósł głowę nieprzyjaciela, zabitego własną ręką.

Jak tylko edukacya młodzieńca jest skończoną, *Atalik*, dopomaga mu zwykle w wyborze i wykradzeniu żony.

Powrót młodego Czerkiesa do domu rodzicielskiego jest obchodzony solenną uczta, na której zgromadzają się krewni i przyjaciele; — *Atalika* przyznają uroczyscie, jako należącego do rodziny, i przy tej okoliczności, darzą go, bronią końmi, itp. Stosunek jego z wychowawcą, jest zawsze bardzo ścisły, którego wdzięczność skłania się bardziej ku *Atalikowi*, aniżeli ku własnemu Ojcu.

4. *Czercheocy*. Wywodzą swój ród od *Kistów*, różnią

a u niego z jednej strony wisi kindżał, z drugiej prochowica, — z tyłu tkwi za pasem, w sukienym wyszywającym pokrowcu, pistolet, — przez plecy przewieszona gwintówka, a z drugiej strony na wążutkim, srebrnym wybijanym ćwieczkami pasku, wisi szaszka, — na głowie, *popach*, (wielka barania czapka.) — W czasie słoty lub zimna, narzucają na siebie andyjską burkę. — Ubiór kobiet, zwłaszcza zamożniejszych jest również bardzo malowniczy.

5. *Kabardyńcy*. Powiat zamieszkały przez Kabardyńców, graniczy na północ z Piatygorakiem i Mozdokiem; na wschód z małą Czeczenią, a poniżej z posiadłościami Ossetyjskimi; na południe wielki łańcuch gór, oddziela ją od Imeretji i Swanetji, na zachód, z Abazechami i Nogajcami.

Terek dzieli ją na dwie części; małą i wielką Kabardę. —

*Guldenstaedt* utrzymuje, że Kabardyńcy pochodzą od Adigów czyli Czerkiesów; — rzeczywiście, podobieństwo między temi dwoma ludami, — co do fizjonomji, zwyczajów i obyczajów, jest tak wielkie, że bezwarunkowo przyjęlibyśmy to przypuszczenie, gdyby nie zupełna różnica języków. — Dla tego też o nich możemy tylko powiedzieć, — że są pod panowaniem Rosyi, — że jeszcze w roku 1763 ich książę, *Korina-Kantchollin-Chan*, szukał z nią przymierza, i połączywszy się z Rosyanami, założył na lewym brzegu Tereka miasto *Mozdok*. —

6. *Lezginy*. *Scaliger* nazywa ich: „*Omnium mortalium pessima fide et excellenti immanitate.*“ *Olearius*

mówi przeciwnie, że są powolniejsi i łagodniejsi, aniżeli inne ludy, może dla tego, że żyją w stosunkach z Rosyanami, którzy są chrześcianami. —

*Guldenstaedt* utrzymuje, że Lezgini są gburowatsi, więcej nieposkromieni, i łupieżcy, aniżeli jakikolwiek lud kaukaski itd.

*Eichwald* jest tegoż samego zdania. —

Co do mnie, to powiem, że Lezginy są tém, czém ich wieczne wojny i zamieszki, w pośród których od wielu wieków żyją, uczyniły, a które każdy zaród postępu w nich zagłuszają.

Jest to naród bitny i męski, posiadający wszystkie cnoty i wady, wspólne innym plemionom góralskim, z wyjątkiem Czerkiesów. —

Kraj zamieszkały przez nich, nazywa się *Dagestan*, (kraj gór.) Na wschód graniczy z wysokimi górami, ciągnącemi się równolegle z brzegami zachodniemi morza Kaspijskiego. Ten łańcuch łączy się z mnóstwem innych wzgórz, które kończą wielki łańcuch od północno-zachodu na południe-wschód, i pokrywają kraj we wszystkich kierunkach. —

Te nagie skały, poprzerzynane straszniemi rozpadlinami i głębokimi wąwozami, nie są przyjazne rolnictwu, chodowanie bydła także jest nie możebne, z powodu braku paszy; — ale potrzeba i konieczność i nieumiejętnych ucza, — podziwiać należy prawdziwą genialność, z jaką ci biedni ludzie zakładają, niiby to ogrody i pastwiska. Wązkie tarasy, okolone kamieniami, i zbudowane amfiteatrem, na których sadzą wino, kukurydze, cebule, czo-

snek i niektóre drzewa owocowe, są polewane wodą, idącą z dołu do góry, za pomocą sztucznych wodociągów. — i siły ciśnienia. Te ogrody są jedyną ich bogactwem, ponieważ dostarczają im chleba, opału i owoców; — właściwie używają oni na opał lajna bydłęcego, nadają mu kształt placków i suszą na słońcu; — i to nazywa się: *Kiziak*.

Lezginini rozrzućeni po górach, dali początek różnym plemionom, które dziś różnią się nawet językiem, tak dalece, że zaledwie można ich przyznać za synów jednej matki. — Mają sześć odmiennych dyalektów; — 1. *Awar-ski*, 2. *Didońców*, 3. *Kapuców*, 4. *Andyjców*, 5. *Akuszyców* i 6. *Kazikumyków*. — Język tatarski czyli kumycki jest znany wszystkim kaukaskim ludom, od Armenji aż do środka Azji.

Ubiór Lezginów składa się: z Czuchy, z domowego sukna, takichże spodni, w zimie, a w lecie z grubego płótna, sięgających do kostek, — bawełnianego bezszmetu, łapci z surowej skóry i ogromnej baraniiej czapki; — w zimie noszą wielkie gołe kożuchy z ogromnymi pelerynami. — Uzbrojenie ich takie same jak innych narodów. —

Oto są plemiona lezgińskie:

- a) *Salatawcy*, 6000 mieszkańców męskich; — główny aul, *Czerkej* nad rzeką *Sutakiem*, zdobyty w 1841 roku przez głównie dowodzącego korpusem kaukaskim, generała Gołowina, który zbudował twierdzę nazwaną: „Eugieniewską.“ —
- b) *Gumbetowcy*, kraj i statystyka onego nie są mi znane.

- c) *Andyjcy*, 22,000 mieszkańców. —
- d) *Kojsobulińcy*, 23,000 mieszkańców. — Główny aul *Gimri*, miejsce urodzenia Kazi-Mully i Szamyla.
- e) *Awarcy*, 25,000 mieszkańców. — Rezydencja Chanów Awarskich, *Chunzach*. Awarcy uchodzą za najwaleczniejszych między Lezginami. — Dwie drogi prowadzą do Awaryi; pierwsza, główniejsza, przez *Balakański* wąwóz, *Moksok'h* i *Catanych* lub *Satanych*; — druga trudniejsza, przez *Gocall* lub *Gotsall*.
- f) *Chaiństwo Mechtulińskie*, 20,000 mieszkańców, pod rządem wdowy *Achmet-Chana*, generała lejtnanta rosyjskiej służby, byłego wielkorządcy Awaryi, pod protektoratem Rosyi, podczas małoletności Chana Awarskiego, kształcącego się w Petersburgu. —
- g) *Surchia*, 8000 mieszkańców; — ta prowincja znajduje się w górach. — Rzek wcale nie ma, ale jest mnóstwo źródeł. — Klimat chłodny, przyjazny dla uprawy pszenicy, żyta, jęczmienia i t. p., których zaledwie dostateczną ilość dla wyżywienia się, otrzymują. — Na opał używają *Kiziaku*. — Mają wiele bydła i owiec; *Kadi* zarządza krajem, — a w każdej wsi najstarszy wiekiem.
- h) *Konfederacja Dargińska*, składa się z sześciu pokoleń, pomiędzy którymi *Akusza*, trzyma pierwsze miejsce. Mieszkańców 24,000. — Ziemia żyzna, klimat zdrowy; — główne produkta są: kukurydza, proso, ryż, wino i t. p.; mają także, acz nie wiele, drzew owocowych. —
- Dargo i Surchia, poddały się Rosyi, jeszcze przy

Jermolowie, w roku 1818, — która pozostawiła im ich własną autonomię, pod zarządkiem Kadi *Mahometa*, aż do 1843 roku. Po buncie jaki wynikł w owym czasie, upokorzeni na nowo przez księcia Woroncowa, w 1845 roku.

i) *Kara-Kajtach* wyższy i *Kara-Kajtach* niższy. — Liczy 15,000 mieszkańców. — Kraj rządzony jest pod protektoratem Rosyi, przez podpułkownika, *Dżamow-Beka*, ostatniego potomka rodziny *Uzma*, wygasłej przez *vendettę*. Gleba wyborna, pyszne lasy obfitują w olbrzymie drzewa, i stanowią bogactwo kraju. —

k) *Tabassarania*, północna i południowa; *Maissum* był onęj władcą, jego potomek, *Ibrahim-Bek*, rządzi częścią południową, — północna jest niepokorna. —

Ziemia bardzo płodna, — główne plody są: jedwab, bawolna i zboża wszelkiego rodzaju. — Liczy w południowej części 12,000 mieszkańców; — ile ich jest w północnej, — niewiadomo. —

l) *Chaństwo Kazikumyjskie*; — Od śmierci *Arslan Chana* rządzone jest przez jego wdowę, *Umi-Hulsum-Bike*; rządy jej są tylko nominalne, — posiada tytuł i dochody, lecz rzeczywiście, rządzi krajem *Abdur-Rachman-Chan*, pod protektoratem Rosyi.

Klimat jest ostry, więcej sprzyjający chodowaniu bydła, aniżeli rolnictwu; — mieszkańcy trudnią się przemysłem, — ich sukna, burki i broń, są słynne na Kaukazie. — Ich saki zbudowane z kamienia, — na opał używają *Kiziaku*.

m) *Prowincya Kuryjska*, liczy 150,000 mieszkańców, *Jussuff-Bek*, pod protektoratem Rosyi, rządzi krajem. — Rolnictwo kwitnie, bydła wiele; przemysłowa czynność mieszkańców jest uderzająca. Plody też same co w *Kazikumyku*. — W stolicy prowincyi, nazwanej *Kurach*, znajduje się starożytny *Khan-seraj*, obrócony na lazaret. —

n) *Samur*, biorący nazwisko od rzeki Samury, jest okregiem rosyjskim. Na południo-zachód graniczy z wielkim łańcuchem kaukaskim, którego wiele gór wystają na jego gruncie, i przez to czynią go mniej sposobnym do uprawy roli, — pozostawiając mu jako środek utrzymania, chów bydła. — Główne miejsca są: *Achtyjskie ukreplenie* i aul *Rutul*.

o) *Sultaństwo Elisujskie*, graniczy na wschód z konfederacją *Dżaro*; na północ rozciąga się od tej ostatniej do prowincyi *Szeki*, w kształcie wąskiego języka, aż do gór *Rutul*. Utrzymują, że *Elisuj*, *Dżaro* i *Biełokany*, były częścią *Kachetji*, i dopiero w późniejszych czasach stały się prowincjami niezależnymi. Zapewniają, że książę grusyjski *Erystów*, był pierwszym władcą *Elisuja*; *Kachetia* po wszystkie czasy była wystawiona na nabięgi, mordy i łupieństwa sąsiednich pokoleń lezgińskich; — książę *Erystów*, który był z ramienia króla Kachetyńskiego, gubernatorem w *Kakhi*, stolicy tej prowincyi, połączył się z Lezginami, i w nagrodę otrzymał ziemię Elisujską.

Sultan *Daniel*, dopuściwszy się zdrady w roku 1844, zbiegł w góry i połączył się z Szamylem; —

po jego ucieczce sultaństwo zostało przyłączone do prowincyi rosyjskich. —

p) Prowincya *Dżaro-Bielokańska*, ciągnie się od lewego brzegu Alazani aż do gór Dagestanu. Dotyka ziemi niepokornych Lezginów; na wschód graniczy z *Elisujem*, na południe z *Signachem* i *Telawę*; na zachód z *Telawę*. Jest pokryta w większej części gęstemi i wysokimi lasami. — Język jest tatarski, — używają jednakże, zwłaszcza na granicach, lezgińskiego. — Składają takową: —

- 1) Pokolenie *Dżaro*, liczące dwadzieścia Aulów, — 1900 dymów. Miejsca wzmocnione są: *Aliabat*, *Almalo* i *Lalalo*, każda z tych wiosek, liczy najmniej po 300 dymów. —
- 2) Pokolenie *Bielokańskie*, mające trzy auly: *Bielokany*, *Zablowni* i *Zandziszewi*, liczące 800 dymów.
- 3) Pokolenie *Taly*, sześć aulów i 1500 dymów. Znaczniejsze wioski są: *Taly*, *Kargilu* i *Muhanlo*.
- 4) Pokolenie *Muchach*, trzy auly i 1,040 dymów; stolica *Muchach*, 800 dymów. —
- 5) Pokolenie *Dżinich*, cztery auly, 900 dymów; główna rezydencya *Dżinich*. Plody przemysłowe mieszkańców są: rolnictwo, ogrodnictwo, jedwabnictwo, pszczelnictwo i chodowanie bydła. — Zbierają tu 3,000 pudów jedwabiu i 20,000 cztereci ryżu.
- q) *Tuszyńcy*; — kraj niewielkiej rozległości, 120 wiorst kwadr., bezpłodny, zimny, spadzisty, otoczony górami, dotyka częścią północno-zachodnią *Telawy*, obłany pięcioma odnogami *Alazani*, graniczy na pół-

noc z *Kistami*, na wschód z *Didońcami*, na zachód z *Pszawińcami*, a na południe z *Kachetją*. Mieszkańcy w liczbie 5000 liczą 47 aulów i utrzymują się z chowu bydła. — Ich wyrobu sier kozi, ma wielką wziętość na Kaukazie. Tuszyńcy różnią się od sąsiednich pokoleń zręczną figurą, uprzejmością i rycerskimi zaletami. Ich język nie ma żadnego podobieństwa z językami sąsiednimi.

r) *Pszawińcy* i *Szewsurcy* zamieszkują najmniej dostępne góry i prawie w pasie wiecznych śniegów; — klimat mają bardzo ostry a zimę długą. *Aragua* rozdziela te dwa małe pokolenia. *Pszawia* ma jeszcze rzekę *Gori*, lub *Gora*, starożytny *Cambysus* i *Szewsuria*, mnóstwo wód ściekających z gór. — *Pszawia* posiada 47 młynów wodnych a *Szewsurja* 145; — każden z nich jest wspólną własnością kilku rodzin. Ludność, 5600 dusz, w 45 aulach; — również jak *Tuszyńcy*, trudnią się chowem bydła. — Znajduje się wiele zwalisk pięknych kościołów z epok odległych; mieszkańcy wyznają religię grecką; — *Zabobony* zastępują u nich wiarę, a *vendetta* prawo. —

s) *Kubaczy*. Oprócz pokoleń lezgińskich, któreśmy tu wymienili, jest jeszcze wiele innych, jak n. p.: *Dido*, *Zuntas*, *Kapucza*, *Anzuch*, *Aukratl*, *Karach*, *Ach-wach*, *Bagulal* i inne, których kraj i obyczaje nie różnią się wcale z poprzedzającymi. —

Będę mówił tylko o *Kubaczyńcach*, mieszkających na południe granic *Dargo* i *Kajtach*.

Odnaczają się między góralami niezwyčajną zrę-



cznością w wyrobach broni palnej i siecznej, dla tego też przybrali przydomek: *Franki* i roszczą pretensy do rasy europejskiej. Ich język nie ma żadnej wspólności z językami Kaukazu; lecz ponieważ nie podobny także do żadnego cudzoziemskiego, — nie możemy więc bezwarunkowo przyznać im pochodzenia europejskiego. — Zdaje się, że nazwa *Kubaczy* lub *Kubiczy*, jak się także pisze, jest zepsuciem wyrazu *Kuwaczi*, co oznacza, *fabrykantów Koczug*.

W dzienniku jednego oficera, który w roku 1844 towarzyszył księciu Argutyńskiemu - Dolgorukiemu, w przejeździe przez Dagestan, czytamy:

„Dnia 13 czerwca wystąpiliśmy bardzo rano, i tego samego dnia przybyliśmy do Aulu *Kubaczy*; mieszkańcy dniem naprzód wysłali jeneralowi akt poddaństwa i podarunki. —

„Oglądałem zwaliska dawnego meczetu, którego budowa przechodzi lat tysiąc, — dowód, że wiara *Mahometa* była już wprowadzoną. —

„Mieszkańcy tego plemienia nazywają się *Kubaczy*, tak jak ich aul, a nie *Kubiczy*, lub *Kuwaczy*, — uważają się za potomków germańskich, którzy mieli się tu osiedlić, w czasie wojen krzyżowych. — Poświęcają się wyłącznie wyrobom broni; ich karabiny gwintowane przechodzą w dobroci, wszystkie inne wyrabiane na Kaukazie. —

„Krótki pobyt wojsk naszych w *Kubaczy*, nie dozwolił mi przekonać się, czy, jak utrzymują, jest w ich języku cośkolwiek germańskiego. — W ich

„rysach nie spostrzegalem nic, co by mogło usprawiedliwić to mniemanie. Nie znalazłem w nich także żadnego podobieństwa z Grekami, od których mają pochodzić, według innych pisarzy. — Co do mnie *Kubaczy* zdają się być czystej krwi *Lezginami*. Z zapalem adorują islamizm; są usposobienia spokojnego i żyją w dobrém porozumieniu z sąsiadami.“ —

Cała ludność *Lezginów* dochodzi do 400,000 dusz. Mówić teraz będziemy o plemionach rasy turkomańskiej.

*A. Kumyki — Nogajcy*. Kraj zamieszkały przez te ludy graniczy na zachód, idąc z biegiem Tereku, z *Czeczenią*, na północ z okregiem *Kizlarskim*, na wschód z morzem *Kaspijskim*, na południe z państwem *Szanchala Tarkowskiego*, od którego przedzielony jest rzeką *Sulakiem*.

Rólnictwo i chów bydła są głównymi środkami utrzymania mieszkańców, którzy posiadają wielkie stada bydła i owiec. — Kraj jest w ogóle płaski, poprzęzynany množstwem rzek, któreń zawdzięcza wielką żyzność.

Roślinność i plody są też same co i w *Czeczeni*. — Handel równie jak na całym Kaukazie jest w rękach *Ormian*, rozrzuconych obficie po całym kraju. —

*Anderi* lub *Enderi* po rosyjsku, *Andrejewskaja derewnia*, jest nagłówniejszym aulem, przy którym wybudowano twierdzę *Wniezapnaja*. — Niegdyś odbywały się tu targi na niewolników, do dziś dnia jeszcze okoliczni górale robią tu znaczne interesa. Bliskość morza *Kaspijskiego* daje handlującym łatwość otrzymywania regularnie

wszystkich towarów rosyjskich i zagranicznych; można tu znaleźć nawet niemieckie i francuskie wina, porter i t. p.: mieszkańcy mają renomę przemysłowych.

W tej prowincyi są jeszcze inne ważne auly i twierdze, a mianowicie: *Amir-Hadži-Jurt*, *Tasz-Kiczu*, *Końtek*, *Laszczuryńskaja*, *Kambulut*, i t. d. —

Kumyki są przywiązani do Rosyi, — rządzeni przez książąt, którzy zwykle mają stopnie wojskowe, nadane im przez cesarza. —

*Chan-Girej*, w Andrejewskiej, i *Mussah-Hussejn* w *Tasz-Kiczu*, oddali rządowi rosyjskiemu ważne usługi i dali dowody niezachwianej wierności. — Syn tego ostatniego służył długo w gwardyi w Petersburgu, jego wykształceniem zajmował się słynny pisarz Marliński (Bestużew.) Oprócz języków wschodnich, ten książę mówi i pisze poprawnie, po rosyjsku i po francuzku; stara się uspokoić fanatyzm swych współziomków i uczynić ich zdolnymi do przyjęcia cywilizacyi zachodniej.

Kilka tysięcy koczujących Nogajców, żyje między Kumykami, dawniej było ich więcej, ale z początkiem tego stulecia znaczna ich część wyemigrowała w inne okolice. —

Cała ludność Kumyków i Nogajców, przechodzi 20,000 mieszkańców. —

B. Posiadłości *Szamchala* Tarkowskiego.

Ten kraj należący do *Szamchala Abu-Musselim-Chana*, generała lejtnanta służby rosyjskiej, — graniczy na północ z Kumykami, na wschód z morzem Kaspijskiem, na zachód i południe z Salatawcami, Gumbetem, Kojsubu, Chaiństwem Mechtalińskim i Derbentem. — Jest w ogóle

plaski, pola dobrze uprawne, łąki wyborne, — sąsiedni górale zimują na nich swe stada. —

Rezydencya *Szamchala* jest *Tarku*, miasto położone na zachodnim brzegu morza Kaspijskiego. Rosyanie wybudowali tam port, nazwany *Nizowoje ukreplenie*, dla ochrony żywności przeznaczonęj do Dagestanu.

*Tarku*, dosyć znaczne miasto, zbudowane amfiteatrem na pochyłości góry; — domy z płaskimi dachami, według zwyczaju kaukazkiego, z kamienia niezgrabnie sklecone, ciągnące się aż do stóp góry, przedstawiają jakby olbrzymie schody w skale wykute.

Najwięcej zasługuje na uwagę w prowincyi *Szamchalskiej*, *Temir-Chan-Szura*, twierdza wzniesiona przez Rosjan w 1831—1832, — a wzmocniona w 1844 roku. — Mieści w sobie sztab dowodzącego wojskami w północnym Dagestanie, — główną kwaterę Apszerońskiego pułku piechoty; — szpital wojskowy mogący pomieścić 6000 chorych, — sztab baterji artylerji, i jest głównym punktem, gdzie wojska zbierają się na wyprawę w góry. — Miasto to założone przez generała Kluki von Klugenau, jego staraniem upiększone, wzrosło do świetności pod względem handlowym. — Posiada wiele pięknych domów na sposób europejski zbudowanych, dwa kościoły, z tych budowa prawosławnego, poruczoną była utorowi niniejszych wspomnień. —

Znaczniejsze auly są: *Angijurt*, *Czirijurt*, *Kum-Tarkale*, *Kapczugaj*, *Kafer-Kumyk*, *Karabudach-Kent* i *Bujnaki*.

Posiadłości Schamchala liczą 60,000 mieszkańców; wszyscy należą do sekty Sannitów.

C. *Provincja Derbencka*, graniczy na północ z posiadłościami Szamchala, na zachód z Dargo, na południe z Tabesarianą, a od strony wschodniej oblana jest, w całej swej rozciągłości, przez morze Kaspijskie. —

Główne miasto *Derbent*, — lub *Derbead*, zbudowane bardzo malowniczo na pochyłości góry; przedstawia się w kształcie ogromnego zębiastego muru, — wznoszącego się z morza do wierzchołka góry. — Wechodzi się do miasta przez piękną perską bramę, uzbrojoną dwiema wielkimi basztami; na prawo, jest fontanna otoczona wielkimi jaworami, pod których cieniem zakwefione kobiety gwarzą; — jeźdźcy przejeżdżają tam i napowrót. — Krajobraz jest spokojny, wszystko ma cechę wielkości, — przypomina podania biblijne.

Chatka, gdzie mieszkał Piotr Wielki w 1722 roku, nad samym brzegiem morza, jest religijnie strzeżoną przez Roszjan, — w 1848 roku otoczyli ją słupami, łańcuchami i działami. — Na drzwiach jest napis:

И Е Р В О Е О Т Д О Х Н О В Е Н И Е  
Б Е Л И К А Г О П Е Т Р А .

Derbent, jest zupełnie miastem wschodniem; ubiór perski jest w przeważnej liczbie. Ruch ludności w głównej ulicy oznacza środkowy punkt bardzo ożywionego handlu; wielki *bazar* jest na prawo, na lewo prowadzi ulica do wybrzeża i magazynów wojskowych.

Uważany z góry na dół, — przedstawia nam wielki

równoległobok, ciągnący się od morza aż do pierwszej góry, na której jest twierdza. Mur, okrążywszy miasto, wznosi się i przedłuża wężkowato ku wschodowi.

Uczeni zaprzeczają istnieniu tego muru, zaręczyc jednakże możemy, żeśmy spotkali jego ślady o 27 wiorst od Derbenta. — Podanie niesie, że ten mur ciągnął się od morza Kaspijskiego aż do morza Czarnego, bez żadnej przerwy, i że w przeciągu sześciu godzin, można było komunikować się z jednego końca na drugi; — nie odkryto nam tajemnicy tej niepojętej szybkości. — W tych czasach mają zamiar urządzić więcej rzeczywistą komunikacyę, a to przez połączenie kanałem tych dwóch mórz.

Bestużew, zwiedzając wielki mur Kaukazu, pisał do swego pułkownika, po powrocie z tej wycieczki:

„ . . . . Widziałem właśnie resztki owego wielkiego muru, który oddzielał stary świat od nieucywilizowanej jeszcze Europy. „Był on wzniesiony przez Persów lub Medów, jako obrona od barbarzyńskich napadów. —

„Barbarzyńcy, to my, kochany pułkowniku.

„Przepraszam, — mylę się, twój przodekowie, książęta gruzyjscy, należeli do świata cywilizowanego. —

„Jakie zmiany wyobrażeń! jakie następstwa wypadków! „Jeżeli lubisz oddychać, i dotykać się kurzawy starych ksiąg; o czém pozwól mi wątpić, — radzę ci nauczyć się po tatarsku, — bravo! zapominam, że mówisz tym językiem, jak własnym, — i czytać *Derbent name*, — przypomnieć sobie starą łacinę i czytać *de Muro Caucasio*, Baëza; przerzucić Gmeliusza (Samuela Teofila) tego, który będąc więźniem Kirgizkiego Chana, przyszedł umrzeć na

Kaukazie. — Radzę ci żalować, że Klaproth nie o tém nie pisał, — i że kawaler Gamba, o ile mi się zdaje, napisał coś bardzo głupiego. Nakoniec, porównaj jednych z drugimi, z tuzin autorów, których nawet nazwiska pozapominałem, lub których nie znam, lecz oni znali mur kaukazki i mówili o nim; — następnie, opierając się na dowodach autentycznych, przyznasz:

„1. Że epoka budowy muru, wcale ci nie znana;

„2. Że jest wzniesiony przez Isfendiara, lub Iskandera, — oba imiona oznaczają Alexandra Wielkiego, — lub przez Chozroësa, lub przez Nuchirwana. —

„Świadectwo twoje dołączone do tych co już istnieją, przedstawi rzecz jasną jak słońce w czasie zupełnego zaćmienia. —

„Lecz co będzie dowiedzioném, jeżeli w każdym razie nie będzie wątpliwém, — to właśnie to, że ten mur zaczynał się od morza Kaspijskiego, a kończył się przy morzu Czarném. —

„Rzeczy tak stoją, kochany pułkowniku, i zapewne pozostaną tak, mimo twojej woli, — mojej, wszystkich archeologów i uczonych, — a nawet pomimo wszystkich głupców w przyszłości.

„Prawda czysta, prawda prawdziwa, prawda niezaprzeczona, że mur istnieje, lecz że jego fundatorowie, budowniczości, obrońcy, kiedyś sławni, dziś spoczywają w grobach bez nazwiska, bez napisów grobowych, nie dbają wcale o to, co o nich mówią lub marzą. — Nie porusze więc ani ich popiołów, ani ich spoczynku, prowadząc cię przez jałową starożytność dla wyszukania próżnej butelki.

Nie; — zapraszam cię tylko na przechadzkę ze mną pewnego pięknego czerwcowego poranku, — dla obejrzenia szanownych resztek kaukazkiego muru. —

„*Żelazne drzwi* Derbentu, dzisiaj płócienne, otwierają się dla nas, równo ze świtem, i opuszczamy miasto. Moi towarzysze w tej malowniczej podróży, oprócz pana, — kochany pułkowniku, są: Komendant Derbentu, major Sznitników, i jeden kapitan kuryńskiego pułku strzelców, na tém się ogranicza liczba ciekawych Rossjan. —

„Od czasów Piotra Wielkiego, czy wiesz pan, ile razy Rossjanie zwiedzali ten ósmy cud świata, który się nazywa murem kaukazkim.

„Trzy razy; — i jeszcze nie powinienbym mówić, od czasów Piotra Wielkiego, lecz razem z Piotrem Wielkim. —

„Po raz pierwszy Piotr Wielki, w 1722 roku.

„Drugi raz, pułkownik Werkowski, który tak tragicznie zginął z ręki Ammulat-Beja, w roku 1819.

„A trzeci raz my, w 1832 roku.

„Mógłbyś sądzić, że podróż jest trudna, daleka, niebezpieczna.

„Nic z tego wszystkiego, kochany pułkowniku: bądź więc o nas spokojny; potrzeba tylko wziąć dziesięciu Tatarów uzbrojonych, wsiąść na konia z lewej na prawą, albo nawet z prawej na lewą, jak czynią Kalmuki i ruszyć w drogę, jakeśmy to uczynili. —

„Poranek był cudowny, chociaż pokrył nas mgłą jak zasłoną. Aleśmy czuli że ta zasłona podniesie się i pokaże nam świetne oblicze słońca. Kapryśna drożyna wi-

ła się raz na górę, to znów zanurzała się w głębokich zmarszczkach przeżynających zamysłone czoło Kaukazu. — Pochmurne twarze Tatarów z ich ogromnymi popachami (czapkami) bronią błyszczącą od złota i srebra, pięknymi góralskimi konikami, — skały nad naszymi głowami, morze pod stopami, — wszystko to było tak nowe, tak dzikie, tak malownicze, że co moment musieliśmy wstrzymać się, aby uwielbiać, lub podziwiać. — „Komendant z całą słusznością chciał zwiedzać przedewszystkiem ciekawości okolicy. — Zaczęliśmy więc od jaskini, Diwów lub olbrzymów, położonej pięć wiorst od Derbentu, na dnie przepaści, Koń — Kafe, to jest, przepaści Duchów.

„ Nie daleko od wsi Dach — Kessen, wody z gór wyżłobiły drogę, według ich kaprysu: w głębi tej drogi płynie przesłizny strumyczek prowadzący do jaskini, gdzie wyobraźnia górali, umieściła Diwów, to jest, biblijnych olbrzymów, synów urodzonych z ludzi i aniołów. „ Przepaść i łożysko strumyka są jedyną drogą prowadzącą do groty Diwów lub inaczej mówiąc, do grobu Wizyry, pewien wyzyr, jak się zdaje, był tu zabity w czasie napałów perskich. —

„ Szliśmy po kamieniach mchem obrosłych, pod spletem gałęzi, raptem znaleźliśmy się na przeciw groty. Przed Jaskinią strumyk jest szerszy, a ogromny odłam skały, oberwawszy się z wierzchołka góry, jak szyldwach strzeże jej wejścia. —

„ To wejście mogące mieć od piętnastu do ośmnastu stóp szerokości i sześć wysokości, jest szczerńiałe od

dymu. — We środku jaskinia rozszerza się: na zewnątrz jest wyżłobione schronienie dla koni. — Grunt jaskini pokryty kośćmi, — to miejsce będąc przytułkiem zbójców i dzikich zwierząt, — ci goście pozostawiają po sobie prawie zawsze pewną ilość kości w miejscach, gdzie przebywają. — Jeden z naszych Tatarów opowiadał nam, że w przeszłym roku, zabił tu hyenę. — Zresztą jaskinia Diwów, zupełnie zawiodła nasze oczekiwanie; słabi śmiertelnicy nie mogą tu oddychać, tak atmosfera jest dusząca. — Samo wejście zdobne w drzewa, około których wijsię winna latorośl, zasługuje na uwagę, rozerwaną wszystkimi pięknosciami przyrody, jakie się już poprzednio przedstawiały oczom.

„ Szliśmy więc dalej.

„ W bliskości jaskini Diwów i wioski Dgaglani jest grota Emdzekler — Pir, czyli świętych cyczków.

„ Lecz aby tam przybyć, musieliśmy zsiąść z koni, i zchodzić czepiając się krzaków, aż na dno głębokiej doliny, gdzie nam wskazano małe sklepienie, pięć do sześciu stóp średnicy, — z sufitu którego wisiały stalastyty, podobne rzeczywiście do cycków, z końców każdego z nich, ściekały krople wody. — Kobiety okolicznych wiosek cenią wysoko tę wodę. — Gdy karmicielka straci pokarm, udaje się do tej jaskini, zarzyna barana, rozmiesza trochę ziemi z wodą świętych cycków, i wypija takową z zupełnym zaufaniem. Wiara jest tak wielka, że jeżeli nie jest natychmiast uleczona zupełnie, otrzyma zawsze jakąś ulgę.

„ My piliśmy tę wodę ale czystą; pómiędzy wdrapa-

wszy się znowu na wierzchołek skały, skierowaliśmy się ku zachodowi, aby zobaczyć coś przeciwnego, to jest, źródło wytryskujące z ziemi, zamiast spadać z sufitu. —

„Ah! ta woda, mówi nasz przewodnik, podnosząc się na strzemiączkach, i uchylając popacha, orzeźwiła najpotężniejszego z królów, jednego z największych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli, podwójna zaleta, rzadko razem złączona: Padszuch rosyjski Piotr Wielki, pił ją, kiedy wziął Derbent.“ —

„Zeskoczyliśmy z koni, i wypiliśmy z uszanowaniem po wielkiej czarze z tego świętego strumienia.“

„Płynie on zawsze z tegoż samego otworu; lecz od lat stu, nikt się nad jego brzegiem nie nachylił, aby zatrzeć pamięć pierwszego.“

„Zbliżyliśmy się do muru Kaukaskiego, który zaczęła o tę skałę, z której wytryska źródło. — Ciekawem jest porównanie dzieła natury z dziełem sztuki, działanie czasu z pracą ludzką. —

„Walka zniszczenia przeciw materji była widoczną, i czasem zdawała się rozumną; ziarnko jasionu wpadło w szczelinę kamienia, gdzie znalazło troszkę ziemi roślinnej, — i ziarnko puściło kiel, i stało się wielkim drzewem, którego korzenie zdołały rozerwać mur. Wiatr wpadając w rozpoczęte otwory, dokonał reszty, powój tylko litościwy jak śpiewacy i minstrele, którzy zbierali i łączyli szczątki Tassa, — powój tylko sam jeden, podtrzymywał kamienie odpadłe, i łączył odpadające z murem.“

„Ten mur ciągnął się w prostej linii, od twierdzy Narin-Kale, na zachód, nieprzerwany ani w górach ani

nad przepaściami; — nad nim wznosiły się w nierównych odstępach, wieżyczki, także nierównych rozmiarów. — Służyły one zapewne dla głównych wart, przechowywano w nich broń i żywność; dowódcy mieli tam mieszkanie, a w czasie wojny zgromadzano wojsko, które z jednej wieży do drugiej komunikowało z sobą, po nad powierzchnią muru.“

„Ten mur, chociaż oddzielając się od Derbentu, zachowuje tenże sam charakter co i w Derbencie; wysokość jego zmienia się stosownie do powierzchni gruntu, — a przy stromych spadkach, przedstawia się w kształcie schodów. — Środek, a raczej wnętrze muru, jeżeli tak się wyrazić można, składa się z drobnych kamyków spojonych gliną i cementem. Wieże wystają zaledwie jeden arszyn po nad murem.“

Jest to właśnie typ fortec azyatyckich, w sprzeczności z typem fortec gotyckich, na zachodzie, gdzie wieże wznosiły się wysoko po nad szczytami. — Są wewnątrz próżne, i prawie wszystkie poprzecinane podłużnie, strzelnicami; ale co najciekawsza, — co dowodzi wielkiej starożytności tego muru, — jest właśnie to, co Denon spostrzega w piramidach faraonowskich, — i co ja tu spostrzegam; to jest: nie ma tu żadnych arkad. —

„Zwiedziłem wszystkie podziemne przejścia tych wież, prowadzące do źródeł lub do zbiorników; nigdzie nie znalazłem arkady. Mam przekonanie, że budowniczy tego olbrzymiego dzieła, nie znali jej wcale. —

„Teraz, jak przedłużał się mur? w którą stronę był skierowany? dokąd sięgał? czyli ciągnął się dalej po za

resztkami, które dziś jeszcze znajdujemy? Jest to pytanie, które według wszelkiego prawdopodobieństwa na wieki pozostanie bez wyjaśnienia.“ —

To przytoczenie mogło się wydawać za długim, — lecz ono uwalnia nas od opisu wycieczki, którąśmy także z dwoma oficerami i z tłumaczem, do tego miejsca odbyli. — Widzieliśmy wszystko co Bestuzew opisał, doznaliśmy tychże samych wrażeń, ale zapewne nieoddalibyśmy onych tak żywo. —

Na okolo Derbenta jest ogromna ilość nagrobków, z napisami tatarskimi, perskimi i Ormiańskimi; nie niszczą tu nigdy tych pomników, — przechodzą tóż liczbą o dziesięć razy więcej żyjącą dziś ludność w tém mieście. —

D. Powiat Kubiński, górną częścią dotyka prowincji Derbenkiej, *Jeloma* rozdziela one; na zachód graniczy z ziemią Kuryńską i Samurską.; na południe z ostatnimi wysokościami wielkiego łańcucha, i na całej przestrzeni z morzem Kaspijskim. —

Miasto główne *Kuba* nad rzeką *Kubiną*, liczy przeszło 700 domów i odpowiednią ludność. — Różne przejścia tego kraju, stanowiącego od dawna prowincję rosyjską, są takie, jak i innych okolic Dagestanu. Ten powiat jest może najludniejszym; posiada bowiem 292 auly. — Gleba nadzwyczaj żyzna, łąki obfitujące w wyborną paszę. —

E. Powiat Bakiński obejmuje cały przylądek *Apszeroński*, graniczy na zachód od strony stałego lądu, z kubińskim, i z gubernią *Szirczańską*; zresztą ze wszystkich stron otoczony morzem Kaspijskim. — Starożytna i świe-

tna stolica *Baku*, zbudowana nad brzegiem morza, liczy 5000 mieszkańców; odznacza się pięknym położeniem i wybornym klimatem.

Godne zwiedzenia są: Zwaliska dawnego pałacu Szachów; słynna studnia wykuta w skale; na 45 stóp głębokości; — mnóstwo meczetów, datujących od panowania Ottomanów; olbrzymia baszta najstarożytniejszej budowy, przezwana Wieżą panieńską, do której łączy się mnóstwo podań bajecznych; nakoniec ostatki długiego podziemnego muru.

Baku zdobyta przez Piotra Wielkiego w roku 1723 przeszła później wraz z przyległemi prowincjami, pod panowanie *Nadir-Szacha* w 1806 roku odebrana przez generała *Bulhakowa*; — przy oblężeniu Baku, stracił życie, ówczesny głównodowodzący kaukaskim korpusem, książę *Cycyanow*.

Na przylądku *Apszerońskim*, o piętnaście wiorst od Baku, znajduje się ta słynna ziemia wiecznie w ogniu, którego płomienie unoszą w niebiosa modły kilku znajdujących się tam *Guebrow*.

Miejsce poświęcone obrzędowi religijnym, jest znaczna przestrzeń otoczona murem śnieżnej białości, z kąd wznoszą się cztery kominy w kształcie baszt, z nich wysoko wybuchające płomienie przedstawiają cudowny widok. Szczególnie w nocnej porze, kiedy te słupy ognia służą zbłąkanym marynarzom za latarnie, ten widok jest imponujący i magiczny. — Oprócz tych czterech głównych słupów ogniowych zamkniętych w murze, jest mnóstwo innych płomieni palących się na okolo na znaczną odle-

głośność, — do tego stopnia, że czasem zdaje się jakoby cały kraj był w ogniu. — Mylą się w wielu jeografiach, utrzymując, że te ognie pochodzą od nafty (*Oleum Petri*) są raczej skutkiem gazu palnego i bez zapachu wyrwającego się szpazer gruntu wapiennego, i wydającego płomień przy zetknięciu się z ciałem zapalonym.

Ten wielki budynek ma postać świątyni w ogniu, — są tam nędzne cele pozbawione wszelkich ozdób; — i Indyanie, którzy całe życie przepędzają na modlitwie i dobrowolnych umartwieniach. — Ci biedni pustelnicy są resztkami owych dawnych czcicieli ognia, którzy widzieli w swych rękach zamieniające się szlachetne zasady *Zoroastra*, na śmieszne obrzędy i umartwienia przeciwne naturze, napominające pogaństwo. Te chodzące pół nagie szkielety, podobne są do widmów zbrązowanych palącym słońcem; zresztą ci ludzie pędzą życie równie nieużyteczne jak niewinne, — i oprócz siebie samym, nikomu zła nie wyrządzają. —

Czczą nie tylko *Wisnu*, ich głównego boga, ale oprócz tego mnóstwo bałwanów, na podobieństwo ludzi lub zwierząt. — Krowa jest u nich w wielkiem poszanowaniu, ktokolwiekby ją zabił, byłby uważany za największego zbrodniarza. —

Kapłani biorą krowią urynę zamiast wody święconej. — Nabożeństwo jest zastosowane do wschodu i zachodu słońca. Modlą się zwykle oddzielnie, bo często dzielą ich rozmaite niezgody i nieporozumienia. — Często także, zwłaszcza w święta uroczyste, zbierają się u przelożonego, — gdzie zaprzestając na chwilę kłótni, odmawiają modlitwy razem. —

Nabożeństwo rozpoczyna się długim dzwonieniem; przez ten czas, przelożony przygotowuje święconą wodę, (jak się wyżej rzekło,) następnie z wielkiej konchy przelewa ją w srebrne naczynie. Całe zebranie modli się głośno i z namaszczeniem, gestikulują ciągle i biją częste pokłony. Po skończeniu modlitwy, padają wszyscy na ziemię, i wtedy przelożony kropi ich tą niby święconą wodą, oprócz tego wlewa im onęj w rękę po kilka kropel; podczas tego obrzędu jeden z Indian, dmie w ogromną konchę, która wydaje ogłaszające dźwięki . . . i na tém kończy się całe nabożeństwo.

F. *Powiat Szirwański*, graniczy na północ z wielkim łańcuchem gór, oddzielającym Szirwan od Kuby; na wschód z Baku i morzem Kaspijskim; na zachód, z Szeki; na południe z Kurem, który znowu dzieli Szirwan od Karabachu i Talichachu, pod względem żyzności, Szirwan może porównać się z krajami najlepiej uposażonymi na kuli ziemskiej, posiada wielką obfitość wina i jedwabiu, które są głównymi przedmiotami handlu. —

Główne miasto, *Szemača*, posiada wielki bazar i znamenite starożytne meczety; — od czasów Jermołowa bardzo upiększona spacerami i nowemi zabudowaniami. Odznaczają się szczególniej fabryki jedwabne, których jest około dwóch set. —

Szemača była po kilka razy zniszczona; raz w końcu XIV wieku przez tureckiego sultana *Bajazeta*, w ostatnim stuleciu przez okrutnego *Nadir-Szacha*, który na całym Kaukazie pozostawił, dotąd widoczne ślady zniszczenia.



Tatarzy z Sekty Szytów, składają całą prawie ludność; jednak spotkać można Ormian i Persów. — Szemacha liczy 2250 domów, a ludności około 7000. — *Stara Szemacha* o piętnaście wiorst od *Nowej Szemachy*, miasteczka bez znaczenia, nad *Ak-Su*, (biała rzeka.)

Pomiędzy aulami Szirwanu, których jest 388, godzien uwagi; *Salian*, a to z powodu obfitości ryb i cudownych ogrodów. — Zajmuje on znaczną przestrzeń nad brzegiem rzeki Kuru, przedstawia widok zachwycający. —

Winne latorośle w ogrodach *Salianu*, dochodzą do olbrzymich rozmiarów; — obfituje także w wyborne melony i owoce.

Rybolówstwo wydzierzawia się więcej jak za 20,000 dukatów. Zresztą, *Salian* jest najniezdrowszym miejscem na Kaukazie.

*G. Chaństco Talichahskie*, graniczy na północ z Szirwanem; na południo-zachód z Persją i Karabachem, na wschód, z morzem Kaspijskim. —

Główne miasto, dobrze obwarowane, *Lenkoran*; położone nad morzem, pod względem architektury, podobne do innych miast nadkaspjskich, liczy 3000 mieszkańców.

Aulów 235.

*H. Powiat Karabachski*, oddzielony przez Araksę od Persyi i Talichachu, — przez Kur, — od Szirwanu i Szeki; — na zachód graniczy z *Elisabetpołem* i *Nachiczewanem*, — 60,000 mieszkańców,  $\frac{1}{2}$  Ormian,  $\frac{2}{3}$  Tatarów. —

Ormianie trudnią się handlem, — Tatarzy chowem bydła i jedwabników. — Konie Karabachskie odznaczają

się na całym Kaukazie, pięknym składem, czystością krwi, lekkością i silną budową. —

Główne miasto, Szusza, — 6000 mieszkańców. —

Dawniej, Karabach przechodził z kolei, pod panowanie Ormian, Turków i Persów; w roku 1805, kiedy książę Cycyanów dowodził kaukaskim korpusem, — Karabach, rządzony naówczas przez *Ibrahima Chana*, już był podległy Rosyi; później powrócił do Persów, lecz od 1822 roku po ucieczce swego ostatniego władcy, *Mechti-Kuli-Chana*, syna *Ibrahima Chana*, został zupełnie wcielony do Rosyi. —

*I. Powiat Szeki*, graniczy na północ, z wielkim łańcuchem kaukaskim, na zachód z Elisujem i Khandzagiem, (Elisabetpoł), na południo-zachód, rzeka Kur, oddziela go od Karabachu, — 55,000 mieszkańców, z których 9000 Ormianów. — Główne miasto, *Nucha*, 8000 mieszkańców.

*K. Powiat Kandzagski czyli Elisabetpolski*, — graniczy na południo-zachód z gałęzią gór armeńskich, oddzielających go od Eriwanu, na zachód, dotyka powiatów: Aleksandropolskiego i Tifliskiego, na południe Kachetyńskiego i części okręgu Bielokańskiego. —

Główne miasto, Elisabetpoł (Kandzag), 8000 mieszkańców,  $\frac{2}{3}$  Tatarów i  $\frac{1}{3}$  Ormianów, — przy każdym domu ogród; produkuje: jedwab', wełnę, sukna itp. Dawna warownia, nowy i piękny bazar, jako też meczet wybudowany w końcu XVI stulecia przez szacha *Abbas*a, są godne widzenia.

*L. Powiat Aleksandropolski*, utworzony z powiatów,

*Bambak i Charagel*, należy do gubernji Gruzjijsko-Imerytyjskiej. — Graniczy na zachód z prowincjami tureckimi; na północ i na wschód z paszalykiem Achalcyjskim przez gminy Borczali i Kazaki, na południe z Armenią rossyjską. —

Główne miasto Aleksandropol, — od czasu, jak należy do Rossji upiększone mnóstwem pomników. —

*M. Nogajcy i Karaczency*. Kończąc naszą historję Czerkiesów i Tatarów rasy tureckiej, wspomniemy jeszcze o Nogajcach i Karaczewach; — pierwsi zamieszkują między rzekami: Kubań, i Laba; ostatni zaś, przy źródłach Kubani, —

Nogajcy dzielą się: na Nogajców-Mansurów i Nogajców-Nawrusów, lub Naurusów. Biorą swój początek od sławnych hord koczujących, *Isulisan, Indiszkul, Dżambolik i Akiermân*.

### Ormianie.

Persowie podbiwszy Armenję, — wprowadzili przesładowanie religijne do tego stopnia, że w II i VI stuleciach, spowodowali liczne wychodźstwa. —

W 1262. roku, gdy hordy mongolsko-tatarskie, jak niszczący strumień, zalały żyzne równiny *Araratu*, mnóstwo Ormianów przesiedliło się do *Astrachani* i *Kazania*.

Chociaż później Tatarów wypędzono, nie chcieli wracać do ojczyzny; — Car Iwan Wasilewicz groźny, w roku 1554 dozwolił im wolnego handlu z Moskwą, i upoważnił do budowania składów w tém mieście. — Ważność

i rozciągłość ich przywilejów wzrosły z ich bogactwami. — Pod panowaniem Cara Alexieja Michajłowicza w 1667 roku, spotykamy już obszerne Ormiańskie zakłady i magazyny w Kazania i Moskwie; od owego czasu Ormianie pozostają w ciągłych stosunkach z handlowym światem. Za panowania Piotra Wielkiego, który starał się wszelkimi środkami, aby handel kwitnął, otrzymali kensens na składy w całej Rossyi, — a przywileje te, przez Pawła 1<sup>o</sup> i jego następców zostały jeszcze powiększone. — Takim to sposobem, Ormianie rozprzestrzegli swój handel po całym Cesarstwie, a w niektórych prowincjach całkiem nim owhadnęli. —

Na rynkach: w Moskwie i Petersburgu, — na Markarjewskich jarmarkach w Niżnim Nowgorodzie, — widzimy całe karawany, złożone z Ormian; Astruchańskich, Krymskich, Kizlarskich, Morzdokskich, Derbenekich, Tifliskich itd:

Chociaż większa część z nich zachowała wiarę, obyczaje i ubiór przodków — czas i ciągły ich stosunek z europejczykami sprawiły, że zaczynają tracić właściwy charakter. — Wiele bogatszych rodzin przyjęło zupełnie obyczaje i zwyczaje rossyjskie; — ażeby lepiej naśladować tegoczesnych Rossyjan, porzucili swój malowniczy narodowy ubiór i przyjęli mody francuzkie, które ich szpecą. —

Ormianin obdarzony rozumem spekulacyjnym, i równie zręczny jak przebiegły, w każdym położeniu da sobie radę. —

W swoim kraju uprawia rolę, w Rossji i innych państwach jest kupcem; w prowincjach Kaspjskich wy-

chowuje jedwabników, a w stopach Kirgiskich i Kalmuckich, jest koczującym . . . —

Ludność ich w posiadłościach rosyjskich jest: 400,000.

*Powiat Erywański* liczy przeszło pięćset wiosek, i 80,000 mieszkańców. Prawie połowa ludności składa się z Kyzilbaszi, to jest głów czerwonych, — pokoleń tureckich, mających zwyczaj farbować brodę *chug*, dającą kolor czerwony. — Języki są: turecko-tatarski i ormiański. —

Główne miasto, *Erywań*, położone nad *Zenghi*, w wielkiej równinie *Araksy*; według podania wybudowane w pierwszym stuleciu naszej ery, — i nazwane imieniem uzurpatora Erowanta II. — 8,000 mieszkańców.

Z dawnych pomników są: zwaliska dawnego palacu władców Armenji, i zadziwiającej piękności meczet. —

W bliskości *Erywanu* znajduje się słynny klasztor *Eczmiadziński*, mieszkanie patriarchy (*Catholicos*) i siedlisko synodu.

*Powiat Nachiczewański* liczy 194 wiosek i 20,000 mieszkańców, z których  $\frac{2}{3}$  Turków, sekty szyitów, graniczy na wschód z Karabachem, i na południo-zachód przedzielony Araksą od Persji. —

Główne miasto *Nachiczewan*, w polowie takie jak *Erywan*. — Nazwisko jego znaczy; *spoczynek Noego*, pokazują tam grób jego po potopie.

*Paszalik Achalcycki* graniczy na północ z Kartalją i Imeretją, od których przedziela go wysoki łańcuch gór lesistych; — na wschód ostatnie bezpłodne góry Kartali, oddzielają go również od części okręgu *Borcza*, — nazywanego dawniej *Samkheti* lub *Trialeti*; na

zachód i południe, góry Achalcyku odosobniają go od Gurji i prowincyj tureckich.

Jak tylko możemy zasięgnąć podań historycznych, Achalcyk zawsze był zamieszkały przez Gruzinów. Pomimo rewolucyj i zamieszek, których od najdawniejszych czasów ten paszalik był ciągłą widownią, pomimo ni-szczęcych napadów Turków, Persów i Tatarów, obyczaje gruzińskie utrzymały się aż do ostatniej emigracji Turków.

Większa część mieszkańców, wyznających islamizm, są pochodzenia Kartwelskiego, jak tego dowodzą, ich język, rysy twarzy i podania ludowe.

W pierwszym wieku naszej ery, górna część Achalcyka, obejmująca wyższą dolinę Kury i *Pos-kho*, znaną w starych kronikach pod nazwiskiem *Semo-Karthli*, była zdobytą przez *Erowanta*, króla małej Armenji, i przyłączona do jego posiadłości. Dopiero pod panowaniem Dawida III ta prowincja powróconą była Gruzji.

W czasie krwawych wojen Persów z Turkami, od 1553 do 1580, wynikłych z szizmy szyitów i sunnitów; — kraj przedstawiał widownią okropnego zniszczenia; — a będąc kilkakrotnie zawojowany i opuszczony, w skutek traktatu z 1587 roku, i na pewien czas; należał do Porty. — Podzielono prowincje na Sandżaki, pod zarządem trójbuńczucznej paszy pod władzą turecką. —

Odtąd nikt nie zaprzeczał Turkom spokojnego posiadania paszalyka, aż do roku 1829, w którym traktat Adryanopolski odstąpił Rosji na własność, paszalik Achalcycki. —

Rozmaite ludy zamieszkujące paszalik są: *Ormianie*,

*Gruzini*, (mahometanie i chrześcianie) *Greki*, *Karakalpaki*, *Kurdy*, *Żydy* i *Cyganie*.

*A. Ormianie*. Większa część urodzonych w kraju są chrześcianie; odznaczają się od emigrantów erzerumskich t $\acute{e}$ m, że lepiej mówią po tatarsku i gruzyjsku, aniżeli po ormiańsku. —

Pomimo wad wynikłych ze zwyczaju handlowania *wszystki $\acute{e}$ m*, i poddaństwa tureckiego, Ormianie są zawsze najwięcej oświeceni, najczyniejsi, i najwyżej ucywilizowani, ze wszystkich mieszkańców Paszalyka. —

*B. Gruzini*. Jest rzeczą zadziwiającą, że wówczas kiedy Ormianom i Grekom dozwolono wyznawać ich wiare, Turcy w najokropniejszy sposób męczyli Gruzinów, aby ich zmusić do przyjęcia islamizmu. — Chociaż zmienili religię, zachowują wiernie zwyczaje przodków swoich, i gdyby nie strój, nicz $\acute{e}$ m nie różniliby się od swych braci Kartalińców.

*C. Greki*, stanowią najmniejszą część ludności, składającą się najwyżej z pięćdziesięciu rodzin, są Grekami tylko z nazwiska, zapomnieli bowiem zupełnie swój język i pierwotne obyczaje, a przyswoili sobie takowe od Turków i Ormianów. — Są przebiegli, wiarołomni i nieokrzesani. —

*D. Karakalpaki*, tak nazwani od wysokich czapek z czarnego barana. — *Kara*, znany w języku turkomańskim, czarny, *kalpak*, czapka. —

Karakalpaki byli koczującymi; — wyemigrowawszy z okr $\acute{e}$ gów, *Borczałi* i *Szamchalskiego*, w końcu ostatniego stulecia, Pasza dał im ziemię bez żadnej opłaty;

pod warunkiem, że na każde jego zawołanie, staną uzbrojeni. — Lubią zbytek w koniach i broni; stanowili niegdys najlepszą w Paszalyku kawaleryą, a Pasza wysoko ich cenil, za zręczność i nadzwyczajną waleczność. —

*Jemirasany* składali inne plemie Karakalpaków. Chociaż jednego pochodzenia, ich zwyczaje są całkiem różne; osiedlili się w Paszalyku, o wiele wprzód, aniżeli tanci. —

Zachowali rodzaj życia dawnych plemion koczujących. Większa część z pomiędzy nich osiedlili się na lewym brzegu Kuru, w dolinach i otworach wąwozów Sandzaku *Chertwis*. Corocznie w początku maja, opuszczają biędne zimowe mieszkania, gromadzą się około swych *aksakalis*, (siwobrody), i pędzą stada w góry, gdzie pozostają całe lato. Wracają ztamtąd do swych brudnych sakli, w końcu września. —

*E. Kurdy* dzielą się na dwa odrębne pokolenia, z których jedno przyjęło islamizm, a drugie wiare ormiańską. —

Kurdowie, Ormianie odznaczają się korzystnie wykwintnemi kształtami, od swych braci Muzulmanów, otyłych. —

Ich zręczność w robieniu bronią i ujeżdżaniu koni, skłonność do rabunku i szczerza gościnność, są znane. —

*F. Żydzi*, Paszalyka, z wyjątkiem stroju i języka, nicz $\acute{e}$ m się nie różnią od niższej klasy żydów europejskich.

*G. Cyganie*, lub *Bochi*, są tu również przebiegli, również nieprzyjaciolmi pracy, i złodzieje, — jak ci co

przebiegają nasze okolice. — Żyją rozrzuceni po wsiach Sandżaku *Atschuér*, przyjęli wiarę ormiańską, mówią zepsutém narzeczem ormiańskiem. —

*Achalcyk*, stolica kraju położona pod kątem sfornowanym przez rzekę *Potcho*, — *Kaja-Dagh*, i góry *Persaatu*; szkaradne domy, przylepione jedne na drugich, rozciągają się na przestrzeni trzech wiorst. —

Miasto podzielone na trzy cyrkule: forteczny, — starego miasta i nowego miasta, przez który przepływa *Potcho*. —

Turcy nazwali twierdzę, *Achisscha-Kalessi*; Gruzini zatrzymali dawną nazwę, *Alhale-Zikhe*, (to jest nowy port), z kąd prowincye i miasto biorą nazwisko. — Budowę fortyfikacyj, jak również wszystkich pomników krajowych, przypisują poddanym królowej *Tamary*. Z tych co znajdują się w mieście, najbardziej odznacza się meczet, na nieszczęście, prawie już w zwaliskach; — sądzą że był zbudowany przez tureckiego paszę *Achmeda*, który rządził Achalcykem, w początkach XVIII wieku.

Wspomniemy jeszcze o łaźni tureckiej, nędznej powierzchni, położonej w bliskości warowni; tudzież o kościołach, których jest sześć, — jeden gruzyjski, jeden katolicki, trzy ormiańskie, i jeden kahal żydowski z synagogą. — Bazar dawniej sławiony, dziś znajduje się w mizernym stanie. —

Ludność jest w ogóle ormiańska; wyszła z Erzerumu, i osiedliła się w Achalcyku w czasie, kiedy takowy Turcy opuścili. — Liczy 12,000 mieszkańców, krajowcy składają zaledwie  $\frac{1}{3}$  część. Handel jest w ręku Ormianów;

niektórzy są zręcznymi rekodzielnikami; narzędzia żelazne, stalowe i wszelkie wyroby metalowe są bardzo cenione i exportowane w dalekie kraje. Puszkarze zasługują na szczególną uwagę. — Znaczniejsze miasteczka, dobrze uzbrojone i zamieszkałe w znacznej części przez Ormianów, są: *Akhalkalaki*, *Aspinsa* i *Chertwis*.

#### *Linijowe Kozaki.*

Jest ich na Kaukazie, zdolnych do boju, przeszło 12,000, z których zwykle połowa jest w polu, a reszta pozostaje jako rezerwa. — Zamieszkują ze swemi rodzinami stаницe (wioski), uzbrojone jak anły góralskie i otoczone fossami i wałami. — Ta ludność dzieli się na dziewięć pułków, z których każdy nosi nazwę, od rzeki oblewającej stаницę, od okolicznego strumienia, lub środkowego punktu kolonij. —

Na lewem skrzydle są pułki następujące:

1. Pułk kozaków kizlarskich, tak nazwanych od miasta tegoż imienia, położonego na lewym brzegu Tereku. —
2. Pułk Semeński, zamieszkujący stаницę: Borodinskaja, Dubowskaja i Kargalińskaja. —
3. Pułk Grebeński, w stаницach: Kurdukowskaja, Starogladowskaja, Nowogladowskaja, Szczedryńskaja i Czerwlonnaja. —
4. Pułk Mozdokski, w stаницach: Kalinowskaja, Mekenskaja, Naurskaja, Iszczorskaja, Kalugajewskaja i Stoderewskaja. —
5. Milicja górna Mozdokska.
6. Pułk Wołgski, stаницę: Ekaterinogradskaja, Pa-

włowska, Marjewska, Georgiewska i Aleksandrowska.

Na prawém skrzydle linii kaukaskiej, na prawym brzegu Kubani są:

1. Pułk Kubaiski, — stacje: Worowskoleska, Procznokopska, Tiemnoleska, Gregoriopolska, Temiszbergaska, Kawkazka.

2. Pułk Kaukazki, stacje: Kazańska, Tifliska, Ladońska, Ust-Labińska, Woroneńska. —

3. Choperski, czytaj Chapiorski pułk w stanicach: Donska, Moskowska, Stawropolska i Siewiernaja. —

#### *Wojna święta, początek muridizmu.*

Powiedzieliśmy na wstępie, że plemiona kaukazkie nigdy nie były ze sobą w zgodzie, — że nawet do dziś dnia napadają i mordują się wzajemnie; — dla tego też niektórzy z duchownych starali się wynaleść silną dźwignię do połączenia tych ludów, — i dzięki ówczesnym wypadkom, znaleźli czego długo napróżno szukali. —

Odszczepieństwo Szytów i Sunnitów, było głównym powodem rozdrożeń głęboko między plemionami zakorzenionych. — Skutek vendetty, uświęconej przez czas i zwyczaj, był drugim, prawie równie silnym; — nowa tylko wiara mogła być zdolną do wytepienia tej zastarzałej wady, która zamieniła się już w wiarę ludową. —

Ta odmienna zazdrość religijna i to prawo zemsty niszczącej, kosztowało te ludy daleko więcej krwi, — aniżeli kiedykolwiek mogli jej przelać, walcząc przeciw obcemu wrogowi. —

Pierwszym obowiązkiem nowej wiary, opierającej się

na Koranie, i będącej wyjaśnieniem dawnych dogmatów, była dążność do pogodzenia wszystkich Muzułmanów i wykorzenienia vendetty. —

Lecz naród nie zmienia wiary, jak ubrania, — i samo przekonywanie nie zmusi go do wyrzeczenia się zwyczajów i obyczajów, które w ciągu wielu wieków uważał za święte. —

Potrzeba było tym ludom wyższego objawienia, aby przyjęły nową wiarę; — duchowni więc opowiadając ewangelję, zmuszeni byli przyjąć rolę pośredników w tém objawieniu. —

Tłumy nie uwierzyłyby *ludziom*, ale nie mogły nie wierzyć *Bogu*; duchowni, jako stojący pomiędzy Bogiem a ludem, obowiązani byli zakommunikować mu własne przekonania, lepsze aniżeli wola Boska. —

Przeprowadzenie podobnego zamiaru, nie przyszłoby do skutku, gdyby sami duchowni nie przejęli się temi zasadami, gdyby nie uważali się za rzeczywistych wysłańców Boga, i w swém uniesieniu nie czerpali odwagi do poświęcenia mu majątku i życia. — Mimo to, nawrócenie z trudnością by się powiodło, gdyby nowa doktryna nie była rzeczywiście więcej czysta i promieniejąca, aniżeli dawna, — i gdyby istotnie nie była naznaczona cechą postępu. —

Pierwsi duchowni, którzy publicznie, z Koranem w ręku, opowiadali reformę islamizmu w Dagestanie, — celem przytłumienia ducha zemsty, i pogodzenia wszystkich sekt, — byli: *Mulla-Muhammed* w *Jarachu*, na

ziemi Kuryńskiej i *Hadis-Ismail z Kurdomira*, w prowincji Szirwańskiej. —

Ta doktryna jest oczywiście tylko sufizmem, zastosowanym do chwili i okoliczności, — jej zadaniem było usmierzyć wszystkie domowe lub religijne niezgody, i wykorzenić obrzydliwe prawo, obrażające naturę, prawo zemsty, oraz połączyć ludy i dać inny kierunek ich działalności. —

Jako dowód tego przypuszczenia, przytoczymy tu ustęp z raportu do rządu rosyjskiego, w którym piszący przedstawia całą ważność, jaką przybiera w Dagestanie, zwrot interesów religijnych. —

„Filozofowie Dagestanu, przypuszczają w człowieku trzy żywioły zupełnie różne, — fizyczny, — intelektualny i moralny. —

„Z tych trzech żywiołów, które skupiając wszystkie siły, mają też samą rozciągłość, żywioł fizyczny trzyma ostatnie miejsce; — jednakże, gdyby dwa drugie, intelektualny i moralny, w skutek niedbalstwa rozprzegły się, mógłby wziąć górę nad nimi. — Lecz w skutek naszej wrodzonej niedoskonałości, wypada, że żywioł fizyczny za często nami rządzi. — Ludzie, aby zaradzić tym zgubnym następstwom, postanowili poddać go pewnym prawom, ustanowionym przez najlepszych i najmędrszych, aby władzę onego zamknąć w użytecznych granicach, i zasłonić się przeciw nadużyciom z jego strony. — Ten zbiór praw nazywa się u Muzułmanów *Scaryat*.

„Po żywiole fizycznym, następuje żywioł intelektualny, rozbudza i żywi ducha, rozum i inne zalety ludzkie od

nich pochodzące. Lecz i on potrzebuje hamulca i umiarkowania, jeżeli człowiek chce uniknąć jego ucisku; dla tego też Muzułmanie ograniczają go inną księgą, nazwaną w świętym języku, *Maarifat*.

„Nakoniec, żywioł moralny, ostatni i najwyższy z trzech, uczy zwalczać namiętności i panować nad niemi; prowadzi człowieka, oczyszczając go i uszlachetniając, do jego wysokiego przeznaczenia. Księgę mieszczącą w sobie wszystko, co może wyegzaltować nasze uczucia, uświęcić nasze myśli, rozprzestrzenić pojęcie o Tym, który rządzi wszystkiem; jednem słowem, drogę do doskonałości; Muzułmanie nazywają *Tarikat*.”

Rozmaite tłumaczenia dogmatów proroków, przez muzułmańskich filozofów, dają początek zawczasu, — jakto niewątpliwie zdarza się z każdą nową religią, — sektom, lub szkołom zupełnie przeciwnym sobie. — Duchowni, chełwi władzy nie opuścili tej zrzeczności, jak się tego można było domysleć, aby wiarę Mahometa, zużytkować na korzyść *własnych* zamiarów politycznych. — Ten wpływ polityczny skierował się szczególnie na wyjaśnienie moralności, czyli *Tarikatu*; — który, chociaż w gruncie zawiera tylko przepisy Koranu, przyjął inną formę, i zjednał sobie wartość i władzę. —

Naczelnicy przyjęli nazwę *Murszidów*, a adepci Muridów. —

Mulla-Muhammed, w początkach był oddany tylko religii, lecz cel jego dążeń stawał się coraz bardziej świeckim, a to w miarę tego, jak jego świecka władza zaczęła wzrastać. — Tak samo stało się z jego następcami;

Kazi-Mulla, Hamsat-Bekiem i Szanylem, których pojęcia religijne wyrodziły się w intrygi polityczne. —

Kazi-Mulla był najgorliwszym stronnikiem Mulli-Mahommeda, powróciwszy do Gimrów, nie szczędził ani trudów ani zabiegów, ażeby nową naukę wprowadzić między swoich współziomków; — perorował w tłumach, ciągle go otaczających, rozsyłał odezwy do Mullów. — Jedną z tych odezów mieliśmy w ręku, — kończy się tak: „Żydzi, chrześcijanie, czciciele ognia i wiele innych ludów zamieszkujących tę ziemię, wszyscy mają własną religię, którą czczą, wszyscy mają prawa, które szanują. — My jedni nie mamy ani religii ani praw, a raczej zbywa nam na obojgu, bo ich nie mamy. Chrześcijanie mają ewangelję, Żydzi Talmud, a my mamy Koran i święty Szaryat; ale ku naszemu wstydnemu przyznajmy się, że nie znamy ani jednego ani drugiego. — W ogóle ludy Dagestanu, do których i wy należycie, oddają się zepsuciu, oszustwu, złodziejstwu, kłamstwu i pijaństwu.“

Zakres tej książki niepozwala przytaczać wszystkich mów, lub listów i odezów, — ograniczę się w ciągu tego opowiadania, na przytoczeniu tych, co odznaczają się zwiększonością, lub szczególnym charakterem.

Kazi-Mulla, któremu Chamsat-Bek i Szanyl dzielnie w jego propagandzie dopomagali; był uważany przez znaczną część ludów, jako posłaniec Boży, a reputacya jego tak dalece wzrosła, że w 1829 roku, stary Szamchal Mechti-Tarkowski, — jenerał-lejtnant rosyjskiej służby, posłał do niego z prośbą, aby swemi naukami zechciał poprawić jego poddanych, oddanych zupełnemu zepsuciu,

Kazi-Mulla przybył natychmiast do Paraulu, rezydencji Szamchala, — a po długiej konferencji otrzymał upoważnienie do wprowadzenia nowych dogmatów.

Pomimo wielką liczbę stronników, jakich sobie wszędzie pozyskał, — mnóstwo nieprzyjaciół, najwięcej Mullów, powstało przeciw niemu. Oburzali się na niego, że według swjej woli tłómaczył Koran, lub też absolutnie pierwotny tekst zwiększał własnymi dodatkami; dla tego też ogłosili go za bluźniercę i starali się zbuntować lud przeciw niemu. Głównie w aulach: Erpeli i Karanaj, niezadowolenie wzrastało. — Kazi-Mulla dowiedziawszy się o tém, pospieszył tam ze swemi stronnikami, i w części wymową, a więcej siłą uspokoił wzburzone umysły. — Aby sobie na przyszłość zapewnić ich wierność, wybrał znaczną liczbę zakładników (amanat), i odesłał ich do Gimrów, jako w miejsce pewne. —

Sahid-Effendi, najstarszy wiekiem i najmędrszy *Alim* w całym Dagestanie, nauczyciel Kazi-Mully, żył naówczas i mieszkał w aule Arakan, — Rosyanie i górale zarówno szanowali tego starca. — Po ścisłym zbadaniu, Sahid-Effendi odrzucił naukę nowego proroka, a gdy o tém lud się dowiedział, usiłowania Kazi-Mully i jego adeptów stawały się bezskuteczne. —

Wiedział on dobrze, jak silny wpływ wywierał mądry starzec na wszystkich co go otaczali, zaczął więc szukać środków, aby go uczynić nieszkodliwym. —

Pewnej nocy, wpada ze swemi stronnikami do mieszkania swego szanownego nauczyciela; — a zaledwie Sahid-Effendi zdołał uciec, już płomienie pochłonięły jego



dom; wszystkie pisma, owoc doświadczenia całego życia, nagromadzone z wielkim staraniem zginęły w tym pożarze. Ocalił tylko własne życie i schronił się do Arslan-Chana.

Tym sposobem pozbywszy się Sahid-Effendi, — Kazi-Mulla nie miał już ani współzawodnika, ani przeciwnika; i mógł śmiało zająć się propagandą.

Mieszkańcom Arakanu stawiając za przykład Sahida, zagroził mieczem i ogniem, gdyby nie przyjęli jego nowej nauki; — musieli więc przyłączyć się do Kazi-Mully, który nie zadawał im się ich przysięgą, wziął im trzydziestu zakładników, jako gwarancję ich wierności.

Przebywszy dwadzieścia jeden dni w Arakanie, nowy prorok skierował się ze swemi adeptami, ku Uncukulowi, — ztamąd do aulów Kojsubulińskich, dokąd jego ewangelia jeszcze nie przeniknęła. — Wszędzie mu się powiodło; — bo gdzie słowa i łagodność nie działały, groźba i kara czyniły wszystko. — Jego regularny pochód przybierał coraz więcej wojowniczy charakter.

Jak tylko Kazi-Mulla miał najniejszą wątpliwość co do wierności nowo-nawróconych, brał natychmiast pełną liczbę zakładników.

Już większa część Dagestanu przysięgła mu wierność; Gumbetowcy, Andyjcy i Awarcy połączyli się z nim; — dopiero w Chunzachu, — stolicy Chanów Awarskich, a poprzednio jeszcze w aulu Achalczy, gdzie mieszkała na ówczas władczyni kraju, chanowa Pachu-Biké, matka młodego Abu-Nunzal, Chana Awarji; jego bandy doznały oporu.

Chanowa Pachu-Biké kazała powiedzieć Kazi-Mulle, aby natychmiast wynosił się po za granice jej kraju; — Kazi-Mulla nie usłuchał tego rozkazu, lecz na czele 8,000 oddziału wkroczył do Chunzachu w 1830 roku.

Lud Chunzacki z nienacka napadnięty przez muridów, nie mając energicznego naczelnika, a obawiając się zbyt młodości Chana-Abu-Nunzal, chciał się poddać bez oporu. — Chanowa Pachu-Biké rozgniewana, chwyciła za szaszki i rzekła: „Idźcie do domów, mieszkańcy Chunzachu, i oddajcie żonom wasze szaszki; — dla was broń nie przystoi!“ Zawstydzeni i ożywieni przykładem swego pana, biegną do walki, rzucają się z wściekłością na nieprzyjaciela, który wkrótce widzi się zmuszonym ustąpić liczbie i męztwu nacierających.

Młody Chan Abu-Nunzal odznaczył się w tej bitwie i ranił w głowę Kazi-Mulle.

Cesarz Mikołaj w nagrodę za wierność, posłał Chanowej i jej synowi, kosztowne podarunki, a mieszkańcom Chunzachu honorowy sztandar. —

Po porażce w Chunzachu *Kazi-Mulla* stracił wiele w opinii ludu; starał się ubarwić ten nieszczęśliwy wypadek, zwalając winę na swych stronników, mówiąc, że nie mieli dostatecznej wiary, że się bali śmierci. Pomimo to, kilka pokoleń opuściło go, — a on nie mógł im tego zabronić.

Gdy w tym samym roku, generał lejtnant baron Rozen, przybył z oddziałem pod Gimry, — najznakomitsi i najstarsi wiekiem, mieszkańcy kojsubulińcy, wyszli na jego spotkanie, i w imieniu całej ludności wykonali przysięgę na wierność Rosji.

Jeneral zdziwiony tym krokiem, uważał za zbyt czcne osadzać wojskowym garnizonem Ginary, — i cofnął się ze swym oddziałem.

Kazi-Mulla znając łatwowierność górali, umiał tę okoliczność obrócić na swoją korzyść. —

Zebrał Mullów i starców kajsobulińskich aulów, i dowodził im, że w tych wypadkach jest widocznie palec boży, że to Bóg tak wszystkim kierował. — Że chociaż bramy Ginarów bez wystrzału i dobrowolnie były im otwarte, Rossjanie nie śmieli takowych przekroczyć; ponieważ Allah osłupił ich i niedozwolił im rozpoznać ich własnych korzyści, jak również nie dopuścił, aby w jego oczach zabijali wiernych, i wyraził się przez usta proroka: „pobije ich przez osłupienie!”

Przekonany o głębokim wrażeniu, jakie sprawią te słowa na jego zmiennych słuchaczach, — Kazi-Mulla, spróbował również za pomocą Allacha wytłómaczyć na swoje korzyść porażkę pod Chunzachem. —

„Czyż zapominacie, niewierni, ciągnął dalej, że Ten co niegdyś przeciągnął księżyc rozdzielony na dwie połowy, przez rękaw od sukni swego proroka\*), dokonywa i dziś jeszcze wielkich rzeczy na korzyść tych, co mu ufają? — Lecz karci tchórzliwość i odwraca swe oblicze od tych, co wątpią; — dla tego też szaszka kobiety zmusiła was do ucieczki, i uczyniła pośmiewiskiem chunzackiego ludu! — Ten co widzi plecy swego wroga, wznosi się o jeden stopień ku niebu; ten co swe plecy

\*) Był to jeden z cudów okazywanych przez Machometa.

pokaże, ściąga na siebie pogardę wybranych. — I dla czegoż mielibyście uciekać? czyliż przez bojaźń śmierci? śmierć jest straszna tylko dla niewierzących i dla tchórzów, — mężnym i wierzącym daje wieczny przepych i światłość! Oto są słowa Allacha, przesłane wam przez jego proroka: jeżeli wierzycie w niego, jak wytłómaczyć waszą trwożliwość? Siła jest konieczną towarzyszką zwycięstwa, — lecz tam, gdzie panuje wiara, tam mieszka siła!”

Uczony Kazi-Mulla, znając gruntownie sprężyny serca ludzkiego, — podobnemi mowami zjednał sobie zaufanie ludu, do tego stopnia, że pokolenia, które go odstąpiły, powróciły do niego.

Wkrótce powołał wszystkich swych stronników na wielkie zgromadzenie w lasach Tszunkeschanu, na ziemi Szanchala.

Tu już rzeczy zaczęły przybierać obrót niepokojący; wysłano na ich spotkanie jenerała księcia Bekowicza z oddziałem, aby przeszkodzić planom Kazi-Mully, — lecz po krwawej bitwie, ulegając nierównemu siłom, wojska zmuszone były odstąpić.

To powodzenie wzmocniło znacznie rodzące się zaufanie muridów, a ich dowódca umiał korzystać z tego szczęśliwego usposobienia.

### Bitwa pod twierdzą Burnaja.

Na wierzchołku góry, na której pochyłości zbudowane miasto Tarku, błędnie nazywane *Tarki*, — jenerał Jermolów wznosił fortecę dominującą morze i równinę i nazwał ją Burnaja; — z powodu ciągłych burz i uraganów huczących na tej wysokości, i często czyniących wielkie szkody. Od dawna Kazi-Mulla czychał na tę fortecę, zdającą się nie do wzięcia; — zdobycie jej i miasta Tarku, było najżywszym jego życzeniem; miał zamiar ovladnąć następnie Derbentem i stać się panem całego brzegu morza Kaspijskiego. —

W połowie kwadry księżyca, w miesiącu maja 1831 roku, murszid przedsięwziął pamiętną wyprawę przeciw Tarku. — W niewielkiej odległości od miasta, bo zaledwie o 40 wiorst, Kazi-Mulla odbył zaciętą walkę w wąwozie Atli-Bujny, z wojskami pod dowództwem jenerał-majora barona Taube, — który nie mając sił dostatecznych, musiał się cofnąć. — Kazi-Mulla wkroczył do Tarku, w nocy dnia 26 maja.

Powiedzieliśmy, że twierdza Burnaja jest zbudowana na wierzchołku stromej góry, a miasto Tarku na jej pochyłości. — Wązka drożyna zasłonięta silnym murem, prowadzi do stóp góry, do jedynego źródła, z którego garnizon czerpie wodę.

W pośrodku tej drogi znajdują się dwie baszty obronne; — w bliskości ich jest skład prochu. — Po zajęciu Tarku Kazi-Mulla chciał naprzód ovladnąć źródłem i składem prochu, aby odjąć nieprzyjacielowi środki obrony.

Rosyanie starali się zniszczyć ten plan, którego skutki mogły być dla nich szkodliwe, po trzykroć przedsiębrali bezskuteczne wycieczki; — pomimo strzałów armatnich, odłamów skal i kamieni, które druzgotały na miazgę oblegających, lub spychały całe ich szeregi na dno przepaści, Tatarzy stali się panami prochu. — Podczas gdy byli zajęci podziałem, tej drogocennej zdobyczy, nade wszystko dla nich, — granat pękł w pośród triumfujących górali, — proch zapalił się a jego wybuch wstrząsnął podstawą góry, a twierdza zagroziła upadkiem. — Niesłyszany huk i trzask zdawały się zapowiadać koniec świata; olbrzymie płomienie i słupy dymu, zmieszane z ogromnemi odłamami skal, szczątki trupów, — wylaływały w powietrze, jak pociski wulkanu, a setki walczących znalazły śmierć w tej ognistej lawie. —

Zaloga nie mając wody, znosiła nieopisane męczarnie, mimo to, nie opuszczała twierdzy; — kilku posłańców oszukali czujność Tatarów i uwiadomili wojsko, że jenerał Kochanów, na czele silnego oddziału pospieszał mu na pomoc. —

Już Kazi-Mulla zajął wszystkie wysokości około Burnej i przygotowywał się do ostatecznego ataku, gdy odgłos bębnow i huk armat dały znać o zbliżeniu się Rosyan. —

Po zaciętej walce, gdy wojska weszły do wpół zburzonego miasta, znalazły ulice pokryte trupami. —

Po kilku dniach spoczynku Kazi-Mulla zaczął przebiegać okolice i wszystkie auly nad Sulakiem, zmusił do poddania się; — tym sposobem powetował straty poniesione przy oblężeniu Burnej.

Jenerał Emmanuel zebrawszy znaczny oddział, zmu-

sił Kazi-Mulle do ucieczki w lasy Tczugenskańskie. —

To się działo w sierpniu 1831 roku. — Rozeszła się pogłoska, że Persowie rozpoczęli zaczepne kroki; — wojska rosyjskie spiesźnie opuściły swoje stanowiska, w południowym i środkowym Dagestanie, i skierowały się ku Szirwanowi. — Nie pozostało, jak tylko kilka batalionów Derbenckiego garnizonu. — Kazi-Mulla skorzystał z tego. — Zająwszy wysokość Samsechu, gdzie zwykle zbierali się mieszkańcy Kajtachu, Welikentu i Medsz-Shis, cała okolica przeszła na jego stronę, — z wyjątkiem południowej części Tabassaranji, pod rządem Ibrahima-Beka, która pozostała wierną Rosyi. — Kazi-Mulla rzucił się na ten kraj, używając wszystkich gwałtownych środków, aby go zmusić do przyjęcia nowej wiary, — lecz nie osiągnął celu. —

Następnie rozesłał do ludów Dagestanu, tysiące proklamacyj, — gdzie między innymi czytamy ten ustęp: —

„Wstępujemy na ziemie nieprzyjazne, jak przy wschodzie jutrzienka dnia pogodnego; krew znaczy nasze przejście, pożary i zniszczenia idą w ślad za nami; — niech czyn uzupełni, czego słowo nie zdziało. Bądźcie posłusznymi naszemu prawu, a wszystkie błogosławieństwa nieba i ziemi zleją się na was; wasze majątki będą szanowane, wasze bezpieczeństwo zapewnione! Jeżeli zaś przeciwnie trwać będziecie w waszym uporze, uwiadamy was, że skoro góry zrzucą płaszczy zimowy, a wiosna przyozdobi się w kwiaty; — nasi wojownicy spadną na wasze auly, i siłą otrzymują czegocście naszej życzliwości odmówili? Śpiew słowika w waszych lasach, będzie dla nas hasłem do walki. Jesteśmy schronieniem i opieką wie-

rzących, — postrachem niewiernych i wahających się. — Potężna pomoc jest zapewniona naszym stronnikom i naszym braciom w wyznaniu, a ten, który jest z nami, będzie wynagrodzonym, pokojem w doczesnym, a zbawieniem w przyszłym życiu. Amen!“

W końcu tegoż roku podstąpił pod Derbent i trzymał go przez ośm dni w oblężeniu; — miasto byłoby się już poddało, gdyby jenerał-major Kochanów, nie pospieszył z wojskami z północnego Dagestanu. Kazi-Mulla uciekł i schronił się do północnej Tabassaranji, rozłożywszy się obozem w aulach: Humeda i Dukach, gdzie mieszkała wówczas rodzina Mulla-Muhammeda. — Kazi-Mulla pojął za żonę, jedną z córek Murszida, i na pewien czas rozpuścił swoich ludzi, aby im dać chwilę odpoczynku, nim rozpocznie nowe oblężenie Derbentu, które miało być od strony morza. —

Sam także potrzebował wytchnienia i dla tego wraz z Mulla-Muhammedem i jego rodziną udał się do Gimrów. — Lecz długa bezczynność nudziła go i w tymże roku przedsięwziął wyprawę na Kizlar, — który zaatakował dnia 1 listopada 1831 roku. —

Po strasznym walce miasto się poddało. — Krew oznaczyła jego przejście, a pożar i zniszczenie szły w ślad za nim.

Po wzięciu Kizlarskiego udał się znowu ze swymi hordami do lasów Tczungskenskańskich.

*Bitwa pod Gimrami, — Śmierć Kazi-Mully.*

Na miejsce jenerał-majora Kochanowa, który inne

otrzymał polecenie, przysłano pułkownika Miklaszewskiego. Kazi-Mulla, którego interesa powoływały do Gimrów, poruczył dowództwo w czasie nieobecności swojej, — wierzniemu towarzyszowi Chamsat-Bekowi. —

Waleczny pułkownik Miklaszewski korzystając z nieobecności *Imama*, zaatakował Chamsat-Beka, w jego obozie w lesie Czewkenskafiskim; — i tam został zabity. (Miejsce, w którym zginął Miklaszewski, znajduje się o 15 wiorst od Temir-Chan-Szury, — a o trzy wiorsty od fortu; Agacz-Kale, — którego autor był komendantem w 1845 r. i obronił takowy od dziesięć razy silniejszego nieprzyjaciela.) — Jego wojsko przywiedzione do rozpaczystą ukochanego dowódcy, dokazywało cudów waleczności i wypędziło nieprzyjaciela z jego pozycji. — Ta bitwa była ostatnią, którą zaznaczył rok 1831. —

Z początkiem wiosny 1832 roku, Kazi-Mulla rzucił się na kaukaską linię, między Kizlarem a Władikaukazem; postawa Muridów stawała się groźniejszą. —

Głównie dowodzący korpusem, generał adjutant baron Rosen postanowił działać stanowczo. Objąwszy osobiście dowództwo nad oddziałem, przeszedł przez Czeczenie, — przepłynął się przez Sulak, wziął port Miultach (Miatlińska przeprawa), i przez Temir-Chan-Szurę podsunął się pod Gimry. — Generał-lejtnant Weljaminow, książę Dadjan i waleczny Kluki von Klugenau towarzyszyli mu w tej wyprawie. —

Gimry, naprzeciw aulu Erpeli, nad rzeką Kojsu, na szczycie skały prawie niedostępnej. — Droga doń prowadząca zdaje się nie do przebycia. — Opuści-

wszy aul Karanaj, wchodzi się na stromą górę, pokrytą śniegiem, później wąską ścieżką, wykutą w kamieniu, idzie się około sześciu wiorst, ocierając się o ostre skały i straszne przepaście; — łączy się dalej z drogą erpelińską i wychodzi do wąwozu, który prowadzi do Gimrów, aulu otoczonego potrójnym walem.

Ten trudny pochód trwał sześć dni; — od 11 aż do 17 października. —

Rosyanie, po upartej bitwie, zawładnęli wąwozem i pochyłością góry, która się nad nim wznosi; generał Weljaminow ustawił swoją artylerję i rozpoczął na Gimry morderezy ogień.

Kazi-Mulla otoczony zewsząd, tracił co chwila stronników, albowiem wszyscy ci, co z musu szli za chorągwią proroka, uciekali i przechodzili do Rosyan. — Chamsat-Bek, którego oddział był w Irganaju, i na który, jak mu się zdawało, mógł liczyć, — pozostał sam jeden; — wielu drugorzędnych dowódców poszli za tym przykładem. Jeden tylko Szamyl i garnizon gimryński pozostali mu wiernymi w chwili niebezpieczeństwa. —

Myśleć o zwycięstwie byłoby szaleństwem, — ucieczka była niepodobna, ponieważ wojska zajęły wszystkie wąwozy i wysokości. Zamknęli się więc w basztach wznoszących się po nad pasem zewnętrznym i tam bronili się, śpiewając wiersze z Koranu, dopóki wskutek strzałów armatnich nie zostali zagrzebani w gruzach. —

Kazi-Mulla zginął w pośród sześćdziesięciu oddanych sobie Muridów. Wojska weszły do Gimrów dnia 18 października 1832 roku.

Po wzięciu Gimrów i śmierci Kazi-Mully sądzą, że wojna w Dagestanie na zawsze skończona. Jeneral baron Rosen, zadowolony zwycięstwem, posłał następującą proklamację do ludów:

„Sprawiedliwość i kara Boga doścignęły wicherzyciela i heretyka Kazi-Mulle. — Ziemia już jest oczyszczona z jego obecności jak również jego stronników i mnóstwa ludzi przez niego obłąkanych. — Zwycięzki oręż rosyjski jest panem wąwozu gimryńskiego, uważanego za niezdo-byty. Przewrotni mieszkańcy aulu utrzymywali jednak, że Rosyanie z deszczem chyba spadną; a w swém zaślepieniu zaponnieli, że skały odrywają się, również jak pioruny i błyskawice, dla wyniszczenia zbrodniarżów. —

„Niech to będzie nauką dla wrogów spokojności! Złóćcie wasz żal na łonie potężnego rządu Rosyi, a otrzymacie od szlachetnego i wspaniałego monarchy, zwykle przebaczenie.

„Lecz gdyby kto na przyszłość ośmielił się burzyć umysły i mieszać spokojność, — może spodziewać się kary bez przebaczenia. — Napróżno uciekał w góry, w lasy lub jaskinie i wąwozy; — nasi zwycięzcy żołnierze dosięgną i ukarzą wszędzie buntowników i zdrajców. Los Galgajców, Czeczeńców i wielu innych pokoleń, a w ostatku i mieszkańców Gimrów, może potwierdzić prawdę słów moich. Kto ma uszy niech słucha i korzysta.“ —

*Chamsat-Bek.*

Po śmierci Kazi-Mully zupełna spokojność panowała w Dagestanie, — ani Rosyanie, ani górnicy nie zakłócili pokoju w ciągu całego 1833 roku. — Jednakże Chamsat-

Bek, towarzysz i przyjaciel Kazi-Mully, przez Mulla-Muhammeda, mianowany jego następcą, — zbierał stronników i przygotowywał się do walki. —

Na wiosnę 1834 roku Chamsat-Bek obozował już w Gotcatl, z oddziałem do 12,000 dochodzącym. —

Ten aul, na wschód od Chunzacha o 20 wiorst odległy, liczył w owym czasie około czterdziestu folwarków, których właściciele byli wszyscy majetni. Chamsat-Bek wybrał tę okolice na chwilową rezydencję, a raczej na punkt zborny. Ztamtąd mógł łatwo wysłać oddziały po całym Dagestanie; — tém bardziej, że góry awarskie w gwałtownym wypadku dawały mu bezpieczne schronienie.

Chamsat-Bek pojmował dobrze, że dla ustalenia jego władzy, podbicie Awarji było koniecznym; wtedy dopiero mógł wprowadzić w wykonanie swoje plany przeciw Rosyi. — Rozpoczął więc atakiem na Chundzach, aul ludny, któryśmy poznali z powodu porażki Kazi-Mully. Pola i auly, przez które przeszedł, zniszczył okropnie i stanął obozem w bliskości rezydencji władców Awarji. Wysłał delegację do Abu-Nunzala, proponując aby przyjął nową naukę i połączył się zupełnie z nimi. —

Chociaż młody Chan widział oczwiste niepodobieństwo oprzeć się siłom Chamsat-Beka, i chociaż nie liczył na żadną obcą pomoc, niepodobna było nakłonić go do przyjęcia tych propozycji. —

Chanowa Pachu-Bike, matka Abu-Nunzala, taż sama co w roku 1830 prowadziła lud swój do zwycięstwa, z szaszką w ręku, powzięła myśl nie czynić żadnego oporu i posłać syna do obozu Chamsat-Beka, dla traktowania o pokój.

Abu-Nunzal opierał się woli swej matki.

„Synu mój, mówiła mu, jeżeli nieczujesz w sobie odwagi do spotkania się oko w oko z nieprzyjacielem, lub jesteś za dumny, aby przy nim odegrywać rolę pośrednika, pójdę sama do Chamsat-Beka i będę go prosić o pokój.

Omar-Chan, młodszy brat Abu-Nunzala, chłopiec szesnastoletni, położył koniec sporowi, ofiarując się wypełnić rozkazy matki, i zaledwie otrzymał upoważnienie, udał się natychmiast do obozu Chamsat-Beka.

Dzień cały przeszedł od chwili, kiedy Omar-Chan opuścił Chanzach, a napróżno oczekiwano jego przybycia. Chanowa niepokojąc się długą nieobecnością syna, prosiła Abu-Nunzala, aby jechał wyszukać brata i przekonał się jaki go los spotkał. —

„Powiedz Chamsat-Bekowi, mówiła dalej, niech nas zostawi w pokoju i opuści nasze posiadłości. Daję mu moje słowo, że nie będę krzyżować jego planów, niech one przeprowadza według swej woli.“ —

„Jestem ci posłuszny matko, odpowiedział młody Chan, ale ty nie znasz wiarołomnego Chamsat-Beka! Nie dosyć, żeś mu już jednego syna poświęciła, chcesz stracić i drugiego; — spełnię twoje życzenie i jądę!“

Powziąwszy to postanowienie, Abu-Nunzal rozkazał wsiąść na koń dwustu najdzielniejszym jeźdźcom i z tą eskortą ruszył w kierunku ku obozowi Chamsat-Beka.

Na połowie drogi wybuchła gwałtowna burza i zmusiła go do powrotu. — Jednakże sądzimy, że nie burza zmusiła Abu-Nunzala powrócić do domu, lecz proste za-

stanowienie, że nie było ani mądrze ani bezpiecznie przedstawić się Chamsat-Bekowi z dwoma stami jeźdźców zbrojnych. Ten oddział był za słaby dla otwartego oporu a za silny na zwykłą eskortę. Po kilku godzinach wyjechał znowu z ośmioma tylko nukierami.<sup>\*)</sup> Przybył do obozu bez przeszkody. Chamsat-Bek przyjął go z uniżoną uprzejmością i z oznakami służebności, jakie na wschodzie niewolnik okazuje swemu panu.

Po zamianie zwykłych komplementów, Chamsat-Bek zaprosił młodego gościa do swego namiotu, dla umówienia się o warunki pokoju, lecz zarazem dał tajemny rozkaz, aby Abu-Nunzala i jego ośmiu nukierów zamordowano. Zdradziecki naczelnik Muridów, pod pozorem wydania rozkazów, cofnął się kilka kroków w tył, a w tej chwili grad kul uderzył w Abu-Nunzala i jego towarzyszy. — Czouau-Bek, siostrzeniec Chanzacha, rzucił się jak wściekły na Omar-Chana, który na odgłos strzałów wyszedł ze swego namiotu. W jednej chwili strzelili do siebie z pistoletów i obadwa padli. — Omar-Chan skonał natychmiast, — Czouau-Bek przeżył go o kilka minut.

Abu-Nunzal, pomimo dwóch kul, które go trafiły, był tylko lekko-ranny; pniąc się z gniewu na widok tej podłej zdrady, wywijając szaszka, rzucił się na Muridów, zabijając i kalecząc naokoło siebie, starał się wyjść z namiotu. Mieszkaniec Chanzacha, Machmed, syn Hadzi-Jaff starego murida Chamsat-Beka, był na straży: widząc, że młody Chan chce sobie otworzyć przejście, zadał mu szaszka okropny cios po twarzy. — Abu-Nunzal

<sup>\*)</sup> Nukier, jeździec zbrojny.

przyłożywszy lewą rękę do rany, stara się zatamować krew, płynącą obficie, rzuca się na swych wrogów, bijąc szalenie wszystkich, co go otaczają. —

Utrzymują, że więcej czterdziestu muridów było zabitych lub rannych z jego ręki, w tej rozpaczliwej walce. Ta liczba pomimo zapewnień wielu świadków, może się wydawać trochę bajeczną; — lecz trzeba tu wziąć na uwagę, że to był wypadek wyjątkowy, gdzie azyatycy walczyli przeciw swym władzom i że wszystkie ludy Dagestanu zachowywały zawsze najwyższe uszanowanie dla swych chanów. — Łatwo więc pojąć, że szalona odwaga Abu-Nunzala, w tej morderczej walce mogła przestraszyć jego przeciwników i sparaliżować ich ramie. —

Kiedy młody Chan tak bohatérsko walczył, i w chwili kiedy zamieszanie i strach doszły do najwyższego stopnia, Mullá-Szamył, pomocnik Chamsat-Beka, zjawił się wśród tłumu: „podli!“, krzyknął, zwracając się do tych, co się cofali, „podnieśliście broń przeciw potężnemu nieprzyjacielowi, a uciekacie przed mlókosem? — Wstydzicie się!“ W tej chwili sto kul świsnęło i Abu-Nunzal padł martwy. —

Chamsat-Bek wszedł do Chunzachu, stolicy Awarji, prawie bez wystrzału; — pierwszy jego rozkaz miał na celu zamordowanie Chanowej Pachu-Bike, wówczas sześćdziesięcioletniej. — Piękna Helena, siostra Abu-Musselima Szamchala Tarkowskiego, żona Abu-Nunzala, którego właśnie zabito, była wtedy brzemienna; — darowano jej życie pod warunkiem, że po rozwiązaniu zostanie żoną Chamsat-Beka. —

Na drugi dzień Surchaj-Chan przybył do Cham-

sat-Beka; w nadziei, że go zamianuje Chanem Awarji; — był on Dżanka z rodziny Chanów awarskich. Chytry Chamsat-Bek pojmował dobrze, w jakim zamiarze Surchaj przybył do niego i zdawał się mu dodawać otuchy. — Surchaj, rzekł, czy chcesz być Chanem Awarji? Jeżeli mnie uważasz za godnego tego stanowiska, to mnie mianuj Chanem Awarji, a będziesz miał we mnie najwierniejszego niewolnika.

— Pragniesz pozycji największej i najniższej zarazem, odpowiedział Chamsat-Bek, — być panem i sługą, zdaje mi się, że to nie idzie razem.“ Czyliż nie wiesz, że twoi bracia zginęli z mój ręki?

— Wiem, odparł Surchaj, starając się uśmiechnąć, — lecz postępując tak, miałeś słusność, — oni cię nienawidzili, byli twómi wrogami. Allah dał ci ich życie, a ty niem rozporządziłeś.“ — Chamsat-Bek sposepniał.

„Zapewne ci to obojętnem, czy oni byli lub nie, moimi nieprzyjaciółmi, rzekł mu; — w każdym razie byli twómi braćmi, i gdyby twoja dusza miała w sobie iskierkę honoru lub odwagi, — byłbyś ich bronił przeciw zabójcy. I to taki podły nikczemny lotr, jak ty, chciałby panować nad Awarją i walczyć pod moją chorągwią!“ —

Po tych słowach Chamsat-Bek rozkazał jednemu z muridów ściąć głowę Surchajowi. —

Czonau-Bek, ten sam co zabił Omar-Chana, — przed samém skonaniem, widząc przybliżającego się swego staroego ojca; — mój ojciec, rzekł umierający, — podniosłem rękę na człowieka, którego liczyliśmy między panami narodu; — poszedłem tylko za wolą Allacha, który kiero-



wał moją ręką. Zanim pożegnają się ze światem, mam do ciebie ostatnią prośbę i pomimo moich przestępstw, nie zechcesz mi jej odmówić. Los nieszczęśliwego Bulacz-Chana \*) bardzo mnie obchodzi; skoro umrę, nie masz już syna; zatrzymaj przy sobie Bulacz-Chana, aby nie popadł w ręce swych nieprzyjaciół. — Opiekuj się nim i uczyn go godnym, do wstąpienia kiedyś na tron awarski. —

Przyrzecz mi spełnić moje życzenie, a umrę spokojny i ufny w łaskę Allacha.

Wychowując Bulacz-Chana, pracować będziesz dla własnego szczęścia. Starzec zobowiązał się wypełnić wolę umierającego syna; zasłaniał Bulacz-Chana i szczęśliwie dostał się z nim do Gotcał. —

Po śmierci Chanowej matki Pachu-Bike, Awarja już bez żadnej trudności dostała się w ręce Chamsat-Beka. — Jednakże przedsięwzięcie, jakie sobie zamierzał w ciągu roku, — skończyło się wcale inaczej.

Po krótkim spoczynku zjawił się w Andji, z pięciotysięcznym oddziałem, z zamiarem przyłączenia tej ziemi do Chaństwa Awarskiego.

Mieszkańcy Andji, przygotowani do tego ataku, dzielnie go odparli i zmusili Chamsata do odwrotu. — Za ledwie powrócił do Chunzachu, Chamsat-Bek podniósł swój oddział do 15,000 ludzi, z którymi poszedł przeciw aulowi Kuppa, w okręgu Cudacharskim. Obrona nie długo trwała; Chamsat-Bek zwyciężył i wysłał najbliższych

\*) Bulacz-Chan, najmłodszy brat Abu-Nunzala-Chana, był młodszym bratem Czouau-Beka, — i w chwili, kiedy się to działo, miał zaledwie lat jedenaście.

sobie muridów do naczelników akuszyńskich — wzywając ich, aby się połączyli z nim przeciw Rosjanom; — w przeciwnym razie, oświadczał się ich otwartym wrogiem, i groził, że ich auly będą zrabowane, ich wojownicy pomordowani, a ich żony wzięte do niewoli, aby z jego ludźmi poczęły dzieci, któreby narodziły się z nienawiścią do Rosyi.

W skutek tego mesażu, Muchamed-Kadi akuszyński i Aslan, Kadi Cudacharski, zwołali najstarszych wiekiem na radę; Kadi-Muhammed zagał posiedzenie w te słowa:

„Ulemy, mullowie i naczelnicy siły zbrojnej Dargo, — Jmam Chamsat-Bek, podburza nas przeciw naszym przyjaciółom Rosjanom i chce nas zmusić do działania wspólnie z nim. — Grozi nam zniszczeniem naszych aulów i uprowadzeniem naszych żon niewolnicami, jeżeli nie będziemy mu posłuszni. — Mieszkańcy Dargo, wiadomo wam, że Dagestan nie ma ludu, któryby nam wyrównał w potęgę i świetność; najniższy z was znaczy więcej, aniżeli ten Dżanka-Chamsat, który nie boi się obrażać nas swymi krzywdzącymi prośbami i przemawiać do nas, jak pan do swych niewolników. —

„Czyliż jesteście usposobieni do zniesienia tej obrazy, i czyliż jesteście w stanie, aby przypodobać się temu buntownikowi, wystawić nas na straszny gniew wielkiego cesarza, naszego pana? — Czyliż pod jego panowaniem nie mamy powszechnego poważania? — czyliż nie obsypuje nas dobrodziejstw? — Czyż mamy bez oporu poddać się nikczemnemu wichrzycielowi, ażeby nasza hańba stała się publiczną w Dagestanie? Uzbrójmy się; niebezpieczeń-

stwo jest bliskie; lecz aby zwyciężyć Hamsata, a nie dopomagać mu naszą władzą! Zwołajcie wszystkich mężczyzn naszego aulu i idźmy naprzeciw Chamsat-Beka, — Allah wynagrodzi was w niebie, a wielki pasza rosyjski na tym świecie. — Ta mowa i inne, mówców Dargińskich i Cudacharskich, wzburzyły lud przeciw Chamsat-Bekowi. — Rzucono się do broni i zapędzono Imama aż do Chunzachu. —

Chamsat-Bek zaczął czynić przygotowania do nowego i silniejszego ataku Akuszy i posiadłości Szamchalskich. — Był przekonany, że z nowym oddziałem, świeżo zebranych i uzbrojonych, stanie się wkrótce panem całego Dagestanu. — Nie przeczuwał wcale jak straszna burza zbierała się nad jego głową. —

Dwóch braci, Osman i Hadzi-Murad, pierwszy lat 22, drugi 20, młodzi bracia Omar-Chana, zabitego przez Czouan-Beka, służyli od dawna, jako muridzi, pod rozkazami Chamsat-Beka. Odwaga połączona z zimną krwią, jakich niejednokrotnie dali dowody, zjednały im w wysokim stopniu zaufanie naczelnika muridów.

Pewnego wieczora Osman i Hadzi-Murad rozmawiali z zadowoleniem o swych kompaniach i dowodach mężstwa, w przytomności ojca, sześćdziesięcioletniego starca; wychwalali wzajemnie swoją odwagę, gdy tenże przerwał im poważnie: „Powinnibyście rumienić się podobnych czynów, okrywających wstydem was i waszych bliskich, — i czyniących was niegodnymi nazwiska moich dzieci.“ Młodzieńcy spojrzeli z zadziwieniem na zagniewanego ojca, nie wiedząc czem na te gorzkie wyrzuty zasłużyli. —

„Sultan Achmed — ciągnął tenże dalej — był jedynym z najznakomitszych panów, jacy rządili tym krajem. Poruczył mi wychowanie syna swego Omara, a ja stałem się drugim ojcem dla młodego księcia. Wy podnieśliście się do godności braci młodego Chana, dla tego też szanowano was na równi z panującą rodziną sultana Achmeda. —

Czyliż nie wiecie, że Chamsat-Bek, którego jesteście stronnikami, zamordował Omar-Chana? Zamiast iść za prawem natury, mszcząc tego, którego nazywaliście waszym bratem, przechwalacie się z bohaterstwa, jakiego daliście dowody w służbie jego zabójcy!

„Zmartwienia postarzały mnie i osłabiły, — zaledwie ręka kindżał utrzymać może, lecz klęć się na Allacha, że wprzód, nim po raz drugi zbudzi was śpiew rannego ptaka, ta ręka mścicielka wzniesie się po nad głowę Chamsata. Tortury, łańcuchy, męki i śmierć wszystko zniosę! Co do was, opiewajcie wasze czyny i naśladujcie żony Imama, żyjąc z nim w zgodzie pod jednym dachem.“ —

Te słowa uczyniły głębokie wrażenie na jego synach, a ich błyszczące oczy napelnily się łzami. —

„Ojcie mój! wykrzyknęli obadwa razem, uczucie zemsty przeszło z twej duszy do naszej, jutro Chamsat-Bek zginie z naszej ręki! a jeżeli Allah pozwoli nam życia, staniemy przed tobą z białą twarzą.“ \*)

\*) Twarz biała, lub raczej wybielona, — to jest, plama hańby co nas czerni, będzie zmyta. — Według Koranu, twarz wybranych staje się po śmierci białą, a potępionych czarną. —  
„Tego dnia będą tacy, których twarz będzie biała, a inni, których będzie czarna. Bóg powie tym, których twarz będzie czarna: Ażaliż staliście się niewiernymi, będąc wprzód wiernymi? A więc otrzymajcie karę waszej bezbożności. Lecz ci, których twarz będzie biała, będą wiecznie cieszyć się łaską Boga.“

Starzec bardzo się ucieszył i pochwalił ich postanowienie; przy pożegnaniu dał im swoje błogosławieństwo.—

Po wielu staraniach udało się Osmanowi i Hadzi-Muradowi pozyskać dla swego niebezpiecznego przedsięwzięcia, czterdzieści osób, przyjaciół i krewnych. — Zebranie i narada odbyły się w mieszkaniu ich ojca. Ten zaś w poważnej mowie zalecił im trwać w przedsięwzięciu. — Następnie wzięwszy Koran, kazał im przysiąc na księdze ksiąg, że tajemnicy nikomu nie wyjawią, i że zgladzą ze świata Chamsat-Beka. Zabójstwo naznaczone było w piątek (dszuma), następujący w 48 godzinach po naradzie. — Chamsat-Bek miał zwyczaj udawać się w ten dzień do meczetu, o jednej i téjże samej godzinie. —

Murid Muhammed — Hadzi-Jaf już wzmiankowany, krewny Osmana i Hadzi-Murada, był w liczbie czterdziestu. On to był właśnie co w tej okropnej rzezi, zadał cios śmiertelny Abu-Nunzalowi. — Nie zwracając uwagi na wykonaną przysięgę, nieczemnie wśliznął się, w nocy następnej po naradzie do Chamsat-Beka. Obudził go, przestrzegł o niebezpieczeństwie i uwiadomił o wszystkich szczegółach spisku. Chamsat-Bek pomyślał jedynie na usługi, oddane przez Osmana i Hadzi-Murada, jak również na liczne dowody ich poświęcenia się dla jego osoby, — słuchał opowiadania Muhammeda-Hadzi-Jaf, nie wierząc mu wcale; — odprawił murida i zasnął spokojnie. —

Przestraszony oskarzyciel zjawił się nazajutrz rano, powtórnie, jako w dzień fatalny dla Imama, i przedstawił mu bliskość niebezpieczeństwa, zaklinając go na Koran, aby na ten raz nie szedł do meczetu.

Chamsat-Bek, ciągle nie wierząc, trwał w zamiarze udania się do świątyni, jednak dla uspokojenia Muhammeda Hadzi-Jafa, coraz więcej naglącego, przyrzekł mu, przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby życie jego nie było wcale narażone.

Rozkazał ogłosić po całym Chunzachu, że nikomu nie wolno jest tego dnia przybyć zbrojnym do meczetu; każde przekroczenie w tym względzie ukarane będzie śmiercią. — Wjście do minaretu osadzono przez ludzi pewnych, krórych obowiązkiem było rewidować każdego wchodzącego. Stu oddanych mu muridów otaczało Imama; mieli rozkaz na znak dany podczas pierwszej modlitwy zastrzelić Osmana, Hadzi-Murada i ich współników, jeżeli się pokazali w okregu poświęconym.

Rozkaz Chamsat-Beka, zabraniający mieszkańcom wchodzić do meczetu z bronią, był dowodem dla spiskowych, że ich zamiary odkryto. — Kto był zdrajca? — wszyscy się wzajemnie obwiniali, — a obawiając się zemsty Imama, wszyscy, bez wyjątku, opuścili Osmana i Hadzi-Murada. Strwożeni bracia pospieszyli uwiadomić ojca o zdradzie i naradzić się, co dalej czynić wypada.

„Wstyd i hańba podłym szalbierzom i bluźniercom! krzyknął rozgniewany ojciec, — lecz mam nadzieję, moje dzieci, że wy nieuchybiecie wykonanej przysiędze. — Po tém rozstaniu nie ujrzę was dopóty, dopóki nie zabijecie mordercy mego Omara!“

W południe Muezzin wzywał z minaretu wiernych na modlitwę; spieszono tłumnie ze wszystkich stron w otwarte drzwi meczetu, — a warty stojące po obu stro-

nach, z trudnością mogły przekonać się, czy przybywający byli bez broni — lub uzbrojeni. —

Osman i Hadzi-Murad przygotowywali się do spełnienia ich zamiaru; starzec dał im kulczugę, która mu w jego młodości służyła. Hadzi-Murad jako młodszy, chciał jej ustąpić starszemu bratu, lecz Osman wkładając takową na niego rzekł: „Weź ją mój bracie, żyłem dwa lata dłużej od ciebie, — jeżeli jeden z dwóch ma umrzeć, słusznie jest, aby los padł na mnie!“ Następnie ukryli pistolety i kindżały na plecach, w fałdach czuchy zarzucili burki, i weszli, zmieszawszy się z tłumem, do meczetu.

Imam jeszcze nie przybył. — Dwaj bracia przykuźnili w środku świątyni, naprzeciw głównego wejścia, przez które Chamsat-Bek, wychodząc z seraju Chanów, musiał koniecznie przechodzić. — Imam dowiedział się od swych posłańców, że Osman i Hadzi-Murad przybyli bez broni; straszny murzid przybył do świątyni proroka, otoczony silną strażą. Z pomiędzy tych, co szli obok niego, odznaczał się najwięcej swą dumną postawą, poważną twarzą i ognistym spojrzeniem, Szamyl. Dwóch muridów z golemi szaszkami szło naprzód, inni następowali z nabitymi karabinami.

Zaledwie Imam wszedł, — Osman powstawszy i zwracając się do ludu, rzekł silnym głosem: „Czemu nie idziecie za moim przykładem, powstając na znak uszanowania! Czyliż nie widzicie wojennego orszaku wielkiego murzida, którym się otoczył w świątyni proroka? Chamsat zdziwiony tą śmiałością, rozkazał przyprowadzić dwóch braci przed siebie i rzekł tonem pogróżki: Zdrajcy! zaprzy-

siegliscie moją śmierć? Ale ja znam wasze intrygi i potrafię was ukarać!“

Osman i Hadzi-Murad odpowiedzieli jednocześnie: „Poprzysięgliśmy twoje śmierć i dotrzynamy słowa!“ I w tej chwili strzelili do Imama, który skonał natychmiast. Głuche szemrania, poprzedzające wybuch, dały się zewsząd słyszeć. Zmieszanie i niepewność malowały się na wszystkich twarzach.

Jednakże, skoro tylko dym, jak opiekuńcza chmura otaczający dwóch braci, rozwił się, — muridzi ze wszystkich stron rzucili się na zabójców. Osman padł martwy, ugodzony kilkoma kulami, lecz Hadzi, dzięki hartownej kolczudze, i szybkości z jaką po swym strzale, rzucił się na ziemię, nie był zabity, kule przeszły mu po nad głowę.

Meczet Chanów awarskich, podobny zewnątrz do innych meczetów dagestańskich, jest wewnątrz szczególniejszej budowy. Przedstawia on długi czworograniasty budynek, wąski i gruby, z płaskim kamiennym dachem i równie zewnątrz jak wewnątrz, ozdobiony gipsem. We środku ściany meczetu są pokryte tekstami z Koranu, odmalowanymi w jaskrawych kolorach. Środek gmachu przecięty jest dwoma rzędami ciężkich filarów, podtrzymujących wysokie arkady. — Te sklepienia są tak wzniosłe i tak zbliżone jedne do drugich, — że możnaby powiedzieć, dzielą meczet na dwie ciemne galerye, do których za ledwie światło dzienne przenika. Łatwo więc można sobie przedstawić, jaka ciemność musiała panować wówczas w tym miejscu, zaciemnionym jeszcze gęstym dymem.

Przytomni byli oszołomieni i zmieszani, — widząc

dom Boży widownią zabójstwa. — Hadzi-Murad sko-  
rzystal z tej przyjaznej chwili, a wpadłszy między lud,  
zawołał: mieszkańcy Chunzachu! Chamsat, wasz ciemię-  
życiel, zginął z mej ręki, przybądźcie mi na pomoc i wy-  
tepijmy nienawistnych muridów, jego stronników! — Krzy-  
knęli wszyscy jednogłośnie: „Precz z muridami!“ Broń  
skryta pod czarnymi burkami i w faldach ubrania bly-  
snęła; ostrza kindżałowe, jak błyskawice w pośród chmur,  
migotały wśród dymu, — a obszerna świątynia na nowo  
odbija okropne i dzikie krzyki i odgłosy bronii palnej.  
Walka przyjęła charakter rozpaczliwy, a w niej same zwy-  
kłej i uroczystej modlitwy mufły, słyszano krzyki walczą-  
cych, jęk rannych i chrapanie umierających. —

Muridzi dokazywali cudów waleczności, lecz większa  
część padła ofiarą wściekłości ludu chunzackiego, ciągle  
wzrastającego.

Zaledwie trzydziestu muridów zdołało ratować się  
ucieczką; schronili się do pałacu Chanów, i postanowili  
bronić się do ostatka. — Wściekła ludność pędząc za  
nimi, — obległa gmach; obleżeni bronili się z rozpaczą,  
wtedy Hadzi-Murad poddał myśl wysadzenia w powietrze  
tego fortu, lub podłożywszy ogień, spalić żywcem mu-  
ridów. Z ogólną radością przyjęto projekt, a w kilka  
godzin potem niszczące płomienie buchały z apartamen-  
tów pałacu Chanów chunzackich. — Muridów zamor-  
dowano, niektórzy z nich sami sobie zadali śmierć, wy-  
skakując przez okna; — dwóch tylko ocalało. — Pier-  
wszy, najstraszniejszy, uciekł niepostrzeżony; był nim  
Imam Szamył, którego gwiazda cudownie wybawiała z nie-

bezpieczeństw; drugi zaś nikczemny Muhammed — Hadzi-  
Jaf, który doniósł Chamsat-Bekowi o spisku, popadł,  
ciężko ranny, w ręce oblegających. —

„Oto wasz brat, krzyknął Hadzi-Murad, spragniony  
zemsty, — ten sam co przysiągł na Koran zabić Cham-  
sata, a który nas zaprzedał tyranowi, — weźcie go i spal-  
cie żywcem; niech jego czarna dusza oczyści się w ogniu!“  
Tłum schwycił nieszczęśliwego Muhammeda Hadzi-Jaf  
i rzucił w płomienie, gdzie wkrótce skonał w okropnych  
cierpieniach. —

Tak skończyło się panowanie Imama Chamsat-Beka,  
w stolicy Chanów awarskich. —

Po powrocie Hadzi-Murada, Ojciec przyjął go w o-  
twarte objęcia: — „Dziękuję Ci synu mój, za to coś u-  
czynił, rzekł mu ze łzami, — twoje postępowanie odmło-  
dziło mnie! Twoje ramie dosięgło zabójcy Omara; nowy  
pałac wzniesie się w Chunzachu i nowy potomek dawnych  
sultanów panować będzie w Awarji! Nie płaczę straty  
syna mego Osmana, — zginął chwalebną śmiercią; padł  
jak bohater za swoją ojczyznę, — w obec swych wrogów;  
tak przystoi mężom Dagestanu.

Tymczasem Hadzi-Murad z woli ludu przyjął zarząd  
Awarji. Pierwszém jego staraniem było, zabezpieczyć  
wszelkie kosztowności, pochwycone przez Chamsat-Beka,  
rodzinie Chanów Pachn-Bike. Następnie uwiadomił  
o tych wypadkach wszystkich księząt, zostających w przy-  
jaznych stosunkach z panującym domem Awarji, — to  
jest: Aslan-Chana Kazikumyjskiego, Szamchala Tarkow-  
skiego i Achmed-Chana Mechtulińskiego. — Oprócz tego

zdał o wszystkim dokładny raport władzy rosyjskiej. — Hadzi-Murad wzywał tych książąt, wszystkich spokrewnionych z Abu-Nunzal-Chanem, aby wybrali jednego z pomiędzy siebie, dla natychmiastowego objęcia rządów Awarji; — lecz żaden nie chciał się na to zgodzić. —

Zwrócił się następnie do władz rosyjskich z prośbą, aby wysłały wojska, dla oswobodzenia Gotcatla, od resztek dosyć jeszcze silnych, bandy Chamsat-Beka. Z tej strony również nie otrzymał zadosyć uczynienia.

Maj i czerwiec przeszły bez wypadków, — wówczas gdy Hadzi-Murad starał się przywrócić porządek i na próżno błagał pomocy przyjaznych pokoleń. —

Tymczasem Szamyl stanął na czele rozbitków Chamsat-Beka i zaatakował Chunzach, — opór był tak silny, że zmuszony był odstąpić. — Powrócił z sześciotysięcznym oddziałem i rozpoczął silniejszy atak; — nieochybnie otrzymałby zwycięstwo, gdyby osobista waleczność i zimna krew Hadzi-Murada, nie dodały mieszkańcom odwagi. Szamyl, straciwszy 90 ludzi zmuszony był do odwrotu; strata Hadzi-Murada również była znaczna. —

Pojął on niepodobieństwo trzymać się dłużej przeciw Szamylowi, który gotował się do trzeciej wyprawy, i dla tego posłał kurjera do barona Rosen, ówczesnego głównokomenderującego na Kaukazie, — z domieszeniem, że cała Awarja dostanie się w ręce Szamyla, jeżeli niezwłocznie nie przysze mu wojska na pomoc. — Jeneral natychmiast spełnił tę jego prośbę, — a Szamyl dowiedział się przez swych szpiegów, że silna kolumna rosyjska szła do Gotcatli. — Wtedy wzywa do siebie ojca Czouau-Beka,

o którym mówiliśmy wyżej, a potajemnie daje rozkaz kilku muridom, aby korzystając z nieobecności starca, ucięli głowę Bulacz-Chanowi i wrzucili do Kojusu. —

Gdy Szamyl wozwał tego starca, miał ojciec Czouau-Beka przeczucie, na co się zanosilo; — wyjeżdżając, polecił najmocniej swęj żonie, aby Bulacz-Chana z oka nie spuszczała, — a nawet, jeżeli potrzeba, zamkneła go w miejscu bezpiecznym.

Mimo najtroskliwszego dozoru swęj przybranej matki, młody Chan nie uszedł poszukiwań muridów, którzy spełniając rozkaz Szamyla, zamordowali go. —

To morderstwo miało świadków, i ci zeznali, że to dziecię zaledwie lat dwanaście liczące, błagało zabójców, mówiąc: „Zabiliście mi matkę, zabiliście braci, zniszczyliście cały mój ród, zostawcież mi przynajmniej życie. — Jestem tak młody! pozwólcie mi choć kilka lat pożyć na świecie; Aslan-Chan Kazikumyjski, po królewsku was za to wynagrodzi!“ Lecz mordercy głuchemi byli na jęki dziecięcia; — i stósownie do rozkazu Szamyla, ucięli mu głowę i wrzucili do Kojusu.

Z Bulacz-Chanem wygasła rodzina Chanów Awarskich, wdowa Abu-Nunzala, bliska rozwiązania, była tylko poszczędzona. —

Panowanie Chamsat-Beka zamyka drugi perjod wojen religijnych w Dagestanie. —

Władza jego była również krótkotrwałą, jak bezowocną w jego pokuszeniach o propagandę nowęj wiary. —

### Szamył.

Urodził się w 1797 roku, w aule Gimry, ziemi Koj-subulińskiej, gdzie jego poprzednik Kazi-Mulla otrzymał i stracił życie. —

Według słów starców gimryńskich, Szamył od najmłodszych lat odznaczał się od swych kolegów, powierzchownością poważną i milczącą, wolą niezłomną, zapalem do nauk, dumą i usposobieniem imponującym. — Starał się wszelkimi środkami wzmocnić swoje słabe ciało. —

Gdy kto inny a nie on otrzymał w biegu lub igrzyskach nagrodę, — twarz jego kurczyła się mimowolnie, i często w ciągu kilku tygodni, nie pokazywał się między ludźmi, bo się wściekał i wstyd mu było, że się dał zwyciężyć.

Pewnego dnia kilka z jego kolegów, obrażeni jego dumnymi naśmieszkami, postanowili zemścić się. — Zaczaili się w pewnym miejscu, przez które musiał przechodzić; — a skoro go tylko zoczyli, rzucili się nań z szaleństwem. Bójka była żwawa, — i naturalnie Szamył uległ liczbie, — i był zbity niemilosierdzie. — Dostawszy się do mieszkania, był już stratą krwi, bardzo osłabiony; jednakże sam swoje rany opatrzył i w największej tajemnicy polecił jednej stariej babie, aby mu przyniosła ziół lekarskich. —

Wiele tygodni spędził w łóżku, czyli raczej w pościeli, bo łóżek nie ma; — i nikomu nie zwierzył się z przyczyny swój choroby.

Jego szanowny mentor, mądry i uczoney mulla Dżelal-Eddin, po silnym naleganiu, dowiedział się tej tajem-

nicy. On to dał Szamyłowi pierwsze początki obszernych wiadomości, jakie powziął w literaturze arabskiej, — i ten mulla odgrywa ważną rolę w jego życiu. —

Był jedynym, któremu Szamył okazywał uszanowanie i uległość, — jedyny, co posiadał całe zaufanie tego upartego człowieka. —

Szamył był wzrostu średniego, włosów rudawych, oczu siwych, z gęstymi brwiami, twarzy ściągłej, silnie naznaczonej ospą. — Miał kilka żon, z których Dur-Haremem, cudownej piękności Ormianka, była jego faworytą.

Przypominamy sobie, że pierwszy murszid Mulla-Muhammed wezwał Chamsat-Beka, urodzonego w Gotcatli, na następcę Kazi-Mully. — Szamył posiadał wielki wpływ i poszanowanie pod panowaniem Chamsat-Beka. On to, jak utrzymują, doradził Chamsat-Bekowi wymordowanie rodziny Chanów Awarskich. —

Murszid Mulla-Muhammed dożywszy późnego wieku, umarł wprzód, aniżeli Chamsat-Bek padł ofiarą, spisku Osmana i Hadżi-Murada; nie było więc nikogo, coby mógł mianować i wyświęcić nowego naczelnika.

Pomiędzy ogółem muridów byli tacy, co pragnęli władzy, Szamył i Taszaw Hadżi byli najsilniejszymi i najniebezpieczniejszymi współzawodnikami. — Ten ostatni z powodu swój zręczności i układności miał za sobą większą część oddziału, lecz Szamył był popierany przez czci-godnego Dżelal-Eddina, którego słowa uchodziły w Dagestanie za wyrocznię. Mulla użył swego wpływu, i Sza-

myl, jego ulubiony uczeń, został jednogłośnie mianowany Imamem. —

Powiedzieliśmy wyżej, że Hadzi-Murad zabiwszy Cham-sat-Beka, wziął zarząd Awarji. — Po przywróceniu spokojności prosił władze rosyjskie o natychmiastowe przyślanie do Chunzachu, gubernatora, któryby objął Awarję w imieniu Cesarza. — Główno-dowodzący na Kaukazie, baron Rosen, — porucił ten urząd generałowi-lejtnantowi Lanskiej. — Ten zaś otrzymawszy rozkaz wypędzenia nieprzyjaciela, na przestrzeni znajdującej się między Temir-Chan-Szurą a Chunzachem; posunął się do Gimrów ze znacznym oddziałem w październiku 1834 roku.

Aul zdobyty, Lanskiej gotował się do dalszych zwycięstw, gdy Szamyl nadszedł ze swemi muridami, — odebrał Gimry i zmusił Lanskiego do odwrotu. Wtedy Kluki von Klugenau przybył spiesźnie z Temir-Chan-Szurą; dotarł aż do Gotcatla w Awarji i wzmocnił rejtujący się oddział Lanskiego. — Zniszczył wszystkie auly co mu się opierały, Gotcatli spalił i jako zwycięzca wszedł do Chunzachu, — gdzie oddał władzę nad Awarją, pod protektoratem Rosji, młodemu Achmed-Muhammed-Mirza-Chanowi, synowi Aslan-Chana Kazikumyjskiego.

Przywróciwszy tym sposobem spokojność, Kluki von Klugenau powrócił do Temir-Chan-Szury.

Od owego czasu Rosjanie pozostali zawsze panami Awarji, co im dało ogromną przewagę we wszystkich działaniach w Dagestanie. Zajęli mnóstwo przejsi i wązów, dotąd niedostępnych, — ułatwili sobie i zapewnili komunikację z krajami dawniej podbitymi.

Szamyl starał się wszelkimi siłami zdobyć Awarję, aby na znacznej przestrzeni sformować swoich stronników i utrudnić Rosjanom ich komunikację z ich Dagestańskimi prowincjami. —

Pomimo ciągłych porażek i przestrochu, jaki raptowne pojawienie się generała Kluki von Klugenau wywarło w Dagestanie, — pokusił się na nowo w 1835 roku o zdobycie Awarji. — Zdobył Gotcatl odbudowany i wzmocniony i maszerował ku Chunzachowi; lecz przybycie generała Reutta z oddziałem zniszczyło jego zamiary. —

Powtórne pokuszenie w 1836 roku o Awarję, nie lepiej się powiodło Szamylowi, z powodu silnego oporu Awarców, dowodzonych przez Hadzi-Murada.

Awarcy nie mogli zapomnieć krzywd i morderstwa ich Chanów, poprzysięgli wieczną i nieubłaganą nienawiść Szamylowi i jego muridom, — a wszystkie starania tego ostatniego, aby ich do siebie przyciągnąć, czy to podstępem, czy też siłą, okazały się próżnemi. Jeden z główniejszych powodów, że zamiary Szamyla nie wiodły się, było rozdwojenie w jego wojsku.

Taszaw-Hadzi nie wyrzekł się jeszcze pretensyj do najwyższej władzy, zazdrośnym i nienawistnym okiem spoglądał na rosnącą potęgę swego rywala; — nie opuszczał też najmniejszej sposobności, aby urok otaczający Szamyla, osłabić i plany jego skrzyżować.

To rozdwojenie skończyło się dopiero 1837 roku, kiedy Taszaw-Hadzi upokorzył się dobrowolnie.

Dwa powody przyczyniły się do tej zgody, bitwa pod Aszaltami, gdzie dowódca Apszerońskiego pułku, generał



świty cesarskiej, hrabia Iwlicz był zabity; i wyprawa jenerał-lejtnanta Fezi. —

Jenerał Fezi wystąpił z Derbentu i udał się przez ziemię Dargińską do Chunzachu, z ośmioma batalionami wojsk regularnych i około dwunastu tysięcy milicyi góralskiej, wziętój z prowincyj rosyjsko-dagestańskich. — Wybudowawszy cytadellę, obsadził takową silnym garnizonem i skierował swoje wojsko na Aszalty, (Asziltach) i zamek Achulgo zajęty przez muridów pod dowództwem Ali-Beka. —

Po kilkogodzinnej zaciętej bitwie Achulgo i Aszalty zdobyto, Ali-Bek z muridami ratował się ucieczką. —

Jenerał Fezi pozostawał jeszcze na pozycyi pod Aszaltami, gdy dano mu znać, że oddział wysłany do aulu Telitli, pod dowództwem pułkownika Buczkiewa, znajduje się w niebezpieczeństwie i żąda posiłków. — Jenerał pospieszył natychmiast z pomocą; a połączywszy oba oddziały zaatakował aul Telitli, gdzie się Szamyl obwarował, lecz po wielu szturmach zdołał tylko zająć połowę aulu, a nie chcąc narażać wojsk na niepotrzebne straty, — posłał do Szamyla z propozycją, — aby, jeżeli chce uniknąć zupełnego zniszczenia swego oddziału, — zobowiązał się przysięgą, w swoim własnym, jak również swoich muridów imieniu, — że się podda cesarzowi, a jako gwarancję wierności da zakładników. —

Szamyl znajdując się w krytycznym położeniu, — zgodził się na warunki i wykonał na wierność przysięgę, w obec delegowanego do tego aktu, Muhammeda-Mirzy-Chana, syna Aslan-Chana Kazikumykajiego. —

Tak skończyła się w Dagestanie wielka wyprawa w 1837 roku. —

Rok 1838 nie był wcale obfity w wypadki wojenne, to też o nim wspominać nie będziemy, a przystąpimy zaraz do wielkiej kompanji 1839 roku.

Gdy Szamyl dowiedział się o licznym zebraniu wojsk we Wniezapnej i o wielkich przygotowaniach do wojny, jakie tam przedsiębrano, ułożył sobie plan następujący:

Czeczecy, zagrażając lewemu skrzydłu, mieli zrobić dywersję, jak tylko wojska rosyjskie wejdą w góry, ażeby one lub osłabić przez wyselki rezerw do fortów, lub też dalszemu pochodowi przeszkodzić.

Gdyby jednakże udało się Rosjanom przebić się, mieli spotkać pierwszą przeszkodę w aule Bortunaj. — Szamyl osobicie miał tam spotkać nieprzyjaciela, a wtedy trzy tysiące Czerkiesów i Sałatawców mieli go zaatakować z tyłu, w chwili gdy się zagłębi w wąwozie Termergulskim.

Przy najmniejszym ze strony Rosjan niepowodzeniu, wszystkie pokolenia neutralne lub na wpol upokorzone, przyjełyby udział w bitwie. W przypadku, gdyby górale byli pobici, zostawała im silna pozycja w aule Arguany. Pomimo że aul ten od natury był prawie niedostępny, Szamyl jeszcze go wzmocnił o ile tylko czas i sztuka na to pozwalały.

Po Arguany, trudna przeprawa bystrego Kojusu, miała powstrzymać Rosjan, — nakoniec ich usiłowania i waleczność miały się rozbić o ostre skały Achulgo, ostatnią ucieczkę Szamyla. Tak on był przekonany o doskonałości

tego planu, że wcale nie pomyślał o innym środku ratunku.

Pomimo tych mądrych kombinacyj wypadek onych wcale nie był pewny, bo na Czezeńców nie bardzo można było liczyć.

Nadzieja projektowanej dywersji w Czezeniu nie sprawdziła się.

Wyprawa Rosjan na Iczkeryńców, trwająca od 9 do 14 maja, zniszczenie dwóch obronnych obozów, jego pomocnika Taszaw-Hadzi, spustoszenie dziewięciu nieprzyjacielskich aulów i inne klęski, — zmusiły Czezeńców, zamiast atakowania linii, myśleć o własnym bezpieczeństwie. — Z tego wypadło, że Szamyl zaledwie półtorej godziny utrzymał się w Bortunaju, dwa dni w Arguany, i nakoniec dwa miesiące w Achulgo, ostatniej jego pozycji.

Jeneral Grabbe na czele dziesięciu batalionów piechoty, dziesięciu baterij artylerji, szedł prosto ku Czerkiń; spotkawszy w Bortunaju cztery tysiące Czerkiesów, nie pozwolił Szamyłowi ani jednej chwili zastanowienia, i od razu na nich uderzył; — po krótkim oporze ten ostatni ratował się ucieczką. Pomoc Czerkiesów nadeszła za późno a Salatawcy zdali się na łaskę. —

Zostawiwszy w forcie Udaczno, punkcie strategicznym, na pochyłości góry Sauch-Balak, jeden batalion piechoty, jeneral Grabbe zaatakował nieprzyjaciela po raz drugi w Arguany. —

Jednakże Szamyl miał czas zebrać wszystkie swoje siły; liczył dziesięć tysięcy pod swými rozkazami. — Bitwa

trwała dwa dni, 30 i 31 maja. Szamyl został pobity, straciwszy w zabitych i rannych około 2000 — ludzi. Do owego czasu nie widziano jeszcze takiej rzezi, i w zwyczajnej wyprawie podobny wypadek byłby zadecydował o losie kampanji. —

Zwycięstwo w Arguany wprowadziło w osłupienie górali; obawiali się jego następstw. —

Achwerdi-Mahoma na czele 6000 zrekrutowanych w najodleglejszych aulach góralskich, kusił się napaść z tyłu na wojska, lecz jego bojaźń i wahanie były widoczne, — bo dosyć było trzech batalionów, aby jego oddział zupełnie rozpedzić. — Podczas tego Rosjanie zajęli Czerkiń i prawy brzeg Kojst, — prawie bez oporu. —

Przekonawszy się o trudnym dostępie do Achulgo, — jeneral Grabbe postanowił trzymać go w oblężeniu, aby głodem zmusić garnizon do poddania. — Oblężenie trwało od 12 czerwca do 22 sierpnia, to jest, blisko półtrzecia miesiąca. —

Trzeba było własnymi oczami widzieć, te okropne przepaście, te zastraszające cyple, strome spadzistości, aby powziąć wyobrażenie o nieopisanych trudach i niebezpieczeństwach, jakie rozpaczliwy upor Szamyla i jego dzikich muridów, połączone z naturalnymi przeszkodami, stawały na każdym kroku odwadze i wytrwałości oblegających. —

W miarę jak kolo oblężnicze ścieśniało się, trzeba było sypać nowe baterje dla dział, wydrążyć w skale drogi, aby te działa przeprowadzić, — i zasłaniać to wszystko,

na przedzie zgromadzonemi faszynami i kamiennym murem. Każda pozycja musiała być pilnie strzeżona, — ponieważ komunikacja z najbliższymi posterunkami i pocztami była niepodobna i na żadną pomoc nie można było liczyć.

Zaledwie ośm batalionów składające początkowo oddział, mogły wystarczyć na przyzwoite obsadzenie, najważniejszych punktów.

Żołnierze pracując cały dzień około bateryj, pełnili nocną służbę w awant-postach; przestrzeliwali się ciągle z nieprzyjacielem, a oprócz tego niepokojeni byli wyieczkami. —

Zaopatrzenie wojsk w żywność i amunicję było bardzo trudne; porobiono drogi w kierunku Uncukula i góry Beŭly.

Urządzenie komunikacji z Czerkiojem i Arguany, przez miejscowość dotąd niedostępną, było bardzo użyteczne dla wyprawy.

Te roboty zajęły cały czerwiec i połowę lipca; przez ten czas wojsko oblegające posunęło się aż do cypla skały oddzielającej go od starego Achulgo; ovladnęło basztą Surchaja, przedstawiającą wyborną pozycję. — Oddział wzmocnił się jeszcze dwoma batalionami Apszerofskiego, i trzema hrabi Paskiewicza, pułków, — oraz dziewięciu działami. —

Tatarzy pomimo wielkich strat w ludziach, i prawie bez żywności, nie myśleli o poddaniu; jeneral Grabbe zaczął coraz więcej przekonywać się, że oblężenie nie doprowadzi do skutku; postanowił więc brać szturmem Achulgo. —

Pierwszy atak dnia 16 lipca nie powiódł się,

pomimo waleczności pułku hrabi Paskiewicza i osobistego poświęcenia oficerów, którzy tego dnia wszyscy prawie poginęli. — To niepowodzenie nie oziębiło wcale zapалу wojsk, — a przewidując nowy szturm, z większą jeszcze gorliwością wykonywało roboty oblężnicze. —

Jeneral postanowił dobrze się przygotować do następnego ataku i doczekać się przyjaznej chwili, aby przypuścić szturm do twierdzy. Sapery, pod protekcją piechoty, wykopali krytą drogę aż do stóp nowego Achulgo. Artylerja ciągłemi strzałami rozbijała szalice nieprzyjacielskie i starała się odciąć ich od wody. —

Już wielu najgorliwszych stronników Szamyla poginęło; a on sam pojął, że położenie jego rozpaczliwe i że Rosjanie nie cofną się przed żadną ofiarą, aby zavladać jego ostatniem schronieniem.

W tej ostateczności zmuszony był złamać przysięgę, że do śmierci pozostanie nieublaganym wrogiem Rosji; wysłał do jenerala Grabbe w deputacji jednego z najpoufniejszych, z prośbą o pokój. Odpowiedziano mu, że nie przestaną strzelać, dopóki on syna swego, jako zakładnika, nie przysła do obozu rosyjskiego. Układy zerwały się, bo Jnam nie zgodził się na to żądanie.\*)

Jeneral podwoił starań około prac oblężniczych i 17 sierpnia, główne okopy nowego Achulgo zdobyto; jeden pułk zajął takowe natychmiast i rozpoczęto budowę innych

\*) Ustęp ten wzięty jest z dzieła Bodenstaadta. — lecz ja pamiętam dobrze, że Szamyl dał swego syna jako zakładnika, na ręce pułkownika Pully, dowódcy Kuryskiego pułku strzelców; — tego chłopca liczącego wówczas około 10—11 lat, odwiózł do Petersburga, poręcznik Klaczarew, adjutant jenerala Kluki von Klugnan.

podziemnych dróg, mających wojska posunąć naprzód. — Straszna walka rozpoczęła się; — trwała cztery dni i zdecydowała o losie wyprawy. —

Jeneral Grabbe wiedział dobrze, że zamiary Szamyla, co do zawarcia pokoju, nie były szczere, ponieważ odrzucał jedyne propozycje, mogące krajowi zapewnić spokojność. Nieprzyjacielskie kroki rozpoczęto na nowo 21 sierpnia z największą zajadłością. — Muridy tracili głowy z rozpacz, wojsko ożywiało nadzieję bliskiego zwycięstwa, żołnierze gorąco pragnęli pomścić poległych braci. —

Ostatnie starcie było krótkie, lecz zacięte. — Obłożeni i oblegający dali dowody odwagi i pogardy śmierci, jakich w europejskich wojnach nie mamy przykładów.

Kobiety z rozczochranym włosem, uzbrojone karabinami i szaszkami zapalały odwagę swych mężów, rzucali się w szeregi wojska i roznosiły śmierć na około. — Wszystko to wtedy zdawało się prostym, naturalnym. — Najmniej waleczni pomiędzy nami nie ustępowali wówczas w szaleństwie i wściekłości, tygrysom stepowym; ich spojżenia rzucały straszniejsze płomienie, jak te co wylatywały z armat. — Kapano się we krwi, deptano po stóśach trupów, a chrapania umierających były naszą wojenną muzyką. —

Ze wszystkich obrazów, co się wówczas przed naszymi oczami przerzuciły, jeden najwięcej utkwił w mej powieści.

Na krótko przed końcem bitwy artylerja zamilkła, wiatr pędził gęste chmury dymu, jak firankę zasłaniającą nas od muru. — Spostrzegłem nad głową, na wązkiej płaszczyźnie bronionej z tyłu przez skały, na brzegu stra-

sznej przepaści, kupkę tatarskich kobiet. Wojska postępowały ciągle, a przewaga onego zdawała się im przepowiadać przyszłość.

Lecz one postanowiły nie oddać się żywo w nasze ręce i połączyły ogólne usiłowania, aby o ile można zgubić więcej nieprzyjaciół. — Otaczający je dym rozwiewał się w miarę naszego przybliżania; — w szale bitwy rzuciły z siebie wierzchnie ubranie, — ich gęsty włos rozrzucony był w nieładzie na nagiej piersi. — Z niesłychanym wysiłeniem poruszyły ogromny odłam skały i zepchnęły na nas. — Skała stoczyła się zabijając po drodze żołnierzy, a kobiety rzuciły się w przepaść. Ręka drzy opisując wspomnienie tego okropnego dnia, w którym jednakże bilem się bez zmarszczenia — słowa te nie wyrażają ani junakierji ani pochwały; — nie zajmuje się wcale takimi drobnostkami. Achulgo zostało wzięte. — Tysiące trupów zaścielały krwią zroszoną ziemię. — Według raportów urzędowych legło muridów 1200 i 900 w niewolę wziętych, — po większej części rannych. — Z naszej strony zabitych: 1 oficer jeneralnego sztabu, 9 oficerów i 255 żołnierzy; — rannych: 1 oficer jeneralnego sztabu, 21 oficerów i 511 żołnierzy. —

Szamył z kilkoma muridami rzucił się w sulak, i na burdiakach\*) przeprowił się na drugą stronę. —

Pierwszą wiadomość o jego ocaleniu, otrzymano od Kumyńskiego przystawa (administratora) majora Alpatowa,

\*) Burdiak, koźła lub bawola skóra, zdjęta całkowicie, służy do przewożenia wina; — a próżna i wydęta do przeprowy przez bystre rzeki.

który w dniach 4 i 7 września urzędownie doniósł, że Szamyl znajdował się w aule Sjassan, w prowincji Iczkerińskiej. —

Szamyl prosił Prystawa przez jednego Kumyka, aby uwiadomił głównodowodzącego na Kaukazie, że jest nie tylko sam gotów poddać się osobiście, lecz że podejmuje się skłonić innych naczelników z oddziałów Taszaw-Hadži i Saib-Mully, do przysięgi na wierność. Ażby dać zupełną rękojmię Rosjanom, ofiarował się dać im jako zakładników, główniejszych naczelników iczkerińskich i dwóch własnych synów.

Jenerał Grabbe kazał mu odpowiedzieć, że w takim tylko razie mógłby przyjąć jego prośbę, — gdyby Szamyl zgodził się zamieszkiwać, aul poddany Rosji, a który on sam jemu wskaże. — Oprócz tego żądał od Iczkerińców zakładników według jego wskazania, i z każdego dziesięciu sakli jeden karabin w dobrym stanie.

Oddział pod dowództwem jenerała Grabbe, pozostał w Achulgo do 30 sierpnia, — i przez ten czas zajmował się zniszczeniem fortyfikacyj. — 30go jenerał skierował się ku Temir-Chan-Szurze przez Uncukul. —

Prawa kolumna przybyła 1 września do Gimrów. — Ludność tego obszernego aulu była zawsze skłonna do buntu, — i od czasu Kazi-Mully i Chamzat-Beka, przyjęła nową wiarę. — Teraz przeciwnie, — gdy większa część ich sprzymierzeńców padła na placu boju, a ona nie mogła myśleć o oporze, — wyszła na spotkanie wojsk z chlebem i solą, — przysięgając posłuszeństwo.

Jednakże postępowanie Szamyla w górach iczkeriń-

skich okazywało tylko kłamaną spokojność; zdawało mu się że rząd rosyjski na proste jego przyrzeczenie poddaństwa, powróci wolność czterdziestu rodzinom, najbliższych i najwierniejszych jego stronników.

Dnia 9 września oddział wystąpił z Temir-Chan-Szurze do Czerkióji; — przybywszy nad Sulak, jenerał ujrzał starszych aul, z chlebem i solą, którzy w imieniu mieszkańców oświadczyli, — że przysięgają na wierność i są gotowi spełnić wszystkie jego żądania.

W trakcie tego, trzy bataliony Apszerońskiego pułku, pod dowództwem jenerał-majora Kluki von Klugena, przeszły Sulak. — Ztąd droga przez ciasny wąwóz pomiędzy ogrodami prowadzi do aulu tegoż nazwiska.

Z tyłu aulu wznosi się góra, na której wojska miały się rozłożyć obozem. Awan-garda dotarła już do pierwszych sakli, kiedy morderczy ogień rozpoczęto po obu stronach drogi. —

Ten niespodziewany atak spowodował zamieszanie w szeregach. Widząc się okrążonymi przez nieprzyjaciół i odciętemi od głównego oddziału, wojska cofnęły się w nieładzie i zostawiły jedno działo w ręku nieprzyjaciół. — Zaledwie przeszły most na Sulaku, Czerkiejewcy spalili takowy.

Jenerał Grabbe zajmawszy pozycję na prawym brzegu rzeki, kazał przyprowadzić deputowanych i wyrzucił im ich podle postępowanie; lecz oni upewniali, że również jak Rosjanie, są zdziwieni tą niespodziewaną zasadzką; — że ona mogła tylko być dziełem dwóchset muridów, oba-

wiających się zemsty Rosjan; — i że inni mieszkańcy, nie mieli w niej najmniejszego udziału. —

Rzecz była prawdopodobna, ponieważ deputacja i najznacniejsi mieszkańcy Czerkiej byli w obozie, to jest w mocy Rosjan. Jeneral uważał jednak za stosowne ukarać ich za to, że nie starali się przeszkodzić tej napaści. —

Dnia 10 września oddział poszedł do Miaki i w tym punkcie przeprowił się przez Sulak. — Pomimo podwójnego mostu, naprędce rzuconego, — przeprawa trwała trzy dni. —

Jeneral Grabbe stanął w Jutsch-cze, dnia 14 września. Podczas marszu przybyli do niego Czerkiejewcy, błagając go na kolanach, aby przebaczył co się stało, przysięgając że w tém nie mieli żadnego udziału. — Przeprowadzili pozostawione działo i oświadczyli, że są gotowi przyjąć taką karę, jaką jeneralowi spodoba się naznaczyć, — i że przyjmą wszystkie jego warunki.

Szlachetny jeneral, widząc ich żal i pokorę, nie mógł się dłużej gniewać; nie chciał niszczyć tego bogatego i przemysłowego aulu; — podał im więc następujące warunki: żądał naprzód, aby mu wydano muridów, abreków deserterów, — oprócz tego 40,000 baranów, na 180,000, które posiadał aul; — nakoniec, aby mu dali według jego wskazania, dostateczną ilość ziemi, — na wybudowanie twierdzy, i aby do téj budowy dostarczyli materiałów. —

Czerkiejewcy zgodzili się bezspornie, na wszystko, —

bo w przypadku odmowy obawiali się, aby im wioski nie zniszczono. —

Tak skończyła się kompanja 1839 roku. —

Nadzwyczajne trudy i niebezpieczeństwa, na jakie przez całe lato wojska były narażone, spowodowały konieczną potrzebę spoczynku.

Pora była zanadto spóźniona, aby można było pomyśleć, o rozpoczęciu prac fortyfikacyjnych. Konie artylerji, z powodu braku furazhu, po większej części pozdychały, — inne zaś nie były zdolne do służby wojskowej w górach. —

Ulewnie deszcze zwyczajne w téj porze roku, popsuly zupełnie drogi; — z tych powodów jeneral Grabbe rozpuścił oddział dnia 27 września. —

19 dywizja i część artylerji pod dowództwem jenerala Kluki von Klugenau, wróciły do Temir-Chan-Szury; reszta zajęła zimowe leże na linji. —

Wzięcie Achulgo uważane przez górali za niepodobne do zdobycia, było wypadkiem nadzwyczajnym w rocznikach Kaukazu.

Cesarz tak dalece był przekonany o ważności tego zwycięstwa i uspakajającym wpływie na umysły Tatarów, że na uwiecznienie pamiątki tego zaszczytnego dnia, rozkazał wybić medal i takowy na wstążce ś. Jerzego rozdać wszystkim, co przyjęli udział w oblężeniu Achulgo. — Trzeba przyznać także, że wytrwałość i waleczność wojsk zasłużyła na ten znak odznaczenia, — ponieważ walczyły nie tylko przeciw znacznym siłom, ale co ważniejsza, przeciw naturalnym przeszkodom.

Szamył, jak widzieliśmy, schronił się do Iczkieruńców, z kąd posłał do rządu rosyjskiego akt poddaństwa. —

Trudno odgadnąć, czy uczucie szlachetne podyktowało mu te warunki pokoju, czyli też było tylko zamaskowaniem niegodnych zamiarów, jak to wypadek w Czerkowie zdaje się potwierdzać. Nie wiemy także, w jaki sposób umiał odzyskać utracone zaufanie. —

To pewna, że wzięcie Achulgo uczyniło go ostrym; — postanowił rozpocząć wojnę partyzancką. — Rosjanie zaś wzmocnili swoją pozycję trzema fortami na Sundży. —

Jesień 1839 i wiosnę 1840 roku, Szamył poświęcił na zbuntowanie ludów kaukaskich przeciw Rosji; — podróżował sam, od auli do auli, wysyłając na wszystkie strony swoich zaufanych muridów, z taką samą propagandą. —

Gdzie fanatyzm i perswazje nie znajdowały echa, — zabierał siłą zakładników, — uprowadzał stada, jedyne dobro tych biednych ludzi a często niszczył ich aule. —

Salatawcy a szczególnie Czerkowiejcy, pozostawali wiernymi Rosji; postanowili nawet siłą odeprzeć Szamyła. —

Ten ostatni zjawił się dnia 5 czerwca pod Grozną, w aulach czeczeńskich; dnia 6 oddział wojsk pod dowództwem generała majora Pullo, wystąpił przeciw niemu.

Szamył czując się za słabym, aby zmierzyć się z wojskiem w regularnej bitwie, cofał się ciągle; — tymczasem generał-lejtnant Golofiejew, objąwszy dowództwo nad

wojskami lewego skrzydła i w północnym Dagestanie przybył do Groznój dnia 1 kwietnia.

W Groznój znajdowało się cztery bataliony Kuryńskiego pułku strzelców, dwa działa 20tej brygady i dwa działa 12tej kozackiej brygady, tudzież czterdziestu czterech kozaków liniowych.

W Umachanjurcie: batalion Kabardyńskiego pułku i siedmdziesięciu pięciu kozaków liniowych. —

W Tasz-Kiczu: kompania 10liniowego batalionu. —

W Gerzel-Aule: 1 i 2 batalion liniowy, czterdziestu kozaków liniowych, stu ludzi milicji Kumyjskiej pieszej i pięć dział.

W forcie okolo Starego-jurta: czterdziestu ludzi Kabardyńskiego pułku i siedmiu dziesięciu pięciu kozaków liniowych. —

W Amir-Hadzi-Jurcie: trzydziestu ludzi Kabardyńskiego pułku i ośmiu dziesięciu kozaków liniowych. —

We Wniezapnėj: dwie kompanie 10 liniowego batalionu. —

Dla zapewnienia bezpieczeństwa linii wezwano trzy pułki kozaków liniowych; — Mozdokski, Grebeński i Kizlarski, — liczących razem sześćset ludzi, których oddano pod dowództwo komendanta Władykaukazu.

Oficerowie mający oddzielne komendy na lewem skrzydle i centrze, mieli również obowiązek zrekrutowania wskazanej liczby milicji, która w połączeniu z Kozakami miała być rozmieszczona po wielu fortach nad Terekiem i Sundżą.

3ci batalion Kabardyńskiego pułku, rozlokowany w Umachanjurcie, zajął pozycję po drugiej stronie Sundży,

w bliskości pokornego aulu, w przyczółku improwizowanego mostu.

Trzeci batalion Apszerońskiego pułku, w marszu z Temir-Chan-Szury, wysłano na obserwację do pokolenia Auchów, okazujących skłonność do połączenia się z Szamyłem; otrzymał przytem rozkaz utrzymywania wolnej komunikacji między fortami Gerzel-Aul i Tasz-Kiczu; dodano mu do pomocy pięćdziesięciu ludzi milicji z oficerem.

Major Pullo, komendant Umachan-jurta, miał się połączyć z batalionem Apszerońskim w razie, gdyby postępowanie Szamyła względem Auchów, zdradziło oczęwiste zamiary.

Tym sposobem można było w potrzebie połączyć natychmiast cztery bataliony i siedm dział, dla obrony posiadłości Kumyjskich i przeszkodzić Szamyłowi w jego wyprawie na Auchów.

Oprócz tego znajdował się w okolicach Władykaukazu słabszy oddział pod dowództwem pułkownika Nestorowa, przeznaczony do przykrycia wojenno-gruzyjskiej drogi, do utrzymania ludności w posłuszeństwie i zabezpieczenia miasta od ataku.

Ten oddział w ciągu ekspedycji w Czeczeni, miał działać razem z głównym korpusem. — Nakoniec formowano jeszcze inne małe, podczas tej kampanji, z części wojsk obozujących w Groznój, — pod rozkazami generała Pullo i pułkownika Frejtaga.

Trudno jest oznaczyć dokładną liczbę wojsk działających w tej wyprawie, a to z powodu ich ciągłych ruchów.

Z początku działań generał-lejtnant Golofiejew miał pod swym dowództwem: dziewięć batalionów z pułków: Apszerońskiego, hrabi Paskiewicza, i Kabardyńskiego, dwadzieścia dwa działa, pięć set Kozaków liniowych, dwieście góralskiej milicji i dwieście Saperów.

Oddział Sundżyński, mający działać w okolicy Nazranu, składał się z batalionu Tyfiskiego pułku strzelców, z kolumny liczącej trzystu ludzi i ośmiu dział. Oprócz tego stu góralskich Kozaków i trzystu milicji.

Generał Golofiejew mógł jeszcze w razie potrzeby dołączyć 4ty batalion Kabardyńskiego pułku, a liczbę góralskiej milicji, podnieść do sześciuset. Miano jeszcze zawezwać z za Kaukazu, cztery kompanje dla strzeżenia wojenno-gruzyjskiej drogi. —

W trakcie tego Cesarz rozkazał wysłać na Kaukaz: dwadzieścia cztery kompanje 6go korpusu, liczące sześć tysięcy czterdziestu czterech ludzi; rezerwową dywizję 5go korpusu, liczącą cztery tysiące sześć set pięćdziesiąt dwóch ludzi; sześć pułków dońskich Kozaków, liczących cztery tysiące pięć set ludzi; drugą baterję Kozaków dońskich, mającą ośm dział. —

Wyprawa 1840 roku upoważniona przez cesarza, miała na celu, wzmocnienie trzech pozycji, dla zabezpieczenia posiadłości Kumyjskich i Szamchala Tarkowskiego; postanowiono zacząć od Czerkiń i Gerzel-Aul.

Te roboty, chociaż tylko ziemne, z siedmioma bastionami i wieżą z kamienia, — szły bardzo wolno, — bo wojska zajęte przeprowadzaniem dział, materiałów do budowy, żywności itp.: zmniejszały liczbę rąk. Oprócz tego



generał był zmuszony przedsiębrać dwukrotne wycieczki przeciw Auchom i Salatawcom, których obecność pewnej liczby muridów podniecała do buntu. Przeszło dwa miesiące pracowano usilnie nad fortyfikacjami; Szamyl przez ten czas także nie zasypiał.

Wspomnienie niepowodzeń w przeszłej kampanji, ogromne straty przy wzięciu Achulgo, zmusiły go do zmiany taktyki.

Podzielił swoje siły na wiele oddziałów, pod rozkazami; Achwerdi-Mahoma, Saib-Mulla, Taszaw-Hadži, Dżewad-Chan i innych.

Przedsiębrał wycieczki na ziemię Kumyków, grożąc linji, lub wojennej drodze Kizlarskiej, — to znówu do Awarji i posiadłości Szamchalskich. —

Ażby zwiększyć liczbę stronników, rozsiewał wszędzie wieści, że Ibrahım Pasza spieszył mu na pomoc z potężną armją. Tęmi i innymi podobnemi wykrętami udało mu się zmusić część Czeczeni i niektóre auly Dagestanu, do przejścia na jego stronę.

Kabarda nawet już zaczynała się burzyć, lecz wczesnie przedsięwzięto środki do jój uspokojenia.

Nakoniec dnia 28 lipca, generał Golofiejew przybył z oddziałem do Groznój, a 29 rozpoczął kampanją w Czeczeni. —

Pierwsza wyprawa odbyła się prawie bez oporu, lecz w drugiej wojska odbyły trudną walkę. — Nad brzegami rzeki Walerik, nieprzyjaciel porobił zasieki; — w gęstwinie lasu, pokrywszy się w krzakach i na wierzchołkach drzew, strzelał do wojska bezkarnie; — aż dopiero gdy

został odkryty, zawiązał się bój ręczny, w którym Rosjanie zwyciężyli. —

Następnego dnia Golofiejew spotkał oddział generała Labińcowa, złożony z trzech batalionów piechoty, sześciu dział i około sześciu set Kozaków. —

Szamyl jednakże ciągle marzył o zdobyciu Awarji i Dagestanu; — jedenaście aulów awarskich już mu się poddało, a reszta słaby stawiała opór. — Hadži-Murad, który z powodu osobistych nieporozumień z Achmed-Chanem-Mechtulińskim, — przeszedł do Szamyla, wkroczył do Dagestanu, w posiadłości Szamchala Tarkowskiego; lecz generał Kluki von Klugenau zadawszy mu straszną klęskę dnia 10 lipca, zmusił go do szukania schronienia u Salatawców, którzy wraz z Czerkijewcami przeszli na jego stronę.

Generał Golofiejew dowiedziawszy się, że Szamyl jest w Dagestanie, przybył natychmiast do Temir-Chan-Szury.

Niespostrzegając bliskości niebezpieczeństwa, pozostawił tylko generałowi Kluki von Klugenau dwa bataliony; — a sam powrócił do Czeczeni dla ukończenia robót fortyfikacyjnych.

Rozkaz głównodowodzącego polecił mu zaniechać robót, a ograniczyć się tylko ukaraniem złantowanych Czeczeńców. —

Czeczeńcy nie otrzymując żadnej pomocy od Szamyla, wysłali starców do głównodowodzącego, do Tiflisa z ofiarą poddaństwa.

Powiedzieliśmy wyżej, że Hadži-Murad pokrzywdzony przez Achmed-Chana-Mechtulińskiego, możnego władzcę

i posiadającego stopień jeneral-majora, z którym walka była nierówna, przeszedł na stronę Szamyla. Ten krok spowodował wielką niechęć w mieszkańcach Awarji, którzy wysoko ceniąc osobiste zalety Hadži-Murada i pomni jego siedmioletnich rządów w Awarji, zaczęli głośno sarkać na tę niesprawiedliwość. —

Jeden z najgłówniejszych naczelników awarskich, Kibit-Mahoma z Teletli, przeszedł równie do Szamyla i pociągnął za sobą wiele innych pokoleń. —

Wzięcie i potęga Szamyla wzrastały co dzień, do tego stopnia, że zaczęły na serjo niepokoić Tiflis. Postanowiono ostatnią przeciw niemu wyprawę, a jeneral Galwin, następca głównodowodzącego, barona Rosen, przyjął osobiście dowództwo; — kampanja rozpoczęła się na wiosnę 1841 roku. —

Szamył uwadomiony przez swych szpiegów o tych przygotowaniach — przedsięwziął środki energicznej obrony. Lecz przeszkody, jakie napotykał, były tym razem i ważniejsze i trudniejsze do przebycia, aniżeli wszystkie, z jakimi walczył dotychczas. —

Górale dowiedzieli się, że Sardaar (główny dowódca) szedł prze i w nim, z wielkimi siłami, a wiadomość ta pogrążyła ich w trwogę. — Sama nazwa, Sardaar, — od czasu Jermołowa, (djabel rosyjski) pozostawiła straszne wspomnienie.

Szamył używał wymowy i wszelkiego rodzaju gwałtów, aby utrzymać przy sobie niestałe pokolenia.

Pierwszy atak skierowano na Czerkiej, jako najważniejszy pod względem przemysłu i bogactwa, mówiliśny

już o wartości jego położenia, w opisie wypraw 1839 i 1840 roku.

Pomimo ceny, jaką Szamył przywiązywał do posiadania tego aulu, nowo zdobytego, odznaczającego się raczej przemysłem, aniżeli wojowniczym duchem mieszkańców, nie śmiał sprzeciwić się zajęciu onego przez wojska. Wolał bez wystrzału ustąpić z miejsca, niż z samego początku narażać swoje bandy na wystrzały armatnie. Jego oddziały składają pokolenia połączone wypadkowo, których wzajemna nienawiść ustala na chwilę pod żelazną ręką przymusu. W tym celu utrzymuje one w tém przekonaniu, że ich niezwyciężony wódz jest prorokiem, wysłańcem samego Boga! — że porażki, jakich doświadczył, nie są skutkiem jego nieudolności, lecz znakiem gniewu Allacha, — karą za ich bezbożność i niewiarę. —

W tej właśnie wyprawie 1841 roku Szamył miał się po raz pierwszy spotkać z samym Sardaarem. Przewidywał on dobrze, że w walce z takim przeciwnikiem, najlepsze powodzenie, zwiększyłoby jego potęgę w oczach muridów, — najmniejsze zaś nieudanie się osłabiłoby takową więcej, aniżeli wszystkie odniesione przez Rosjan zwycięstwa, aniżeli wszystkie porażki, jakich kiedykolwiek doświadczył. —

Zmuszony był tém bardziej działać bardzo oględnie, bo pokolenia pograniczne; Auchy, Salatawcy, Gumbatawcy i Andyjcy, — były właśnie te, na które najmniej mógł liczyć.

Na krótko przedtém kazał on zamordować Kazi Andyjskiego, który dowiedziawszy się o zbliżeniu wojsk, przed-

stawił się Sardaarowi i zapewnił go o swęj wierności. — Kazi pozostawił w Gumbecie i Andji wielką liczbę krewnych i potężnych przyjaciół, — ci zaś mszcząc się, użyli wszelkich środków, aby ludy podburzyć przeciw Szamylowi; — i nakłonili ich do wysłania zakładników wraz z chlebem i solą, na znak poddaństwa, do obozu rosyjskiego. Inne pokolenia poszły za przykładem sąsiadów. Jeneral Golowin rozpoczynając w Czerkij budowę twierdzy, którą nazwał od swego imienia: Eugeniewską, zakończył kompanję 1841 roku.

Z początkiem 1842 roku jeneral Fezi mianowany przez głównodowodzącego, gubernatorem Dagestanu, — powziął następujący plan kampanji: Miał on naprzód wkroczyć do Czezeni, znajdującą się na północy Dagestanu i pokrytą górami, zdobyć Dargo, rezydencję Szamyla, i stanowczo położyć koniec muridyzmowi. Górale osłabieni długimi walkami, musieli się trzymać obronnie.

Tymczasem zebrano silny oddział wojsk, i takowy na wiosnę wkroczył na ziemię nieprzyjacielską, pod dowództwem jenerała-adjutanta Grabbe, jednego z najzdolniejszych jenerałów. — Tatarzy obawiali się go niezmiernie i wspominali okropne sceny, których wzięcie Achulgo było widownią. —

Do Dagestanu przybywał drugi oddział pod dowództwem księcia Argutyńskiego-Dolgorukiego; miał on na celu odebranie chaństwa Kazikumyjskiego i powstrzymanie od buntu plemion pogranicznych. —

Ludy Dagestanu były przerażone, dowiedziawszy się, że Grabbe dowodzi; Szamyl zrozumiał także, że niedługo

będzie mógł bronić Dargo, przeciw siłom rosyjskim; — dla tego też przeniósł swą rezydencję do Andalał, w nadziei, że ztamtąd będzie mógł rozciągnąć władzę między Samurą i Kojus. —

Swoją rodzinę, jako też i swych głównych pomocników, — swoje i ich mienie, rozkazał jak najspieszniej wysłać do Andji. — Na przypadek porażki mógłby takowe wysłać do miejsca bezpiecznego, w góry Gumbetu, gdzie im przygotował schronienie osłonięte sztuką i naturą. —

Szamyl z pomocą Achwerdi-Mahoma, swego najbliższego towarzysza broni, postanowił osobiście dowodzić wyprawą muridów.

Pierwszą bitwę stoczyła awangarda oddziału Samurskiego. — Trzystu ludzi z kilku działami, pod dowództwem kapitana Orbeliani, odnieśli zwycięstwo przy Ricza-Czaj, nad tłumami Tatarów prowadzonych przez Hadzi-Jagwia. Ci ostatni stracili około stu ludzi w zabitych i niewolnikach. Przestrach owładnął Kazikumykami i cały Dagestan silnie to uczuł.

Po obleżeniu i wzięciu Cziracha, przez księcia Argutyńskiego — Dolgorukiego, — tenże pozostawiając dostateczny garnizon, w aule Czirach, udał się ku Kumykowi i takowy po krótkim oporze zdobył.

Wtedy przybył Szamyl wraz ze swymi naibami, Achwerdi-Mahoma, Hadzi-Murad, Kibit-Mahoma Teletliński, Abdul-Rachman, Hadzi-Jagwia i wielu innemi znakomitszemi naczelnikami. — Obszedł i otoczył oddział Samurski, starając się zająć taką pozycję, aby mu przeciąć

wszelką komunikację z Derbentem, Kubą i Achtałi. — Kiedy Szamyl zajęty był w środkowym Dagestanie, generał Grabbe przeniknął do środka nieprzyjacielskiej Czezeni, będącej pod zarządem Saib-Mully.

Pierwsze spotkanie było w lesie iczkieryńskim; — z obu stron straty były znaczne; Saib bronił się uparcie, przewidując jednakże, że nie będzie się mógł długo utrzymać przeciw tak silnemu nieprzyjacielowi; wysłał więc spiesźnie gońca za gońcem do Szamyla, z żądaniem pomocy. — Po kilku dniach nie odbierając ani pomocy ani odpowiedzi, napisał do murszida, że jeżeli natychmiast nie przybędzie z pomocą, ucieczka tylko może go ratować od zupełnej zagłady; że generał Grabbe zbliżał się do aulu Szuana, a gdy nim owładnie, stanie się panem całej Andji i Czezeni. —

Szamyl pospieszył natychmiast ratować Dargo i Szuana i skierował się ku iczkiryńskim lasom.

Od wzięcia Achulgo po raz pierwszy znalazł się na przeciw generała Grabbe. — Szamyl pojął, że od wypadku tego spotkania zależy będzie los jego; — jeżeli wojska zwyciężą wpływ muridów, na zawsze zniszczony, to też nie czynił z tego w obec swych band żadnej tajemnicy i zażądał od wszystkich naibów, aby przysięgli na Koran, że zwyciężą lub zginą. —

Bitwa w lasach iczkieryńskich była najzaciętsza i najstraszniejsza, o jakiej kiedykolwiek roczniki kaukazkie wspominały. —

Zwycięstwo zostało przy Szamylu; — generał Grabbe

szybkim i zręcznym odwrotem ocalił wojska od wielkiej klęski. —

Dargo było ocalone, — triumfalny powrót Szamyla hucznie obchodzono. —

Podczas wypadków w lesie iczkieryńskim książę Argutyński zajął Kazikumyk, — zwałił zarząd istniejący i oddał władzę nad chaństwem Abdu-Rachmanowi, synowi Omara, brata Aslan-Chana, który rządowi rosyjskiemu był zupełnie oddany.

Generał Grabbe wzmocniwszy swój oddział, wystąpił z Temir-Chan-Szury przeciw Igali, — tam po raz drugi spotkali się z Szamylem, — ale tym razem w odkrytym polu, — i pobivszy muridów, zdobył aul, — i przedsięwziął odwrotny marsz do Temir-Chan Szury. Muridzi wściekli widząc się pobitymi, niepokoili ciągle wracający oddział, starając się tym sposobem pomścić swoje niepowodzenie. —

Chociaż w lesie iczkieryńskim zwycięstwo pozostało po stronie Szamyla, — triumf ten kosztował go kilka tysięcy najlepszych muridów.

Bitwa pod Igali zakończyła kampanię 1842 roku.

W tym samym czasie przybył na Kaukaz minister wojny, książę Czernyszew, — wysłany przez cesarza z missją, o której mówiłem na wstępie. —

Wskutek tego zawieszono wszelkie zaczepne kroki. —

Miejsce generała adjutanta Gołowina, zastąpił jako głównodowodzący na Kaukazie, generał-adjutant Neidhart.

Powiedzieliśmy wyżej, jakie były skutki rozporządzenia i planu księcia Czernyszewa, — dodamy tylko, że

druga połowa 1843 roku była szeregiem strat i klęsk, jakie wojska ciągle ponosiły. —

Wytrzymałyśmy dwa długie i bardzo dotkliwe oblężenia; — jedno w Ziranach, a drugie w Temir-Chan-Szurze.

Rok 1844 odznaczył się tylko ważniejszą wyprawą do Akuszy, pod osobistym dowództwem generała Neidharta; — rezultat onój był nieznaczący. —

W roku 1845 cesarz naznaczył namiestnikiem na Kaukazie, hrabiego Woroncowa. — Jego nominacja obudziła wielkie nadzieje; — hrabia otrzymał ogromną władzę, atrybucje prawie cesarskie. — Korpus zwiększono, namiestnik miał prawo wybierać, naznaczać, nagradzać i podwyższać w stopniach, — oficerów i urzędników; — wszystko to podniosło energię i postawiło korpus w najświetniejszym stanie. —

Hrabia (później książę) Woronców, miał zamiar nie przedsiębrać żadnych zaczepnych kroków w ciągu 1845 roku, — ażeby mieć czas wystudiować pozycję, zapobiedz najgłówniejszym potrzebom w prowincjach rosyjsko-tatarskich, — i poprobować zgodnego uspokojenia; — lecz otrzymawszy formalny rozkaz atakowania Dargo, zmuszony był przedsięwziąć tę wyprawę. — A lubo takowa skończyła się zdobyciem Dargo; — jednakże zwycięstwo to zanadto wielkimi ofiarami zostało opłacone.

W tym właśnie czasie zmuszony będąc z powodu ran prosić o uwolnienie ze służby, — nie mogłem już być naocznym świadkiem dalszych wojennych działań na Kaukazie, i dla tego o nich pisać nie będę. —

Nie mogę jednak powstrzymać się od opisu wzięcia Gunibu, — gdzie cała karyera wojskowa i polityczna Szamyla skończyła się, od chwili, kiedy zwyciężony zdał się na łaskę rządu rosyjskiego. — Jest to epizod, mający pod każdym względem wielką doniosłość, — a którego szczegóły nie są bez interesu. —

Przytaczam tu ustęp z dzieła barona Ernouf, — i z opowiadania barona von Tielmann. —

„Wyszedszy z tego znamienitego wąwozu, kawalkada wdrapała się po krótkiej pochyłości, ocierając się o górę Gunib, od strony północno-zachodniej, — następnie spuściła się w dolinę oblaną strumieniem, wpadającym do Awarskiego Kojusu, nazwanego także Kara-Kojusu.

Po prawej stronie otaczały prostopadle straszne urwiska, ostatnie szczyty niepodległości Kaukazkiej. — Na wystającej skale, przylepiony jak orle gniazdo, przedstawił się dom komendanta placu. — Tutaj komendant już nie jest, gruzyjski *ksigze*, jak to spotykaliśmy w fortach drugorzędnych, — gdzie jak się zdaje, przez podobne wybory, chcą zaspokoić miłość własną krajowców. — Na górze Gunib, z którą się łączą tak ważne dla Rosji wspomnienia wojskowe, ona otwarcie potwierdza swoje zwycięstwo; garnizon na tym głównym punkcie jest pod rozkazami rosyjskiego generała. —

„Dostaliśmy się na wojenną drogę, która długim szeregiem silnych szczytów, dotyka niższej płaszczyzny, na której zbudowano koszary. —

Jest tam także i oberża skarbowa, gdzie przepędziliśmy noc.

Nazajutrz, dnia 8 października 1872 roku, dzień poświęciliśmy zwiedzaniu tej góry, podwójnie interesującej, — swoim wyjątkowym kształtem, i wspomnieniem wypadków 1859 roku!

Właśnie na tej niższej płaszczynie, już wysokości na 4,000 stóp, znajdował się aul, gdzie Szamyl na wiosnę 1859 roku zgromadził ostatni co mu pozostali wiernymi. —

Wybór tego miejsca czyni zaszczyt wojskowemu oku wodza; zdawał się zapewniać ocalenie w teraźniejszości a w przyszłości odwet. — Dziś jeszcze, pomimo wojennej drogi, dostęp jest nadzwyczaj trudny; — proszę więc sobie przedstawić, co to być musiało w stanie pierwotnym, zwłaszcza przy obronie ludzi gotowych na wszystko!

Ta płaszczyna co formuje rodzaj przylądka przedłużonego na wschodnim boku Guniba, łączy się z wyższą częścią góry, obszernym tarasem, który, wyjąwszy to przedłużenie, dotyka ze wszystkich stron do śpiczastych urwisk, nadzwyczajnej wysokości. Ten ogromny odłam kamienia, ma podobieństwo stołu, na którym ziemia, jako czuła matka, chciałaby zastawić ucztę dla Titanów. W wulkanicznem wstrząśnieniu; które wysadziło te masse, okazało się w środku wyższej powierzchni i przez całą długość, głębokie złamanie dające górze dziwny kształt stołu, którego ruchome przedziały zgięły swoje podpory. Przyparty do tego ogromu Szamyl sądził się niezwyciężonym.

Jednakże rosyjskie wojsko, postępowало tuż za nim. Okrążyło górę a jego główny wódz, książę Barjatyński,

obrał sobie kwaterę na wystającej skale naprzeciw nieprzyjacielskiej pozycji.

Położenie oblegających, zdawało się nieprzyjazne. Atak z frontu nieprzedstawiał żadnej szansy powodzenia. — Nie można także było myśleć, aby głodem zmusić załogę do poddania. Szamyl zaopatrzył się w żywność na kilka miesięcy, a góra dostarczała podoostatkiem wyborną wodę. Z drugiej strony, zima tak ostra w tych okolicach, zmusiłaby wkrótce do odstąpienia. — Jeżeli wojsko odstąpiłoby po przegranej lub bez rezultatu, wszystkie poprzednie korzyści były stracone . . . Śmiały napad zmienił postać rzeczy.

W nocy dnia 6 września (27 sierpnia), kilka kompanij rosyjskich, podzielone na dwa oddziały, wdrapały się na górę, od strony zachodniej i południowo-zachodniej przez urwiska, gdzie jeden człowiek, rzucając kamienie, mógłby ich być zatrzymać.

Wzięci z nienacka z tyłu, i w tym samym czasie zaatakowani z frontu przez główne siły, muridzi słabymi tylko stawiali opór, a Szamyl zmuszony był zdać się na łaskę.

Internowany do Kaługi, pozostawał tam aż do 1868 roku, następnie, otrzymał pozwolenie udania się do Mekki, gdzie umarł przed dwoma laty dożywszy prawie lat osmdziesięciu.

W ostatnich latach swego życia oślepl, tak jak Ziska; i to nie jest jedyne podobieństwo, jakie zachodzi między dwoma znakomitemi wodzami.

Lecz wódz Hussytów był szczęśliwszy, bo nie doznał ani klęski ani niewoli. —

Potrzebowaliśmy sześć godzin, aby przebiec na koniu, wszystkie historyczne miejscowości góry.

Pamiętkowy kamień wskazuje miejsce spotkania głównie dowodzącego z Szamylem; czyta się następujący, wojskowo-lakoniczny napis „1859 rok, czwarta po południu, książę Barjatyński.“ Aul, znajdujący się o sto kroków dalej zrównano z ziemią, oprócz domu Szamyla, niczem nieróżniącego się od zwykłych sakli dagestańskich. — Na końcu małej werandy, znajduje się cela żołnierza proroka, w której tylko jeden człowiek może się położyć. —

W bliskości tego mieszkania pokazują rodzaj jamy, pozbawionej światła i powietrza, służącej na więzienie, gdzie Szamyl zamykał swoje ofiary. —

W 1871 roku, kiedy tarasniejszy Cesarz zwiędzał Gunib, — wszedł prosto z Karadachskiego wąwozu, przez podziemie wykopane umyślnie, i prowadzące aż do domu Szamyla.

Przesłiczny i rozległy widok, który podziwiamy z tej wysokości, musiał być nieporównanie więcej uderzający przy wyjściu z tego tunelu, — tenże z przecieku wody, stał się już niepodobnym do przebycia w 1872 roku.

Droga nadzwyczaj stroma, idąca zygzakiem, opierając się po większej części na wiadukach, tak dalece ten grunt jest urwiskami poprzęzynany, — prowadzi z pierwszego tarasu na płaszczyznę wyższą.

Pomimo wszystkiego co mówią o uczuciach przyjaznych i pokojowych krajowcach, — Rossjanie nie zapominają, że baczność jest matką bezpieczeństwa. — Tak wzmo-

cnili Gunib, że zdobyć go, stało się istotnym niepodobieństwem.

Droga wozowa, prowadząca do wyższej płaszczyzny, kończy się właśnie w jednym z miejsc, przez które wdarli się żołnierze w 1859 roku. — Wdrapywali się oni przez dziurę prostopadłą, czyli *komiu*, pogrążający się prostopadłe w przepaść; — z trudnością można rozpoznać, tu i owdzie, kilka wydatności, mogących służyć za punkt oparcia.

Z pamiętnego miejsca, na które wyszli żołnierze Apszerońskiego pułku, i na którym podobało się Cesarzowi przepędzić noc, w czasie jego wycieczki w 1871 roku, wschody dostępne dla koni prowadzą na wierzchołek góry, (17,718 stóp angielskich). Ztąd przedstawia się najcudowniejszy widok na cały północny Dagestan; na zachód wznosi się dziwaczna góra, *Kufer*; — wzrok zanurza się prawie prostopadłe w głębokie a wąskie rozpadliny otaczające Gunib. — Zdawałoby się, że przyroda chciała dać tamiecznym mieszkańcom przykład wściekłego rozhułania. — Wszystko tu nosi cechę najstraszniejszych wstrząśnień wulkanicznych; — i mało jest krajów, co by tyle zajęcia przedstawiały geologom.

Zstępując z góry, podróżni zwiędzali miejsce, na które jednocześnie, wdarł się pułk Dagestański; — to znowu *komiu*, który im się nie zdawał wygodniejszy od pierwszego.

Chociaż ci nieustraszeni czołgacze, walczyli tylko przeciw naturalnym przeszkodom, można by o nich powiedzieć jak o ulanach polskich pod Samo-Sierrą lub Zuawach pod

Małachowem; — „Udało im się, jednakże to było niepodobieństwem!” —

Na tém kończą się działania wojenne na Kaukazie; — z wzięciem Szamyla i wojna się skończyła. —

Od owęj chwili, rząd wprowadza do kraju wszelkiego rodzaju ulepszenia; — rolnictwo, przemysł i handel wzrosły w sposób zadziwiający, — byt mieszkańców staje się coraz więcej szczęśliwszym. —

Oswobodzona od strasznej, wyniszczającej wojny, — ludność ciągle wzrasta, — bogactwo krajowe pomnaża się, — obyczaje łagodnieją. —

Z otwarciem komunikacji z Europą, cywilizacja, choć bardzo powoli, zaczyna już w niektórych miejscach brać górę nad dzikością i barbarzyństwem.

Ten przeczudny kraj, kolebka rodu ludzkiego, pozostając od wielu wieków, w stanie ciemnoty i dzikości, był ciągłym postrachem dla sąsiadów; — ludy jego roznosząc morły i zniszczenia w ościennie kraje, pozostawały między sobą, w ciągłych a morderczych walkach; — napadając i rabując się wzajemnie, — doprowadziły się do nędzy i wyludnienia. —

W chwili kiedy to piszę, odbyła się w Brukselli, z inicjatywy króla Belgów, Léopolda II konferencja międzynarodowa, mająca na celu rozwiązanie największych problemów, jakie nauka i filantropia, podnosiły w ostatnich czasach.

Ta konferencja, zwróciła na siebie i na jej przedmiot uwagę całego cywilizowanego świata.

Wszyscy, bez wyjątku, unoszą się nad wielkością i szlachetnością idei, — wszyscy pragną przyjąć udział, w tém wielkiem dziele, jakim jest wprowadzenie cywilizacji do środkowej Afryki. —

Pan Emil Banning, jeden z członków konferencji tak się wyraża:

„Jakikolwiek mogłyby być w obecnej chwili zajęcia, jest to wielka, szlachetna myśl, co wzywa umysły do skupienia uwagi na główny i najwyższy interes ludzkości.

„Dla poglądu, z wysokości historii, obejmującego dziedzinę ziemską, wiele niespodzianych jasności opromienia widnokrąg narodów, i ukazuje ich działalność pola dziewicze.

„Kiedy stare europejskie narody, niecierpliwiąc się w ciasnych granicach, bez przerwy rozszerzają obręb ich cywilizującej działalności, jakże można nie przeczuwać blizkich losów obszernej ziemi, trzy razy większej od Europy, zamieszkałej przez dwieście milionów ludzi, — i dotykającej swym zachodnim brzegiem, Hiszpanji, Sycylii, Grecji? —

„Potrzeba było czterech wieków dla pokrycia dwóch Ameryk, krajami cywilizowanymi i szczęśliwymi; India stała się prowincją Angielską, tak jak środkowa Azja staje się prowincją rosyjską; — Japonia przybiera barwę państwa europejskiego; Chiny przez zbieg okoliczności, otwierają się dla dyplomacji i handlu; Australia i Nowa



Zelandja, przedstawiają w antypodach niektóre ustanowienia angielskie, dotyczące reform politycznych i społecznych!" —

Czyliż to wszystko nie przekonywa nas dostatecznie, o potrzebie cywilizacji, — i o obowiązkach jakie leżą na ościennym narodzie tego kraju, gdzie brak cywilizacji i oświaty jest oczywistym?

Świat cały poklasnął wielkiej idei szlachetnego króla Belgów, — czyliż Kaukaz, nie miał przynajmniej równych praw jak Afryka do naszej sympatii? — i czyliż każdy uczciwy i zdrowo myślący człowiek, nie powinien przyklasnąć rozwojowi cywilizacji i dobrobytu, jakie dziś aż nadto widoczne są w tym precudnym kraju? —

Wszystkie powyżej wzmiankowane państwa, kwitujące obecnie wolnością, naukami, przemysłem, handlem i t. p.; doszły do tego szczęścia krwawymi ofiarami; w Afryce również wiele krwi przelać, wiele klęsk przecierpieć potrzeba będzie, zanim ten barbarzyński kraj zdoła pracować na własny rozwój; zanim oceni humanitarne prace starszych braci, podjęte dla jego szczęścia!

# WSPOMNIENIA

## KAUKAZU

PRZEZ

H. JAWORSKIEGO.

---

CZEŚĆ II  
(Epizody z życia Kaukaskiego.)

---

POZNAŃ.  
NAKLADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.  
1877.

### CZEŚĆ III.

zamykająca całe dzieło zawierać będzie

(Ajchanym.)

*Deskarsia Handke i Chociszynski w Pomaniu.*

### I.

Trzydzieści lat upłynęło jak opuściłem kraj, o którym dziś piszę, czerpiąc z pamięci wypadki, jakich byłem świadkiem, i malując jego czarowną przyrodę, której obrazy dotąd z całą żywością przedstawiają się wyobraźni.

Kaukaz! ta kolebka świata, — jakże on zawsze jeszcze jest piękny, jak uroczo uderza widokiem swym zdziwione oko, — strojny w pyszne ogrody, zielone gaje i łąki jaśniejące mirjadami różnobarwnych kwiatów, — poważny niebotycznymi góry, spoglądającymi dumnie z pod śnieżnych zawojów na szeroko ciągnące się dziewicze lasy, na mnogie, na kształt jaskółczych guiazd, poprzylepiane do skał auly, a na dolinach rozsiadłe miasta.

Wszystko to wielkie, majestatyczne, wzbudzające podziw i uwielbienie dla Twórcy tylu cudów; — człowiek tylko mały, w obec tej dotykanej wielkości Boga, mimowolnie się korzy czując się znikomym prochem.

Rzeczy powszednie czynią na nas wrażenie względne, zależące od osobistego usposobienia. Jak np. nędzna wioseczka okolona kilkoma mizernymi drzewkami, przed-

stawi nam się czarującą arkadją, gdy nań patrzymy pod wpływem podzielanej miłości, wesela duszy i sprzyjających okoliczności; w przeciwnym razie ukaże nam tylko chałupy brudne, odarte z wszelkiej poezji, tętnące smutną jałowój rzeczywistości prozą. Powtórzenie prostej melodji, na którą inaczej niezwrócilibyśmy najmniejszej uwagi, jak czarowny wpływ wywiera, gdy się z nią łączą wspomnienia minionych chwil szczęścia i rozkoszy!

Lecz to, co nosi na sobie piętno niezaprzeczonej wielkości, jest zawsze pięknem, i niezależnie od stanu umysłu lub okoliczności zmusza nas do uwielbienia.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem Kaukaz, byłem w usposobieniu, w jakim świat i życie człowiekowi nie miłe — jednakże nie mogłem obojętnem okiem spoglądać na jego wspaniałą piękność, przedstawiającą się co chwila w nowym blasku, darząc wędrowca coraz nową i cudniejszą niespodzianką. Odetchnąłem pełną piersią orzeźwiającym powietrzem gór, nabrałem otuchy, wypotężniałem duchem i z nadzieją w sercu radośnym okiem spojrzałem do koła siebie. — Tę szczęśliwą ziemię, prawdziwie miodem i mlekiem płynącą, możnaby nazwać rajem, gdyby ludzie nie uczynili jej widownią mordów i rozboju, — gdyby miłość bliźniego nie ustąpiła miejsca rozkielznanym namiętnościom, dla dogodzenia którym własność, szczęście, a nawet i życie bliźnich za nic waży.

Niezmiernie skarby w łonie Kaukazu ukryte od najdawniejszych czasów uczyniły go widownią łakomych najazdów. W mytycznej już epoce wyprawa Argonautów pod wodzą Jazona dała początek podaniu o złotém runie

Kolchidy. Następnie Persowie, Arabowie, Turcy, Grecy Ormianie, Rzymianie i Genuesicy wiedzeni nadzieją zysku lub sławy cisnęli się tu zewsząd gromadnie, roznosząc mordy i zniszczenie.

W ciągu kilku wieków aż do narodzenia Chrystusa zakładali Grecy na brzegach morza czarnego liczne kolonie; lecz wkrótce musieli ustąpić stanowiska swego Genuescykom, którzy podbiwszy wiele krajów, rozprzestrzynieili handel, założyli mnóstwo kwitnących osad, starając się zarazem o zaszczerpiecie między krajowcami chrześcijańskiej wiary. Łagodnym obejściem i hojnemi darami umieli oni pozyskać ich przychylność. Nazwa Ogensa (Genuesczyk) dotąd bywa ze czcią wspomnianą przez Czerkiesów, a bogate szaszki i kołczugi, jako pamiątki po nich w wielu familjach przechowują się troskliwie. Jednocześnie prawie po drugiej stronie łańcucha gór Kaukaskich, wojownicze plemiona, które niejednokrotnie wdzieraly się z orężem w rękę w głąb zachodniej Azji, pozbywszy się wrodzonej dzikości przez stosunki ze światem ucywilizowanym, utworzyły swe kwitnące państwa: Armenię i Gre- *Smuzję!*

W IV wieku, społeczeństwa te przyjęły wiarę chrześcijańską, zaszczerpieoną, przez św. Grzegorza, i starały się rozkrzewić takową między góralami, czego dowodzą dobrze zachowane dotąd ruiny kościołów w górach się znajdujących.

Razem z nauką Chrystusa objawiła się wielka dątność do oświaty; lecz wtargnięcie Mongołów i Tatarów pod dowództwem Czyngischana i Tamerlana położyło jej tamę czyniąc ten kraj błogosławiony teatrem pustoszących

wojen, kolejno długie ciągnących się lata. Kiedy nareszcie po skończonych walkach i klęskach, Turcy, wyparłszy Genuńczyków zmusili miejscowych książąt i naród do przyjęcia mahometanizmu, cała nadzieja ucywilizowania tego dzielnego ludu zniknęła na długo.

Nie od razu jednakże i nie bez oporu ze strony krajowców przyjął się nowo zaprowadzony islamizm. Musiał on zaciętą odbywać walkę z szybko rozkrzewioną religią chrześcijańską. Trudno wyobrazić sobie, do jakiego stopnia wściekłości i barbarzyństwa posuwały się obie strony walczące. Lecz Turcy, silniejsi liczbą i znajomością sztuki wojowania, otrzymali wreszcie górę. Mahometanizm zalał Kaukaz cały i wraz z nim poczęła się epoka dotąd istniejącej ciemnoty i dzikości mieszkańców.

Odtąd Kaukaz nie przestawał być widownią ciągłych napadów, morderstw i łupieztwa. Przechodząc kolejno z rąk Turków do Persów i na odwrót, szarpany i niszczony przez zwycięzców i zwyciężonych, nie mógł nigdy stać się polem rozwoju na porządną i trwałą postawie uorganizowanych społeczeństw.

Dawszy ten ogólny choć niedokładny szkic historyczny ludów kaukaskich, przystąpię do opowiadania moich wrażeń i wypadków, jakie podczas mojego w tych stronach pobytu miały miejsce.

## II.

Stawropol jest pierwszym miastem, które napotykamy przy wjeździe w granice Kaukazu od strony ziemi dońskich kozaków. Zbudowane na małej wyniosłości, której główną podstawą jest wapiennik muszlowy (*cardium rusticum*), liczy około 15,000 mieszkańców, mieści w sobie kilka pięknych gmachów, a mianowicie: sztab dowodzącego kaukaską linią i czarnomorją, teatr i restaurację greka Nejtaki, — oprócz tego wiele innych kamienie jedno i dwupietrowych, dwa kościoły, prawosławny i ormiański. W środku miasta jest rodzaj bulwaru, który służy mieszkańcom za miejsce przechadzki, i tuż przy nim jedyna studnia, wody całemu miastu dostarczająca. Do roku 1839 wody wcale nie było w Stawropolu, lecz musiano ją przywozić o dwie wiorsty z zamiasta, co było nadzwyczaj uciążliwem i kosztownem; w wspomnianym roku dopiero jeden z kupców własnym kosztem źródło za pomocą wodociągów do miasta sprowadził i studnię publiczną zbudował. Do osobliwości Stawropola, policzyć trzeba nadzwyczajną ilość ogromnych szezurów, które jak się tylko zmierzchnie, kolumnami odbywają spacer po ryzstokach, podwórzach, nawet

ulicach. Widziałem pomiędzy nimi niektóre, dochodzące wielkością zwyczajnego królika.

Rynku żadnego tu nie masz; dla tego też jarmarki i targi odbywają się za miastem, na pięknej równinie, rozciągającej się w około na przestrzeni nieprzejrzanéj okiem. Jarmarki bywają walne i trwają po parę tygodni. Malowniczy nadzwyczaj przedstawia podówczas widok ogromy Karawan-Seraj, czyli raczej miasteczko całe z kilku ulicami, wystawione z płótna i rawantachu, napelnione wszelkimi towarami europejskimi i azjatyckimi, począwszy od nici i igieł itp., aż do najwytworniejszych materyi jedwabnych, dywanów, zegarków i innych kosztowności, otoczone mnóstwem budek, kramików, fur, koni, bydła itd., wśród których kilkudziesiąt tysięczna masa osób różnej narodowości w najrozmaitszych strojach przelewa się bezustannie.

Okolica tutejsza bezleśna, na wszystkie strony otwarta; dla tego w lecie upały są nieznośne, a zima często bardzo ostra i niebezpieczna dla podróżnika nie obznajomionego z miejscowością. Jako dowód przytoczę następujące zdarzenie.

W r. 1844 zostałem wspólnie z pewną liczbą innych oficerów wykomenderowany do Stawropolu, celem sprowadzenia rezerwowych batalionów, jakie każdorocznie armja kaukazka otrzymuje z Taganrogu, dla dopełnienia braku w pułkach jej wynikłych. — W końcu Listopada odebrawszy nasze komendy, rozstawiliśmy je tymczasowo w rozrzuconych w pobliżu stanicach kozaków liniowych, sami zaś kończyliśmy jeszcze rachunki z komisją ubior-

czą. Oddział mój stał w Syngielejewskiej stancy, o 25 wiorat od Stawropola odległej. Pokończywszy interesa służbowe, miałem już wyjeżdżać do oddziału, gdy przybył do mnie kolega Radomicki, świeżo awansowany na oficera z batalionu saperów w Królestwie polskiem konsystującego, a teraz do apszerońskiego pułku, w którym naówczas służyłem, przeznaczony z poleceniem szefa sztabu, aby go razem z bataljonem do Temir-Chan-Szury, gdzie był sztab pułku, zabrać. Uradowany z nowego kolegi, przybywającego prosto z Warszawy, od którego coś o osobach blisko mnie obchodzących, spodziewałem się dowiedzieć; ofiarowałem mu miejsce w mojej bryczce, w której tylko ja i podchorąży Mewes jechać mieliśmy. — Pan Radomicki mając z sobą dosyć rzeczy i pocztę już zamówioną, podziękował za ofiarowane sobie miejsce, prosząc tylko aby mógł równocześnie ze mną wyjechać. — Ponieważ już miało się ku wieczorowi, postanowiliśmy zatem wyruszyć na drugi dzień rano.

Jakoż nazajutrz około 10 godziny rano wyruszyliśmy w podróż.

Dzień był mroźny. Lekki, puszysty śnieżek popruszał, a wiatr ostry chlostał uszy, — ale mając brykę krytą, cztery dzielne konie i ciepłe futro, mało się o takie drobnostki troszczy. Nie troszczył się o nie również i Radomicki, lubo w tém mniej dobrze odemnie położony, że miał odbywać podróż w pocztowych saniach odkrytych.

Wdziawszy obszerny barani tołub, nasunawszy czapkę spiczastą perską na uszy, i okręciwszy szyję wielkim szalem, o Bożym świecie nie wiedział. — Najgorzej miał

miał się podchorąży Mewes, który oprócz płaszcza żołnierskiego miał na sobie tylko lekką burkę, zaledwie go od wiatru nieco zakryć zdolną. Kutrzył się nieborak, ale nie było rady. Zresztą fordekel i firanki zapięte zabezpieczały go cokolwiek od przenikliwego zimna.

Wyjechaliśmy wesoło spodziewając się w przeciągu dwóch godzin stanąć na miejscu, co w każdej innej porze z łatwością możnaby było uskuteczyć. Ale tym razem pomyliliśmy się w rachubie. Wyjechawszy zaledwie na pole, spostrzegliśmy, że ów śnieżek puszysty z lekką w mieście pruszący, przemienił się tu w zawieruchę, która co chwila zwiększać się zdawała. Moja bryczka szła przodem, tuż za nią postępowały sanki pocztowe wyladowane rzeczami Radomickiego, na których z trudnością utrzymywał się opakowany ich właściciel. Pół biedy było jeszcze tak długo, dopóki można było rozoznać drogę: ale gdy śnieg jednym całunem pokrył całą przestrzeń, ujrzelśmy przed sobą niby bielejące morze, bez granic i śladu, po którym od czasu od czasu, na kształt olbrzymiego bałwana, przebiegał gęsty tuman zadymki, biednym koniom i woźnicom niemiłosiernie zasypujący oczy. Nieznając zupełnie kierunku, w jakim dalszą podróż należało nam odbywać, musieliśmy stanąć, i zmienić sanń naszych porządek, aby pocztyljon, jako świadomy miejsca, drogę wskazywał. Ruszył on małym traktem, a my, licząc na jego topograficzne wiadomości, z całym zaufaniem za nim.

Po całogodzinnej blisko jeździe, Mewes zziębnięty i zniecierpliwiony powolną jazdą pocztarską prosił mnie, abym mu pozwolił przesiąść się do Radomickiego i po-

pedzać pocztowe konie, o ile droga pozwoli. Uczyniłem mu uwagę, że tam będzie mu daleko zimniej i że lepiej jechać pół godziny dłużej w zamkniętej bryce, aniżeli marznąć w odkrytych saniach, lecz gdy gwałtem się napięrał, pozwoliłem wreszcie robić co zechce.

Usadowił się więc z wielką trudnością obok Radomickiego na wypakowanym tłomoku, a dla zapobieżenia, żeby który z nich nie spadł, objąwszy się z nim pod ręce pojechali dalej.

Wiatr zmagal się coraz bardziej, zmieniając co chwila kierunek i kręcąc kłęby śniegu w szalonym pedzie w koło nas wirujące. Sanki pedziły szybko, a my zdążyliśmy za nimi. Jednym razem ryknęła burza, — wiatr zawył przeraźliwie, — gęste snopy śniegu zasłoniły nam widokrąg, — sanki skryły się w tumanie — a przerażone konie moje w miejscu stanęły. Po chwili przejaśniło się znowu, — ruszyliśmy z miejsca, ale sanek nie było widać już przed nami. Jechaliśmy na los, czasem po równej drodze, czasem po zagonach, które tylko po chybotańcu się bryczki odgadywaliśmy; nareszcie, nauczony wielokrotnem doświadczeniem, kazałem woźnicy dać koniom zupełną wolę i spuścić się na ich instynkt. Niezadowolone tego, bo w kwadrans później wyjechaliśmy na prawdziwą drogę spuszczającą się dosyć raptownie w dolinę, gdzie burza zdawała się być bez porównania łagodniejszą. W tej chwili konie rzuciły się w bok i przewróciły bryczkę. Ja wprawdzie nie wypadłem na ziemię, ale literalnie zostałem przywalony wszystkimi bagażami, jakie się znajdowały.

Służący mój i woźnica zaledwie mnie wyciągnęli; a ze zbieraniem bagaży rozsypanych mieliśmy prawdziwe utrapienie, bo lżejsze sztuki wiatr co chwila porywał i unosił tak, że je gonić było trzeba.

Wyprzęgniwszy konie zacząłem rozpytywać się, co było powodem ich przestraszenia. Jakoż po chwili spostrzegłem na uboczu wóz zaprzężony parą wołów, nasiladowany dwiema wielkimi beczkami, a pod nim leżących dwóch ludzi, przykrytych kożuchami. — Zapytałem ich, dokąd prowadzi ta droga, i czy nie widzieli pocztowych sanek. Odpowiedzieli, że droga prowadzi do Syngielejewskiej stacji. Zkąd oni tego rana wyjechali, lecz dla przeciwnego wiatru musieli się zatrzymać i oczekiwać, aż burza cokolwiek ucichnie, a sanek wcale nie spotkali. Wiedząc że pocztyljon zna doskonale miejscowość byłem o mych kolegów zupełnie spokojny, przypuszczając, że obrawszy krótszą drogę, grzeją się już przy ciepłym piecu i oczekują mnie z obiadem. — Zabraliśmy się tedy do podniesienia bryczki, a chociaż to była leciuchna polska najtyczanka z budą i fordeklem, pomimo połączenia sił czterech ludzi, nie mogliśmy jednakże podolać, z przyczyny gwałtownego wiatru, który nam na nogach ustać nie pozwolił. Od godziny blisko pracowaliśmy daremnie nad podniesieniem bryczki, gdy sanki z Radomickim nadjechały. Jednocześnie i ja, i on zapytaliśmy się nawzajem: co się stało z Mewesem? ja go bowiem nie widziałem na saniach, a Radomicki nie wiedział, gdzie i kiedy mu z nich zniknął, i dopiero w tej chwili jego nieobecność spostrzegł.

Wypadek ten sprawił mi wielką przykrość, bo oprócz odpowiedzialności, na jaką mnie narażał przed moją władzą, czego zawsze unikałem, żal mi było biednego chłopca; — pocieszając się jednak nadzieją, że jeszcze nadejść może, wzięliśmy się tymczasem wszyscy do podniesienia bryczki; — tym razem powiodło się nam już od jednego zamachu. Upakowawszy znowu wszystkie rzeczy, chcieliśmy zaprzęgnąć konie, lecz rozpatrzywszy się musieliśmy odstąpić od tego zamiaru. Droga jak wspomniałem ciągnęła się na dół dość spadzisto, wązka i nadzwyczajnie śliska. Najwłaściwiej zdało się nam zatem przywiązać moje konie do sanek pocztowych, na których Radomicki puścił się przodem, bryczkę zaś, po snadnej pochyłości samym popychać. Poruczywszy służącemu kierowanie dyszlem, sam ze stangrotem ująłem ją przy tylnych kołach, ale zaledwie cokolwiek popchnęliśmy ją z góry, wiatr dmący z tyłu, z taką popędził ją na dół gwałtownością, że zaledwieśmy czepiając się przy niej, zdążyć zdołali, i w mgnieniu oka dogналиśmy pocztowe sanie, zaledwie uchodząc przed nimi nadążające. Ta szalona jazda trwała około dziesięciu minut, to jest aż do podnóża góry. Na równinie dopiero zaprzęgliśmy konie i w dalszą ruszyli drogę. Wiatr chociaż i tu dotkliwie czuć się dawał, jednak zawiei nie było, i mogliśmy widzieć przed sobą w oddali. Wkrótce ku wielkiej naszej radości spostrzegliśmy w odległości kilku wiorst wioskę. W pół godziny potem przybyliśmy do wioski tej czyli folwarku, bo tak go właściwie nazywano i posłaliśmy po sołtysa, aby nam dał kwatery, gdyż wieczór był bliski, a nocna podróż niebezpieczna.



Radomicki, który się tym zajął osobiście, wrócił wkrótce z oświadczeniem, że w całym folwarku ani jednej porządnej kwatery nie ma, chaty bez kominów i bardzo szczupłe, — ale za to dziedzie uprzejmy i szczerzy, zapraszają nas do siebie na kwatery. Zajechaliśmy więc do dworu, gdzie b. pułkownik Żukow, wraz z żoną przyjęli nas z prawdziwie tradycyjną gościnnością. Gdyśmy wymienili nasze nazwiska, pani Żukow zapytała nas najczystsza polszczyzną: „Jakto, panowie Polacy? o jakże się ciesze! Już tak dawno nie miałam sposobności pomówić w ojczyściej mowie o naszym kraju i wszystkiém, co nas tak blisko obchodzi!”

Teraz dowiedzieliśmy się, że szanowna nasza gospodyni jest Wołynianką poślubioną p. Żukow podczas jego konstytucji w Żytomierzu, i że od lat jedenastu mieszka ją w tym folwarku. Sam gospodarz przyjął także udział w rozmowie. Przy herbacie opowiedzieliśmy przygody dzienne, i dowiedzieliśmy się, że Mewes, którego niepojęte zniknięcie mocno nas niepokoiło, był doskonale znanym pani Żuków, która naturalnie w zniknięciu jego tém żywszy okazała udział.

Przepędziwszy cały wieczór na miłej pogadance, po dobrej kolacji udaliśmy się na spoczynek. Na drugi dzień po herbacie i sutém śniadaniu najserdeczniej pożegnani przez gościnnych gospodarzy, wyruszyliśmy w drogę o jedynastej rano, a w godzinę potem bez żadnych przygód przybyliśmy do stacji Syngielejewskiej. Na samym wstępie, ku wielkiej naszej radości spotkaliśmy Mewesa, oczekującego na nasze przybycie. Zapytany, jakim spo-

sobem zniknął z sanek dnia poprzedniego, opowiedział swoją przygodę jak następuje.

„Pamiętacie panowie, jak zziębnięty i zmudzony po wolną jazdą przesiadłem się do sanu pana Radomickiego, i usadowilem się obok niego na samym brzegu wypakowanego tłómoka, z którego co chwila zjeżdżałem. Uchyciwszy za rękę mego sąsiada, utrzymywałem się jako tako na saniach, stopniowo nawet zacząłem przyzwyczajać się do zachowania równowagi tak dalece, że już chwilami mogłem o własnej sile utrzymać się na śliskim i spadziśtém siedzeniu, co mi pozwalało czasu na rozgrzewanie rąk zdrętwiałych od zimna. — Jednym razem, gdy byłem zajęty tém prawdziwie gymnastyczném ćwiczeniem, niespodzianie wjechaliśmy na zagony. Pierwsze szturchnięcie sanek dało mi poznać całe niebezpieczeństwo mego położenia, — lecz niestety! już było zapóźno. Nim zdołałem uchwyścić rękę mego towarzysza, już leżałem na ziemi. Nie przypuszczając, aby p. Radomicki nie spostrzegł mego wypadku, — i sądząc, że tylko przez żart chce mnie o kilkadziesiąt kroków w tyle zostawić, pozostałem na miejscu, aby zebrać zegarek i papiery, które wytrząsnawszy się z za płaszcza ulatywały w różnych kierunkach. Pozbierawszy wszystko, puściłem się w pogoń za sankami, lecz ich już nigdzie dojrzeć nie mogłem, wołanie zaś niknęło wśród wyjącego wiatru.

„Biegłem czas jakiś szybko, spodziewając się, że przecież spostrzegą moją nieobecność i zaczekają na mnie. Rad byłem nawet, że przy téj sposobności rozgrzeję skostniałe od zimna członki. Ale w końcu, gdy czoło pokryło

się kroplistym potem, a zmęczone nogi wymawiały posłuszeństwo, chciałem choć trochę wypocząć; a tu jak na złość nie można było i myśleć o wypoczynku. Znajdowałem się na spadzistości góry, — a wiatr tak gwałtownie dmuchał w rozdętą burkę, że albo biedz musiałem jak szalony, albo, też gdy opadłszy z sił padłem na ziemię wicher mną pomiatał jak wiązką grochowin, póki nie zerwałem się na nogi, aby znowu w przymuszonym biegu wyczerpnąć sił resztę. Niewiem jak długo trwał ten stan oplakany, który mnie się wiekiem wydał. Plakałem jak dziecko, zmuszony na przemian biegać lub toczyć się po różnych dolach i pagórkach . . .

Stokroć wzywałem śmierci, i gdybym mógł, chętnie bym położył się w śniegu, aby w nim zasnąć snem wiecznym. A tu ani sposób utrzymać się na miejscu jedną chwilę! Straciłem więc resztę energii, a za nią nawet i przytomność. Kiedy się ocknął z tego dziwnego stanu, znalazłem się pod stogiem siana, przy którym stał wóz parokonny, i usłyszałem te słowa wymówione po rosyjsku: A na miłość Boga, zkadże się to pan wziął o te czasy, i dokąd udać się zamierzasz? — Przyszedszy nieco do pamięci i do słowa, opowiedziałem zapytującemu mnie parobczakowi całe moje nieszczęście, prosząc zarazem, czyby za przyzwoite wynagrodzenie nie chciał doprowadzić mnie do stacji Sygielejewskiej, od której jak mówił 14 wiorst byłibysmy oddaleni. Czego też za obietnicą dwóch rubli podjął się i około północy do kwatery szczęśliwie mnie odprowadził.

Wypadek ten, który sumiennie opisałem, da czytel-

kom zupełne pojęcie o niebezpieczeństwie, na jakie naraża się każdy, a zwłaszcza obcy w tym kraju, podróżując w stepach podczas zimy.

W dwa dni później opuściliśmy stację Sygielejewską, udając się drogą ku Piatigorskowi, z żalem dowiedzieliśmy się, że dwaj ludzie, których spotkaliśmy leżących pod wozem, i których pomagać do podniesienia mojej bryczki zmusiłem, zmarli w temże samém miejscu. Podobny los spotkał komendę inwalidów, złożoną z dziesięciu żołnierzy i jednego podoficera, wracających do Stawropola, podoficera z żoną i maleńkiem dzieckiem.

### III.

Trakt prowadzący ze Stawropola do północnego Dagestanu, Persji, Armenji i Gruzji, ciągnie się w kierunku wschodnio-północnym, z początku równiną, następnie po małych wzgórzach zarosłych krzewami, dolinach poprzeczanych strumykami, przedstawiającemi w ogóle bardzo malowniczy widok. — Powozy i bryczki pocztowe, które tu często spotykać można, liczne trzody bydła i owiec, tudzież tabuny koni, pasące się po obu stronach gościńca, — karawany przeciągające z kilkudziesięciu, a czasem kilku set wielbłądów obciążonych towarami, złożone ożywają nadzwyczaj krajobraz, — a uprawne pola, pokryte zbożem, — hasztany pełne złocistych melonów i olbrzymich zielono nakrapianych arbuźów, jak również winnice neące przechodnią cudną pieknością i wybornego smaku różnobarwnemi gronami, dają wymowne świadectwo o pomysłniejszym bycie mieszkańców, ich przemyśle i troskliwej pracy. — W głębi widokregu widać małe pagórki, które lud mogiłami nazywa, a o których początku nauka starożytnego nie jest w stanie powiedzieć słowa.

Kaukaz od najodleglejszej jeszcze starożytności był głównym traktem wielkiego ruchu narodów, skutkiem czego natrafiamy tu wielką ilość naderających starożytno-

ścią pomników lub śladów takowych, a religijne księgi i tradycje różnych narodów, mieszczą nieraz bardzo zajmujące do stron tych odnoszące się wzmianki i przepowiednie. Kiedy dzikie plemiona na północy mieszkające, rozrozdziwszy się i wzmógłszy, przedzierały się zbrojnie w głąb objętych górami krajów, niosąc klęski i spustoszenia, wówczas istniejące tu od niepamiętnych czasów państwa postanowiły, równie jak później Chiny, wznieść wielki mur z basztami i dwiema ogromnemi bramami, aby się od napaści barbarzyńców zabezpieczyć. Z tym powszechnie znanym faktem stoi w związku prorocstwo Mahometa, który mówi w Koranie: „Za Kaukazem mieszkają Gog i Magog, w późniejszych czasach oni przejdą góry i pozabiją wiernych, a błogosławione ich państwa runą\*).“ Jest to jednakże tylko przetworzenie prorocstwa Ezechiela, dającego się stosować do wtargnięcia Scytów przez Kaukaz w r. 633 przed nar. Chr., którzy następnie pustoszyli Azję przez 28 lat, aż nakoniec zgineli w Syrii. Mahomet, jak się zdaje, złożył swoje prorocstwo z Ezechiela i Jana św., lecz zamiast zguby Magoga przepowiada zgubę Machometanom.

Nigdzie może tyle co na Kaukazie nie istnieje po-

\*) W I księdze Paraliipomenon 1, 5, nazwano Magogiem drugiego syna Jafeta, a wnuka Noego; — dalej, w prorocstwie Ezechiela, w rozdziale 34 i 36 powiedziano: Król Gog w państwie Magog powstanie od końca aż do północy, i podbije świat i ziemię pańską, ale tam będzie grób jego. Nakoniec Jan św. w rozdziale 20, 7 i 9 powiada: Jak przeminie 1000 lat panowania szatana, Gog i Magog połączą się z sobą, w większej liczbie anizeli piasek w morzu i obłąką obłą wierzących, ale w końcu ogień z nieba zabije ich. —

czątkowych elementów starożytnych mythów i legend; aby pojąć głębokie ich znaczenie, trzeba badać rzeczywiste one źródła.

Mythy i legendy Kaukaskie mają nadzwyczajne podobieństwo z germańskimi. Północna tradycja o wyjściu mieszkańców południowej Azji do Skandynawji, zgadza się z przechowywającym się dotąd u ludów sąsiednich Kaukazowi podaniem o wyjściu plemienia germańskiego z Kaukazu.

Ku północy od Kaukaskich gór, między morzami Azowskim i Kaspjskim ciągnie się nieprzejezdna leśna równina, pokryta bujną trawą, lukrecją i kaparami, którą nazwałby można słonym stepem. Jeżeli wykopiesz na łokieć dół, pokaże się woda słona — stąd wnioskować można, że w głębokiej starożytności oba wspomniane morza zlewały się przez nią w jedno. Na całej tej przestrzeni koczują różne plemiona, w pół dzikie, ze swemi stadami, a tylko na brzegach rzek osiedlają się stali mieszkańcy.

Wzdłuż pocztowego traktu w odległości 20 wiorst, stoją piękne i bogate stacje Kozaków liniowych, budowane z drzewa gustownie i wygodnie, otoczone darniowym wałem i palisadą, przeplecioną u góry tarniną. Obwarowanie to służy mieszkańcom za obronę przeciw napadom Tatarów, które się dosyć często powtarzają.

Dla większej ostrożności stoją w niewielkich odległościach około stancy i całej linii tak zwane wyszki\*), na każdej z których Kozak, z nabitą gwintówką wodzi

\*) Rodzaj klatki na czterech wysokich słupach, do której wchodzi się po drabinie.

nieustannie baczniem okiem po stepie, aby w razie niebezpieczeństwa ostrzedz wystrzałem swych towarzyszy, a po tém, na pasącym się w bliskości wyszki i ciągle osiodlanym koniu, ująć do najbliższego posterunku.

Przebywszy przestrzeń 160 wiorstową, jesteśmy na brzegu rzeki Podkumek, płynącej pod górą około 800 stóp wysoką, na której stoi miasto Georgiewsk. Zwróciwszy ztąd wzrok na prawo, spostrzegamy czerniejące szczyty Besz-tau (pięć gór) od których bierze nazwisko okregowe miasto Piatigorsk. Dalej jeszcze ukazuje się wysoko kryjące czolo w obłokach Elbrus, kształtem formnym do głowy cukru, u wierzchu tylko cokolwiek rozdwojonej, podobny. Wspaniały jest jego widok, choć to o sto kilkadziesiąt wiorst odległości, zwłaszcza gdy w dzień pogodny jego szczyt śnieżny brylantowym odbija blaskiem, podług dawniej legendy wierzchołki tutejszych gór mają być siedliskiem Diwów i Dzinów, którzy przed stworzeniem człowieka zamieszkiwali ziemię, lecz za zbytęzną pychę i nieposłuszeństwo Bogu, zostali wygnani na Kaukaz, gdzie dotąd mieszkają w lodowych pałacach, i są pod władzą Padiszacha rezydującego w kryształowym pałacu na Elbrusie, czyli szczęśliwej górze.

Greckie mythy utrzymują przeciwnie, że kiedy Prometeusz wykradł ogień niebieski, Cewes przykuł go do skał Kaukaskich na brylantowym łańcuchu.

Piatigorsk, miasto zabudowane pięknie na jednej z gór Besztau, jest rezydencją komendanta, naczelnika okręgu, sądów i władzy wojskowej. Mieści w sobie wiele pięknych gmachów, do których należą łaźnie: Jermołowskie,

Aleksandro-Nikołajewskie i szpital wojskowy, tudzież wiele innych okazałych budynków. — Domów służbie Bożej poświęconych znajduje się dwa w tym mieście; stara, drewniana cerkiew prawosławna, i mały, ale gustowny w Koryneckim stylu, przed 20 laty ze składek zbudowany katolicki kościółek, w którym od maja do października odbywa się nabożeństwo. W samym środku miasta jest ogród spacerowy, ciągnący się aż do łaźni Aleksandro-Nikołajewskich, których front jest ozdobiony pięknym kwiatowym ogródkiem. Mieszkańców stałych jest 4,000, i dla tego podczas zimy miasto zdaje się puste, głuche i bez życia; — ale za to z początkiem lata przybiera świąteczne szaty, i jak młoda zalotnica wali uśmiechem i zalotnościami, wciągając najobojetniejszych w niestający wir tańców i różnego rodzaju zabaw. Skromny i bezładny hulwar, napelnia się tysiącami spacerujących, których różnobarwne stroje zajmujący przedstawiają widok; a od 4tej po południu do wieczora muzyki wojskowe uprzyjemniają chwile spacerującym. Bogate składy towarów jedwabnych i galanteryjnych, na czas kąpieli z różnych znaczniejszych miast do Piatigorska przybywające, nie mało przyczyniają się do podniesienia świetnej powierzchowności miasta.

Wody mineralne ściągające corocznie kilkadziesiąt tysięcy pacjentów, są rozmaitych składów, w których jednakże siarka zawsze przeważa. I tak, w sumie Piatigorsku są źródła następujące: Jermołowskie, czyste siarczane, gorące na 37° Reaumura; — Warwatyńskie, siarczane 33° gorąca; — Aleksandro-Nikołajewskie, takiegoż

składu, siarczane z jodyną, 35°; — Nikołajewskie, takiegoż składu, 33°; — i Elizabetyńskie, kwaśno-siarczane, 23°, okolica cudowna. Na wschód u stóp góry, na której miasto zbudowane, płynie Biała-rzeka, a tuż za nią rzucana malownicza stacja Garjaczewodzk, — na północ i zachód wznoszą się góry Besz-tau, na których urządzone najpiękniejsze miejsca do przechadzki. Na wierzchołku zachodniej góry znajduje się harfa Eolska, pod powiewem niestannym wiatru, brzmiąca nieskończenie melodyjnym choć smutnym i nerwy drażniącym dźwiękiem.

O czternastcie wiorst ku zachodowi krajobraz dotąd uśmiechnięty, wesoly, barwiony majową zielonością — zmienia się zupełnie. Góry na 1,500 stóp wysokie, pokryte całkiem drzewami iglastymi, imponujący i posepny przedstawiają widok. W środku lasu u stóp gór na małej otwartej płaszczynie stoi Żelazno-wodzk, tak nazwany od wielkiej obfitości źródeł żelaznych. Sam zakład czyli główne łaźienki, zbudowane z kamienia z wielkim gustem i komfortem znajdują się w środku płaszczyny i wyglądają wdzięcznie i wesoło. Na okolo nich jest kilkanaście domów letnich, przez zimę zwykle niezamieszkałych, w których mieszczą się chorzy przybywający tu dla kuracji, — wynajmując je za bardzo umiarkowane wynagrodzenie, od kilku stałych mieszkańców Żelaznowodzka, dla których ten fundusz stanowi całe prawie utrzymanie. W głębi lasu, po spadzistości góry, są drogi zawsze czyste i starannie utrzymane, służące do przechadzki i prowadzące do innych źródeł, przy których również są wanny, a temperatura wody w miarę oddalania się od głównego źródła

coraz to niższa, tak dalece, że numer 5ty, który jest już ostatnim, tylko do 9° Reaumura dochodzi. Najwytrzymalsi kąpielnicy zaledwie 3 minuty wytrwać w niej mogą, ale za to posiada tę szczególną własność, że wyszedłszy z kąpeli, ciało najbardziej wężle i obwisłe, staje się jędrnem i twardem, objawia się wielka chęć i siła do chodzenia i szalony apetyt.

Na połowie drogi pomiędzy Piatigorskiem a Żelaznowodzkim, jest wielka, bo przeszło z dwóch set domów zabudowana kolonja, nazwana Szotlandką, a zamieszкана przez samych Niemców wyznania augsburskiego. Gdzie tylko spojrzysz, oko spocznie z zadowoleniem, wszystko tu tłómaczy działalność rozumu, świadczy o pracach i usilowaniach pomysłu, obfitym uwiecznionych plonem. Domy wielkie, wygodne i nadzwyczaj czysto utrzymywane, — przed każdym z nich z obu stron duże ganki z ławkami do siedzenia, otoczone wijącym się bluszczem, powojem lub winogradem; — ogrody piękne, pełne wybornych owoców i warzywa, — zabudowania gospodarskie schludne i obszerne. W każdym prawie domu przez cały letni sezon, jest rodzaj restauracji, — dostać można wszystkiego za bardzo umiarkowaną cenę, przy rychłej i ugrzeczniejszej usłudze. Mieszkańcy mają kościół murowany, w którym jak najprzykładniej odbywa się nabożeństwo i wcale dobre kazania i szkołę podzieloną na dwie części, z których jedna dla chłopców, a druga dla dziewcząt służy.

Miło jest spojrzeć na tych ludzi, czysto nawet z pewną elegancją ubranych w suknie, których krój niczem się nie różni od tych, jakie noszą dotąd wieśniacy w Ba-

warji i Württembergji. Wioska jest otoczona walem z ziemi usypanym, służącym za całą obronę przeciw częstym napadom górali, a każdy mieszkaniec jest dobrze uzbrojony, i pomimo powolności temperamentu i naturalnej skłonności do pracowitego, lecz cichego i spokojnego życia, dzielnie staje w obronie swjej własności i życia.

Na południe od Piatigorska, w odległości 18 wiorst spotykamy stanicę Ejsuntuki, obfitującą w alkaliczne mineralne wody. Miejsce to nie ma nic takiego, co by zasługiwało na szczegółowy opis. Mała liczba chorych przybywająca tu dla kąpeli, wynajmuje mieszkania od Kozaków, którzy na ten cel mają w lecie osobne stancyjki, a nawet całe domy.

Jadąc dalej w tym samym kierunku jeszcze wiorst 17 przebywamy do Kisłowodzka. — Miejsce to wygląda uroczo. Stanica wielka, czysto i z pewną elegancją zbudowana, mieści w sobie kościół murowany, prawosławny, a oprócz tego kilkanaście przeszlicznych domków dla gości, kilka pałacyków w guscie włoskim, należących do osób prywatnych, park i ogródki do spaceru służące. Najważniejszą jego osobliwością jest źródło mineralne, Narzan zwane. Woda w niem czysta jak lza, przewraca się wielkimi kłębami, z których wyskakują kropelki nakształt igiołek, nabrana w szklanke burzy się tjak soda water. Zawiera w sobie nadzwyczaj wiele dwu-węglażu gazu i kwasu (accidi tartarici), w smaku wyborna, a stósownie zaaplikowana prawdziwie cudowne na chorych wywiera skutki. — I jako zwykły napój zdrowa jest bardzo, i że musi nadzwyczajnie wpływać na wzrost i płodność ludzi,

zwierząt a nawet ptaków, dowód jest w tém, że ludzie, konie, bydło, owce, trzoda i ptactwo domowe, są wzrostu i tuszy więcej jak zwyczajnych, a często bardzo zdarza się, że kobiety przeszło pięćdziesięcioletnie zostają jeszcze matkami.

Kąpiele urządzone są w łazienkach z grubego klejonego sukna, oprawionego w runy, tworzące ściany łazienek. Przez środek przedziela je korytarzyk, po którego obu stronach są pokoiki z wannami, na lewo dla dam, na prawo dla mężczyzn przeznaczonemi. Ponieważ zaś Narzan w naturalnym stanie ma tylko 9° Reaumura, przeto każdy pokoiik opatrzonej jest olbrzymim kipiącym samowarem, z którego napuszcza się w wannę gorącej wody, stósownie do przepisów lekarza.

Zwykle wszyscy prawie chorzy przybywający do wód Kaukaskich rozpoczynają kurację w Piatigorsku od siarczanych kąpielei, zaczynając takowe według potrzeby, np. od 37° i zniżając codziennie o jeden stopień. — następnie jadą, stósownie do rodzaju choroby, do Żelazowodzka, Ejsuntuków lub Kisłowodzka, — w każdym jednak razie przyjeżdżają tu tylko dla ostatecznego ukończenia kuracji. Zaczynają więc brać kąpiele takiego stopnia, na jakim ukończyli siarczane, żelazne lub alkaliczne, i tu znowu zniżają temperaturę codziennie, aż dojdzie do 9°, czyli naturalnego Narzanu. Wówczas chorzy nie kąpie się już w osobnej wannie, lecz w tak zwanym omnibusie, których jest dwa: dla kobiet i dla mężczyzn. Są to dwa na 12 łokci długie a na 6 szerokie basseny, napełnione na 4 stopy wysoko naturalnym Narzanem, do

którego wszedłszy po schodach i zanurzony się kilkakrotnie, pozostaje się w ciągłym ruchu od 3 do 5 minut. Późem ubrawszy się spiesźnie, chodzić trzeba, aż póki się chory nie rozgrzeje.

Dłuższe siedzenie w kąpielei jest bardzo niebezpiecznem, zwłaszcza dla ludzi krwistych. Sam byłem świadkiem następującego wypadku. Podpułkownik artylerji P., człowiek około pięćdziesięciu lat mający, dobrej tuszy, i silny, choć nie wielkiego wzrostu, wchodził do omnibusu, gdyśmy we trzech przybyli także w tym celu. Zanim się rozegrali i weszli do wody, upłynęło ze trzy minuty, siedzieliśmy w kąpielei z pięć, a ubierali się także około trzech; — co już stanowi przeszło dziesięć minut, podczas których pan P. ciągle siedział w wodzie. Reflektowaliśmy go, aby się niepotrzebnie nie narażał, i co prędzej wyszedł, ale on zaczął sobie z nas żartować nazywając delikacikami, niewieściami i t. p. Gdyśmy nie przestawali nalegać, on na przekór nam, posłał służącego po buteleczkę wina szampańskiego, a sam w kąpielei pozostał. Po upływie pięciu minut powrócił człowiek z doniesieniem, że wina nie znalazł. Pan P. złąjawszy go ostro, posłał do drugiego sklepu, a pomimo prośb naszych, uparł się czekać w wannie jego powrotu. Znowu upłynęło przeszło pięć minut, póki żądane wino przynieśli, a że dwie nim one odkorkowali. Nareszcie pan P., granatowy już prawie, chwycił butelkę i poniósł do ust, chcąc daszkami wypróżnić, ale zaledwie czwartą część wychylił, zachwiał się, butelkę z ręki wypuścił i upadł w wodę. Porwano go natychmiast i wyniesiono,

ale pan P. już nie żył i wszelkie starania lekarskie, aby go przywrócić do życia, okazały się bezskutecznemi.

Dla bezpieczeństwa kąpiących znajduje się zawsze pewna ilość wojska regularnego i Kozaków liniowych, którym straż zakładów wód mineralnych jest poruczoną, — dla tego bardzo rzadko niepodlegli górale pokazują się w bliskości tych miejsc, zwłaszcza w nieprzyjaznych zamiarach. Jednakże w r. 1844 miał miejsce następujący wypadek. W liczbie kąpiących się w Piatigorsku znajdowała się niejaka pani, żona pułkownika artylerji, konsystującego z baterją na lini, w Starogładowskiej stanicji. — Była to osoba piękna, wysokiego wzrostu i kształtnej kibi, a mogła mieć wówczas lat 26. Uważała niejednokrotnie w liczbie spacerujących, młodego i pięknego, w bogatym stroju Tatara, który ciągle ścigać się ją zdawał; z początku to ją bawiło, później zaczęło nudzić, w końcu jakiś niepojętej trwogi nabawiło. — Aby wyjść z tego przykrego położenia, które już dla wielu osób nie było tajemnicą, postanowiła przyspieszyć wyjazd i napisała do męża, aby konie po nią przysłał.

Zaledwie powzięła to postanowienie i list na pocztę odesłała, młody Tatar zniknął i przez następne kilka dni nigdzie go niespotykała. Uspokoiwszy się więc z téj strony zupełnie, zaczęła żalować pospiechu, z jakim zażądała koni. Lecz już się stało. Konie wkrótce nadeszły, trzeba było wracać do domu.

Pożegnawszy znajomych, wsiadła pani do powozu, w towarzystwie jednej tylko służącej, mając na koźle stan-greta i lokaja, a przeprowadzona pół mili przez kilku

młodych oficerów, ruszyła dalej drogą prowadzącą do Nowogeorgiewska. — Z początku wszystko szło dobrze, aż do połowy drogi, ale tu nagle kilkunastu zbrojnych na których czele znajdował się znany jej młody Tatar, otoczyło powóz, a wyciągnawszy z niego na pół omdlałą panią i w niebogłosy krzyżącą garderobianę wsadzili na koni i umknęli w góry. — Rok cały przebyła pani w niewoli, w ciągu którego odbywały się rozmaite negocjacje, aż nareszcie biedny mąż, chcąc odzyskać żonę i matkę dla swych małych dzieci, uczynił ostatnie wysilenie, zdobył się na zebranie znacznej summy na żądany okup; — powróciwszy do domu pani, skarżyła się tylko na nudy, chwając zresztą uprzejmie obejście barbarzyńców, służąca zaś wcale nie powróciła.



#### IV.

W okolicy Kisłowodzka łańcuch gór składa się z dwóch równoległych pasm, z których południowe tak zwane czarne góry nie przechodzą linii śniegów; północne zaś czyli białe wznoszą się wszędzie na 10, 12, 14 tysięcy i więcej stóp nad powierzchnią morza. — Ebrus, jak wspomniałem, ma 18,000, Kazbek 16,000, Ararat 16,000, Szachdagh 14,000 stóp.

Ze środka tych gór wypływają nieopodal jedna od drugiej dwie wielkie rzeki płynące następnie w dwóch różnych kierunkach. Kubań (starożytny Hispanis) bierze początek u stóp Elbrusa, płynie na zachód i wpada do morza Azowskiego, — Terek zaś wypływa z Kazbeka, płynie na wschód i wpada do morza Kaspijskiego.

Przestrzeń zajęta górami od morza Czarnego aż do Linkorana, wynosi 230 mil niemieckich. Góry od strony wschodniej są strome, od zachodu pochyłe; ciągną się w kierunku od strony północno-zachodniej do południowo-wschodniej. Ogólna ludność tych okolic wynosi do czterech i pół miliona mieszkańców na powierzchni około 7995 mil kwadratowych. Niepodległe plemiona wynoszące do 1,550,000 ludzi, zajmować mogą mniej więcej 2,200 mil kwadr. górskiego kraju.

O pochodzeniu ludów zamieszkujących góry i ziemie z tej strony Kaukazu leżące, nie pewnego powiedzieć nie można; nie mają one własnych pism, a podania ciemne o ich początkowym stanie zapewne nie jednego ważnego szczegółu uczoneму światu dostarczyć zdolne, dotąd nie są jeszcze żadną umiejętną ręką tknięte.

Głównymi mieszkańcami na Kaukazie są: Kistecy, Czeceńcy i Lezginy. Drobnych rozlicznych plemion liczą aż 53, w których liczbie samych czeczeńskich wynoszących około 200,000 mieszkańców, a 36 plemion lezgińskich, podobnych sobie w nalogach, charakterach i obyczajach, chociaż różnią się narzeczaniami różnymi a liczących do pół miliona mieszkańców.

Plemię tatarskie zamieszkuje południowo-wschodni pas Kaukaskiego kraju grzbietu, wzdłuż Kaspijskiego morza, aż do granicy Persji, na rozległość 1500 mil kwadr. w ziemiach nazwanych: Dagestanem, Karabachem, i Szirwanem. Drobne osady obcych plemion jak np. Persów, Chińczyków, Indian tutaj rzucone zaledwie zasługują na wzmiankę.

Strabon liczy we wschodnim Kaukazie w Awarji, gdzie teraz Lezginy, 26 oddzielnych narzeczy. Historycy arabscy El-Haukal i Massudi wspominają o 72 językach, któremi równie jak przy budowie wieży babilońskiej mówiono na wschodzie, zaczynając od Derbentu.

Zdaje się jednakże, że pierwotnych języków jest tylko trzy: czerkieski, abchaski i osetyński i ten ostatni pochodzi nawet od Perskiego. Chociaż zaś i teraz Lezginy mają około 30 narzeczy, a wszystkie razem ludy Kau-

kazkie blisko 70 tak dalece różnych, że jeden drugiego nie rozumie, tych jednak za oddzielne języki nie można uważać.

Jak w mowie tak również w powierzchowności, zwyczajach, obyczajach, nałogach i charakterach, Kaukazkie ludy różnią się wielce między sobą. I tak n. p. Czerkiesy, do których policzyć można Kabardyńców, Abazechów i Czeczeńców, są zwykle wzrostu wysokiego, pięknego i szlachetnego oblicza, wysmukli, zręczni, trzeźwi i otwarci, wstrzemięśliwi w ruchach i w mowie, w obejściu pełni powagi i godności — ubierają się z gustem i elegancją, trudnią się rolnictwem i wojną, a nigdy handlem lub przemysłem.

Przeciwnie Lezginy, lubo starają się w stosunkach z gaurami przybierać pewien rodzaj powagi, jednakże usiłowanie ich jest zbyt widocznym, aby sądzić, że przymiot ten jest im właściwym. Lubią mocne napoje aż do zbytku, i w razie potrzeby podsycają nimi odwagę. Ubiór ich jest niekształtny i dosyć zaniedbany, po największej części noszą zimną i latem ogromne kołuchy, z długimi pelerynami, obróconemi futrem na wierzch, po których rogach i z tyłu wiszą kutasy z wełny, przytwierdzone na długich z baranięj skóry kręconych sznurkach. Zamiast butów lub wykwinnych oponek, pokrywających nakształt kamasy nogę od kostki do kolan, uszytych po dług nogi, z różnokolorowego sukna i galonków, jakie noszą Czerkiesi, — Lezginy obuwają niezgrabne na bardzo szerokiej podeszwie ciężkie z surowej skóry, rzemieniami surowcowemi do nogi przymocowane. Arystokracja tylko

nosi buty z grubiej skóry na zamiesz wyprawnej z obcisłemi wyżej kolan zachodzącemi cholewanami, niezmiernie wysokimi obcasami, uzbrojonymi na podeszwie w trzy i pół cala wystające gwoździe, które im bardzo ułatwiają chodzenie po stromych górach. Okazują skłonność do handlu i wielką chciwość zysku, — trudnią się rolnictwem, pasterstwem i wojną.

Plemiona tatarskie, mieszkające nad brzegiem morza Kaspijskiego, należą już do ludów więcej oswojonych z cywilizacją. Zostając w ciągłych stosunkach z europejczykami, mają niejaki pojęcie o naszych prawach i zwyczajach, — zwłaszcza też mieszkańcy miast, których znaczna część prowadzi handel z Europą.

Od Derbentu aż do granicy Persji, po miastach ubierają się po większej części po persku, po wsiach zaś mają także strój do perskiego zbliżony, ale nieco krótszy i z większą elegancją przykrojony jak to mieszkańcy polskich prowincyj widzieli na Kurdach, w muzułmańskim pulku służących, którzy w śpiczastych, z słońca bucharskiego baranka czapkach, kontusikach z wylotami, na zwinnych i zgrabnych swego kraju koniach, cudów zręczności dokazywali.

Ossetyny jako naród zupełnie różniący się od wszystkich innych na Kaukazie zamieszkałych, zasługuje na bardziej szczegółowe opisanie.

W rocznikach gruzyjskich są dwa różne podania o ich pochodzeniu. Jedno z nich utrzymuje, że Osny, Ossy, Ossetyny, są to medycykwowie, wzięci w niewolę przez Scytów, i osiedleni w północnej stronie Kaukazu; —

drugie zaś twierdzi, że oni przyszli z nad brzegów Donu. Ptolomeusz znalazł już Ossylianów przy ujściu Donu, a miasto Azów ma być przez nich zbudowane. Zowią ich także Allanami. Oni sami nazywają siebie Ir, lub Iran, a ziemię przez się zamieszkałą Iranistan. Według własnego ich podania, zamieszkiwali dawniej ziemie przez Czerkiesów teraz zaludnioną, lecz wyparci przez nich przesiedlili się w góry. —

Obecnie zamieszkują środek gór kaukaskich, na południe od Gruzji, na północ po brzegi Tereku, spadłości gór i równinę Kabardy.

Powierzchność ich ciężka i niezgrabna; wzrost załdwo mierny, krępy, Twarze mają szerokie i płaskie, oczy niebieskie, włosy gęste, często rude. Ubior ich bardzo do chińskiego zbliżony, lecz przystaje do ich niezgrabnych figur.

Religji nie mają prawie żadnej, — bo chociaż większa część przyjęła chrzest i należy niby do kościoła obrządku greckiego, a ci co mieszkają na granicy czerkieskiej liczą się za mahometan, jednakże żadne z tych wyznań nie zapuściło korzenia w ich istocie, i dotąd śmiało nazwać ich można poganami. — Obrzędy religijne Ossetyńców przedstawiają dziwną mieszaninę chrześcijańskich z żydowskiemi i pogańskimi. Mają święte swoje gaje, gdzie na ołtarzu składają chleb i wino. Dwa takowe znajdują się pod górą *Buslagiwé*, a z tych słynniejszy blisko wsi *Lamidona*, która w dawnych czasach należała do wyginionego dziś plemienia *Nardów*. Obchodzą dwa święta w tygodniu to jest: sobotę, którą nazywają sabatem, i niedzielę.

Trudnią się w dolinach rolnictwem, które do wysokiego stopnia doprowadzili, na górach chowem owiec, kóz i bydła rogatego. Domy mają porządnie zbudowane z kamienia i gliny, zwykle dwupiętrowe, których dol służy na stajnie, chlewy i obory, pierwsze piętro na mieszkanie, a drugie na skład rzeczy i żywności; wszystkie piętra opatrzone strzelnicami, a często do domu dostawiona jest baszta, na której czuwa straż, obowiązana uwiadomić o zbliżaniu się czy to wroga czy przyjaciela. Umeblowanie proste, lecz wygodne. Łóżka ich drewniane nasłane są mnóstwem poduszek i materaców, co ich już odróżnia od innych ludów kaukaskich, zgola użytku łóżek nie pojmujących. Do jedzenia używają łyżek, widelców i nożów wówczas, gdy muzułmanie, choćby nawet najbogatsi, kładą jedzenie do ust palcami.

Wielonożstwo jest u nich rzadkiem zjawiskiem, — a lubo zdarza się czasem, że Ossetyńca ma dwie żony, bywa to czasem tylko we wsiach na granicy czerkieskiej położonych i pochodzi z naśladownictwa zwyczajów muzułmańskich. Kobiety u tych ostatnich nie mają żadnego w domu znaczenia, są tylko niewolnicami ślepo posłusznymi swemu mężowi i panu, mającemu nad nimi nieograniczoną władzę; u Ossetyńców przeciwnie, nie tylko kobieta jest na stopie równości z mężem i samowładną panią w domu, ale nadto mężowie zawsze im prawie ulegają.

Czystość obyczajów jest u nich bardzo względna. Nie ma prawie przykładu, aby panna dopuściła się czynu jej honorowi i wstydlivości ubliżającemu; mężatka zaś

do pierwszego tylko rozwiązania jest obowiązana być wierną swojemu mężowi, unikając nawet najniewinniejszych pozorów, tak dalece, że oprócz niego z nikim jej rozmawiać nie wolno, nie wyłączając rodziców i najbliższego rodzeństwa, z którymi tylko na migi się porozumiewa. Po roku za to używa zupełnej swobody, — a jeżeli po czterech latach nie jest powtórnie matką, ma prawo czynić, co jej się podoba, a wszystkie dzieci nieprawych związków spłodzone, mają prawo do nazwiska męża matki i majątku. Zresztą kobiety te są nadzwyczaj zabiegłe i pracowite; wszystkie roboty domowe, a często bardzo i różne, oprócz sianokosów, do nich należą, podczas gdy mężczyźni polują, trudnią się łupieżstwem lub bawią miłosnemi intrygami.

Gdy kawaler zamyśla o żonie, wyprawia swaty do jej rodziców, którzy, jeżeli znajdują partję podług życzeń, zapytują o zdanie córki, której głos jest tu ostatecznym i stanowczym. Kiedy i ona zgadza się przyjąć go za małżonka, wówczas zapraszają go do siebie, a pan młody, przybywszy, musi wyprawić ucztę dla wszystkich. Naza jutrz zebranie i uczta powtarzają się w domu sąsiada, i tak dalej, póki wszystkich nie obejdą. Po ukończeniu kolei, pan młody, w towarzystwie wszystkich zgromadzonych gości prowadzi żonę do domu, i tam na progu przyjmuje ją, trzymając w ręku zapaloną pochodnię, podczas gdy małe chłopcy, zbiegłszy się, szczypią ją i obdarczają szturchaściami, które ona w milczeniu bez oznaki niecierpliwości znosić musi. Wszedłszy do izby pani młoda oprowadzoną zostaje trzykrotnie naokoło komina,

a następnie posadzoną na honorowem miejscu, to jest na podwyższeniu w kącie naprzeciw komina znajdującym się, gdzie nie wyrzekłszy ani słowa, siedzieć musi, aż póki pierwszy kur nie zapieje. Przez ten czas obecne kobiety śpiewają weselne pieśni. Za hasłem przez kura danem, przybiega do niej mały chłopczyk, z laseczką w ręku, zrywa z niej dziewiczą zasłonę, rozdziera na dwoje, i życzy jej, aby miała dziewięciu chłopczyków, a jedną dziewczynę. Późem wszyscy goście powstawszy, zasiadają do weselnej uczty, przy której młoda gospodyni im posługuje, a po skończeniu której wszyscy się rozchodzą, młoda z mężem zostawiając.

Zemsta za krew przelaną przechowuje się u nich z całą surowością, i często zdarza się, że dwie rodziny wytepią się wzajemnie do ostatniego człowieka. W niektórych razach obie strony zdają się na sąd Boży, a ten odbywa się w następujący sposób: kilku wybranych starców oznaczają metę, na jakiej stać ma zabójca, a cała rodzina zabitego, nie wyłączając kobiet i dzieci, ciągnie losy, kto ma strzelać do winowajcy. Po jednym wystrzale jakikolwiek skutek nastąpi, choćby nawet zupełnie nie był ranny, przeciwnicy godzą się, a uraza z tego powodu na zawsze jest zapomniana.

Rząd Ossetyńów, równie jak i innych Kaukaskich narodów, z wyjątkiem tych, którzy zostają pod władzą Szamyla, jest patryarchalny. Prawa ojca nad dziećmi, a starców nad wszystkiemi, są święte i nigdy nie pogwałcone. W obecności ojca lub starców żaden z młodzieży nie śmie usiąść, ani też śmie zaprzeczyć im w czem-

kolwiek. Każdy rozkaz starszych jest wyrokiem i bywa spełniony z pokorą i bezwarunkowo.

W północnym i górnym Dagestanie, oraz u wszystkich plemion władzy Szamyla podległych, rząd zostaje w rękach naczelników i Naibów, których najwyższym zwierzchnikiem jest sam Szamyl, a prawodawstwo zastosowane do stopnia oświaty i politycznego bytu ludów jemu podległych.

## V.

Od Piatigorska posuwając się w głąb kraju głównym pocztowym traktem, wracać musimy przez Georgiewsk, a następnie przez stanicę Prochladną do Ekaterynogrodu.

Jest to ogromna stacja zabudowana porządnie na brzegu rzeki Malki, mieszcząca w sobie: cerkiew, sztab górskiego pułku Kozaków liniowych, wiele wcale ładnych i obszernych domów, rynek gdzie odbywają się targi, sklepy korzenne, bławatno i norymbergskie, pocztę i szkółkę elementarną.

Żona bakalarza liczyła się w owym czasie do znakomitości miejscowych. Nie było oficera przybywającego na Kaukaz, któryby nie znał *uczycielszi*, jak ją po rosyjsku tytułowano, była to kobieta średnich lat, miernego wzrostu i tuszy, przystojna, uprzejma, a stosownie do swego stanu bardzo wykształcona; zapalona zwolenniczka Eugenjusza Sue i Dumasa, których dzieła czytywała, NB. w oryginale. Brzdąkała cokolwiek na klawikordzie i gitarze hiszpańskiej; śpiewała z rozmaitem powodzeniem śpiewki ruskie i francuskie romanse, strzelała doskonale z pistoletu i nie gardziła miłosną intrygą. To też pa-

nowie oficerowie po kilkumiesięcznej ekspedycji w górach, gdzie oprócz brudnych Tatarek pilnie przez męzów strzeżonych, żadnej istoty mogącej policzyć się do płci pięknej nie widzieli, ciągnęli do *ucztyłazi* jak na lep. A że właśnie Ekaterynograd jest punktem, gdzie rozchodzą się drogi na prawo do Tyflisu, a prosto do Dagestanu, mnóstwo więc przejezdnych nawiedzało piękną bakalarzową, w której domu do tego dostanie wszystkiego (ma się rozumieć za sówite wynagrodzenie), co tylko podróżnemu potrzebnem być może. Ale jeżeli dobroduszny prostaczek lub niedoświadczony młodzieniec oczarowany spojrzeniami pełnemi obietnic i zalotną uprzejmością miłej gospośi, któremi gości hojnie obdarza, pozostał dłużej nad konieczną potrzebę, — jeżeli jeszcze, nierozsądny, przyjął wyzwanie strzelać o zakład z pistoletu, wówczas niezawodnie musiał się pożegnać z pugilarem, choćby najlepiej opatrzonym. — Pani Bakalarzowa oprócz wyliczonych już talentów, posiada jeszcze i ten, że po godzinniej znajomości z nowo-przybyłym gościem, wiedziała dokładnie o funduszach, jakie były w jego rozporządzeniu, — i stosownie do wielkości summy umiała zastosować swoją grzeczność, czułość i sympatję, a nawet skromność, która tém dłużej trwała, im większą summą rozporządzał przybyły, — ustępowała zaś nieograniczonej ufności, lub nawet zupełnie się nie objawiała, jeżeli gość miernie w ruble był zaopatrzony.

Z Ekaterynogradu na prawo, jak wspomniałem już droga prowadzi przez góry do Gruzji. Droga ta nosi nazwę wojenno-gruzińskięj. W każdej porze roku, jak

w ogóle wszystkie górne drogi, przedstawia ona wiele przeszkód stałych i przypadkowych; — szczególnież zaś w zimie, jazda po niej połączona jest z niebezpieczeństwem.

W liczbie przeszkód stałych mieszczą się raptowne spadki, skalistość gleby i wystające obrywy, przeciw którym droga wijąca się około boków gór zupełnie niebezpieczna. Do rzędu przeszkód przypadkowych należą: podmycie brzegów, zerwanie mostów, — ziemne, kamienne i śniegowe obwały, — nakoniec straszne zjawisko natury obwał Kazbeka. Latwo sobie wystawić ile pracy i wysilenia kosztuje zachowanie i utrzymanie komunikacji w górach, w przeciągu całego roku w ogóle, a w zimie szczególnież; — jakiej pilności wymaga się od osób, którym staranie o nią poruczone. — Najtrudniejsze miejsca do przebycia są: grzbiet gór od *Kicicetu* do stacji *Kobi* i przedłużenie gliniastych gór *Duszetu*.

Droga prowadząca do Dagestanu ciągnie się począwszy od Ekaterynogradu, po lewym brzegu rzeki Malki, która płynie w wężykowatych zakrętach, to niknie z przed oczu, to znowu białą wstęgą zabłyśnie z pomiędzy krzewów i zarośli. Po lewej stronie gościńca step okiem nieprzejrany. Martwa cisza panuje na nim, — czasem tylko kozak Kaukazki pędzący na szybkim koniu, w ślad za chartami doganiającemi spasłego zająca, ukazująca się wędrowną karawaną, lub stada koczujących Nogajców i Kałmyków, na chwilę ożywią pustynię.

Przejechawszy przez stację Pawłodolską, przybywamy do Mozdoka. — Miasto liczy przeszło 3000 mieszkańców,

prawie wyłącznie Ormian. Oddzielna struktura domów, ubiór mieszkańców, ich język, zwyczaje i obyczaje, nadają mu charakter czysto azjatycki. Na brzegu rzeki mieszkają Ossetyny i formują rodzaj osobnego przedmieścia. Jest tu: dwa kościoły ormiańskie, jedna cerkiew prawosławna i jeden kościółek katolicki, przy którym mieszka staruszek Dominikanin, — szpital wojskowy, zarząd wojennego komendanta i bardzo mała liczba rosyjskich urzędników, których obecność jedynie przypomina nam Europę.

Z Mozdoku do stacji Naurskiej, mamy tylko jedną stację; — jest to prawdziwie kozacka osada, jednakże ze względu na rozległość, wytworność zabudowań i bogactwo mieszkańców zasługuje na szczególną uwagę. — Naur mieści w sobie sztab mozdokskiego pułku Kozaków, którym dowodzi nasz ziomek pułkownik Jedliński; — ma piękną i obszerną cerkiew, szkołę, tudzież rynek, w koło którego znajdują się: dom dowódcy pułku, domy mieszczące sztab i kancelarje, kilka sklepów z drobnymi towarami i piękne mieszkania niektórych zamożnych Kozaków. Wał mocny darniowy, opatrzony palisadą, barjerami i mocnemi z każdej strony stacji wrotami, broni od napadu nieprzyjaciela. Pola dobrze uprawne dostarczają obfitość chleba, winnice i basztany wybornego wina, melonów i arbuzów, a sąsiedni step kwiecistej paszy dla koni, bydła i owiec w znacznej ilości chowanych.

Polowanie na ptactwo i zajęcie przedstawia wielkie korzyści, pomimo nadzwyczajną taniść zwierzyny. — Kozacy linjowi nie jadają wcale zajęcy, polują zaś na nie

już to z namiętności do myślistwa, już też dla zysku, jaki ciągną ze sprzedarzy skór. Mięso nie liczy się za nic prawie, albowiem sam kupowałem dwa zajęce obdarte ze skóry za pięć groszy.

Z kolei następują stacje: Iszczorska, Stoderewa i Kalinowska, nie zasługujące na szczegółowy opis, dopiero Czerwonnaja, jako sztab grebeńskiego pułku Kozaków, jak również ze względu na jej topograficzne położenie, zasługuje na bliższą wzmiankę.

Znamienita liczbą i bogactwem mieszkańców, zabudowana symetrycznie nad brzegiem Tereka, do którego niedaleko stąd wpada Malka, ma powierzchowność bardzo schludnego miasteczka. Liczy około 3000 mieszkańców, — z których młodzi pełnią służbę wojskową w miejscu lub przy oddziałach na wyprawę w góry wysłanych, starzy zaś, kobiety i dzieci zajmują się rolnictwem, a więcej jeszcze uprawą winnic i basztanów, z których ciągną znaczne dochody. — W letnie miesiące, mianowicie w czerwcu i lipcu, trudnią się polowem sumów i jesiotrów, — z tych ostatnich wyrabiając kawior i takowy sprzedając oficerom lub też handlarzom w Kizlarze i Mozdoku.

Z Czerwonnej dwie drogi prowadzą do Dagestanu. Jedna przez stację Szczedryńską, fort Amir-hadzi-jurt, Taszkicu, Wniezapną i Miatlińską przeprawę do Temir-Chan-Szury, jest krótsza, ale niebezpieczna, i dla tego tylko przez znaczniejsze oddziały zbrojne uczęszczana; — druga przez stacje: Nowogładowską, Kargalińską, Dubowską, Pieszczanokopską i miasto Kizlar, znacznie dłuż-

sza, — lecz dla zupełnego bezpieczeństwa głównie przez podróżnych uczeszczana.

Od stacji Pieszczanokopskiej, która jest ostatnią przed Kizlarem, i bierze swoje nazwisko od piaskowych gór, ciągnących się na kilka wiorst ku północno-zachodniej stronie, a przez które przejeżdżając prawdziwie przekopywać się trzeba, położenie kraja znacznie się zniża. Czternasto-wiorstowa przestrzeń oddzielająca rzeczoną stację od miasta, w czerwcu i lipcu z powodu rozlewu Tereka, bywa trudną i niebezpieczną do przebycia. Cała przestrzeń jak okiem zasięgnąć można, pokryta wówczas wodą, przedstawia ogromne, bezbrzeżne jezioro, po którym żeglują powozy i telegi, postępując z największą ostrożnością za przewodnikami, znającymi doskonale miejscowość. Ci ludzie, których słusznie możnaby nazwać pilotami, kształcą się od dziecińczych lat w tém rzemiośle, stanowiącém prawie ich wyłączne utrzymanie — i zaprawdę, nie jest to rzecz łatwa odbywać dwu-milową podróż, po drodze pokrytej pieniającą się wodą, gdzie najmniejsze zboczenie może narazić na wielkie niebezpieczeństwo i śmierć nawet. Za bussole służą im wystające nad wodą wierzchołki drzew lub trzciny, i takimi to tylko kierując się wskazówkami, przeprowadzają prawie zawsze bez przy-padku swoich klientów.

Miasto Kizlar, nad samym brzegiem Tereku zabudowane, liczy około 10,000 mieszkańców, wyłącznie Ormianów. Domy również jak w Mozdoku, stawiane są z drzewa, na wysokich podmurowaniach z gankami i galerijkami, opatrzonemi drewnianą kratką, — izby w nich

duże i wysokie, nie malowane i nie bielone, z piecami z kolorowej porcelany, oświetlone są często wielkimi z kolorowych szybek oknami.

Są tu dwa klasztory, cerkiew prawosławna, trzy kościoły ormiańskie i kaplica katolicka. Ta ostatnia mieści się w fortecy, o pół wiorsty od miasta położonej, gdzie także znajduje się dom dla komendanta, domy dla kancelarji i urzędników, tudzież koszary dla żołnierzy nieznanych linjowego Kaukaskiego bataljonu, — żonaci zaś mieszkają po drugiej stronie fortecy, w tak zwanj słodackiej slobódce.

Kizlar jest miastem dosyć handlowém. Wszystkich europejskich i azjatyckich towarów dostać tu można po cenach umiarkowanych. Mieszkańcy w ogóle trudnią się uprawą wina, które dla szczególnej dobroci zyskało na Kaukazie zasłużony rozgłos, i połowem ryb, mianowicie bielug, jesiotrów i siewrug, z których ikry wyrabiają wyborny kawior i szamai, żyjącej tylko w Tereku, a odznaczającej się wybornym i delikatnym smakiem. W Warszawskich składach rybnych można dostać szamai, ale tylko wędzonych, — jest ona bardzo tłusta i w smaku przyjemna, jednadze nigdy nie dorówna świeżym zaraz po złowieniu przygotowanym.

Do samego Kizlaru podróżować można, zwłaszcza wśród dnia, z wszelkiém bezpieczeństwem, i prawie nie ma przykładu, aby na tej przestrzeni przejeżdżający byli napadani przez niepodległych górali; — samo zaś miasto od 1831 roku, to jest od czasu najścia przez Kazi-Mulle, który zrałowawszy co tylko było można, znaczną część



mieszkańców wymordował i mnóstwo niewolników uprowadził w góry, cieszy się zupełną spokojnością. Prawda, że w dziesięć lat potem zdarzył się wypadek, który spowodował chwilowy w mieście przestrah, — jednakże bliższe rozpoznanie towarzyszących mu szczegółów, wykazało całą bezzasadność obawy. Rzecz się tak miała.

W 1841 roku, przybył do Kizlaru niejaki p. Lamberger z nieliczną truppą sztucznych jeźdźców, i zaczął dawać przedstawienia, na które tamtejsza publiczność, jako zjawisko zupełnie dla niej nowe, tłumnie się zgromadzała. W liczbie szczupłego personażu truppe, znajdowała się panna Józefina L., córka przedsiębiorcy, panienka lat 18, pięknej twarzy i kształtnej budowy ciała. Zwinną jak wiewiórka, giętą jak pantera, dokazywała cudów na galopujących w cyrku świetnie przybranych rumakach, w malowniczym stroju, lśniących mnóstwem naszywanych blaszek i haftów, darząc czarownym uśmiechem młodych widzów bliżej sceny siedzących. Zachwycała wszystkich, a w krótko stała się celem szalonych zabiegów namiętnych synów Azji.

Pomiędzy starającymi o względy p. Józefiny, był młody Ormianin, posiadacz dwóch domów w Kizlarze, i znaczne-go ziemskiego majątku, który przed parą lat opuścił służbę wojskową, w stopniu sztabs-kapitana gwardji. Przy stojny, dosyć wykształcony i bogaty, mile był widzianym od panny, i wkrótce zyskał pierwszeństwo przed wszystkimi współzawodnikami, — ale papa L<sup>\*\*\*</sup>, silny doświadczeniem, a nie zaślepiony miłością, nie dał się uwieść pozorom. Zaloty bogatego i dobrze urodzonego konkurenta

pochlebiali dumie ojcowskiej, ale tego było nie dosyć; — on pragnął, i słusznie, aby zakończyły się małżeństwem — bo i któryż ojciec mógłby obojętnie ścierpieć hańbę własnego dziecka? Oświadczył więc bez ogródki odwiedzającej go młodzieży, że tylko ci, którzy względem jego córki uczciwie mają zamiary, w domu jego przyjmowani będą. Skutki tego oświadczenia okazały się niebawem, — panowie konkurenci znikali jeden po drugim jak kamfora, aż wkrótce sam tylko Ormianin, pozostał.

Stary L<sup>\*\*\*</sup>, sądząc że ośmnastoletnie wdzięki jedy-naczki zwałyby przesąd szlachcica, że bogaty dziedzic wkrótce zostanie jego zięciem, a piękna Józefina nie w cyrku dla zabawy publiczności, lecz we własnej karecie jeździć będzie, rosł jak na drożdżach. Mając się już za teścia znakomitego pana, zaczął po trochu wstydić się swego rzemiosła, i z roskoszą marzył o chwili, kiedy wyprzedawszy konie i ubiory teatralne i rozpuściwszy truppę, w bogatym perskim szlafroku, z długim woniejącym cybuchem w ustach, zasiędzie na miękiej kanapie i protekcyjonalnie spoglądać będzie na ludzi nie dorównywających pochodzeniem lub majątkiem mężowi Józefiny. Ale Ormianin nie w ciemie bity, potrafił utrzymać się na takim stanowisku względem rodziny pana L<sup>\*\*\*</sup>, że nie zobowiązując się wyraźnie do niczego, był zawsze w ich domu jedynym i pożądanym gościem.

Aby pewniej doprowadzić do skutku plan wcześniej obmyślany; Ormianin zaprzestał otwartych umizgów do panny Józefiny, ograniczając się na rzucanych ukradkowo pełnych miłości i nadziei spojrzaniach, — co wystarczało

zupelnie do zaspokojenia panny. Z ojcem, który coraz czulszym się dla niego okazywał, rozmawiał o cyrku, zręczności jeźdźców i pajaców, ujeżdżaniu koni i t. p. Było to jedyne pole, na którym pan L\*\*\* mógł popisywać się zwycięzko, nie obawiając się współzawodników; — to też podobne rozmowy powtarzały się za każdą u niego bytnością Ormianina.

Pewnego razu rozwodząc się nad zaletami, wadami i różnaitością rass końskich, Ormianin zaczął ganić angielskie bieguny wyłącznie do wyścigów tresowane, twierdząc, że nie są zdatne ani do zaprzęgu, ani pod wierzch, a tém mniej jeszcze do ciężkiej pracy, i że nawet sama ich szybkość biegu jest względna i zależy zupełnie od kierujących nimi żokiejów. L\*\*\* chociaż nie był zwolennikiem angielszczyków, niechciał przecież zgodzić się na to, aby żokej, jakkolwiek doskonały w swoim fachu, mógł zręcznie prowadzeniem i własną wolą i energją, nadać słabemu i leniwemu koniowi rącość i siły.

— Jakto? nie wierzysz pan? — zapytał Ormianin — otóż ja z panem założę się, że na moim balanym, który w dyszlu chodzi, prześcignę najlepszego z pańskich koni, byleby był niewprawną lub słabą prowadzony ręką.

— Zgoda! — rzecze L\*\*\* — ja wybiorę konia, a jeźdźca z mojej truppy sam pan naznaczysz.

— Dobrze! wybieram pannę Józefinę, naznaczam metę na 5 wiorst, — a kto przegra zapłaci drugiemu sto rubli srebrem.

— Zkądże tak niekorzystne nniemanie o mojej sile

i zręczności w prowadzeniu konia? — zapytała prawie z urazą, przysłuchująca się rozmowie p. Józefina.

— Mówiąc to, nie o zręczności pani, którą wszyscy tu tylukrotnie podziwialiśmy, lecz o jej sile myślałem, a zdaje się, że powątpiewanie moje w tym względzie młodej i pięknej panience ubliżać nie może. Zresztą jeżeli się omyliłem, to niezawodnie zakład przegram i sto rubli zapłacę. Chyba że pani przyznasz mi z góry słuszność i nie przyjmiesz wyzwania.

— Przyjmę, przyjmę natychmiast, i mam nadzieję że pan swego zdania względem mnie jutro nie powtórzysz.

L\*\*\* oceniając należyte zdolności ekwitacyjne córki, i dzielność konia, którego już miał na myśli, był pewnym wygranej, i unówiwszy się z Ormianinem o warunki, wyścigi na dzień następny nazmacył.

Nazajutrz o unówionej godzinie, stawil się Ormianin na swoim grubo-plaskim balanku, a w tej chwili prawie, w mundurze Niżogrodzkiego pułku dragonów, który często na przedstawienia przywdziewała, na pryskającym pianą, drżącym od niecierpliwości rosłym i pięknym siwoszu, wyjechała panna Józefina. Kilku uproszonych bogatszych obywateli miasta i oficerów, przybyło na metę, z której wyścigi zacząć się miały, — aby bezstronnie przysądzić zwycięzcy nagrodę.

Po danym znaku puścili się oboje galopem, — Ormianin poganiając konia nahażką, a Józefina widocznie hamując swego, aby oszczędziwszy mu siły z początku, tém pewniejszy tryumf odnieść nad przeciwnikiem.

Tumany kurzu zakryły wkrótce ścigających się, przed

wzrokiem świadków, którzy już tylko na wydobytych z kieszeni zegarkach liczyli minuty, spoglądając niekiedy po drodze, czy rychło ujrzą wracającego zwycięzcę.

Upłynęło pół godziny niecierpliwego oczekiwania, a na drodze nikogo nie było widać. Stary L\*\*\* i świadkowie gubili się w domysłach, co mogło opóźnić powrót zapasników, ale pomimo tysiącznych, najdziwaczniejszych przypuszczeń, dalecy byli od prawdy. Nareszcie mija godzina, — świadkowie, których napróżno ze łzami prawie błaga stroskany ojciec, chcą się już rozejść do domów, — gdy tentent galopującego konia wstrzymał ich na miejscu. W parę minut potem Kozak linjowy na zmęczonym koniu stanął przed drżącym z obawy i niepewności L\*\*\* i doręczył mu karteczkę następującej treści, olówkiem po niemiecku napisaną, którą przywiózł do forpoczty Kozackiej jakiś Tatar i polecił jak najspieszniej doręczyć podług adresu.

„Jesteśmy w rękach niepodległych górali, — prowadzą nas w góry, gdzie pozostaniemy pod strażą, dopóki okup, jaki naznaczą za nasze oswobodzenie, nie będzie nadesłany. Jest to nieprzewidziane nieszczęście — to prawda, ale bądź pan spokojnym o córkę. Będę czuwał nad jej bezpieczeństwem i mam nadzieję, że ci wkrótce zdrową powrócę.

*S. Ormianin.*“

Trudno wyobrazić sobie rozpacz i przerażenie nieszczęśliwego ojca. Zaledwie po wielokrotném zbadaniu wszystkich okoliczności zdołano go nieco uspokoić przedstawieniem, że Ormianin bogaty, bardzo bogaty, a takich

ludzi górale nie zabijają, licząc na dobry okup; — że jego córka będąc przy nim nie jest narażoną na żadne niebezpieczeństwo, a kryjąc pod mundurem właściwą pleć, uchodzić będzie za młodszego brata, lub przyjaciela i bez szwanku wróci na łono ojca.

Tymczasem rozpytywany Kozak takie o tym wypadku rozpowiadał szczegóły.

Przed dwoma godzinami Kozak stojący na wyszce spostrzegł zbliżający się ku miastu oddział konnych w liczbie około dwudziestu ludzi, który zatrzymawszy się w odległości półtory wiorsty od ostatniej forpoczty, spętał konie i puścił na trawę. Dwóch tylko jeźdźców z niego pojechało do miasta.

Uwiadomiony o zjawieniu się obcych, i jak się zdawało uzbrojonych ludzi, komendant forpoczty wyjechał z dwoma Kozakami naprzeciw nich, a przybliżywszy się na kilkadziesiąt sążni wezwał, aby doń jednego człowieka wysłano. Czyniąc zadość, jeden z jeźdźców przybył bez wachania piechotą, i na zapytanie, co są za jedni, odpowiedział: — że przybyli z sąsiedniej wioski dla zapłacenia podatków, które wysławszy do kasy przez dwóch towarzyszy, sami oczekując ich powrotu pasą konie na trawie. Zaspokojony tak prawdopodobném objaśnieniem, podoficer wrócił na miejsce, wydawszy tylko rozkaz, aby stojący na straży Kozak, miał ich ciągle na oku. W pół godziny potem ujrzano powracających z miasta dwóch jeźdźców, którzy połączywszy się z oddziałem, ruszyli spiesznie brzegiem Tereku i wkrótce skryli się w nadbrzeżnych zarodkach. Tuż za nimi pokazało się znowu ewalujących

drogą od miasta dwóch panów, z których jeden zdawał się być cywilnym, a drugi oficerem dragonów. — Gdy i ci ostatni zniknęli Kozakom z oczu, dały się słyszeć gęste wystrzały, jednakże w parę minut wszystko się uciszyło, a posłaniec, który przywiózł karteczkę, oświadczył, że oficer dragonów rozkazał ją natychmiast odwieść na wskazane miejsce.

Wiść o porwaniu Ormianina i Józefiny rozniosła się po mieście lotem błyskawicy i wzniosła wielką trwogę w mieszkańcach; — rozesłano natychmiast konne rozjazdy, ale te powróciły wieczorem, nie spotkawszy nigdzie nieprzyjaciela. Stary L\*\*\* rozpaczal z początku, ale w końcu musiał poddać się losowi, i o ile można cierpliwie oczekiwać przyrzeczonego oswobodzenia jedynaczki.

W parę dni po opisanym wypadku, jeden z przyjaciół Ormianina otrzymał od niego list, w którym go prosił, aby zebrał 2000 rubli i przygotował na wykup za nich oboje, po który ze zwyczajnemi w takich razach formalnościami mieli się zgłosić trzymający ich w niewoli górale.

Starania o pieniądze, których nie było w domu, w takiej ilości i negocjacje odbywające się o kilkadziesiąt wiorst od Kizlara, trwały przeszło dwa tygodnie. Po upływie tego czasu załatwiono z góralami interes i wziętnie powrócili w doskonałym zdrowiu.

Chociaż jak się zdawało bieda im nie dokuczyła i obchodzono się z nimi laskawie, jednakże panna Józefina nie lubiła odpowiadać, gdy ją pytano o szczegóły niewoli.

Rozpowiadano wprawdzie, że najeźdźcy byli własni poddani Ormianina, a jeden z folwarków jego, służył porwanym za więzienie, w którym nie szczędzono dla nich najlepszych potraw i napojów i najtroskliwszej opieki, — jednakże za autentyczność tego nie ręczę.

W Kizlarze kończy się linja Kaukazka. Przeprowadziwszy się promem przez Terok, jesteśmy już w granicach północnego Dagestanu.

## VI.

Po drugiej stronie rzeki, której brzegi są pokryte krzakami złotowierzbu i rokitnicy, na przestrzeni wiorst pięciu ciągnie się nieprzejrzana, zarosła wysoką trawą, trzcina i burzanami, dalej zaś czysta, bezleśna, okryta kwiecistą trawą, lukrecją i kaparami, równina. Podróż przez nią jest niebezpieczną, z powodu pojawiających się oddziałów góralskich, czujących na zdobycz, — i dla tego też nikomu bez dostatecznej eskorty jeździć tędy nie wolno.

Dla ułatwienia komunikacji z Dagestanem naznaczają się dwa razy w miesiąc tak zwane okazje, — to jest, w naznaczone dni zbierają się wszyscy udający się w tamtą stronę, oficerowie, urzędnicy, kupcy, turyści, a nawet sprzymierzeni krajowcy i w masie, czasem do pięciu set osób dochodzących, pod strażą bataljonu piechoty, dwóch armat i oddziału Kozaków, ruszają w drogę. — Wówczas głuchy i milczący step staje się ożywionym, gwarnym, a często nawet nieznośnie hałaśliwym, do czego nie mało przyczyniają się tatarscy *arbacci* i ich przeraźliwie skrzypiące *arby*.

Jakkolwiek sama miejscowość nie przedstawia żadnych przeszkód podróżującym, jednakże droga ta jest nudną, jednostajną i męczącą. — Nic na okolo nie widać oprócz trawy — żaden budynek lub choćby najmniejsze drzewko nie przerwie monotoności obrazu; dodajmy do tego komary, w czasie lata okropnie kęszące i zupełny brak wody, a możemy mieć choć małe wyobrażenie o niedogodnościach tej podróży.

Pierwszą stacją, gdzie zatrzymuje się okazja jest *Kambulak*, dwie wające się chaty nad brzegiem małego stawku, zamieszkałe przez biednych Nogajców, stanowią całą osadę. — Kto chce posilić się gorącą strawą, choćby miał wszystkie do tego przybory, musi jeszcze zaopatrzyć się w drzewo, którego tu i na lekarstwo nie znajdzie. Mieszkańcy miejscowi używają w lecie uschłej trawy i bądlów do rozniecenia ognia, — w zimie zaś nawozu bydłowego, którego dostateczną ilość przysposabiają w ciepłej porze, lepiąc z niego krążki w kształcie placków, które przyklepiają do ścian domów i innych zabudowań. Tak wysuszone na słońcu palą się doskonale i zastępują jako tako drzewo opałowe, — ale nieprzyzwyczajonemu trudno bardzo oswoić się z cuchnącym odorem ich dymu. W górach Kaukaskich, zwłaszcza w Andji, Awarji i Akuszy, używają powszechnie tegoż samego materiału opałowego.

Drugą stacją jest Mahometów — most; — sądząc z nazwiska, wnosićby wypadło, że do tego miejsca przywiązuje się jakaś pamiątka historyczna, mająca styczność z prorokiem Mahometem, — tymczasem zupełnie tak nie

jest. Kilka chałup nędznie zabudowanych, zamieszkałych przez Nogajców, z których jeden tytułuje się kniaziem i jest podobno właścicielem wioski, nosi to szumne nazwisko. Sam kniaz równie obdarty i nieokrzesany, jak jego poddani, nie różni się od nich powierzchownością. Jest tam wprawdzie i most na niewielkiej, lecz bardzo rybnej rzeczce, ale taki, bez jakiego u nas nie ma łada wiosieczki, — a jeżeli po nim i chodził kiedy jaki Mahomet, to z pewnością nie słynny prorok Wschodu.

Następnie przybywamy do Kazi-Jurta. Tu oprócz wioski pięknie nad brzegiem Sulaku zabudowanej, znajduje się rosyjska, dobrze uzbrojona fortyfikacja i przedmieście składające się z kilkudziesięciu ładnych domków, własnością oficerów i żonatych żołnierzy będących. W twierdzy jest mieszkanie komendanta, tudzież koszary dla bataljonu piechoty i oddziału artylerji walowej.

Odtąd okolica zaczyna się zmieniać. Na widnokręgu pokazują się to małe wzgórza, to gaje trzcinowe po kilka wiorst zajmujące, to nawet formalne lasy, — lecz o 30 wiorst dalej widzimy znowu przestrzeń równą i otwartą, ciągnącą się aż do twierdzy Azeńi, o 45 wiorst od Kazi-Jurta odległej.

Azeń, nad rzeczką tegoż nazwiska, jest mała fortyfikacja, darniowym wałem obwiedziona, w środku której znajduje się domek dla komendanta i koszary, zaledwie dwie kompanje pomieścić mogące. Jako punkt strategiczny nie ma wielkiej wartości, służy tylko za bezpieczny przytułek dla przejeżdżających; za to pod względem gospodarczym wartość jego jest niezmierna. Rozległe i ży-

zne pastwiska ciągnące się aż do Kaspijskiego morza, o pięć wiorst od fortu odległego, dostarczają dostatecznej żywności dla bydła i koni będących własnością oficerów i żołnierzy w Temir-Chan-Szurze konsystujących.

Miejsce to odznacza się wielką ilością habędzi i przelotnego ptastwa. W początku jesieni wędrują zwykle tędy pardy tak ogromnemi massami, że stada ich podobne wielkiej chmurze, słońce zaćmiewają. Lecą przytęp tak nisko, że z fortu można było do nich strzelać, z małego górskiego granatnika, nabitego całym funtem ptasiego strótu, a po każdym wystrzale spadało kilka set ofiar. W końcu jesieni i w początku zimy zjawia się mnóstwo dropiów. Jest to ptak podwójnej wielkości zwyczajnego indyka, nadzwyczaj ostrożny, i dla tego trudny do podejścia. Lata nisko i zdarzało się, że z ganku mego mieszkania zabijałem z fuzji przelatujące dropie. Mięso ich jest dosyć smaczne, ale przed upieczeniem powinno być ze skóry obdarte i w occie winnym przez całą dobę moczone, inaczey jest twarde i do jedzenia niezdatne.

Na przestrzeni 45 wiorstowej, oddzielającej Azeń od Temir-Chan-Szury, jest kilka znaczniejszych aulów, a mianowicie: Kumter-Kale na górze rozłożony. Ztąd już krajobraz zmienia się zupełnie. Wzrok nie gubi się w bezgranicznym stepie, oko nie spocznie na kwiecistej łące, — wszędzie nagie skały i wąwozy. Rzeczka Azeń w różnych kierunkach przerzyna drogę, tak, że na ćwierć-milowej przestrzeni sześć razy przebyć ją potrzeba. Przebywszy ją, pola uprawne, ugory pokryte stadami owiec, — wszędzie ślady przemysłu i pracy spostrzegać się dają, a mar-

stwa cisza stepu — gwarnemu życiu miejsca ustąpiła. Kapczugaj a następnie Chalim-Bek-Aul i Kafer-Kumyk, szczególnie dwa ostatnie, w pięknym miejscu, pięknie zabudowane, wyglądają bardzo malowniczo. Są to pierwsze tatarskie wioski, które podróżnik z Europy przybyły, na swą drogę spotyka.

Okolica górzysta, po większej części drzewami pokryta; zapach bzu, czeremchy, jaśminu i innych kwiatów, zapelnia powietrze, a ostatnie promienie zachodzącego słońca zlocą wierzchołki białych gór, rzucając na poniżej stojące fantastyczne cienie i barwy.

Mijas głęboką drogę, — jesteś na wzgórku, — a tuż przed tobą bieleją mury, z po za których piętrzą się dachy pięknych budynków, a ze wzniesionej nad wszystkie kawaler-baterji powiewa wojenna flaga. To Temir-Chan-Szura.

Nazwisko to budzi w mej pamięci dwudziesto-kilkoltnie wspomnienia. Tu przepędziłem dziesięć lat młodzieńczego życia. Przybyłem do Temir-Chan-Szury, nie-doświadczonym, zaledwie z lat dziecięcych wychodzącym młodzieńcem, opuściłem ją mężczyzną dojrzałym wiekiem i doświadczeniem. Ileż to różnej natury wspomnień łączy się z moim tu pobytem! Były tu gorzkie, były i szczęścia chwile! a pamięć tego cudownego kraju i dzielnych towarzyszków dołi, pozostanie mi na zawsze drogą. Dla tego szczegółowemu opisowi tego miejsca osobny poświęcę rozdział.

## VII.

Między 40, 50 południowej szerokości i 64, 46 wschodniej długości, o 45 wiorst od morza Kaspjskiego, leży Temir-Chan-Szura; — dawniej prosty aul, obecnie piękne i warowne miasto. Graniczy z dziedzictwem Szamchala Tarkowskiego, i ziemiami niepodległych górali.

W 1832 roku, dowodzący oddziałem wojsk w tej części Dagestanu, podpułkownik Kluki von Klugenau, uważając Temir-Chan-Szurę za ważny pod względem strategicznym punkt do działań wojennych, powziął myśl założenia fortyfikacji, i wybrał na ten cel miejsce, gdzie obecnie wznosi się *Kawaler-baterja*, od zachodu rzeczką z urwistemi i skalistemi brzegami, od południo-wschodu, wielkiem jeziorem bronione. Pobudowawszy kilkanaście ziemianek, opasanych darniowym wałem, pozostawił w nich dwie kompanje piechoty, które przezimowawszy w nowych kwaterach, zajęły się z nadchodzącą wiosną rozprzestrzenieniem fortyfikacji, założyły z rozkazu swego dowódcy wielki ogród, i przygotowały większą ilość ziemianek; mogących już wygodnie pomieścić dwa bataliony wojska.

W 1834 roku, von Klugenau, zostawszy pułkowni-

kiem, przeniósł do Temir-Chan-Szury sztab Apszerońskiego pułku piechoty, krórego mianowany był dowodzą, — a następnie otrzymawszy wkrótce stopień generała brygady, sztab takowej także tu pomieścił.

Ze zwiększającą się ludnością, rosła potrzeba lokali, wiktualów i w ogóle wszystkich artykułów do życia i ubrania potrzebnych. Kupcy z Kizlaru, a następnie z Tyflisu, zaczęli przyjeżdżać z towarami i stawiać na przedce sklepy. Wpośrodku otwartym został obszerny plac, na którym pierwsze rozpoczęły się targi, a Dagestańcy stopniowo zaczęli nabierać chęci do handlu i w bliższe stosunki wchodzić z chrześcijanami. Był to pierwszy krok do pewnego rodzaju ucywilizowania tych prawie półdzikich krajowców, do owiej chwili w ostatniej tylko konieczności, z wielką pogardą i nieufnością zbliżali się do gjaurów.

W okolo placu i sklepów, zaczęły wznosić się ziemianki, małe żołnierskie domki, z chrustu lub gliny i wapienia, — a nareszcie porządniejsze domy, z niepalonej cegły, w których mieszcili się oficerowie z ich rodzinami. Z tej to gromady niekształtnych zabudowań powstało przedmieście, czyli jak go tu nazywają *Forsztadt*.

W 1838 roku, przysłano baterję artylerji, a w 1839 roku urządzono szpital wojskowy. Liczba mieszkańców i domów znacznie się powiększyła, — utworzył się *nowy Forsztadt*, wśród którego wybudowano z dobrowolnych ofiar Polaków, w tej brygadzie służących, kościół katolicki.

W 1842 roku zaprowadzono stałą komunikację z Eu-

ropą i innymi miejscami na Kaukazie, i z tego tytułu urządzono w Temir-Chan-Szurze pocztę. Poprzednio odbieraliśmy listy w Kizlarze lub Derbencie, dotąd po odbiór takowych, o sto kilkadziesiąt wiorst, umyślnie jeździć trzeba było.

W rok później przybył sztab pułku kozaków dońskich a w następnych pułki i sztab 14 dywizji, dwóch brygad i tyluż pułków. Znowu przybył jeszcze *nowy Forsztadt* a ziemne wały coraz się rozszerzały. Nareszcie, w 1847 roku, Temir-Chan-Szura została punktem środkowym zarządu wojskowego i cywilnego w całym Dagestanie. Skromny niegdyś aul przekształcił się w piękną i bogatą osadę wojskową; posunął się aż ku jezioru, które ze względu higienicznego, zupełnie osuszono; — poczem febrja, djarja i szkorbuty poprzednio grasujące, zupełnie ustąpiły.

Klimat tu dosyć umiarkowany; a lubo w czasie lata upały dochodzą do 40 Reamura, jednakże wiatr wiejący z przyległej, o 10 wiorst góry gimryńskiej, Tawlinka zwanej, a na 6,360 stóp wysokości, czyni takowy dosyć znośnym.

Grunt gliniasty, nasycony kwasem chlorowym, siarczanym i alkaliczny. Pod gliniastą glebą znajduje się wszędzie szary piaskowiec.

W dzisiejszych czasach, podług statystycznych wiadomości, Temir-Chan-Szura, liczy ludności stałej, bez żołnierzy w koszarach konsystujących, do 7,000, a mianowicie: wojskowych obywateli 5,000 i osiadłych mieszkańców 2,000. — Ma sześć placów: Kościelny, Ormiań-



ski, Awarski, Apszeroński, Paradny i rynek, — a 23 ulic, które przecinają się pod kątem prostym; tworzą około 70 mniejszych i większych części. Szerokość ulic jest 7 do 14 sążni, w ich liczbie trzy znaczniejsze, mają chodniki i bruk; — a wszystkie oświetlone są latarniami.

Całe miasto opasuje wał, umocniony barjerami i pięciu dwupiętrowymi basztami, przy jednej z których jest wodociąg, dostarczający wody do cystern, wodotrysków i basenów, w mieście się znajdujących. Wejście do twierdzy ułatwiają trzy sklepione bramy, a z czwartej strony drewniane mocno okute wrota.

W samej fortecy zajmuje ogromną przestrzeń kamienicy dwupiętrowy gmach, służący za pomieszczenie dla zarządzającego częścią wojskową i cywilną, z wielu pięknymi skrzydlami, w których mieszczą się bióra, urzędnicy, i oficerowie sztabowi.

Na przedmieściach stanowiących obecnie miasto, jest Kościół i świątyni różnego wyznania sześć, a mianowicie: Katolicki, ormiański, bardzo piękny, według planu pana Banet, prawosławnych dwa, meczet machometanowski i synagoga żydowska. Oprócz trzech bibliotek wojskowych jest tu osobny księgozbiór, wyłączną własnością Polaków będący, pod zawiadostwem i nadzorem katolickiego kapłana wojskowego, księdza Bartłomieja Pruszkowskiego.

Na różnych placach są trzy basseny i wspaniały, w starożytnym guście wodotrysk. Dwa basseny służą do pojenia koni i bydła, a jeden do kąpania; przy tym ostatnim są aparaty gimnastyczne dla chcących używać tej rozrywki.

Oprócz żołnierzy, których zajęcia i zabawy są jedne i te same w całej Rosji, — niższą warstwę towarzystwa stanowią kupcy i rzemieślnicy. Z powodu różnych narodowości, zwyczajów i obyczajów, nie łączą się oni pomiędzy sobą, spędzając czas wolny od zajęć, z małą liczbą znajomych na pochulance lub rozmowie, a najczęściej w kółku rodzinnym.

Wojsko i urzędnicy tworzą jedno wielkie koło, spójone wzajemną sympatją uczuć lub pojać, albo wreszcie prostym wymaganiami stosunków.

Oprócz zwykłych odwiedzin, większa część członków towarzystwa, zbiera się dwa razy w tygodniu, zimową porą w domu umyślnie na ten rodzaj resursy przeznaczonym, gdzie odbywają się tańce, amatorskie teatry i koncerty, — w lecie zaś w pięknej rotundzie zbudowanej w korynckim stylu, a znajdującej się w publicznym ogrodzie, gdzie tańczą lub grają w gry towarzyskie. Często także liczne towarzystwa wyprawiają się na dalsze przejażdżki.

Temir-Chan-Szura, ze względu swego topograficznego położenia jest punktem, w którym zbierają się na letnie wyprawy wszystkie wojska w Dagestanie konsystujące. Ekspedycje także zaczynają się zwykle w Maju, a trwają do Października, czasami i dłużej. Przez cały ten czas, miasto tak gwarne i ożywione w zimie, staje się głuchem, milczącym, prawie pustym; — kobiety, których mężowie walczą w górach, siedzą smutne w oknach, oczekując między strachem i nadzieją przysyłanych z oddziałów buletynów.

W zimie zdarzają się także niespodziewane wycieczki,

które niekiedy do kilku tygodni przeciągają się, dla tego też oficer kaukaski powinien być zawsze gotowym do pochodu.

Ze względu na utrudzające drogi i mnogie strumienie, które w bród przebywać trzeba, władza pozwala oficerom piechoty jeździć konno, a oprócz wierzchowego mieć jeszcze jucznego konia, na którego ładuje się wszystko, cokolwiek do ubrania i wygod życia w długiej podróży jest koniecznym.

Wszystkie podróżne przybory powinny zawsze być w pogotowiu, choćby się nawet wcale wyprawy nie spodziewano. Suchary i inne wiktuały co miesiąc przynajmniej odnawiane, — a to, aby w każdej chwili być gotowym do pochodu. O ile ta gotowość jest potrzebna, przekona następujące zdarzenie.

Wspomniałem, że towarzystwo oficerów i urzędników zbiera się dla zabawy dwa razy w tygodniu. Dodać tu winienem, że oprócz zwykłych wieczorów tańczących, była zawsze wielki bal w wigilję nowego roku. —

Zjeżdżają się nań około godziny 9tej, i tańczą do 12tej. Wtedy wystrzał armatni z Kawaler-baterji, wiadomia o zaczęciu nowego roku, — lokaje z tacami, pełnemi kielichów szampana wchodzą na salę, a wszyscy zebrani, ni wyłączając dam, spełniają one przy wspólnych życzeniach pomysłności.

W 1842 r. dzień 31 Grudnia był zimny i słotny. Deszcz ze śniegiem chłostał przechodzących, słowem był to czas, w którym, jak to mówią, psu trudno na dwór wypędzić. Pomimo to przygotowania na bal wieczorny

nie ustawały, — o godzinie 9tej, sala zebrań rześście oświetlona, przedstawiała czarowną mozaikę błyszczących mundurów i różnobarwnych, powiewnych strojów. Ciepła atmosfera salonu, nasycona zapachami mille fleurs, essbouquet i rezedy, mile uspasabiała do przyjęcia balowych wrażeń, — lekkie pary taneczne wirowały w takt zachwycającej muzyki Straussa i Lannera. Młodzież upojona wdziękami tancerek, ich ognistemi spojrzzeniami, a w części winem, którego ogólny bufet obficie dostarczał, bujała myślą w obłokach, wybijając żwawe cholubce dzielnego mazura. Zabawa szła ochoczo, wszystko tchnęło radością i szczęściem. W tém, w samym środku kontredansowej figury la pastourelle zwanéj, kiedy tancerze silili się na zręczne chasses à droite et à gauche, wystrzał z armaty na kawaler-baterji zwiastował północ a z nią i rok nowy. Tańce przerwano natychmiast i rzucano się do Szampana, który właśnie w téj chwili pompatycznie wkraczał do sali.

Życzenia szczęścia i pomysłności zaczęły krzyżować się na wszystkie strony, gdy drugi podobny wystrzał wstrząsnął oknami budynku. Niesione do ust kielichy zatrzymały się w połowie drogi, — wszyscy spojrzeli na siebie w osłupieniu, — a wesoły gwar balu ustąpił zupełnej ciszy. — Trzeci i czwarty wystrzał nastąpiły wkrótce po sobie, i niepozwołyły już wątpić o bliskiej obecności nieprzyjaciela; — gwar biegających żołnierzy, odgłos bębnowbijających trwożę, wreszcie urzędowa wiadomość, że górale w niewiadomój liczbie spuściwszy się na równiny, odbijają dobytek u mieszkańców Chalim-bek-aula, i Kafer-Kumy-ka, stwierdziły obawę. Wszyscy obecni oficerowie rzucili

się w balowym stroju na plac, gdzie wojsko już stało do boju uszykowane, i poprowadzili one na pomoc mieszkańców napadniętych aulów.

Jakkolwiek działano szybko, nieprzyjaciół w przeważnej sile napadłszy na nieprzygotowanych mieszkańców, pomimo z ich strony oporu, zabrał dobytek w liczbie tysięcy sztuk, i popędził w góry. Ograbieni, razem z wojskiem puścili się w pogoni za łupieżcami, dopędziwszy ich tylną straż nad Sułukiem, między Zurma-Kentem i Miatlińską przeprawą rozpoczęli bój zacięty. Oddziały miurudów pospieszywszy swoim na pomoc, nadały tej zwycięzkiej charakter daleko ważniejszy, aniżeli się spodziewano, — a ekspedycja, która w dniu jednym ukończyć się miała, przeciągnęła się blisko do dwóch tygodni.

Oficerowie ściśle stosujący się do ustanowionego porządku, nie tyle uculi przykrości i niewygody z powodu tak nagłego pochodu, — ich juczne i wierzchowe konie będąc zawsze w pogotowiu, dopędziły ich w krótko, i na pierwszym spoczynku mogli już zamienić strój balowy na odzież ciepłą i stósowną do obecnych okoliczności, nie troszcząc się przytém o wygody życia. Ale mniej dbali o trzymanie w porządku bagaży, znosili zimno, głód i strudzenie, ratując się od śniegu i deszczu pożyczoną od kolegi hurką, pokrzepiając zwątlone siły podanym przez grzeszność kieliszkiem wódki i kawałką szynki lub szklanką ciepłej herbaty.

## VIII.

Mówiliśmy w poprzednim rozdziale, że wojska konsystujące w północnym Dagestanie, występowały z zimowych kwater, na wiosenne wyprawy, — tak nazwane ekspedycje w początku maja, i nie wracały do sztabu, aż w końcu października, — a czasem nawet i później; — niezależnie jednakże od tych oddziałów, wysłano inne, których przeznaczeniem było zajmować fortece i blokhauzy przez całą zimę. — Po Czerkiejewskiej wyprawie, która się odbyła w 1841 roku, pod naczelnym dowództwem, główno-komenderującego na Kaukazie, — generała adjutanta Golowina, — 4ty batalion Apszerońskiego pułku piechoty, pod dowództwem majora Zajcowa, wysłany został do Chunzaku, stolicy Awarji, dla zajęcia cytadeli, i obrony kraju, będącego na ówczas pod zarządem z ramienia władzy rosyjskiej, — majora księcia Gregoria Dymitriewicza Orbeliani, — dziś generała-adjutanta, generała piechoty. Autor był na ówczas w tym batalionie pełniącym obowiązki adjutanta i kwatermistrza; — oprócz czterech dowódców kompanij i podrzędnych oficerów, — był przykomenderowany na czas ekspedycji z Olwiopol-

skiego pułku ulanów, porucznik T\*\*\*, rodem z gubernii wołyńskiej, oficer młody, wesóły i dobry kolega, a przytém zapalony tancerz; — i porucznik artylleryi, dowodzący dwoma górnymi jednorogami, także polak, ale którego nazwiska nie pamiętam. — Najstarszy z nas nie przechodził lat trzydziestu; — to się znaczy, że każdy chciał żyć i bawić się o ile można wesóło, — a tu jak na złość w Chunzaku ani myśleć o zabawie. — Wprawdzie ja i Trejczka byliśmy codziennie zapraszani do księcia Orbeliani na obiad i na wista; — ale te przyjemności zabierały nam zaledwie kilka godzin na dobę, — a przytém przykro nam było zostawiać dobrego towarzysza artylerzystę, bo rzeczywiście, z nim tylko żyliśmy w ściślejszych stosunkach. — Trzeba więc było pomyśleć o jakiejś rozrywce; — a ponieważ nie mieliśmy ani książek ani kart, — postanowiliśmy strzelać z pistoletu do puli, ujeżdżać konie, — a Trejczka, jako wielki amator płci pięknej, poświęcał jeszcze codziennie pewien czas na wzdychanie i przypatrywanie się dwom przeslicznym tatarom, należącym do haremu Achmet-Chana Mechtałińskiego.

Były to dziewczyny, po lat 17 mające, kształtnej kibi, i nadzwyczaj pięknych rysów twarzy; — jedna z nich, co jest rzadką rzeczą na Kaukazie, — była jasną blondynką. —

Program więc naszego życia był taki: wstawaliśmy o godzinie ósmej, — piliśmy herbatę, — i udawaliśmy się na przechadzkę; — następnie Trejczka, jako ulan, ujeżdżał mego konia, którego sam wychowałem, — potém

jedliśmy śniadanie, następowało strzelanie do puli, które odbywało się w sposób następujący: do wkopanej pionowo deski przytwierdziliśmy obnażony kindżał, ostrzem na sztorc; — składaliśmy do puli pewną kwotę rubli, — i strzelając do kindżału na dwadzieścia pięć kroków, kierując się po rękojści, bo samego kindżała nie można było na tę odległość dopatrzeć; — ten zabierał pulę, kto w dwunastu strzałach najwięcej miał dobrych; — o czém uwiadamił nas żołnierz, siedzący w jamie, wykopanej tuż pod przytwierdzonym kindżałem, dając horągiewką umówione znaki. — Te codzienne ćwiczenia rozwiły w nas zadziwiającą zręczność, doszliśmy do tego stopnia doskonałości, że prawie każdym wystrzałem rozdawaliśmy ołowianą kulę na ostrzu kindżału.

Po tej zabawie ja wracałem do swojej sakli, gdzie ułatwiałem się z mojemi czynnościami, lub w braku tatarskich pokazywałem zawsze tłumnie zgromadzonym Tatarom rozmaite sztuki, niyto magiczne.

W ogóle na Kaukazie jest zwyczaj, że dla uczczenia godności zwierzchnika, pewna ilość mieszkańców musi znajdować się ciągle w jego mieszkaniu, stojąc w około wszystkich ścian, — gdy są zmęczeni, inni ich zastępują. Wiedząc, o ile są zabobonni, łatwowierzący w czary, magię itp., że każdy guślarz jest przez nich wysoko szanowany, — nie mogłem oprzeć się chęci wzbudzenia w nich obawy i poszanowania.

Byłem bardzo młody i również wesóły, — bawiłem się więc i zyskiwałem zarazem wielką władzę nad tymi prostymi ludźmi, co mi się nieraz na wiele przydało.

Opiszę tedy, w jaki sposób uprawiałem czarną magię: Naprzód, pokazywałem im niektóre sztuki z kilkunastu starych kart, co ich w niemale podziwienie wprawiało; — następnie, miałem wykrojone z tektury, stósownie odmalowane trzy figurki, składające się z członków, sznurkami w stawach połączonych, po francuzku *Pantins*; — w czarnym kominie sakli, przeciągałem czarną nitkę na poprzek, na taką od ziemi wysokość, aby figurka przyczepiona głową do nitki dostawała zaledwie nogami do ziemi. Od tej nitki szła druga również czarna, przyczepiona drugim końcem do moich spodni; — wtedy brałem każdą z kolei figurkę i pokazywałem takową Tatarom, żądając aby starali się onę postawić, czego naturalnie żaden nie był w stanie dokazać; — oświadczyłem im więc, że na mój rozkaz nietylko stać, ale nawet tańczyć będą. — W takich razach miałem zawsze w palcach galeczkę małą z wosku, a tę przyklepiwszy nieznacznie z tyłu głowy figurki, zdawała się stać o własnej sile; — następnie, wzięwszy flet, udawałem się na takie siedzenie, aby nitka łącząca moją nogę z nitką, do której lalka przytwierdzona, była dostatecznie wyciągnięta. — Wtedy zaczynałem grać, — a moja baletniczka, poliszynel lub kozak, podskakiwali w najlepsze, stósownie do taktu, jaki nogą wybijałem; — trzeba było widzieć zdziwienie i przestach tych prawie dzikich i do szaleństwa odważnych ludzi; — oczom swoim nie wierzyli, prosili, aby im jeszcze te figurki dać do obejrzenia, a po próżnych pokuszeniach, aby takowe postawić, żądali, aby jeszcze tańczyły. —

Ale co najbardziej na ich wyobraźnię oddziaływało, to proszki sodowe. Miałem zawsze w dwóch szklankach rozpuszczone proszki w bardzo małej ilości wody; — poselałem więc jednego ze stojących pod ścianą po świeżą źródlaną wodę, — wówczas, w ich obecności, nalewałem tejsze wody do każdej szklanki jedną trzecią część; — i oświadczałem im, że ta woda, zaledwie przez ich towarzysza z krynicy przyniesiona, — na mój rozkaz zakipi; — tu dawały się słyszeć oznaki niedowierzenia, — nawet śmiechy, — a więc kiedy tak, — to nietylko, że w waszych oczach woda zakipi, — ale ja ją kipiącą wypiję; — nie, tego nie jesteś w stanie uczynić, wołali; — a więc zobaczmy: wlewam z jednej szklanki do drugiej, proszki się burzą, a ja w obec nieopisanego zdumienia i przesfrachu widzów, tę niewinną wodę piję.

Od owiej chwili mogłem nawet wśród nocy bezpiecznie chodzić wszędzie, gdzie mi się podobało, — i każdy mieszkaniec moje rozkazy niewolniczo spełniał. Widząc mnie z daleka, powtarzali: „*Wallah, czech Szajtan war!*“ Zaprawdę, jest to inny szatan.

Podczas, kiedy ja w mojem mieszkaniu zabawiałem się magią, Trejczka chodził około palacu Chanów i admirał spacerujące po dachu haremowe panny.

Czas obiadowy zbliżał się, — książę Orbeliani przysłał prosić na obiad i na wista, — zabawa zwykle przeciągała się do nocy, — wracaliśmy więc na spoczynek, — a nazajutrz żgliśmy znowu podług wczorajszego programu. —

W trakcie tego, przybył do Chanzaku, porucznik

kommunikacji lądowej i wodnej, *Ajgoni*; — oficer ten był Tawlincem, z plemienia gumbetowskiego, graniczącego z Awarją; — w dwunastym roku życia, wzięty przez generała Rosena do niewoli, oddany był na naukę do szkoły wojskowych kantonistów; — a że chłopak dobrze się uczył, i wzorowo prowadził, posłano go do korpusu komunikacji lądowej i wodnej, — i ztamąd wyszedł zdolnym oficerem.

Każdy z głównodowodzących lubił bardzo porucznika *Ajgoni*, i co rok dozwalał mu przez cały miesiąc bawić u swęj familji, której nie przestał kochać i szanować; — tym sposobem nie zapominał ojczystego języka, — a jako zdolny i ucywilizowany, władał nim z pewną elegancją.

Pragnąłem korzystać z trzechdniowego pobytu *Ajgoniego*, w *Chunzaku*, i prosiłem go, aby przygotowane przezemnie frazesy w języku rossyjskim, zechciał mi po tawlińsku podyktować, — zgodził się na to chętnie, i zaraz przystąpiliśmy do dzieła. — Frazesy te dotyczyły wszystkiego, — co odnosiło się do stosunków żołnierzy z mieszkańcami, cen różnych produktów, dróg, wypadków codziennych i wiadomości o nieprzyjacielu.

Trejczka także nie zaspiał gruszek w popiele; przygotował on parę arkuszy wyrazów i frazesów, stosujących się wyłącznie do umizgów, i komplementów, jakie pragnął ładnym *Tatarkom* wypalić przy zdarzonej okazji; — ja-koż zaledwie *Ajgoni* zdołał dokończyć dyktowania, nasz ulan nie czekając, aż się niektórych czułości na pamięć nauczy, lub przynajmniej zrozumiałej wymowy nabędzie, popędził jak strzala pod *Chański* pałac.

Zaciekawiony, jak się ta romansowa wyprawa skończy, poszedłem za nim o kilka kroków, i skryłem się za sąsiednim murem, nie tracąc go z oczu, w taki sposób, abym całą rozmowę mógł słyszeć.

Piękne *Tatarki* były na tarasie, czyli prosto mówiąc, na dachu; — *Trejczka*, z miłym na ustach uśmiechem, zbliża się o kilka kroków od palacu, zatrzymuje, wyciągając z kieszeni zwitek papieru, kobiety, które go dobrze znały, jako niemego dotąd wdychacza, zaintrygowane jego postawą, cóż nadzwyczajnego zwiastującą, zatrzymują się także i oczekują rozwiązania.

Nasz ulan czyta z wdziękiem i haniebną wymową; „*Wurezami diruch*“, co znaczy, „jak się masz duszko?“ blondyna parsknęła śmiechem, brunetka zaś przybliżywszy się na sam brzeg tarasu, plunęła mu w twarz, — co jest u kobiet tatarskich bardzo zwyczajnem, gdy do nich *giaur* przemawia; — sądziłem, że nasz bohater zadowolni się tym objawem niezaprzeczonej sympatji, — lecz omyliłem się, bo obtarłszy twarz, zaczął czegoś szukać w swoim kajecie.

Nie mogąc ścierpieć tej jego zimnej krwi, — wołam z za węgla; — idźże już do domu, — czegoż jeszcze czekasz? — „muszę jęj zapytać, dla czego na mnie pluje, odrzekł spokojnie“. — „*Szaze duce tuleb*“? Dla czego plajesz? — *Czarnobrewa* piękność po raz drugi plunęła na mego kolege, — który widząc, że konkury zły obrót biorą, zdecydował się do odwrotu.

Tegoż samego dnia wziąłem zeszyt *Trejczki* i wszystkich słodkich frazesów, nauczyłem się doskonale na pa-

mieć, przyczem nauczywszy się także i tego co sam napisałem, wyrecytowałem wszystko przed Ajgonim, — a ten moją doskonałą wymowę szczerze pochwalil.

Na drugi dzień wyszliśmy obadwa z T. ku pałacowi Chanów Awarskich, — zostawiwszy go za murem, gdzie dnia poprzedniego zatrzymałem się, postąpiłem naprzód, i obie spacerujące na dachu Tatarki, po tawlińsku pozdrowilem; — odpowiedziawszy natychmiast na moje pozdrowienie, zatrzymały się zdziwione, — ja zaś nie tracąc wcale fantazji, rozpocząłem rodzaj rozmowy, do której poprzednio przygotowałem sobie stósowne frazesa, — one także mi coś odpowiadały uprzejmie i wesoło. — Nie mogę zaręczyć, aby wszystko, cośmy sobie w tej szczególnej rozmowie powiedzieli, miało zupełny związek i logikę, tém bardziej, że ich odpowiedzi nie rozumiałem, lub bardzo mało; — lecz zaręczyć mogę, że gdy wypowiedziałem wszystko, do czego się przygotowałem, i żegnałem moje nowe znajome, — pożegnały mnie także z największą przyjaźnią i zdawały się zachęcać do rychłego zobaczenia.

## IX.

W początku października major Zajcow otrzymał rozkaz wystąpienia z Chanzaku i zajęcia wsi *Gotcatt*.

Pożegnawszy tedy moje piękne przyjaciółki, — bo już wtenczas rzeczywiście mogłem prowadzić rozmowę w ich języku, — wymaszerowałem z bataljonem, i tegoż samego dnia ku wieczorowi przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Ani *Gotcatt*, jest to wielka wieś porządnie zabudowana, wzdłuż wąwozu, otoczona bogatemi sadami i winogrodnikami; — liczy przeszło tysiąc mieszkańców; — jest przytém kolebką *Chamsat-Beka*, następcy *Kazi-Mutły* a poprzednika *Szangyla*.

Stanąłem na kwaterze z majorem Zajcowem, — i rozpoczęliśmy znowu prawie ten sam tryb życia co i w Chanzaku, — dodając do tego przechadzki po sadach i wyprawy na ryby, w które płynący około wsi Kojusu bardzo obfituje. —

Czas schodził nam szybko i wesoło, — dnie były cudowne, — i tém mniej mogliśmy się skarżyć na nudy, że spodziewaliśmy się wkrótce być zastąpieni przez inny bataljon, — i powrócić do Temir-Chau-Szury, gdzie nas

oczekiwały bale, teatry, — i mnóstwo życzliwych i znajomych.

Tymczasem nasz jasny horyzont zachmurzył się na chwilę; — dnia 30 tegoż miesiąca wieczorem, major Zajców otrzymał rozkaz, aby na dzień 31 przybył z bataljonem do Chunzaku. — Nie było rady, — trzeba było rozstać się z naszą piękną wioską, rozkosznymi sadami, — z winogronami, — i bystrą rzeką, dostarczającą nam wybornych pstrągów. —

Na drugi dzień rano wyruszyliśmy ku Chunzakowi, dokąd przybyliśmy wieczorem i wszystkich nas ułokowano w Cytadelli. —

Tam dowiedzieliśmy się, że projektowano nazajutrz wielką wyprawę na *Golotl*, wieś w niedostępnym prawie położeniu, o podbicie której kilkakrotnie napróżno się kuszono. —

Do późnej nocy wojska z różnych stron przybywały, — a lokowano wszystkie lub w samej cytadelli, lub też obozowały pod jej murami. — Dzień 1 listopada wybrano do szturmowania aulu, dla tego, że to jest nowy rok u Muzułmanów, największe ich święto, (bajram,) — w ten dzień zwykle Tatarzy nie przedsiębiorą żadnych wypraw; a nie obawiając się najazdów sąsiedzkich, oddają się wyłącznie zabawom i hulance, — przez co właśnie i zwykła czujność i przezorność są prawie zupełnie uspiione. —

Wyruszyliśmy z Chunzaku na godzinę przed świtem, idąc przyspieszonym krokiem, przybyliśmy na wyżyny otaczające *Golotl*, równo ze wschodem słońca. —

Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzelśmy mieszkańców pod

bronią, strzegących pilnie każdego wejścia do aulu; — widocznem było, — że ich o naszym zamiarze uprzedzono; w takich warunkach o szturmie nie można było myśleć, ograniczono się więc na bombardowanie aulu przez kilka godzin, podczas których wojska strudzone szybkim marszem odpoczywały. —

Dzień był przesliczny, — słońce zajaśniało całym jesiennym blaskiem, — oświetlając różnobarwne góry, — i malownicze świąteczne ubiory połyskujących bronią i kolczugami górali. —

O dwónastej zakomenderowano do odwrotu, — o drugiej po południu byliśmy znowu w Chunzaku, — a całym rezultatem wyprawy, — były przesliczne szkice aulu i strzegących go mieszkańców, — zdjęte po mistrzowsku przez księcia Gagaryna, towarzyszącego nam naówczas w charakterze turysty. —

Po dwugodzinnym spoczynku mój bataljon wyruszył z powrotem do *Gotcatl*, — jako kwatermistrz, miałem do załatwienia rachunki, z urzędnikiem wojskowej intendatury, niejakim sekretarzem kolegiatnym G... polakiem, — słynnym czcicielem *Bachus*, pod postacią prostej gorzalki. —

Szukając go na próżno, prawie przez cały czas spoczynku, — już miałem, pozostawiając na czas późniejszy rachunki, iść razem z bataljonem, gdy major Zajców zachęcił mnie do pozostania, mówiąc, że za nim on z piechotą i artylerją przejdzie równinę oddzielającą Chunzak od *Kach*, na przestrzeni wiorst sześciu, — gdzie w każdej porze można było bezpiecznie podróżować, ja przez



ten czas z łatwością skończę rachunki i na moim dziel-  
nym koniu dopędzę oddział, zanim się spuści w wąwóz.  
Pozostawszy tedy w Chunzaskiej cytadelli, rozesałem  
na wszystkie strony, aby wyszukać owego pana Golebiow-  
skiego i o ile można, jak najspieszniej pokonać z nim  
rachunki. —

Czas uchodził a nikt z posłanych nie wracał, — sie-  
działem jak na rozpalonych węglach, — bo każda minuta  
zdawała mi się wiekiem, każda zwłoka czyniła podróż  
moję niebezpieczniejszą, a może nawet niepodobną; —  
a raz odłączywszy się od bataljonu, stawiałem się przed  
władzą odpowiedzialnym, — a co gorsza, mógłem na bar-  
dzo długo, może nawet do następnego lata pozostać  
w owej okropnej cytadelli. —

Łatwo sobie wystawić można moje położenie; —  
prawdziwa rozpacz mnie ogarnęła; — i już nie zważając  
na nic, chciałem popędzić sam jeden za bataljonem, —  
gdy komendant cytadelli uczynił mi uwagę, że na to nie  
pozwole, — bo bataljon od dawna już spuścił się w wą-  
wóz, — a wiadomo przecież, że tamtędy nikt bez stoso-  
wnej eskorty podróżować nie może; — że on nie chce  
brać na siebie odpowiedzialności, za nieszczęście jakie nie-  
zawodnieby mnie spotkało, — i że pozostaje mi do wy-  
boru, lub pozostać w cytadelli, dopóki jakaś okazyja się  
nie zdarzy, lub też starać się otrzymać od Achmet-Chana  
przyzwoity konwój. —

Na takie *dictum acerbum* nie pozostawało mi jak  
tylko zastosować się do jego woli, — więc też natychmiast  
przeklinając p. G., posłałem do Chana prosić o konwój. —

Już dochodziła czwarta, kiedy nareszcie przyprowa-  
dzono p. G. w tak okropnym stanie pijaństwa, że ani  
słowa od niego dopytać się można było; — kazałem go  
zaprowadzić pod studnię i tam całemi kublami lać mu  
zimną wodę na głowę, próżne starania, — o żadnych ra-  
chunkach ani myśleć było. — Przy tej Prysnicowskiej  
operacji przeszło znowu pół godziny, — słońce zaczęło  
chylić się ku zachodowi; — straszna perspektywa prze-  
pędzenia zimy w cytadelli, pozbawionej nie tylko wszelkich  
przyjemności, — ale nawet czasem przyzwoitego pożywie-  
nia, — ukazała mi się jak najobrzydliwsza poczwara; —  
układałem już w myśli plany, na wypadek, gdyby obawa  
moja ziścić się miała, — w jaki sposób zemścić się na  
Golebiowskim, jedynym sprawcy mego nieszczęścia; —  
jaką śmierć dla niego wymyśle, — bo nawet myśl o za-  
mordowaniu go zaczęła mnie przesładować; — gdy na  
szczęście przysłano mi oznajmienie, że konwój gotowy  
i oczekuje mnie za wsią; — meż ten odbył się w przy-  
tomności komendanta, — który nie sprzeciwiając się już  
memu odjazdowi, — najserdeczniej mnie pożegnał. —

Wskoczyłem na konia i pędem strzały puściłem się na  
wies; — przybywszy na miejsce, oglądałem się na wszy-  
stkie strony, lecz nigdzie konwoju dopatrzeć nie mogłem, —  
co tu robić? — wracać, czy jechać dalej? — o to pyta-  
nie, — lecz wrócić do cytadelli, aby najmniej sześć mie-  
sięcy cierpieć nady i niedostatek, — nie, lepiej stokroć  
zginąć! — a więc naprzód! —

W chwili kiedy już ruszyłem z miejsca, spostrzegłem  
wyjeżdżającego z krętej uliczki aulę pijanego Tatara, na

karym koniu z dwiema płaskimi baryłkami, (baklaszki), przytroczonemi z tyłu siodła. — Pytam go dokąd jedzie? — Jestem twój konwój, odpowiada, — i jadę do Gotcatl. — Jak to, sam jeden? — Alboż to nie dosyć? — nie bój się, Bojar, przy mnie nic ci się złego nie stanie. — Cóż miałem czynić? — Byłem przecież zdecydowany sam puścić się w podróż, — towarzystwo miejscowego Tataru mogło mi tylko być użytecznem. —

Wyjchawszy na równinę puściliśmy się dobrym kłusem, zmrok już zapadał, — a tylko sześć wiorst równej drogi mieliśmy przed sobą. — Wieś *Kach*, na wzgórzu zbudowana, stoi na końcu tej równiny, — dalej już, — trzeba spuścić się z bardzo stromej, krzemienistej góry, w głęboki i wązki wąwóz, o prostopadłych skalistych brzegach, w wielu miejscach wśród dnia nawet światło zakrywających; — drogę przez niego prowadzącą stanowi wyschłe łożysko rzeczki, najeżone wszędzie ostremi kamieniami, — a gdzie nigdzie pokryte wodą. —

Drożyna ta wije się wężykowato i ciągnie przez 19 wiorst aż do samej wsi Gotcatl. —

Eskorta moja, doskonale pijana, harcowała ciągle na biednej szkapie, a w szalonym biegu zataczając koła, zagłuszała mnie nieprzyjemnym dźwiękiem, ciągle podskakujących i tłukących się o siodło baryłek. —

Wszystkie moje prośby, aby nie męczył konia, którego siły będą mu może bardzo potrzebne, — były bez skutku; — Tatar pijany gotów jest na wszystko, — a zwłaszcza w taki dzień, jak nowy rok, najważniejszy *bajram*; fanatyzm religijny wzrasta u niego do najwyższych roz-

miarów, — a zamordowanie *Giaura* uważa za czyn pełen zasługi, w obec Allacha; musiałem więc postępować z nim bardzo oględnie, aby nie utracić przynajmniej jego towarzystwa. —

Noc była zupełnie ciemna, gdyśmy przybyli do krzemienistej góry, z której nam spuścić się należało, i dalej, aż do miejsca, odbywać drogę wąwozem. — O świcie wiorsty na prawo leży aul *Kach*, sako jego z powodu święta, gesto oświetlone. — Mój przewodnik zatrzymawszy konia, proponuje mi, abyśmy się udali do jego przyjaciela, mieszkającego w *Kach*, mówiąc, że napiwszy się u niego wódki, puścimy się w dalszą podróż; — tę propozycję odrzuciłem, rozkazując mu, aby pozostał przy mnie; — lecz on oświadczył mi bez ogródki, że jeżeli nie chce jechać z nim na wódkę, — to mogę podróżować sam; — zagroziłem mu, że go oskarżę przed *Achmet-Chanem*, — w innym razie samo nazwisko tego okrutnego władcy dreszczem by go przejęło; — w stanie zaś, w jakim mój przewodnik się znajdował, — strach nie miał do niego przystępu; — odpowiedział mi bardzo stanowczo, że sobie drwi z *Achmet-Chana*. —

Wtedy byłem już przekonany, że go do posłuszeństwa niczem nie skłonię, — on też niebawem zaciął konia i pojechał do aulu. —

Pozostałem sam, — w koło noc ciemna, — od *Chunzaka* przedzielała mnie sześć-wiorstowa równina, — po której nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, mogłem wrócić do cytadelli, lecz ta myśl była odemnie daleką, — przedemną wila się w głębi przepaści drożyna,

na której sto razy mogła mnie spotkać śmierć męczeńska, bo o niewoli ani marzyć, — muridzi nie dawali pardonu; — pomimo to, — bez wahania, zsiadłem z konia i wzięwszy go za cugle, zacząłem spuszczać się w wąwóz. —

Gdy już wstąpiłem w owe wyschłe łożysko, wsiadłem znowu na konia i postepowałem z wolna ku Gotcatłowi. —

Nie mogę powiedzieć, aby zajmujące mnie wówczas myśli były różowego koloru, — pięcioletni już pobyt na Kaukazie dał mi dokładne pojęcie o niebezpieczeństwie, na jakie się w owej chwili prawie dobrowolnie narażałem, ale w usposobieniu mojem, z natury łagodnem, leżało, i dotąd jeszcze pomimo wiek podeszły, leży jakieś lekkowazenie niebezpieczeństw, — i jakaś niewidzialna i niewytlumaczona siła, popychająca mnie do walki z niemi.

Jechałem tedy przeszło godzinę, wśród głębokiej ciemności i ciszy, — smutne myśli zaczęły z wolna ustępować marzeniom pełnym uroku; — nadzieja szybkiego awansu, a następnie powrotu do kraju, ośladnęła mną z początku; zatem przedstawiło się mojemu oczom całe grono kolegów, przyjaciół i przyjaciółek, oczekujących mnie, jak sądziłem, z niecierpliwością; — sala balowa z całym wdziękiem młodych tancerek i dźwiękami uroczej muzyki pod dyrekcją naszego ziomka J. Psurskiego; — słowem, zapomniałem zupełnie o chwili obecnej, — co zresztą jest rzeczą zwyczajną u ludzi bardzo młodych i wrażliwych. —

Wtém zdało mi się, że słyszę jakiś oddalony szmer; staram się wmówić w siebie, że to tylko plód wyobraźni, lecz niestety, nie długo mogłem się ucieszyć tą pocieszającą myślą; — szmer coraz zbliżał się do mnie i wkrótce

mogłem się przekonać, że pochodził z rozmowy znacznego oddziału ludzi, postępującego w kierunku Chunzaka. —

O ucieczce myśleć było niepodobna, — wśród ciemnej nocy, po ostrych kamieniach, między którymi znajdowały się olbrzymiej wielkości, koń zaledwie stępa i z wielką ostrożnością mógł postepować, — lecz gdyby nawet można było przyspieszyć biegu, — to sam tentent kopyt zdradziłby moją obecność, a bieg konia nie mógłby być tak szybkim, aby go na tak przykrój drodze zwinny Tatar pieszo niepodepził, — tém bardziej, że gdy szmer rozmowy usłyszałem, oddział zaledwie na dwieście kroków był odemnie oddalony. —

Konia miałem doskonałego, lat czterech wieku i własnego chowu, — ale jak powiedziałem, ten awantaż nie na wiele w tych okolicznościach mógł mi się przydać, — za całe uzbrojenie miałem jeden pistolet w olstrze, szaszke i nabajkę, — wszystko to niewystarczające do obrony przeciw kilkudziesięciu zbrojnym, — nie pozostało więc jak ruszać naprzód, w imię Boże, — co też i uczyniłem.

Wyznać muszę, że jakkolwiek uchodziłem w mojem pułku, za jednego z waleczniejszych oficerów, — nie mogłem w owej chwili pochwalić się zupełną spokojnością, — jednakże dosyć zimnej krwi zachowałem.

Jak wspominałem wyżej, — wąwóz wil się gryzakiem, — odłamy skal i naturalne zagięcia brzegów formowały łuki lub kąty, — otóż po kilku minutach w jednym z takich zagieć spotkałem się z oddziałem z kilku dziesięciu ludzi złożonym, — o ile mogłem zauważać, wszyscy składający takowy, byli kompletnie uzbrojeni, a na

popachach mieli białe *czalmy* (rodzaj zawoju). Znając zwyczaje krajowe, poznałem zaraz, że to byli muridzi, a zatem najzaciętsi nieprzyjaciele Rosjan i w ogóle wszystkich niewiernych. —

Czułem, że jeżeli nie wezmę jakiegoś inicjatywy, — jestem bezwarunkowo zgubiony, — a i w takim nawet razie cudem chyba uratowanym być mogę. —

Poleciwszy się Opatrzności, — krzyknąłem o ile można silnym i spokojnym głosem; — *Kinal czau?* Co wy za jedni? — „*Achmet-Chau-adam*“ Achmet Chańscy ludzie odpowiedzieli, — i rozstąpiwszy się dali mi wolne miejsce do przejazdu; — z mocno bijącym sercem wjechałem w tłum muridów, nienawistnie na mnie spoglądających, — a chociaż, gdyby to odemnie zależało, posunąłbym naprzód lotem ptaka, — przecież ostrożność nakazywała mi, o ile można jechać powoli. — Przeprowadzali mnie, w miarę jak postępowałem, piorunującymi spojrzeniami, — ale oprócz stłumionej rozmowy, żadnego grożącego głosu nie słyszałem. —

Ujechawszy z parę set kroków, zakryty kilkoma zygzakami, popędziłem konia, o ile miejscowość pozwalała, a po kwadransie, nie zaczepiony od nikogo, zupełnie się uspokoiłem. —

Zacząłem rozmyślać, co by mogło być powodem, że muridzi, i to w dzień bajramu, mając mnie w swych rękach, wypuścili cało? — Doszedłem prawie do przekonania, — że gdy ujrzeni w nocnej porze i w takim miejscu samotnego oficera, — który miał śmiałość zapytać ich, co są za jedni, — przypuszczali, że w ślad za nim

postępowało liczne wojsko, zakryte kilkoma załamami, — i dla tego, sami znajdując się jak w pułapce, — bo nigdzie rozpierzchnąć się nie było można, — nie odważyli się go zaczepić; — gdy zaś przekonali się, że ja rzeczywiście byłem sam jeden, już byłem wtedy za daleko, aby mnie ścigać; — wreszcie wiedzieli dobrze, że się natknę na kilka innych oddziałów za nimi postępujących. —

Jakoż wkrótce spotykałem cztery jeszcze w pewnych od siebie odległościach oddziały, — a używając zawsze tego środka co z pierwszym, — a nawet z daleko naturalniejszą spokojnością, wyszedłem cało i po północy dostałem się do Gotcatl. —

Wszystkie inne następujące po pierwszym oddziały, tém mniej śmiały mnie zaczepić, że pierwszy tego nie uczynił, — przypuszczaly więc bardzo loicznie, — że ważny do tego musiał być powód. —

Co do mnie, to sądzę, że Bóg widząc moje w Nim ufność, nie dopuścił méj zguby. —

Wszedłszy do kwatery, gdzie obok śpiącego majora Zajcowa i dla mnie posłanie było przygotowane, zacząłem się rozbierać; — major przebudzony blaskiem świecy, zerwał się i krzyknął: Pan Bóg z tobą! z kąd się tu wziąłeś o tej porze? — Odpowiedziałem mu bardzo naturalnie, że przybywam z Chanzaku; — Ale z kim? — z jakim konwojem? zapytał gwałtownie; — sam, odrzekłem. — Na miłość Boską, to nie żarty, powiedz mi prawdę; — powtórzyłem toż samo, dając mu słowo, że tak jest istotnie. Major przez długą chwilę słowa nie mógł wymówić, — a gdy się cokolwiek uspokoił, rzekł mi: — A więc nie

nie wiesz co się tu dzieje? — to niepojęte! — Zaledwie przybyliśmy do Gotcatl, — gdy nam dano znać, że ośmiotysięczny oddział muridów pojawił się w okolicy aul; — z jakim właściwie zamiarem? — tego jeszcze nie wiem; ale co pewna, to że nie z przyjaznym dla nas. — Cały bataljon biwakuje na około wsi, a ja sam zaledwie przed pół godziną powróciłem ztamtąd, aby cokolwiek odpocząć.

Tu opowiedziałem mu o spotkanych oddziałach, — oświadczył mi wprost, że gdyby mu kto inny o podobnych cudach opowiadał, nie dałby mu wiary; — lecz znając mnie dobrze, wiedział, że nawet żartem nigdy nie skłamałem, i dla tego zupełnie o prawdzie mego opowiadania przekonany, — a pewny już, że wieści o obecności pod aulem muridów są prawdziwe, ubrał się natychmiast i poszedł stósownie poczynić rozporządzenia. —

Dwa dni przeszło, — nasz bataljon i dwa granatniki pozostawaliśmy już ciągle na biwakach, zachowując najściślejszą wojskową ostrożność; — nieprzyjaciel jak w wodę wpadł, — żadnej o nim wieści z nikąd nie przyniesiono; już żalowaliśmy próżnych trudów, już mieliśmy na nowo dawny rozpocząć tryb życia; — gdy przybył do Gotcatl, Iszy batalion naszego pułku, aby zająć nasze miejsca, my zaś udaliśmy się do sztabu, konsystującego w Temir-Chan-Szurze. —

Nie potrzebuje opisywać z jaką radością puściliśmy się w podróż, — po ośmiomiesięcznym wałęsaniu się po górach, — sypiając ciągle na gołej ziemi, a często pod gołym niebem, — narażeni na trudy, słoty i burze, — czasem bez kawałka chleba, — a o komforcie i mowy

nie było; — byliśmy uszczęśliwieni wracając do Temir-Chan-Szury, gdzie wszystkie mieliśmy wygody i wiele przyjemności. —

Każdy powrót oddziału wracającego z długiej wyprawy odbywał się w sztabie z pewną uroczystością, — muzyka pułkowa wychodziła o parę wiorst na jego spotkanie; — pułkowe damy i większa część ludności zalegały ulicę, witając serdecznie powracających; — zaprosiły na objady, wieczory, przejażdżki i t. p., sypały się na wszystkie strony; — a ludziom, co przez czas długi pędzili życie, pełne trudów i niebezpieczeństw, podobne objawy szczerzej życzliwości były nadzwyczaj mile. —

Zaledwie dwa dni przeszło od naszego powrotu otrzymaliśmy straszną wiadomość; — 1szy bataljon, który został w Gotcatl na naszym miejscu, zupełnie zniesiono, — straciliśmy w nim dzielnych ludzi, zdalnych i odważnych oficerów, a między nimi walecznego kapitana Lankiewicza.

## X.

W czasie wyżej opisanych wypadków, jak również w 1842 i początku 1843 roku dowodził Apszerońskim pułkiem, — przybyły z bataljonu strzelców gwardji, — pułkownik Walentyn Michajłowicz, Symborski; zdatny i ukształcony, wielki służbista, — a przytém nadzwyczaj prawego charakteru. —

Zdarza się często, że panowie dowódcy mają między oficerami ulubieńców, i takich z uszczerbkiem innych, faworyzują; — powiem nawet, że bardzo trudno jest dla każdego zwierzchnika ustrzedz się takiej słabości; — ci tylko, co przy wielkiej znajomości ludzi, posiadają silną wolę i uczucie sprawiedliwości, nie podlegają tej słabości. Jednym z takich był pułkownik Symborski. —

W wojsku rosyjskiem każdy naczelnik, poczynając od dowódcy pułku, pobiera oprócz żołdu, tak nazwane *stolowe pieniądze*, — summa ta powinna wyłącznie służyć na przyjęcie podwładnych im oficerów, — co im daje sposobność poznania ich zdolności i konduity; a zarazem tych ostatnich zbliża i przywiązuje do zwierzchnika. —

Nie każdy z naczelników używa tych pieniędzy jakby

należało, — pułkownik zaś Symborski ściśle stósował się w tym względzie do przepisu. —

Oprócz oficerów sztabowych, — pułkowego adjutanta, płatnika i kwatermistrza, tudzież mnie, który jako wówczas trudniący się budową cerkwi, liczyłem się do pułkowego sztabu, — zapraszano codziennie na objad jednego z dowódców bataljonu i dwóch kapitanów. —

Każdy oficer przybywający na służbę do Apszerońskiego pułku, po przedstawieniu się pułkownikowi, — był przez niego w tenże sam dzień zaproszony na objad, podczas którego pułkownik Symborski najczęściej zwracał do niego rozmowę, — formując sobie z odpowiedzi zdanie o usposobieniu i zdolnościach oficera; — gdy jedna próba zdawała mu się niedostateczną, powtarzał zaproszenie, dwa i trzy razy, aż troskliwość jego w tej mierze zupełnie była zaspokojona. Następnie oficer ten zajmował miejsce w opinji pułkownika, na jakie sobie zasłużył, i odtąd już według stopnia wartości był przez niego traktowanym. —

Objady te spędzaliśmy na miłej i poufnej pogadance, czasem na ciekawem lub pouczającym opowiadaniu, — troszkę o służbie, zwłaszcza jeżeli zaproszony sztab-oficer nie mógł o czém inném rozmawiać, — najczęściej zaś o budownictwie, którego pułkownik Symborski był zapalonym zwolennikiem. —

Po objedzie i czarnej kawie strzelaliśmy z pistoletów do tarczy w jadalnej sali urządzonej, — a następnie każdy szedł do swjej czynności. —

Pewnego dnia w jesieni 1842 roku, przy końcu

objadu, — doreczono pułkownikowi rozkaz dowodzącego wojskami w Dagestanie, generała Kluki von Klugenaau, aby natychmiast po odebraniu takowego wysłał do Sultan-Andi-Jurta, tyle wojska, ile będzie mógł, — w pomoc garnizonowi fortecy, zagrożonemu przez ośmiotysięczny oddział, pod dowództwem samego Szamyła, — o czem doniósł komendant téjże fortecy, major Mingreńskiego pułku strzelców Surowców. —

Nie było nigdy takiej chwili, w którejby cały pułk był na miejscu, — oprócz kilku fortów, w których całe kompanje stały garnizonem, zawsze pare lub nawet kilka bataljonów, zwłaszcza w letniej porze znajdowały się w górach na wyprawie. —

W czasie, o którym mowa, — zaledwie trzy kompanje i to nie kompletne pozostawały w sztabie i obecność ich była konieczna, nietylko dla odparcia niespodziewanego napadu, lecz prosto dla utrzymania wart i wewnętrznego porządku. —

Z liczby tych trzech kompanij była jedna granadierska, prawie kompletna, — ale téj nie można się było pozbyć, bo tylko na nią właściwie w czasie niebezpieczeństwa można było polegać, — dwie zaś inne były 14 i 15 muskieterskie, — złożone z żołnierzy żonatych. —

Zwykle brano z tych kompanij żołnierzy dla posługi w lazaretach i szpitalach wojskowych, — do wypalania węgla i wapna, do pilnowania koni, bydła i t. d. —

Pułkownik Symborski mógł więc tylko jedną z nich odkomenderować, — i wybór jego padł na 14tą kompanje, jako więcej liczącą ludzi, — to jest stu dziesięciu,

z których tylko dziesięciu było starych żołnierzy kaukaskich, a reszta nowo przybyłych z Mińskiego pułku, — nie przyzwyczajonych, ani do klimatu krajowego, ani do dalekich marszów i trudów, nierozłącznych z wojną na Kaukazie.

Dowodził tą kompanją sztabs-kapitan Iwanczewski, starzec siedmdziesięcioletni; — stary sługa jeszcze za czasów cesarza Pawła Igo. — Dosłużywszy się pensji, wziął dymisję; — w późnych już latach poślubił młodą pannienkę, — a pensja jego jako z owych czasów bardzo szczupła, nie wystarczała na najskromniejsze nawet utrzymanie; trzeba więc było powtórnie wstąpić do służby.

Według postanowień wojskowych, każdy co dosłużył się emerytury, zastosowanej do pobieranej przez niego płacy, — ma prawo wejść znowu do służby, — a po latach dwóch otrzymuje pensję nie poprzednią, lecz także zastosowaną do istniejącej płacy. —

Łatwo wystawić sobie można, że człowiek w tak podeszłym wieku, odwykły zupełnie od służby i jej trudów, nie na wiele mógł się przydać; — a mając oprócz tego pod komendą żołnierzy wcale z wojną nieobeznanych, nie był w stanie przynieść zagrożonemu garnizonowi skutecznej pomocy. —

Wiedział o tém dobrze pułkownik Symborski, — dla tego téż zwróciwszy się do mnie, rzekł: Bardzo was proszę, Hippolit Osipowicz, abyście wzięwszy pod opiekę starego Iwanczewskiego i jego kompanje, udali się jak najspieszniej do Sultan-Andi-Jurta, — gdzie do dalszych rozkazów pozostaniecie pod dowództwem majora Surowcowa.

Mam nadzieję, że się nie na długo rozstajemy, — jesteście mi tu niezbędnie potrzebni, — postaram się więc, aby was, jak tylko minie niebezpieczeństwo zagrażające fortowi, natychmiast ztamtąd odwołano.

Nie było co robić jak tylko podziękowawszy za zaufanie i łaskawą obietnicę, — najspieszniej przygotować się do wymarszu. —

Droga z Temir-Chan-Szury do Sultan-Andi-Jurta, nie jest wcale górzysta, — szczególnie od Kumter-Kale aż do miejsca ciągnie się step, pokryty mnóstwem kwiatów i różnych aromatycznych traw; — rozkazałem więc aby kompanja wzięła swój wóz, (artelną powózkę), na której żywność i kotły miały być umieszczone; dla siebie, oprócz wierzchowego konia kazałem zaprządz do lekkiej bryczki, na której również upakowano rozmaite napoje, wiktuały i pościel. —

Okolo czwartej z południa wyruszyliśmy w drogę, — przez cały dzień deszcz padał, wyjaśniło się wprawdzie ku wieczorowi, — lecz błoto było nadzwyczaj grzeskie. — Ziemia w tej okolicy jest bardzo tusta, — po najmniejszym deszczu, zwłaszcza w jesieni, droga staje się trudną, szczególnie dla pieszych; za każdym krokiem po kilka funtów błota przylepia się do obuwia, — i czyni marsz niesłychanie utrudzającym.

Żołnierze przybyli z Mińskiego pułku wkrótce poustawiali, — wlekliśmy się więc prawdziwie po dziadoku; i zaledwie okolo dziesiątej dociągnęliśmy do wsi *Kaperugaj*, o dwanaście wiorst od Temir-Chan-Szury odległej. —

Jakkolwiek obawiając się co chwila ataku na Sultan-

Andi-Jurt, zalecono mi największy pośpiech, — widziałem jednak oczwiste niepodobieństwo kontynuowania podróży. — Byłem zupełnie przekonany, że chcąc to uczynić, przybyłbym na miejsce tylko z dziesięcioma starami Apszerońcami. Rozkazawszy rozlokować ludzi po kwadrach, — poleciłem gotowość do marszu na dwie godziny przed świtem. —

Nazajutrz przybyliśmy okolo godziny ósmej rano, pod wieś Kumter-Kale i rozłożywszy się obozem w sulach, kazałem gotować obiad. — Już było blisko południa, gdy w dalszą poszliśmy drogę, — słońce silnie jeszcze dogrzewało, — lecz podróż porównawszy z wczorajszą, wydawała się nam rozkoszną przechadzką. — Nie znajdując nigdzie wybitnego szlaku, wędrowaliśmy jak przez morze, idąc ciągle w kierunku, gdzie w końcu dwudziestu pięciu wiorstowej przestrzeni mieliśmy znaleźć rzekę Sulak, a na jej brzegu Sultan-Andi-Jurt.

Po parogodzinnym marszu, pomimo że droga była prawdziwie aksamitna, — znalazło się już kilku marudów; — wszelkie próby i nalegania pozostały bez skutku, odraportowali się choremi, — i musiano ich na kompanijnym wozie unieść; — w krótkim czasie chorzy zaczęli się tak szybko mnożyć, że pomieściwszy ich część nawet na mojej bryczce, znaczna ich liczba pozostawała w tyle. —

Nie podobieństwem było zostawić ich w stepie, tém bardziej, że przewidywałem chwile, w której i reszta mińskich bohaterów poszłaby za przykładem towarzyszy; — dałem im więc całogodzinny spoczynek. —



Zaledwie rozpoczęliśmy nasz pochód, maruderzy jak grzyby wyrastali, — w głowę zachodziłem, jak sobie poradzić, — wlekliśmy się jak za pogrzebem, — a i tak ciągle chorzy zostawali w tyle, — dałem znowu spoczynek, — następnie i trzeci, — i to trwało aż do zachodu słońca; — a fortecy ani widać. —

Ściemniło się zupełnie; — miliardy gwiazd zajaśniały na ciemnym horyzoncie, rześista rosa pokryła całą roślinność, orzeźwiająca gorąca atmosfera rozkoszną wonią ziół kwiatów. —

Miałem zamiar przedłużyć wypoczynek, — bo znając zwyczaje tatarskie, wiedziałem, że przed świtem ataku nie rozpoczyna, a do owej pory aż nadto miałem czasu, aby przybyć załodze z pomocą; — i już chciałem przygotować herbatę, gdy gęste wystrzały ręcznej broni podniosły nas wszystkich na nogi. —

Zdawało mi się wprawdzie, że wystrzały te słychać bardzo blisko i nie zupełnie w kierunku, gdzie przypuszczałem fortecę, — podług mego zdania akcja odbywała się więcej na prawo, ku Kazi-Jurtowi, — lecz mógłem się mylić, — i może istotnie atak już rozpoczęto. — Gwar licznych głosów i szczekanie psów najwyraźniej słyszeliśmy, — nie tracąc więc czasu ruszyliśmy naprzód. — Chorzy wszyscy wyzdrowieli, — ani jednego na wozie lub bryczce nie było, wszyscy szli w ściśniętych szeregach, rozglądając się na wszystkie strony, czy nie ujrzą gdzie nieprzyjaciela. —

Strzelanie trwało kwadrans, — później wszystko do dawniej wróciło spokojności. — Żołnierze moi szli jeszcze

dziarsko czas jakiś, lecz powoli, gdy bliskie już niebezpieczeństwo minęło, zaczęli znowu ustawać, — zmudzony tym marszem, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tych krótko trwałych wystrzałów, — postanowiłem na serjo zanozować w stepie, tłumacząc sobie, — że jeżeli Tatarzy zdobyli fortecę, to idąc w nocy, wpadniemy im w ręce, — jeżeli zaś odparci zostali, — to nasza pomoc niepotrzebna.

Zeszedłszy w stronę około wiorsty, zatrzymałem się na nocleg.

Jak już mówiłem, oddział składał się z stu dziesięciu podoficerów i żołnierzy, sztabs-kapitana Iwanczewskiego, mnie, mego ordynansa i przepysznego kurlandzkiego wyzła, nazwiskiem Kaukaz.

Ustawiwszy wozy w pośrodku, sformowałem rodzaj czworoboku w jeden szereg, — i podzieliłem ludzi na trzy zmiany, pierwsza stojąc z bronią w ręku, miała rozwinąć najwyższą czujność, — drugiej wolno było siedzieć trzymając broń na kolanach, — trzecia mogła spać. — Po godzinie pierwsza kładła się spać, druga stała a trzecia siedziała; — podoficerowie również podzieleni na trzy zmiany, mieli obchodzić front i baczyc, aby wszystko odbywało się w porządku. —

Rozporządziwszy się w ten sposób, bo w tym razie zdawał mi się jedynym praktycznym, kazałem około bryczki rozciągnąć dywan i skórzaną poduszkę, — i mając w nogach mego wiernego psa, położyłem się spokojnie. — Sztabs-kapitan Iwanczewski ulokował się tuż przy mnie i także do snu się zabierał, — gdy znowu dały się słyszeć wystrzały, których odbłyski nawet spostrzegaliśmy, —

a krzyk ludzi i szczekania psów zdawały się najwyżej o pół wiorsty oddalone. —

Trzeba jednakże wiedzieć, że w każdym kraju, gdzie atmosfera jest nadzwyczajnie czysta a rosa obfita, — głosy dają się słyszeć na znaczną odległość. —

Zerwawszy się z posłania, zacząłem lustrować mój czworobok i miałem sposobność przekonać się, że wszyscy mińskiego pułku żołnierze literalnie drżeli ze strachu. — Starzy Apserońcy tylko dodawali im ducha, mówiąc: — „Durnie, czego się boicie? — wszystko jest w woli Boga, a dwa razy umierać nie będziecie.“ — Ale gdy spojrzałem na staro Iwanczewskiego, nie śmiałem wstrzymać się od śmiechu; — po prostu, dzwonił zębami. — To powtórne strzelanie trwało około pół godziny i znowu nastąpiła cisza. —

Rozmyślając nad tym dziwnym wypadkiem, wyciągnąłem wniosek — że czy fortca wzięta, czy nie, — faktem jest, że nieprzyjaciel blisko; — siła jego choćby i nie tak wielka, jak donosił major Surowcow, to zawsze dostateczna, aby znieść w otwartym polu dziesięć razy silniejszy od mojego oddział; — że o obecności naszej w stepie muszą wiedzieć, — bo w ciągu dnia błysk bagnietów musiał nas zdradzić, — zresztą mają szpiegów i ci zapewne uwiadomili ich, głyśny tylko z Tenir-Chan-Szury wystąpili, — o tém nie ma najmniejszej wątpliwości; powinniśmy więc lada chwilę oczekiwać, aż wyszłą ze trzystu konnych, aby nas w sztuki porąbać. Bywałem od lat sześciu bardzo często w ogniu, — bywałem nawet w wielkich niebezpieczeństwach, ale zawsze, chociażby je-

dna z dziesięciu szans mogła mi przysługiwać; — tu zaś nie widziałem żadnej. — Byłem głęboko przekonany, że moi ludzie bronić się nawet nie będą, tak wielkie było niepodobieństwo ocalenia. —

Każdy przyzna, że położenie moje nie obudziłoby zazdrości; — widzieć przed sobą śmierć nieuniknioną, i nie mieć najmniejszego środka obrony, to okropnie! W takich to myślach byłem pogrążony przysłuchując się, czy nie usłyszę tententu zbliżającej się nieprzyjacielskiej kawalerji, a z nią razem ostatniej godziny. Głęboka cisza panowała w koło, — czasem tylko mój Kaukaz zaszczał, — a wtedy biedny Iwanczewski błagał mnie: — „Na miłość Boga, każ pan psa udusić! — na co mu odpowiadałem, że prędzej jego każę udusić, jeżeli nie będzie siedział cicho. —

Przeszło jeszcze z pół godziny, gdy nagle rozległ się prawie tuż przed nami armatni wystrzał, — a za nim drugi, trzeci, — aż do szczęścia, — i znowu zaległa cisza. —

Nie wiem jak długo oczekiwałem na przybycie naszych oprawców, — myśli moje pogmatwały się i usnąłem.

Gdy się przebudziłem, dzień zaczął świtać, — całe moje wojsko tak troskliwie na trzy zmiany podzielone, nie wyłączając nawet staro Iwanczewskiego, spało snem sprawiedliwych; — zbudziwszy lekko Dobosza, kazałem uderzyć w bęben, — wszyscy się zerwali piorunem i z nieopisaną rozkoszą przekonali się, że jeszcze żyją. —

Skierowaliśmy się natychmiast ku Sultan-Andi-Jurtowi, — a po kilkunastu minutach marszu spotkaliśmy młodego Tatara, pasącego owce; — zapytałem go o wczoro-

rajsze wypadki, — lecz mi odpowiedział narzeczem, którego wcale nie rozumiałem. —

W dziesięć minut potem znaleźliśmy się przy jakimś głębokim rowie, na dnie którego płynął strumień, a w nim żołnierze Mingreńskiego pułku prali białinę lub manierkami czerpali wodę, — na ich twarzach żadnej trwogi lub utrudzenia nie spostrzegłem.

Przywołałem jednego z nich i zapytałem o nowiny; „W sio blago-połuczno, Wasze błagorodie.“ — odrzekł zapytany; — a wczorajsze wystrzały co znaczyły? — Eh, Wasze błagorodie, jak by to powiedzieć . . . nasz major stchórzył. — Nie chciałem wliwać się w dalsze rozmowy z żołnierzem i w kilka minut później byłem już w fortecy. —

Dowiedziawszy się od oficerów o wszystkiém, co zaszło dnia poprzedniego, — powtórze to opowiadanie w krótkości. —

Nad brzegami rzeki Sulaka pobudowano w pewnej odległości, jeden od drugiego, forty, — których obowiązkiem jest czuwać nad całością i bezpieczeństwem kraju. — I tak na przykład, — w naszym teritorjum mieliśmy Miatlińską przeprawę, — Czyrijurt, — Sultau-Andi-Jurt i Kazi-Jurt.

Jeżeli zdarzyło się, że jeden z tych fortów był atakowany, — wolno mu było dać trzy armatnie wystrzały, mające zawiadomić o niebezpieczeństwie, — a z prawej i lewej strony najbliżej stojące forty obowiązane były pospieszyć z pomocą. —

Pierwsze ręczne wystrzały, jakie usłyszeliśmy cokol-

wiek na prawo, pochodziły z aulu *Kaştek*; a to z następujących powodów: —

Jeden z mieszkańców tej wioski ożenił się dnia tego z wdową, mającą majątek, lecz znacznie starszą. — Na Kaukazie istnieje taki zwyczaj; — jeżeli młody człowiek bierze za żonę pannę, — przyjaciele jego zbierają się i strzelają mu na wiwat, — co jest cześcią dla nowożeńców; — jeżeli zaś przeciwnie, — żeni się z wdową i do tego nie młodą, — nieprzyjaciele jego strzelają przed domem na hańbę nowożeńcom. —

Tak się też i tutaj stało; — pierwsze wystrzały pochodziły od nieprzyjaciół pana młodego; — potem nastąpiła cisza. —

Pan młody zebrawszy swoich przyjaciół, wystąpił przeciw tym, co mu *Charicari* wyprawili i rozpoczął walkę na dobre; — to były drugie wystrzały. —

Tymczasem zaraz po pierwszych wystrzałach major Surowców wysłał na zwiady podjazd, złożony z sześciu Kozaków liniowych, rozkazując, aby przekonali się z kądem pochodziły wystrzały. —

Aul *Kaştek*, gdzie właśnie odbywała się bitwa, odległy jest siedm wiorst od Sultau-Andi-Jurta; potrzeba było najmniej półtorej godziny, aby przebyć tę przestrzeń i wrócić do fortecy, — tymczasem widzieliśmy, że po pierwszych wystrzałach cisza trwała tylko pół godziny; — gdy więc po raz drugi usłyszano strzały, — major Surowców nabył przekonania, że spodziewany nieprzyjaciel rzeczywiście znajduje się blisko, — i nie czekając powrotu wysłanego podjazdu, kazał dać trzy wystrzały, oznajmu-

jące trwogę. Działa będąc nabite granatami, — kaźden z nich pękl, — nam zaś stojącym z daleka zdawało się, że wystrzelono sześć razy; — oto i cała historia wczorajszych wypadków i okropnego położenia, w jakim przez parę godzin znajdowaliśmy się. —

Na drugi dzień przybył do Sultan-Andi-Jurta, ówczesny pułkownik jeneralnego sztabu, Gustaw Forsten, — prosiłem go, aby postarał się wyswobodzić mnie jak najprędzej, — co mi chętnie przyrzekł. —

Jakoż w dwa dni po jego wyjeździe otrzymałem rozkaz powrotu do Temir-Chan-Szury. —

Przedstawiając się jeneralowi Kluki von Klugenau, jak tego służba wymagała, — oświadczyłem mu w obec znajdujących się u niego osób, że znajdowałem się w takim położeniu, że drżałem ze strachu; — „No, co temu, to już nigdy nie uwierzę, — znamy się dobrze i przekonany jestem, że to uczucie jest panu obcém, — przeproszę pana jenerała, powiedziałem najczystsą prawdę, nie śmiałybym pozwolić sobie żartu, — a więc opowiedz, jak to było, rzekł już serjo, — bo wcale tego nie pojmuję; opisałem mu wszystko, co zaszło, a skutkiem mego opowiadania był rozkaz natychmiastowego odwołania Surowcowa, którego ze złą notą niezwłocznie wyprawiono do pułku. —

Wiedziałem dobrze, że to nastąpi i z rozmysłem doniosłem o tém jeneralowi, i to w obec wielu osób, ponieważ wiedziałem, że przy pierwszym nieprzyjacielskim napadzie, wszystko co było pod komendą Surowcowa, i ludzie i forteca padłyby ofiarą jego tchórzostwa. —

## XI.

Wkrótce po opisanych wypadkach, straciliśmy naszego pułkownika Symborskiego, umarł w Piatygorsku, pozostawiając po sobie żal powszechny, i najlepsze wspomnienie. — Na jego miejsce naznaczono pułkownikiem *Majborodę*, lecz ten stanowił zupełny kontrast z poprzednikiem; — nie lubiony powszechnie, wiódł smutne i osobnioné życie; — a gdy w krótkim czasie mianowano podpułkownika jeneralnego Sztabu, *Passeka*, pułkownikiem i dowódcą naszego pułku, *Majborodę* pozostawiono jako młodszego Sztabsoficera.

Poniżony i do żywego obrażony w miłości własnej, — dreczony wyrzutami sumienia, — odebrał sobie życie. —

Pułkownik *Passek*, młody, ognisty, i nadzwyczaj odważny, — dobrze był widziany u władzy, — szanowany przez podwładnych, — i kochany przez jenerała Kluki von Klugenau; — za jego protekcją, będąc zaledwie trzy miesiące pułkownikiem, mianowany został jeneralmajorem.

W jego miejsce naznaczono pułkownika jeneralnego Sztabu, Kowalewskiego; — przybywszy do pułku, przyjmował takowy częściami, — lustrując te bataliony i kompanie, które przybywały do sztabu.

Oficerów pułkowych wcale nie znał, i trudno mu było z takowymi bliżej poznać się, — bo w sztabie zaledwie dwie kompanie znajdowały się, reszta w różnych fortach lub na wyprawie. —

Byłem na ów czas komendantem nie wielkiego fortu *Agacz-Kale*, i oprócz mojej kompanji, której obowiązkiem było, zajmować warty, pikiety, i konwojowanie robotników, miałem znaczną liczbę żołnierzy, wybranych po większej części z 5<sup>te</sup> batalionu, przeznaczonych do pilowania tarcie, wyrabiania wozowych kół, — wypalania węgla i wapna. —

Służba była uciążliwa, — dzień cały, większa połowa kompanji, wychodziła do lasu, dla bezpieczeństwa robotników, — w nocy, całkowicie prawie używana była na warty i pikiety. —

Agacz-kale, położony wśród dziewiczego lasu, o piętnaście wiorst od Temir-Chan-Szury odległy, — narażony był na częste napady Tatarów, — dla tego też na komendancie onego, leżała wielka odpowiedzialność. —

Blisko miesiąc przepędziłem w forcie, — gdy otrzymałem pewną wiadomość, że w krótko Agacz-kale zaatakowany być ma przez znaczny oddział miuridów. — Położenie było krytyczne, — bo na wypadek ataku, — z łatwością by mogli Tatarzy zabrać rozpierzchniętych po

lesie robotników, i ich rozciągniętą eskortę; — gdyby zaś napad miał miejsce w nocy, obrona również była trudna, — ludzi miałem niewiele, — a waly łatwe do przebycia. — Trzeba było podwoić ostrożność, — a chwilami nawet przerywać roboty, — przy każdej wieści o obecności nieprzyjaciela. —

Zdałem rapport do pułkownika o zaszłych wypadkach prosząc o instrukcję; nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, napisałem powtórny rapport, prosząc o stanowczy rozkaz jak mam postąpić? — czy przedłużać roboty, narażając ludzi, czy takowe zawiesić, lub nakoniec, jeżeli niepodobniestwem jest przysłać mi posiłku, czy nielepiej byłoby opuścić fort, póki komunikacja ze sztabem nie przecięta? —

Rapport mój doręczony był samemu pułkownikowi; — po przeczytaniu onego, wzruszywszy ramionami, rzekł do mego podoficera; — wasz dowódca kompanji, uroił sobie jakieś niebezpieczeństwo, a tam żadnego niema, — wracaj na swoje miejsce! —

W trakcie tego, otrzymałem świeże wiadomości, że Tatarzy zebrałi się w anie *Ogłobli*, w liczbie trzech tysięcy, i lada chwile uderzą na Agacz-kale. — Gdy podoficer Kuyszew, przez którego posłałem powtórny rapport, powrócił, i powtórzył słowa pułkownika, oburzenie moje doszło do najwyższego stopnia. — Napisałem natychmiast list po francuzku do Adjutanta pułkowego kapitana Grzegorzewskiego, w którym opisując niestósowne pułkownika postępowanie, dodałem, że załączam tu rapport o chorobie, chociaż zupełnie zdrow jestem, żądam, aby

natychmiast przysłano innego oficera na moje miejsce, — a ja po powrocie do sztabu, podam się niezwłocznie do dymisji, bo nie chcę służyć pod dowództwem człowieka, co nie tylko nie umie ocenić porządnego oficera, — ale nawet, wbrew subordynacji wojskowej stara się go poniżyć, w obec jego podwładnych. —

Dowiedziałem się później, jaki obrót rzeczy wzięły? —

Zaledwie podoficer Knyszew, wyszedł z ustną odpowiedzią od pułkownika, — przybył tam podpułkownik Poznański, najwaleczniejszy oficer na Kaukazie, — miałem zaszczyt dowodzić kompanją grenadierów w jego batalionie, — i wielokrotnie walczyć obok niego; — a chociaż często nudzony jego kapryсами, wynikającymi z żółciowej choroby, — zażądałem, i mimowoli jego, otrzymałem translokację do innego batalionu, — przecież stosunki nasze, lubo znacznie oziębione, nie zerwały się zupełnie. —

Pułkownik Kowalewski, zaraz na wstępie, będąc sam jeszcze pod wrażeniem niekorzystnego dla mnie usposobienia, — rzekł mi; — wyobraź sobie pan, że komendant Agacz-kale, przestraszywszy się, jakichś zapewne przez niego urojonych niebezpieczeństw, — nudzi mnie żądaniami, posiłków, instrukcji itp. — A jak się nazywa ten oficer, zapytał Poznański? — p. J. odpowiada pułkownik; — Jeżeli tak, — mówi dalej Poznański, — to pułkownik źle uczynił, nie dając mi odpowiedzi o jaką prosił; — znam tego oficera, dowodził w moim batalionie kompanją, wiem jak sądzić o jego odwadze i rzetelności wszystkiego co mówi — a jeżeli on pisze, że nie-

bezpieczeństwo jest, to niewątpliwie jest już bardzo wielkie. —

Pułkownik przestraszony prawie porywcością swego nietaktownego postępowania, — pragnął z duszy źle naprawić, ale już było zapóźno! — Polecil najsurowiej, aby przybywającego posłańca z Agacz-kale natychmiast do niego przyprawiono.

W ciągu tego dnia nieprzyjaciół podstąpił o sześć wiorst od fortu, a jego przednie czaty prawie pod same wawy przybliżyły się. —

Podoficer Radzienko wysłany był z raportem o mojej chorobie, i listem do pułkowego Adjutanta, — czolgając się na przestrzeni trzech wiorst, — minął szczęśliwie czaty nieprzyjacielskie, i przybył do sztabu. —

Według mego rozkazu miał udać się do Adjutanta, i jemu do rąk papiery oddać, upraszając o natychmiastową odpowiedź; — lecz spostrzeżony przez ordynansa pułkownika, — wprost do tego ostatniego zaprowadzonym został.

Przeczytawszy raport, pułkownik otworzył list do Grzegorzewskiego adresowany, i po dwa razy go przeczytał; — posłał po Adjutanta, a podoficerowi na odpowiedź czekać kazał. —

W godzinę później, Radzienko ruszył z powrotem, — a o świcie był już u mnie w pokoju, i wręczył polecenie urzędniczące mnie, — że Sztabskapitan Kowalewski, przybędzie mi na zwiad, — że do jego przybycia, ludzie na robotę nie wyjdą, — ale owszem wszyscy staną pod broń, aby w razie potrzeby dać mi skuteczną pomoc. —

O godzinie 10 rano, sztabs-kapitan Kowalewski, eskortowany przez stu kozaków dońskich, przybył szczęśliwie do Agacz-kale; — Zdawszy mu wszystko w porządku, — z tymże samym konwojem, powróciłem do pulku.

Następnęj nocy, otrzymano doniesienie, że Agacz-kale obleżony, — i żąda najspieszniejszych posiłków; — tym razem, nie wątpiono o prawdzie, — i 1<sup>ty</sup> batalion wystąpił natychmiast, i forsownym marszem dążył ku fortowi.

Wszedłszy do lasu, znalazł drogę obsadzoną, i zasieki pełne Tatarów; — bój rozpoczął się straszliwy, — polowa oficerów padła ofiarą nietaktownego postąpienia pułkownika Kowalewskiego; — po cudownych prawie wysileniach, żołnierze zdołali dotrzeć do fortu i oswobodziwszy garnizon z jego komendantem, cofnęli się ku Temir-Chan-Szurze. —

Wyprawa ta, drogo nas kosztowała, — a pułkownik gorzko sobie wyrzucił swój nieszczęśliwy pośpiech, w sądzień ludzi, których nie znał. —

Podalem się natychmiast do dymissji, tém hardziej, że moje rany upoważniały mnie do tego. — Pułkownik Kowalewski, przez podpułkownika Poznańskiego, i innych, prosił mnie, abym cofnął moje prośbę, — lecz co było postanowione, musiało przyjść do skutku. —

Czy lepiej, czy gorzej na tem wyszedłem, Bóg to wie! —

Pułkownik Kowalewski, jak się później o tém dowiedziałem, był najzaciejszym człowiekiem; — kochali go

wszyscy, i on swych oficerów kochał jak braci; — a umiarkując, uczynił ich wszystkich swoimi spadkobiercami. —

Ja zaś dostałem się wszedłszy powtórnie do służby, pod władzę najnikczemniejszego z ludzi, — a traf ten nieszczęśliwy, wpłynął na całą moją przyszłość. —

**WSPOMNIENIA**  
**KAUKAZU**

PRZEZ

H. JAWORSKIEGO.

---

CZEŚĆ III,  
(Ajchanym.)

---

POZNAŃ.  
NAKŁADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.  
1877.



WSPOMNIENIA  
KAZAKÓW

Drukarnia Haszka i Chociżyński w Poznaniu.

## I.

W początku Maja 1837 roku, oddział wojsk korpusu kaukaskiego, składający się z 12 batalionów regularnej piechoty, kilkunastu secin kozaków dońskich i linjowych, jednej baterji lekkiej i około tysiąca milicji krajowej, wystąpił z twierdzy Temir Chan Szura, pod dowództwem generała F<sup>o</sup>, na poskromnienie niepokornych górali.

*Szamil*, niedawno jeszcze prosty chłop, urodzony we wsi Gimry, zbiegiem okoliczności, nader częstych w kraju tak niespokojnym jak północny Dagestan, osiągnął najwyższą władzę duchowną i świecką nad ludnością przeszło dwu milionową, i niezaniebýwał niczego, aby ją wzmocnić tém ślepem zaufaniem ogółu, jakie za zwyczaj wyższa intelligencja z łatwością zyskuje prawie wszędzie, a szczególniej téż u ludu na pół dzikiego i niezmiernie fanatycznego.

Okolo roku 1829, właśnie wtedy gdy wojska rossyjskie ukończywszy wojny: Perską i Turecką, strudzone uciążliwemi pochodami, wracały do kwater, aby odpocząć po zaszczytnie zawartym pokoju, zjawił się niejaki Kazi-

Mulla, który na czele znacznej partji Miurydów \*), rozniósł mordy i pożogi po kraju, w którym, dzięki mądrym rozporządzeniom dowódcy korpusu, jenerała Jermołowa i waleczności wojsk, prawie zupełna panowała spokojność.

Kazi-Mulla, rodem także ze wsi Gimry, od młodych lat przeznaczony do stanu duchownego, odznaczał się bystrością pojęć i nadzwyczajną siłą fizyczną. Oprócz Koranu, któremu z powołania dosyć czasu poświęcać musiał, nie zaniedbywał także ćwiczeń rycerskich, jakim do dzisiaj najbiedniejszy Tatar chętnie się oddaje. Wykształciwszy się tedy intelektualnie, o tyle aby być oświecenijszym od drugich, co mu zresztą z łatwością przyszło, z powodu braku rywalizacji, będąc przytém strzelcem celnym, rębaczem tegus i dzielnym najezdnikiem, nabył wielkiej wziętości, naprzód pomiędzy swemi, a wkrótce też jego zalety znane były okolicznym aulam \*\*). — Zapalony wyznawca Mahometa zebrał najdzielniejszą młodzież z dwóch przyległych wiosek, Gimrów i Uncukula, liczących przynajmniej po 6000 mieszkańców, utworzył z nich towarzystwo miurydów i na czele dwutysięcznej bandy zaczął napadać, najpierw na małe partje wojsk rosyjskich, koczujące żywność lub podróżnych, później na posterunki, a nakoniec na miasta. Przy nim pełnili obowiązki ad-

\*) Miurydem nazywa się ten, który wieczną nienawiść zaprzysiągł chrześcijanom, wyrzekł się na zawsze wszelkich z niemi stosunków; walczy za wiarę, pracuje nad odrodzeniem Islamu, nie pija mocnych trunków, tytoniu nie pali, poświęca chętnie życie, jeżeli mu się uda zamordować wroga swej religii i jest przekonany, że za ten czyn idzie po śmierci prosto do raju Mahometa.

\*\*\*) Aul znaczy wioska.

jutantów: Chamsat-Bek i Szamil, oba z téjże samej wioski. Uchwalono w 1832 roku wałą przeciwko niemu wyprawę, którą dowodził general baron Rosen, a po wielu małych utarczkach, ścigając ciągle uchodzącego w góry, dopędził w rodzinnej jego wiosce Gimry, w której się ufortyfikował, tam po kilkogodzinnej morderczej bitwie zginął Kazi-Mulla, przeszły na wylot kulą — banda jego zostawiwszy mnóstwo trupów i ranionych, rozpierzchła się w różne strony, a spokojność znowu na jakiś czas została przywróconą w północnym Dagestanie.

Krajowcy zamieszkujący miasta i wsie w dolinach położone, trudniący się przemysłem, handlem lub rolnictwem, posiadając stały fundusz do przyzwoitego utrzymania, a niektórzy nawet znaczne majątki, cieszyli się błogim pokojem, który pracującemu ludowi zdawał się zapowiadać lepszą przyszłość, a wojsku bardzo pożądanym odpoczynek. Ale góral bez wojny długo żyć nie może — taka już jego natura — jeżeli nie ma przed sobą wroga, przeciw któremu atak mógłby usprawiedliwić czy to fanatyzmem religijnym, czyli też widokami znakomych ludów, szuka go w sąsiedzkim, a nawet często pokrewnem sobie plemieniu: wszelki powód dla niego dobry, aby zmierzyć się z rzeczywistym lub urojonym nieprzyjacielem, a nadewszystko uprowadzić *barantę*. \*)

Minrydzi chwilowo przycichli, ale potrzeba było choćby najmniejszego bodźca, aby w nich obudzić wojowniczego ducha i rozniecić drzemającą nienawiść przeciw wojskom.

\*) Baranta oznacza bydło, owce, konie i t. p.

Wiedział o tém Chamsat-Bek, jeden z pomocników Kazi-Mully, a już poprzednio ze względu stosunków, jakie łączyły go z nim, już też dla przekonywającej wymowy i niejakich wojennych zdolności, mając wielkie u swoich zachowanie, powziął myśl połączenia rozpierzchłych miurydów, a ogłosiwszy się ich wodzem, rozpocząć znów awanturnicze życie: napadać na wojska dla dogodzenia fanatyzmowi religijnemu; — a na osiadłych Gruzinów i Ormian, najspokojniej trudniących się handlem, lecz bardzo bogatych, dla rabunku. Jakoż w początku 1834 roku, poraz pierwszy spuściwszy się z gór na czele kilku set jeźdźców, zaczął napadać na auly, poddane Rosji, a nieznalazszy prawie nigdzie od nieprzygotowanych do wojny mieszkańców skutecznego oporu, zabrał w niektórych prawie cały dobytek i wprowadził mnóstwo niewolników. Zrozpaczeni wieśniacy wysłali deputację złożoną z kilkunastu sędziwych Tatarów do pułkownika Kluki von Klugenau, dowodzącego naówczas Apszerofiskim pułkiem piechoty, z prośbą o pomoc i opiekę. Pułkownik nie tylko że im nie odmówił, ale nie tracąc czasu, na czele sił, jakie były w jego rozporządzeniu, pospieszył w ślad za łupieżcami, dopędził pod wsią Gotcatli, *barantę* i niewolników odebrał, a bandę Chamsat-Beka zbił i do ucieczki przymusił.

Niezrażony pierwszym niepowodzeniem udał się Chamsat-Bek do Awarji, a obrawszy sobie mieszkanie w Chunzaku, ogromnym aule, który był rezydencją Chanów Awarskich, zamieszkał zamek, dotąd w całości zachowany. Ztamtąd wyprawił emissarjuszów do sąsiednich pokoleń

zapraszając zdolnych do boju. Pewien młody Tatar, nazwiskiem Chadzi-Murat, czuł śmiertelną nienawiść dla Chamsat-Beka, który będąc pomocnikiem Kazi-Mully i posiadając zupełne jego zaufanie, naklonił tego ostatniego do ukarania śmiercią ojca Chadzi-Murata. Przybywszy do Chunzaku wraz z innymi zbrojnymi swęj wioski, udającymi się na zamierzoną wyprawę przeciw wojsku, szukał sposobnej chwili, aby należycie pomścić śmierć ojca na jego mordercy; — jakoż dopatrzwszy Chamsat-Beka idącego do meczetu, udał się za nim i tam wśród tłumu modlących się zamordował go *kindżalem*, a za nim widzowie osłupieni okropnością nadzwyczajnego w takim miejscu wypadku i zadziwiającą młodzieńca odwagą przyszedli do przytomności, Hadzi-Murat nie zatrzymany przez nikogo, wymknął się na ulicę i zniknął w bliższym wąwozie.

Miurydzi zostawszy bez wodza, nie mogli już myśleć o napadzie na wojska i zajęli się wyborem nowego dowódcy.

Z kilku przedstawiających się kandydatów, Szamil jako dawny pomocnik Kazi-Mully i towarzysz zamordowanego Chamsat-Beka, zdawał się najlepiej odpowiadać wymaganiom krytycznych okoliczności i oczekiwaniom swoich współziomków; — dla tego też prawie jednogłośnie przyznano mu naczelną władzę nad całym stowarzyszeniem Miurydów, pozostawiając sobie wszakże prawo obrania na jego miejsce innego, gdyby tego zasła potrzeba.

## II.

Wspomnieliśmy w poprzedzającym rozdziale, że woj-ska wystąpiły z Temir-Chan-Szury; zdaje nam się więc rzeczą konieczną poznać czytelnika z miejscowością tych stron, które odegrają najważniejszą rolę w naszym opowiadaniu.

Na połowie drogi między Kizlarem i Derbentem, 45 wiorst od morza Kaspijskiego, a u samych stóp łańcucha gór Kaukaskich, był aul nazwiskiem *Szura*, a właścicielem onego Temir-Chan, człowiek dosyć zamożny, lecz ze względu na dwóch bez porównania możniejszych sąsiadów, nie mający prawie żadnego znaczenia.

Graniczące z nim wioski ciągnące się aż do morza, należały do Szamchała \*) Abu-Musselima, człowieka bardzo bogatego i dumnego, a mającego nie tylko największe w kraju poważanie, ale nawet szczególne względy dworu rosyjskiego i stopień generała dywizji. Z drugiej zaś strony ku górą, leży chaństwo *mechtalińskie*, należące podówczas do Achmet-Chana mającego stopień generała brygady.

\*) Szamchał odpowiada godności udzielnego księcia.

Ponieważ zaś Szura środkując między dwoma przychylnymi Rosji prowincjami i przytykając do samych gór, uważaną była pod względem strategicznym za bardzo ważny punkt do operacji wojennych, przeto obrócono tę wioskę na pomieszczenie Apszerofskiego palku piechoty, obwarowano i nazwano od poprzedniego jej właściciela Temir-Chan-Szurą. Tutaj to zwykle jest miejsce zebrań wszystkich wojsk konsystujących w północnym Dagestanie, a należących do wyprawy.

Do roku 1834 zaledwie sztab pomieścić można było w sakkach \*) tatarskich, niżsi oficerowie i żołnierze zamieszkiwali namioty i ziemianki \*\*); później dopiero generał Kluki von Klugenu wybudował dla siebie dom mieszkalny, założył ogród, jak również postawił szpital, koszary i dał początek pięknemu przedmieściu, które do dziś dnia wyrosło w bogate i we wszystko obfitujące miasto.

Korzystając z opieki rządu, najechało mnóstwo kupców rosyjskich i azjatyckich z towarami wszelkiego rodzaju, a mając ciągle kilkanaście tysięcy konsumentów i żadnej w bliskości rywalizacji, robią w krótkim czasie znaczne majątki; — nie dziw więc, że Temir-Chan-Szura, w której dziś mieści się trzy sztaby, mnóstwo wojska, kupców i urzędników, wygląda świetnie i oprócz wielu pięknych domów na sposób europejski budowanych, posiada dwa kościoły: prawosławny i katolicki.

\*) Sakle, domy.

\*\*\*) Doly wykopane w ziemi, pokryte dwoma szerokimi płotami splecionymi z chrustu i wymazanemi gliną. —

Ksiądz Bartłomiej Pruszkowski, ex-trynitarz z Lucka, jest kapłanem brygady i kilku bataljonów linjowych, a lubo kilka miesięcy w roku poświęcać musi na objazd swoich parafian, na przestrzeni kilkuset wiorst rozstrzelonych, jednakże główną rezydencję ma w Temir-Chan-Szurze. Kościółek z dobrowolnych składek, pięknie na wzgórku wybudowany, okolony mnóstwem drzew i kwiatów, a staraniem księdza wewnątrz czysto a nawet z pewną elegancją utrzymany, napelnia się w święto, katolickiego wyznania oficerami, żołnierzami i ich familjami, którzy solennej summy, przy odgłosie muzyki amatorskiej, odprawianej z pobożnością i zbudowaniem słuchają.

Ksiądz Pruszkowski przyjął na siebie jeszcze jeden dobrowolny obowiązek; — jest on depozytorem biblijoteki wyłącznie do Polaków należącej. — bo trzeba wiedzieć, że na Kaukazie mimo dość uciążliwej służby, ciągłych trudów i niebezpieczeństw, a może nawet i dla tego, nie zadawalniają się życiem czystozmysłowóm. Można powiedzieć, że większa liczba oficerów, szczególnież teraz, liczyć się może do ludzi bardzo wykształconych; — dla tego tóż jest piękna biblijoteka pułkowa, składająca się z przeszło dwóch tysięcy tomów książek rosyjskich, kupionych za ogólne składowe pieniądze. — i ta znajduje się przy pułkowej kancelarji; — a druga w językach: polskim, niemieckim, francuzkim i angielskim, zakupiona przez Polaków, znajduje się u księdza Pruszkowskiego.

Jakże liści godni tacy, którzy służąc przez lat kilka lub kilkanaście w innej części świata, w chwilach wolnych od służby oddają się grze, pijaństwu lub próżnowaniu! —

a jedynym węzłem, który ich jeszcze łączy z Europą, jest raz w rok odebrany list od kogoś z krewnych lub znajomych! gdy przeciwnie czytając, dysputując, ucząc się wzajemnie, wyrabia się zdanie, kształci się nie tylko umysł, ale i serce. —

Zawsze z rozkoszą przypominam sobie chwile, które w kilku lub kilkunastu spędzaliśmy na Kaukazie. Jakież serdeczne koleżeństwo, jakaż braterska miłość łączyły nas z sobą. — jakież to pełne nauki rozmowy, jakież pełne młodzieńczego zapału dyskusje, z których zawsze czegoś nauczyć się było można, jakież wreszcie przyzwyczajenie do wciplne gry lub żarty? — Ale bo tóż i trudno znaleźć w jednem miasteczku tylu dzielnych, szlachetnych i wysoko wykształconych ludzi.

A jaki to przykład dla innych mniej lubiących naukę, lub dla braku środków pozbawionych onej zupełnie! Nie raz zdarzało się, że biedne chłopcy bez edukacji lub wiasy z edukacją, w naszym towarzystwie odmieniali się zupełnie, — pozbywając się złego a nabywając zalet, na których im zupełnie zbywało.

Mieliśmy także i towarzystwo filharmoniczne, amatorski teatr i reduty co niedziela, a wszystko szło dobrze, składnie, że aż miło wspomnieć!

Ale nie często miewaliśmy te gody, zwykle co rok poczynając od maja aż do końca października, biliśmy się w górach, dokąd właśnie w początku maja 1837 roku wojska wystąpiły.

### III.

W dziesięć dni po wystąpieniu, oddział odbywszy szczęśliwie kilka potyczek z Tatarami, z których ostatnia pod Cudaharem była najzaciętsza, znajdował się już w samym środku *Akuszy* i zbliżał się do wsi *Kuppa*, gdzie byłznaczony nocleg.

Nie piękniejszego w życiu niewidziałem jak miejsce, do któregośmy przybyli. — Proszę sobie wystawić niewielką, bo zaledwie dwie wiorsty w średnicy liczącą dolinę, opasaną niezbyt wysokimi górami, pokrytymi kwieciami i zielonością, i przetrzętą dwoma przejrzystymi strumieniami, które srebrną wstęgą wijąc się kapryśnie po łąkach, zasianych kwitnącymi tulipanami, narcyzami, ranunkulami i t. p., krzyżują się w samym środku aulu; a sam aul otoczony szerokim wieńcem przepysznych sadów i winnic, wygląda zdaleka jak rozwaliny olbrzymiego jakiegoś zamku. Pozór nieporządku i zniszczenia mają wszystkie auly tatarskie, szczególnie w górach; pochodzi to stąd, że są budowane z kamienia wapiennego lub piaskowca prawie nieociosanego, — ściany, od ulic, które są kręte i wąziutkie nie mają wcale okien, a natomiast opatrzone są strzelni-

cami, — a co najbardziej czyni one podobnymi do zwalisk to zupełny brak dachów, boć powały wypłconej trzciną i gliną wymazanej, nie mogą dachem naszwad. — Łatwo sobie wyobrazić, iż w takich mieszkaniach przy ulewnym deszczu, o który w górach niemiernie, nie bardzo wygodnie schronić się można; za to też ich *sakle* są zwykle piętrowe, aby podczas śloty dolne mieszkanie skuteczniej zabezpieczało od przemoknięcia. W miastach tylko i to u zamożniejszych, domy są kryte smołowcem.

Miło patrzeć kiedy schodzi z gór wojsko, wijąc się długą wężykowatą smugą, i w tysiącach bagnetów odbija jaskrawe światło zachodzącego słońca, którego już w dolinach zupełnie nie widać. Jakiż to gwar, jakaż niecierpieniem niezakłócona wesołość ożywia ludzi, którzy co chwila narażają się na utratę życia lub co gorsza, na wieczne kalectwo! ale to już taka natura żołnierza, niedba o jutro, byleby mu dziś dobrze było, — chętnie zniesie głód, trudy i rany, aby zasłużyć na pochwałę wodza, lub, jeżeli szczęście posłuży, na ozdobę wojskową.

Mieszkańcy *Kuppy*, ujrawszy awangardę, wiedząc już o siłach oddziału i rezultacie bitwy pod Cudaharem wysłali z pomiędzy siebie deputację, ofiarując wykonanie przysięgi na wierność, dać stosowną liczbę amanatów\*) i żywność dla wojska.

Przyjął starców uprzejmie generał F\* i rozkazał wojsku iść za powracającą do wioski deputacją; jakoż wkrótce

\*) Zakładników, których wybierają zwykle z najznakomitszych rodzin, którzy stają się wiecznymi niewolnikami, w razie gdyby wioska złażała zaprzysiężoną wierność.

dostawszy się na równinę, oddział zagłębił się w ulicę wysadzoną polnemi różami i ogromnemi krzewami *capri-folium*, stanowiącemi z dwóch stron jakby żywy płot, na rozległości przeszło półwiorstowej z obu stron aulu. Przybywszy do sadów wojsko zatrzymało się, i w około aulu rozbiło namioty.

Pod olbrzymim orzechem, którego wysokość i grubość nadzwyczajna świadczyła wymownie o jego kilkowiekowém istnieniu, a rozłożyste i ku ziemi zwieszone konary śmiało dla dwóchset osób przed upałem lub deszczem wygodne mogły dać schronienie. Na rozestanych tatarskich burkach spoczywało dwóch młodych ludzi. Starszy około lat 28 liczący, wysoki i kształtnej postawy, włosów kruczych i twarzy ogorzalój, palił fajkę i mocno był zamysłony; — młodszy takiegoż wzrostu, ale daleko szczuplejszy, włosów ciemnych, jasnej twarzy, zaledwie 22 lat mający, zdawał się strudzonym, — a lubo otwarte niebieskie oczy dostatecznie dowodziły, że nie spał, nie okazał przecież najmniejszym poruszeniem, że czuwa, dopóki starszy jego towarzysz nie wyrwał go z odrętwienia nagłym zapytaniem:

— Czy ty śpisz, Kaziu?

— Nie, bynajmniej — odrzekł zagadnięty.

— Dla czegoż u diabła przyczałeś się, jak zajac pod miedzą lub jak zmokła kura pod strzechą? Czyliżbyś tak się zmęczył dzisiejszym marszem, lub zagłodził jednym dniem postu, że nie masz sił do rozmowy ze mną?

— Ani to, ani drugie; nie rozmawiam, bo myślę, a zdaje się, że dzisiejszy dzień zanadto był obfity w wy-

padki, abym już o nim zapomniał... choć prawdę powie-dziawszy chętnie napilbym się i przegryzł cokolwiek.

— Widzisz go! Sybaryta! a nie proponowałem ci sucharów rozmoczonych na górach Cudacharskich? nie chciałeś; tobieby zaraz trzeba sporządzić ucztę Lukullusa, np. kaszy na gesto z lojową świeczką lub coś podobnego, a to przecież nie zawsze takie święto.

— Ej! dalbys pokój żartom... pomyśl raczej serjo co będziemy jedli, bo dalibóg odkąd poruszyłeś tę kwestję, zdaje mi się, że drzemający dotąd głód tak raptownie się rozbudził, że prawie gotówbym i na kaszę z lojową świeczką.

— No, no, już dobrze; przynajmniej teraz widzę, że żyjesz i przestaniesz być towarzyszem automatem... Hej! Szafraniec!

— Zaraz panie — odezwał się stary wiarus po polsku, i w téjże chwili pocziwa i ogorzala jego twarz pokazala się z po za drzewa.

— Pan Kazimierz chce jeść.

— Wiem panie.

— Wypilby także co dobrego.

— To się wie.

— A więc nakrywaj do stołu, podawaj predko i gorąco, a nadewszystko o dobrém winie nie zapomnij.

— Zapewne — panu imo figle w głowie, a mnie na prawdę żal mojego dobrego pana.

— No, no, już dobrze mój bracie — odezwał się milczący dotąd Kazimierz. — Pan Wiktor nie pyta się o to, czy mnie żalujesz, ale czy możesz nam teraz dać cokolwiek do zjedzenia.

— Ej co tam! panisko niech się o siebie nie frasuje, aby jeno chciał, to mu jedzenia i picia nie zabraknie... a to i teraz przysyłał major posyłkę i prosi na herbatę i kolację.

— Powiedz, że nie pójdę.

— A to czemu? — zapytał Wiktor.

— Jakto? mój bracie, tyś głodny, ty może bardziej potrzebujesz pożywienia, bez którego w razie potrzeby, jeszcze dzień cały obejść się mogę, zostałbyś tu bez nadziei najmniejszego posiłku, a ja mam spokojnie zajadać frykasy pana majora, nie, tak nie będzie.

— Ależ mój drogi, wierz mi.....

— Ani słowa... powiedziałem, że nie pójdę, zostanę więc; znajdziemy co, to zjemy razem, a nie, to gawędząc, postaramy się zapomnieć o głodzie.

— Poczciwy jesteś Kaziu! oceniam należycie twoje złote serce, ale doprawdy źle robisz, pozbawiając się dobrej kolacji, bo sobie przykrość, a mnie żadnej korzyści tym poświęceniem nie przyniesiesz, a że jesteś dobrym kolegą, o tym i tak już wiedziałem.

— A jużci prawdę pan Wiktor mówi, i niech pan nie grymasi, ino niech idzie do pana majora, boć to przecie.....

— Głupiec jesteś! Kto cię pyta o radę?

— Patrzaj, głupiec..... a jakim go musztry uczył....

— Daruj mu poczciwy kolego — rzecze Wiktor mitygując rozdąsanego szafrańca; — ty wiesz że to żartem; ażebyś zapomniał urazy, idź do kredencera, każ sobie dać kawal pasztetu i butelkę dobrego wina, bywaj zdrów,

— Zjadłbyś go pan sam i palce jeszcze oblizal, żebyś go tylko miał — mruczał żołnierz — ale co to po próżnicy gadać, jemu zawsze zielono w głowie — i zniknął pomiędzy drzewami.

— Słuchaj Kaziu, może to źle, żeś nie poszedł do majora, on może sobie niekorzystnie wytłumaczyć twoje obojętność. Iluż to, nie mówię już żołnierz, jakimi my jesteśmy, ale nawet junkrów, miałoby się za szczęśliwych otrzymawszy podobne zaproszenie.

— Nie przeczę, kochany Wiktorze, wiem jednak, że moja odmowa nie obrazi go wcale, przypisze ją zmęczeniu, a nigdy źle zrozumianej dumie... znamy się za nadto dobrze, aby mnie mógł o podobną śmieszność posądzić. A gdyby wreszcie był cokolwiek niezadowolony, wytłumaczę się jutro jak mu będę dziennik pisał.

— Prawda, żeś się wy kierował na autora. Kto wie, może ci to na dobre posłuży, a jak niedopisze spodziewane kiedyś oficerstwo, to będziesz pisał książki, a mnie choć przepisywać każesz.

— Autorem nigdy nie będę, bo ani potrzebnych do tego zdolności, ani nawet chęci nie czuję; urodziłem się na żołnierza i zawsze pełnić będę moje powinność, nie obawiając się na tym polu żadnego współzawodnictwa. Co się zaś tyczy dziennika, który co dzień pisze po francuzku dla majora, powiem ci otwarcie, że mi to nawet sprawia pewien rodzaj przyjemności. Najprzód mam godzinę miłego zajęcia, powtóre mam w użyciu język, którego zwrotów i pisowni łatwo mógłbym zapomnieć, po trzecie przyjemnie mi patrzeć na człowieka w tym wieku,



z zimnym na pozór charakterem, ślęczącego nad przepisywaniem moich bazgroł, jedynie dla tego, aby one posłać żonie; uwiadamić ją o każdym kroku, wrażeniu, niemal myśli — a przyznaj, że po ośmiu latach małżeństwa, to się rzadko zdarza. — Nakoniec, pracując dla niego, zdaje mi się, że choć w części wypłacam mu się za względy i opiekę, której nietylko ja, ale wszyscy Polacy od niego doznajemy.

— Prawda, święta prawda, kochany Kaziu, dobry to i szlachetny człowiek, kochają go też i szanują wszyscy; a serce jego nietylko dla nas, ale dla wszystkich otwarte. Czy uważałeś jak żywo zajmował się tą młodą tatarką, która wraz z matką do niewoli się nam dostała?

— Nie wspominaj mi o tej biednej kobiecie, serce się kraje, myśląc, jak ona okropnie cierpieć musi: całą rękę z ramieniem kula jej urwała, zdaje mi się, że słyszę jej wyrzekania i jęki... a ta młoda dziewczyna, zapewne jej córka płacze w cichości i do nikogo słowa przemówić nie chce. Ach, gdybyśmy mieli choć trochę herbaty i chleba, toby je posiłki, a one tak bardzo muszą potrzebować posiłku.

— Panowie, panowie! dobra nowina, — krzyczał z daleka biegnący szafraniec.

— Cóż ci się przytrafiło? może jak ów derwisz w bajce, znalazłeś worek djamentów.

— Jakie tam djamenty? to przecie całe dwie baranie cynadry! kawalek kurdiuka\*) i chyba z lut herbaty,

\*) Tak się nazywa tłuszcz na ogonach owiec kaukaskich, które dochodzą do 40 funtów, a używany do potraw, zastępuje wybornie masło i smalec.

co mi Siemion pana majora w papierek zawinał. — To muszą być djable małe cynadry, kiedy się w papierek zmieszcily?

— A kiedy bo pan to wszystko przeinaczy. Siemion dał mi herbaty i zawinał w papierek, a cynadry i Kurdiuk wyprosiłem dla panów u naszego feldfebla, to ich tu mam w czapce.

— Brawo Szafraniec! zuch z ciebie... pal ogień, piecz, gotuj, smaż, a nadewszystko podawaj prędzej, żeby apetyt nie minął.

— O to nie ma kłopotu, proszę pana; — to mówiąc zaczął wiarus rozniecać ogień i przygotowywać wieszczerę; a młodzi ludzie mając nadzieję przedkrego posiłku, już w lepszym humorze nalożyli fajki i poszli przejść się po obozie, którego białe namioty pod baldachimem zielonych liści wyglądały uroczo i fantastycznie.

My tymczasem powiemy, kto byli ci młodzi ludzie.

Starszy, Wiktor Janiewicz, był synem nie bardzo za możnego obywatela; ojciec jego posiadał w Litwie małą wioseczkę, a oprócz tego i kilkoro dzieci, — którym pomimo szczupłego mienia, starał się dać dosyć przyzwoite wychowanie. Dla tego też, znajomy nam Wiktor, już to z powołania, już to dla tego, że nie miał za co wziąć gospodarstwa, a do urzędowania żadnej nie czuł ochoty, wstąpił do wojska, z kąd po różnych kolejach losu, znalazł się żołnierzem na Kaukazie w Apszerońskim pułku piechoty. W tej chwili jest on jeszcze żołnierzem, ale już na mężnej jego piersi błyszczy krzyż żołnierski św. Jerzego. Zawsze wesoly i żartujący, dzielny w boju, ser-

deczny i stały w przyjaźni: oto najwybitniejsze cechy jego charakteru. Drugi, Kazimierz Siedlecki, o sześć lat młodszy od Wiktora, był także dawniejszym jego kolegą i równie jak on przeznaczony na żołnierza, do tegoż Apszerofskiego pułku, gdzie dopiero od sierpnia 1836 r. zaczął służyć.

Po siedmio-miesięcznej podróży z partją rekrutów przybył on do Temir-Chan-Szury w najbiedniejszym stanie.

Bez pieniędzy, pościeli, a co najważniejsza, bielizny, nie mając ani protektorów, ani znajomych, nie znając przytém języka rosyjskiego, łatwo wyobrazić sobie można, ile się czuł nieszczęśliwym i osieroconym.

Zaraz na wstępie uszykowano całą partję przed mieszkaniem hrabiego Iw..., który był cesarskim Fligel-Adjutantem i dowódcą pułku. Pozdrowiwszy przybyłych, zaczął sam przeznaczać ich do różnych kompanji, a że Kazimierz był wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany, przeznaczył go do tej kompanji grenadierów, takim to sposobem dostał się tam, gdzie już od pięciu lat służył Wiktor. Znalazłszy tak zanego kolegę, sieroctwo i bieda przestałyby gnębić Kazimierza, ale na nieszczęście Wiktor był wówczas chwilowo odkomenderowany w miejsce, z kąd dopiero za miesiąc miał powrócić. Bolesnie ścisnęło się serce biednego rekruta, gdy wszedł do ziemianki, w której mieszkała się jego nowa kompanija.

W tém położeniu przetrwał Kazimierz dni piętnaście, żywiąc się suchym chlebem, bo mu jakiś fałszywy wstyd nie dozwalał jeść we wspólnym szafliku z żołnierzami; sypiał na gołych drągach, podkładając pod głowę furazerkę,

która mu za materac, poduszkę i prześcieradło służyła, a okrywając się płaszczem, który zastępował koldre i składał całą prawie jego garderobę.

Wreszcie rozpatrzywszy się lepiej i dowiedziawszy, że można przysłać listy do familji, postanowił natychmiast przygotować list do ojca i oddać dowódcy pułku z prośbą o przesłanie według adresu.

Jakoż, napisawszy o ile można było o swoim położeniu, ubrawszy się w swój jedyny płaszcz i przypasawszy palasz na bandolierze, udał się do fortecy, gdzie było mieszkanie hrabiego. Zastał go w oszklonym ganku, z cygarem w ustach, siedzącego obok żony zwijającej jedwab'. Hrabia spojrzawszy bystro, zapytał czego żąda? lecz że Kazimierz po rosyjsku prawie wcale nie umiał, odpowiedział zmieszany po polsku, starając się wytłómaczyć, jaki był cel jego przybycia. Hrabia rozkazawszy przywołać pułkowego adjutanta, który się stawił niebawem, oddał mu list i rozkazał pierwszą pocztą odesłać podług adresu. Kazimierz nie oddalał się jednak, chociaż prośba jego już odebrała skutek, bo wedle zwyczajów subordynacji wojskowej, nie wolno jest odejść żołnierzowi bez wyraźnego na to rozkazu zwierzchnika. Dla tego też pozostał u drzwi gankowych w dawniej pozycji. Hrabia spojrzawszy na niego parę razy w milczeniu, dał mu znak ręką, aby poszedł za nim do jego gabinetu. Tam zamknąwszy drzwi zaczął następującą po rosyjsku rozmowę:

— Jak się nazywasz?

— Kazimierz Siedlecki, panie hrabio.

- Zkąd jesteś rodem?
- Z królestwa Polskiego.
- Jakiego pochodzenia?
- Szlacheckiego.
- Umiesz czytać i pisać?
- Umiem.
- Cóż więcej umiesz?
- Historje, geografję, matematykę i języki, łaciński, niemiecki i francuzki.

— A więc opowiedz mi po francuzku twoje *curriculum vitae*, bo widzę, że jeszcze nie nauczyłeś się po rosyjsku.

Kazimierz uczynił zadosyć rozkazowi hrabiego, który zdawał się być bardzo zadowolonym; jakoż gdy skończył, wziął go za rękę, a przyprowadziwszy do żony, rzekł po francuzku: moja żono, przedstawiam ci pana Kazimierza Siedleckiego, a ciębie bardzo proszę, rzekł zwracając się do Kazimierza, abys nasz dom uważał za własny; co dzień w czasie obiadu i kolacji będzie dla ciębie nakrycie, aza-tem bez ceremonji. Odurzony Kazimierz, tak niespodziewanym obrotem rzeczy, zaczął jąkać jakieś niezrozumiałe podziękowanie, gdy hrabia znowu zapytał:

- Gdzie mieszkasz?
- W rotnój ziemiance, — odpowiedział Kazimierz.
- Jak to być może? zawołać mi adjutanta! — a gdy ten w téjże chwili przybył, rozkazał hrabia, aby mu natychmiast oddzielną dano kwaterę i dobrego żołnierza do usług.

Od téj chwili inne życie rozpoczął Kazimierz: roz-

paczliwe zwątpienie zastąpiła pełna nadziei otucha, a różowa przyszłość wyjrzała z zasepionego horyzontu, który go dotąd otaczał.

W godzinę po opisaném zdarzeniu uszczęśliwiony tak niespodziewaną odmianą położenia, Kazimierz przechadzał się w nowój kwaterze, składającój się z maleńkiej kuchenki i niewielkiego pokoiku, a na środku stał uśmiechnięty stary wiarus, dany mu do usług, a był nim znany nam Szafraniec, ucieszony również ze swoich nowych obowiązków.

Przeszło już kilkanaście dni, w ciągu których Kazimierz chodząc z rana na musztrę, którą jeszcze ze służby w wojsku polskiem znalazł doskonale, na obiad, herbatę i kolację do hrabiego, a w chwilach wolnych czytając lub jeżdżąc na spacer w towarzystwie oficerów i dam, także na koniu hrabiego, pedził życie swobodne, urozmaicone i prawie szczęśliwe, gdy pewnego dnia pod wieczór wrócił z *komenderówki* Wiktor Janiewicz. Jeszcze tego samego dnia młodzi ludzie spotkawszy się u adjutanta bataljonowego na herbacie, przyglęni od razu do siebie i od téj chwili datuje się ich przyjaźń, która już nigdy rozerwać się później nie miała.

Teraz wróćmy do przerwane go opowiadania.

Po półgodzinném przeszło wałęsaniu się po obozie, Wiktor z Kazimierzem powrócili bardziej jeszcze zgłodniiali, dla tego też jak tylko zoczyli krzątającego się Szafranca, Wiktor zawołał nań:

- A cóż mości kuchmistrz, czy uczta gotowa? Dowiedz się, że jesteśmy tak korzystnie usposobieni po-

dziwić twoją sztukę *kulinarną*, iż sam wielki *Vatel* zdawałby się przy tobie *Pigmejczykiem*.

— Ja tam nie wiem co pan gada, ale co prawda, cynadry już gotowe i herbata zasypana do manierki.

— A więc do stołu, służę ci *Kazimierza*.

To mówiąc, młodzi ludzie powrócili na dawne miejsce pod orzechem, i z niecierpliwością wyglądali zapowiedzianych *lakoci*.

W parę minut pokazał się *Szafraniec* niosąc oburącz spory żołnierski kociołek, z którego mocny zapach cebuli ulatniając się z buchającą parą, mile lechtał powonienie niewybrednych *biesiadników*.

Gdy już się zabiérali do jedzenia, a *Wiktor* zagłębiwszy w kociołku drewnianą łyżkę, niósł ją do ust napełnioną woniejącymi cynaderkami, *Kazimierz*, którego czoło raptem zasepiło się, położył swoje i rzekł:

— Słuchaj kochany *Wiktorze!* jesteśmy głodni, to prawda, ale jesteśmy zdrowi, młodzi i żaden ciężki i nowy smutek nas nie trapi... niedawno litowaliśmy się nad raną *Tatarką* i jej córką, a teraz o małośmy nie zapomnieli, że ta trocha stawy i szklanka ciepłej herbaty, pokrzepi zwątlale siły chorój i rozgrzeje skrzeple od upływu krwi i wieczornego zimna członki, a jej dziecko zbawi od dręczącego głodu!

— Masz słuszność *Kaziu* — odrzekł *Wiktor* składając w kociołek niesioną do ust potrawę, — dziękuję ci żeś mi o tём przypomniał, a ponieważ choć mimowolnie okazałem się egoistą, skazuję się na post aż do ju-

tra... ty zaś rozdziel potrawkę i herbatę, a i dla nich i dla was z *Szafranicem* wystarczy.

— Jeszcze czego! — odezwał się niezadowolony *Szafraniec*, — już jeżeli panowie chcecie koniecznie dzielić się ostatnim kawałkiem chleba z tómi *psiawiarami*, co to czleku nietylko dobrego słowa nie dadzą, ale jeszcze czychają, aby go gdzie zamordować, to już niech oni zjedzą moją porcję, a ja przecież w rocie dostanę swoją kaszę i baraninę, ile na mnie przypadnie.

Ta uwaga *Szafranca* położyła koniec wszelkim dyskusjom, a młodzi ludzie radzi, że mogą spełnić dobry uczynek i zarazem zaspokoić dotkliwie dokuczający głód, skrupulatnie podzielili wszystko na dwie równe części, a w oka mgnieniu sprzątnąwszy swoje, udali się z drugą na miejsce, gdzie strzeżono niewolników.

Przykry widok uderzył ich oczy, gdy się zbliżyli do nieszczęśliwych, którzy radośnie powitawszy wschód słońca, nieprzewidując co ich spotkać miało, zegnali zachodzące jego promienie w wierzach, a rozmyślając o krwawej klęsce w ciągu dnia doznanej, o zabitych i ranionych, z którymi ich łączyły związki pokrewieństwa lub przyjaźni, oddawali się niemój rozpacz.

Raniona *Tatarka* leżała pod wielkim kasztanem, słabe jęki i trupia bledź jej twarzy bliską śmierć przepowiadały, co zdawał się również potwierdzać znakami, będący przy niej miejscowy *Hakim*\*), a ludzie jego

\*) Doktor; — takich ma każda prawie wioska; nie leczą oni chorób wewnętrznych, ale za to rany opatrują bez porównania lepiej od europejskich lekarzy, i prawie zawsze z pomyślnym skutkiem, czego sam na sobie doświadczyłem. (*Przyp. Aut.*)

powołania na podobnego rodzaju cierpieniach znają się wybornie.

Gdy jej podano przyniesiony posiłek, a tłumacz objaśnił, że to dla niej i jej córki, spojrziała na naszych młodych ludzi wzrokiem, w którym malowało się najprzód niedowierzanie, później zdziwienie, a nakoniec podzięką, — oświadczyła jednakże, że jeść nie chce, lecz herbatę wypła z zadowoleniem a nawet chętnością. — Dziewczynka zaś nie dała się długo namawiać, a gdy jej Hakim podał przyniesiony kociołek, zabrała się do jedzenia palcami, odrzucając przyniesioną łyżkę. Zaspokoiwszy głód, zaczęła się wpatrywać w twarze tych ludzi, co tak w porę i nieproszeni okazali jej i umierającej matce pomoc i współczucie; nie wyrzekła jednakże ani jednego dziękczynnego słowa, tylko coraz pilniej wpatrywała się szczególniej w twarz Wiktora, który także ze swjej strony uczuł dla niej jakąś niewysłowioną sympatję. Zapytana przez tłumacza jak jej imię, odpowiedziała po namyśle, że ją nazywają *Ajchanym*, wieku zaś swego zupełnie nie wiedziała. — Zdaje się jednak sądząc z powierzchowności, że mogła mieć lat czternaście. Jej ogromne, czarne oczy, pełne ognia i jakiegoś nieokreślonego wyrazu i słodczy zarazem, nadawały cechę godności i dumy jej śniadój, lecz bardzo pięknej twarzy, ocienionej mnóstwem drobnych lecz długich warkoczy granatowego koloru. W ubiorze jej również nie było widać tego zaniedbania, jakim zwykle odznaczają się prości Tatarzy obojjej płci, miała bowiem na sobie cienką i dosyć czystą koszulę, karmazynowe jedwabne szarawary, zielony z takięże tkaniny

*bezmiet*\*) i białe muslinowe *czadro*\*\*); ubiór jej matki acz krwią cały zbroczony, wykazywał także pewien gust i zamożność.

Szczegóły te naprowadzały na domysł, że te kobiety należeć musiały do jakiejsz znakomitszej familji; lecz wielokrotne w tym względzie zapytania pozostały bez skutku, chociaż widocznem było, że obiedwie branki były znane *Hakimowi*.

Nazajutrz wojska gotowały się do wymarszu, gdy naszym bohaterom dano znać, że raniona tatarka umarła w nocy, a biedna *Ajchanym* gwałtem oderwana od trupa, którego opuścić nie chciała, płacze i włosy rwie z rozpacz. Niepodobieństwem było myśleć o powrocie jej wolności, lecz o złagodzenie jej niewoli starać się postanowili; dla tego też Kazimierz udał się z prośbą do majora Szuitnikowa o pozwolenie pomieszczenia biednej sieroty przy jukach oficerskich, gdzieby mogła zostawać pod dozorem starego Siemiona, w którym major miał zupełne zaufanie. Szlachetny ten człowiek nie tylko zgodził się na wszystko, ale nawet przyprowadzoną *Ajchanym* na jednym ze swych wierzchowych koni umieścić i ze swjej kuchni żywić rozkazał. Opierało się biedne dziewczę, gdy ją wsadzono na konia, wrywało się z szalonym krzykiem do umarłej matki, żadne namowy tłumacza i obecnych mieszkańców Kuppy, nie mogły ją nakłonić do opuszczenia miejsce, w których zostawiała wszystko, co ją do

\*) Rodzaj zapanika pikowanego na cienkiej wacie.

\*\*\*) Okrycie wielkości prześcieradła, którym twarz i całą kłóc zakrywają.

świata wiązało; nie wiadano jak sobie postąpić i już zaczęto używać prawie brutalskiego przymusu, gdy nadbiegł Wiktor — obecność jego w tej chwili uspokoiła sierotę, a gdy znakami zdawał się ją prosić, aby zaniechała bezskutecznego oporu, gdy jeszcze przez tłumacza powiedział, że będzie jej opiekunem, nie wahała się ani chwili, i z cichą rezygnacją postępowała za wojskiem.

#### IV.

Kilka dni upłynęło od opisanych wypadków, oddział wojsk niespotykając oporu, postępował coraz dalej, zabierając wszędzie pewną liczbę *amanatów*, i przyjmując przysięgę na wierność Rosyi od wszystkich aulów *Akusze* składających.

Sądono, że cała ta wyprawa skończy się bez powtórnego krwi rozlewu, gdy na drodze do *Belli*, wioski w bliskości rzeki *Kojsu* położonej i do pokolenia *Kojsubalić* należącej, pokazały się gromadki zbrojnych konno i pieszo ze znaczną ilością różnobarwnych znaczków. \*) Zatrzymano oddział i wysłano milicję na zwiady, która powróciwszy wkrótce doniosła, że we wsi *Aszalty* o pięć wiorst stamtąd odległej, ma się znajdować Ali-Bek, na czele kilku tysięcy zbrojnych i na wszystko gotowych miurydów.

Generał Fezé, opatrzywszy pozycje, rozkazał oddziałowi postępować naprzód; zbrojne kupki tatarów strzelając na zbyt daleką metę, ustępowały spiesźnie przed wojskiem.

\*) Tak nazywają po rosyjsku niewielkie proporce, które u tatarów oznaczają ilość aulów biorących udział w wyprawie i służą każdy dla swoich za punkt zebrania.

które nie straciwszy ani jednego żołnierza, depcząc prawie po piętach nieprzyjacielowi wciąż odstepującemu, przybyło pod aul *Aszally* i tam spoczęło przed zaczęciem bitwy.

Z niewielkiej wysokości, o wiorstę zaledwie od wsi odległej, na której wojsko uformowało się w szyk bojowy, widać było jak na dłoni, co się w aule, a nawet i po drugiej jego stronie działo. Z łatwością rozpoznać było można masy tatarów zalegające wązkie uliczki i płaskie dachy aulu, jak również kolumny kawalerji już za wsią około bielejących dwóch pomników uszykowane. Wspaniałe sady i bogate winnice, także pokryte były rojem czerniących się burek i kosmatych czapek przewiązanych czalnamami\*) a pieśń wojenna, *Allach il Allach\*\*)* jednostajnymi i niestrojnymi tonami dolatywała do nas jak najwyraźniej.

Każda podobna chwila ma w sobie coś uroczystego, i nie wierzę ludziom, którzy udając zuchów twierdzą, że przygotowanie do bitwy w obec stojącego przed nami nieprzyjaciela, żadnego na nich nie wywiera wrażenia. Nie mówię tu wcale, aby żołnierz miał się obawiać śmierci lub kalectwa, aby widok zbliżającego się nieprzyjaciela niekorzystnie wpływał na wrodzoną mu odwagę — owszem, przeciwnie, sam zawsze doświadczałem, że świst kul, gwar na-

\*) Rodzaj zakwoju na czapce u tatarów; wolno nosić czalmy tylko miurydóm lub tym, którzy odbyli podróż do Mekki.

\*\*) Niema Boga oprócz Boga. — pieśń tę monotonną zawsze śpiewają przed zaczęciem bitwy.

cierających i szcęk oręża, upaja; — ma, że tak powiem, szczególną w sobie siłę atrakcyjną, której się oprzeć nie podobna, i nieraz dawszy sobie słowo zostawać tam gdzie należało, to jest czasem w tyle, jeśli tak kazano, wyrwałem się po pierwszych wystrzałach naprzód i dopiero po skończeniu bitwy wracałem na miejsce; ale patrzeć obojętnie na samo przygotowanie, nie pomysłuć że za chwilę mogę stanąć przed Sądem Najwyższym, nie uczuć żalu lub obawy o całość i bezpieczeństwo naszych przyjaciół i towarzyszy, nie wzruszyć się myślą, że wkrótce tysiące ofiar z obu stron padną, — to nie po chrześcijańsku, nie po ludzku nawet. Takie i tym podobne rozmyślenia zajmowały Wiktora i Kazimierza w chwili, kiedy dano znak do ataku.

Żegnali się prawie ze łzami, bo nie obok siebie walczyć mieli; Kazimierz jako niemający jeszcze prawie żadnych zasług, uprosił sobie pozwolenie należeć do tyraljerów, Wiktor zaś wraz z resztą kompanji przeznaczony został do pilnowania obozu. W każdym innym razie podobne naznaczenie byłoby mu wcale nie do smaku, ale dziś cieszył się prawie, że osobiście będzie mógł czuwać nad bezpieczeństwem pięknej *Ajchanym*, która co dzień stawała mu się droższą i sama nie kryła się ze swoim dla niego uczuciem.

Trąbka dowódcy tyraljerów dała hasło do postąpienia naprzód, ten rozkaz powtórzyły trąby na całym hańcuchu, a strzelcy parami o kilkanaście kroków jedna od drugiej okalając przeszło wiorstową przestrzeń, szybkim i ochoczym posunęli się krokiem. — Z przeciwnej strony

gdzie niegdzie tylko pokazywał się *dzigit* \*) i jakby urągając przeważnej liczbie regularnego wojska, przelatując pędem strzały na zreżym koniku, któremu puściwszy zupełnie cugle, nadawał kierunek kolanami, o kilka kroków od zgorzonych podobnym zachwalstwem żołnierzy, a wykręcając się na siodle to w bok, to w tył, to zupełnie zwieszając pod brzuch koniowi, odpowiadał częstemi wystrzałami na gęsto świszające koło niego kule.

Spuściwszy się zupełnie na dół, znaleźli się strzelcy, nad wąską drogą, ciągnącą się wzdłuż głębokiego wąwozu, do którego nie wielka rzeczka płynąc coraz zwężając się korytem, wpadała z nadzwyczajnym loskotem, tworząc piękną kaskadę, z początku srebrzystą wstęgą, następnie brylantowymi kroplami, a w końcu już tylko jakąś mgłą czyli raczej dymem, spadającą na dno przepaści. Liście na rosnących w wąwozie drzewach, jak również trawa i cała roślinność, przybrały od tych nieustających bryzgów, zamiast zielonego, kolor seledynowy.

Nie zatrzymując się ani chwili nad przepysznym wodospadem, postępowali ciągle naprzód, — trąbki coraz to nowe powtarzały rozkazy, a echo gór siedm razy odbijało nieznane dotąd dźwięki \*\*). Nareszcie doszedłszy do sa-

\*) Oznacza to samo co u nas flankier, lubo dosłownie znaczy zuch, np. *dzigid ulan*, zuch chłopak; a ponieważ najmiejsi wyjeżdżają naprzód i częstokroć bardzo blisko lub nawet wpadają do środka nieprzyjacielskiej kolumny, przeto takich nazywają *dzigidami* czyli zuchami.

\*\*\*) Koło aulu *Aszały* rozszywił się echo powtarza siedm razy każdy dźwięk, a zdarzało mi się widzieć takie miejsca, gdzie kilkanaście razy kaźden wyraz lub śpiew, powtarzają najwyraźniej, co na nieświadomych czyni przestraszające wrażenie.

mych winnic, tworząc piętrzące się trzy-lokciowe kondygnacje, ciągnęły się pod sam aul, zbudowany także na wzgórzu, zatrzymali się czekając na postępujące kolumny.

Tu już rzeczy przybrały groźniejszą postać; chroniący się za ogromnemi z kłoców i kamieni ułożonemi zasiekami miurdy strzelali nie często ale celnie, a chociaż wojska odpowiadały nieustającemi strzałami z armat i karabinów, przecież kryjącym się dobrze tatarom wielkiej krzywdy wyrządzić nie mogli.

Widząc, że z naszej strony liczba zabitych i rannych zwiększyć się mogła, generał Fezé nakazał atak ogólny; żołnierze rzucili się jak wściekli na pokryte zbrojeniami miuradami zasieki. Kuli bez miłosierdzia rozpacznie brońiącego się nieprzyjaciela, a jeżeli który natrafił bagnietem na ukrytą pod *beszmetem* kolczugę, którą prawie wszyscy *Andyjcy* i znakomitsi wodzowie w czasie boju przywdziewają, wołał na kolegów: chodźcie tu bracia, bo to *pancernik*, awtedy nie bagnietami lecz kolbami zabijali wroga. Ale też i tatarzy walczyli rozpacznie, sam widziałem miuradę, który na wylot bagnietem przebity, lewą ręką przytrzymując broń, której koniec sterczał mu z tyłu, rąbał prawą swego zabójcę i w bliskości będących jego towarzyszy.

Każdą zasiekę zdobywać musieliśmy jak fortece, a było ich trzynaście; lecz żołnierz z armji kaukazkiej nie zważa na takie drobnostki, nie łatwo go wstrzymać kiedy zobaczy płynącą własną lub kolegi krew i poczuje zapach prochu. Biegli też bez wytchnienia, zostawiając zabitych i rannych opiece idących z tyłu oficjalistów lazaretowych



i po godzinnej zapalczywej bitwie weszli do *Asraŕty*, gdzie w saklach siedzieli zamknięci miuryci.

Kazimierz był drugim z kolei w liczbie tych, którzy weszli w kręte i ciasne uliczki aulu, tu znova powtórzyła się uparta walka. Każdą sakłę trzeba było brać szturmem, — a gdy wojsko dobijało się do drzwi i okien zatarasowanych lub starało się podłożyć ogień, strzelano do niego z przyległych domów. Łatwo wyobrazić sobie zapalczywość żołnierzy, pospiech z jakim starano się już raz zakończyć tę morderczą walkę; jakoż gdy im się udało zapalić kilka z brzegu stojących domów, a oprócz tego kapitan artylerji Nik... pospieszył z działami, i celnymi wystrzałami rozbijał drzwi i okna, posypały się tłumy tatarów i biegli szybko połączyć się ze stojącą przy pomnikach kawalerją.

Dotąd można było uważać, że wojsko odniosło tylko połowę zwycięstwa. Między ranionymi znajdował się znajomy nam major Szmitnikow; kula przeszła mu piersi i rana zdawała się niebezpieczną.

Nazajutrz postanowiono wszystkich rannych i niewolników, pod stosowną eskortą, odesłać najkrótszą drogą do Temür - Chan - Szury, a Kazimierz na wyraźne żądanie majora miał mu w drodze towarzyszyć. Jakkolwiek to chwilowe rozłączenie zasmucilo pozostałego Wiktora, pocieszał się jednakże myślą, iż Ajchanym znajdzie pewnego i troskliwego opiekuna, na którym mógł polegać z zupełnym zaufaniem.

## V.

Noce przeszła spokojnie; wschodzące słońce jaskrawo oświecało malownicze grupy spoczywających około ognia żołnierzy. — jedni zajmowali się przyrządzeniem rannego posiłku, inni czyszczeniem broni i mundurów, a niektórzy używali jeszcze błęgiego snu po trudach dnia wczorajszego.

Oddział przeznaczony do eskortowania rannych i niewolników stał w pogotowiu, a znaczna ilość koni wierzelowych, które miały służyć dla cierpiących i noszy uplecionych z gałęzi dla ciężko rannych świadczyły o liczbie ofiar odbytej bitwy.

Okolo 7 mej godziny pociągnął smutny orszak wążką drożyną prowadzącą na *Belli*, Wiktor odprowadziwszy splakaną Ajchanym o ile możność pozwalala, umieścił ją na jucznym koniu majora i powrócił do obozu, Kazimierz zaś, którego obecność zdawała się uspakajać biedną niewolnicę, pozostał przy niej i przez tłumacza starał się ją pocieszyć, przyrzekając przyjazną opiekę.

Liczba niewolników znacznie powiększyła się od wczoraj; przeszło czterystu mężczyzn i około sta kobiet i dzie-

ci postępowalo między podwójnym szeregiem uzbrojonych żołnierzy; sążniste chłopy z twarzą zarosłą i ogorzalą w podartej i zakrwawionej odzieży, rzucali na nich piorunującym wzrokiem, a chociaż mieli ręce powiązane postronkami i rzemieniami, wzbudzali jednak mimowolną obawę, zwłaszcza patrząc na ich żyłaste i muskularne ręce, dla których te więzy zdawały się za słabe. Dla tego też oddział posuwał się z wielką ostrożnością, témbardziej, że rozpierzchny nieprzyjaciel mógł lada chwila skupić się i pospieszyć swoim na pomoc, co, prawdę mówiąc, ze względu na miejscowość dla nas obcą i trudną do przebycia, byłoby dla nich łatwym.

Tegoż dnia ku wieczorowi przybył transport nie spotkawszy w drodze ani jednego tataru aż do *Sanjtan Kapor\**), lecz gdy zabierał się do przebycia tej niebezpiecznej drogi, dały się słyszeć wystrzały z zasiek urządzonych za mostem i ze skal przyległych. Niewolnicy widząc tak wpore przybywającą pomoc, okazywali żywą radość a zarazem gotowość korzystania z najmniejszej sposobności, aby stargać krepujące ich więzy i na otaczającej straży krwawo pomścić doznaną krzywdę.

Dla tego dowodzący oddziałem major Kostyrko, nie ludził się nadzieją łatwego zwycięstwa, znał całą odpowiedzialność jaka ciążyła na nim, jak również krytyczność obe-

\*) *Djabelski Most*, tak nazywa się most czyli raczej kładka z dwóch tarcie gibających się, nie mająca żadnych poręczy, łącząca dwie skały na wiorstę przeszło, w kierunku pionowym nad powierzchnią wystającą, w głębi zaś tej przepaści pieni się rzeka *Kojsu*, nartując z taką siłą, że w półcie obraca kamienie dochodzące młynskich swoją wielkością.

cnego położenia; naradziwszy się więc z rannym majorem Sznitnikowem, postanowił chwycić się środka, który jakkolwiek wydawał się zbyt śmiałym, był przecież jedynym, mogącym prawdopodobnie tę garstkę walecznych żołnierzy wyratować, od niechybnej śmierci; to jest pozostawiwszy pięćdziesięciu tylko ludzi pod dowództwem doświadczonego oficera, który miał strzedz przeszło pięciuset co chwila gotowych do otwartego buntu niewolników, wszystkich zaś rannych w osobnej kupce, prawie na Boskiej Opatrzności, sam na czele reszty rzucił się na chwające i co chwila grożące zalamaniami tarcice, a obsypywany gradem kul, spadł jak piorun na zdumiałych i niespodziewających się tak szybkiego napadu tatarów.

Aby pojąć w zupełności całą wielkość odwagi i poświęcenia ze strony majora Kostyrki i biegnących za nim żołnierzy, trzeba sobie przedstawić, że ów djabelski most który koniecznie przebyć trzeba było, składał się jak już powiedzieliśmy z dwóch wązkich desek, nie mających żadnej poręczy, uginających się pod stopą jednego człowieka, wyniesiony nad okropną przepaścią; że drogę tę, którą śmiało napowietrzną nazwać można, przebiegali pod ciągłymi wystrzałami dwakroć liczniejszego nieprzyjaciela. Gdy sobie jeszcze nie jeden przedstawi obawę, jakiej doznawał przebywając podobną kładkę nad strumykiem lub kałużą położoną, z której spadłszy mógł tylko powalać lub zamoczyć suknie, nie narażając się na utratę nie tylko życia, ale nawet zdrowia, wtedy z łatwością pojmie, że podobną odwagę bohaterstwem nazwać się godzi. Ponieważ jednak opowiadanie nasze jest sumienne, potrzeba wyznać, że ko-

niezność zmusza nie jednego do kroku, którego inaczej nigdyby się przedsięwzięć nie ośmielił, tak i tu nie mieliśmy innego wyboru, jak kusić się o zwycięstwo, chociażby je życiem opłacić przyszło, lub poddać się ohydnej śmierci i gorszej jeszcze niewoli. Nie idzie przecież zatem, aby meztwo żołnierzy i ich dzielnego dowódcy nie zasługiwało na pochwałę, a nawet podziwienie, témbardziej, że pan Kostyrko był to człowiek wcale już nie młody, nadzwyczaj cichy skromny i łagodny — bez wyższej edukacji i wychowania, niepoprawnie nawet mówiący po rossyjsku, ale zato żołnierz meznego serca i nie skażonej poczciwości.

Chwilę tylko trwało to osłupienie nieprzyjaciela, — gdy ujrzał, że zaledwie mała cząstka żołnierzy zdołała dopiero przeprawić się przez most i pospieszyć za biegnącym naprzód dowódcą, opuścił zasiłki, za którymi dotąd bezpiecznie się ukrywał, i z szaszką \*) w prawej, z pistoletem w lewej ręce \*\*) a kindzalem w zębach, rzucił się z wściekłością na atakujących, krzyząc przeraźliwie *hi hi Urus giur haranzada*.

Zmieszali się w śmiertelnych uściskach żołnierze z Tatarami; — ci ostatni będąc w przeważającej liczbie widocznie brali górę, a częste radośne ich wykrzyki świadczyły o coraz zmniejszającej się liczbie nacierających. Lecz

\*) Szabla z rękojeścią bez gardy, nadzwyczaj ostra i tak hartowanej stali, że z łatwością przecina lufy i bagnety karabinów.

\*\*)Pistolet trzymają Tatarzy w lewej ręce, a nawet kurek tak jest urządzony, że gdyby chciał strzelać jak się to zwykle czyni, to spadając na dekier, raniłby dość głęboko palce swoim drogim końcem, który jest długi i w kształcie seczyuryka zakończony.

w trakcie tego, reszta wojska miała czas przeprawić się i uszykowana w niewielką kolumnę, do której nawet lekko ranni ochotnie się przyłączyli, ruszyła na pomoc swoim, a przybyła w samą porę, bo nietylko że wielu z ich towarzyszy było zabitych, powrzaczanych w przepaść lub ciężko rannych, lecz nawet waleczny major Kostyrko sam lekko ranny, prawie już bez sił, widział nad głową olbrzymi kindzał, a nie mogąc go skutecznie odeprzeć, był pewnym, że już wybiła jego godzina, gdy celny wystrzał biegnącego z kolumną podoficera, uwolnił go od niechybnej śmierci. Zerwał się też zaraz na nogi i ożywiony nadzieją zwycięstwa, z nowymi siłami naturl na niesforną kupę, która widząc się tak niespodziewanie obskoczoną, bronila się rozpacznie nietylko orężem, ale nawet jak dzikie zwierzęta kłapiąc zębami swych nieprzyjaciół. — W kilkanaście minut zakończyła się ta okropna walka zwycięstwem naszych. Pobity nieprzyjaciel, straciwszy znaczną część w zabitych, rannych i niewolnikach, pozostawiwszy na placu mnóstwo broni i kilkadziesiąt koni ukrytych pomiędzy skalami, ratował się ucieczką; a oddział jakkolwiek spoczynku potrzebujący, pociągnął dalej aż do *Characzi*, ponieważ nocować w górach byłoby niebezpiecznie.

Przez następne trzy dni przebywszy bez przeszkody wioski *Unenkul*, *Gimry* i *Karanaj*, ranni stanęli czwartego dnia w *Temir-Chan-Szurze*, gdzie znaleźli spoczynek i wszelkie wygody, jakich stan ich zdrowia wymagał.

## VI.

Ośm miesięcy minęło od opowiedzianych wyżej wypadków; wojska zapomniawszy o trudach przeszłorocznej wyprawy, zajmowały się służbą garnizonową, a chwile wolne poświęcały rozrywkom, jakich środki miejscowe dostarczyć mogły.

Dowodzący naówczas wojskami w północnym i północnym Dagestanie, generał Kluki von Klugenau, odstąpił jeden z dwóch domów na jego mieszkanie przeznaczonych, na rodzaj resursy, w której dwa razy w tygodniu damy, oficerowie i lepiej wychowani junkrowie, zbierali się na zabawę. W niedziele i święta tańczono, zaś we czwartki młodzież bawiła się w gry niewinne, starsi zaś w wista i preferansu.

Lecz musimy zaznajomić czytelnika z generałem Kluki von Klugenau. Urodzony w Szlązku, wszedł początkowo do służby austriackiej; tam dosłużywszy się stopnia porucznika, wziął uwolnienie w 1818 r. i w tymże stopniu wszedł do służby rosyjskiej do oddzielnego kaukaskiego korpusu. Nie znając języka, nie mając żadnej protekcji, dobijał się von Klugenau stopni wojskowych jedynie me-

twem; jakoż w roku 1834, to jest w 16 lat po wejściu do służby, był już generałem i oprócz innych orderów miał krzyż św. Jerzego 4tej klasy za waleczność. Gdy go poznał w 1836 roku, był to mężczyzna mający lat czterdzieści kilka, wzrostu wysokiego, tuszy dobrej, twarzy miłej, otwartej i zwykle uśmiechniętej; żywy a nawet porwoczy, miał jednak najlepsze serce i szlachetne popędy.

Dnia 2 Lutego 1838 roku, sala zebrania zajaśniała rzesistem światłem, dźwięki smyczkowej muzyki pod dyrykcją polaka Rybińskiego, mile lechtały ucho, a mnóstwo snujących się dam przybranych w powiewne tiule i gazy, różnobarwne wstążki i kwiaty, tudzież licznie zgromadzeni oficerowie w paradnych mundurach, urozmaicali ten obraz barwisty.

Obchodzono imieniny generałowej, a w dniu tym rok-rocznie nie szczędzono niczego, co by zabawę przyjemnić mogło i elegancję z komfortem połączyć.

W liczbie zaproszonych na bal, znajdował się *Szanchal-Abu-Musselim*, w kozackim atamańskim mundurze, i tatarskiej baraniej czapce na głowie, i *Achmed-Chan-Mechtuliński* w narodowym stroju, oba otoczeni liczną świtą beków i uźdienów\*), świetniejących malowniczymi ubiorami jaskrawych kolorów, suto obszywanymi galonem złotym i srebrnym, i uzbrojonych liniącym orężem, wysadzanych drogiemi kamieniami. Wszyscy w wysokich czapkach, formując oddzielną grupę, przyglądali się ciekawie niezwykle dla nich widowisku, czyniąc najdziwniejsze

\*) Bek, oznacza to samo co szlachcic, uźdien, dworzanie także ze szlacheckiej rodziny.

sposrzedzenia i uwagi, między temi niektóre zadziwiały nieublaganą lokigą. — I tak naprzykład: widząc tańczących oficerów z wystrojonemi damami, których pomięte kokardy, rozpuszczone loki i zaczerwienione twarze świadczyły o utrudzeniu, z jakim ta zabawa jest połączona, wzruszali tylko ramionami jakby ubolewając nad głupstwem Europejczyków; — lecz kiedy ujrzeli walecznego jenerała von Klugenau w wielkim mundurze pokrytym gwiazdami i mnóstwem krzyżów, człowieka nie pierwszej młodości, zajmującego najwyższe w Dagostanie stanowisko, który w nieprzyjaciolach wzbudzał trwogę a w kolegach i podwładnych szacunek i miłość, gdy mówię zobaczyli jak poczciwy jenerał, pomimo znakomitej tuszy, puścił się narodowego walca z całym zapalem na jaki się mógł zdobyć, odarzeni niespodziewanym widokiem Tatarzy, stali wszyscy z palcem w ustach, co wyraża u nich najwyższe zdziwienie, powtarzając niekiedy: *haj, haj, haj!*

Patrząc na nich, nie mogłem wstrzymać się od śmiechu i zapragnąłem koniecznie dowiedzieć się, co ich tak bardzo dziwi, jakoż przybrawszy minę serjo, zapytałem najbliżej stojącego, co im się stało, że stoją powarzeni?

— Haj, haj, haj! powtórzył zapytany, czyż mogliśmy się spodziewać, aby tak znakomity dygnitarz, tak waleczny wódz, miłosierny dla biednych, był tak skąpym dla siebie i żałował kilku rubli na zapłacenie skoczka, któryby za niego tańczył?

Zacząłem tłumaczyć mu, że jenerał czyni to nie ze skąpstwa, lecz dla własnej przyjemności, że u nas jest to

zwyczaj przyjęty, że wszyscy tańczą, a wielu nawet oddaje się tej zabawie z namiętnością, z narażeniem nawet zdrowia i na dowód pokazałem mu kilkanaście par szalenie w koło nas wirujących. Mój tatar kiwnąwszy pogardliwie głową, rzekł mi:

— Chciój mi wierzyć, że pojmuję taniec i przyjemność jaką rozsądnemu człowiekowi sprawić może, i my w dnie świąteczne lub z powodu jakiejś uroczystości poświęcamy się tej zabawie, ale bez ubliżenia godności męczyzny i wojownika, bez narażenia sił i zdrowia, które jako najszacowniejszy dar Stwórcy nadewszystko cenić powinniśmy. Kiedy się chce bawić muzyką i tańcem, zapraszam moich przyjaciół; przyjmuje ich jak mi możność dozwala, a po dobrym obiedzie i kilku *kuwczynach buzy* lub *dziaby* \*) siadamy z fajkami na dywanach, a zapłacone *bajaderki*, przy odgłosie *zurny* \*\*) i *tamburyna*, zachwycają zmysły zręcznemi skokami i pozami, w których kolejno malują się najwzwałtowniejsze namiętności. Otóż to zabawa, z której wszyscy zadowoleni; — widzowie baletem, aktorowie zapłatą, bez nadwreżenia zdrowia i osobistej godności. Nie chciałbym wszakże potępiać bezwarunkowo waszego zwyczaju, jakkolwiek wydaje mi się śmiesznym, — dla tego proszę cię mój *kuaku* \*\*\*), obja-

\*) *Kuwczyn*, rodzaj dzbanka, którego zamiast pucharu używają; *buza*, napój z jęczmiennój mąki gęstawy, przykry dla nieprzyzwyczajonego do niego i nadzwyczaj upajający. *Dziaba*, wino przygotowane nakszalt *Madery*.

\*\*\*) Rodzaj oboju.

\*\*\*\*) Przyjaciel.

śnij mnie co stanowi w tańcu tak wielką przyjemność, któraby was dostatecznie wynadgradzała za podjętą pracę widocznie męczącą.

Na tak proste zapytanie nieokrzesanego Tatara, stanąłem zakłopotany, niewiedząc prawdziwie jak wybrnąć z tej kwestji, bo im bardziej zastanawiałem się nad argumentami, jakie na usprawiedliwienie naszej namiętności do tańca przytoczyć mogłem, tem bardziej przekonywałem się o drażliwości przedmiotu i dla tego po chwili namysłu oświadczyłem memu *kunakowi*, że żądane przez niego objaśnienia odkładam do swobodniejszej chwili. Spojrzał na mnie niedowierzająco i jak mi się zdawało cokolwiek ironicznie, a ja zwróciłem się szybko do przybliżającego się majora grafa Dudkina, który pomimo pięćdziesięciu kilka lat wieku tańczył zapamiętale, a co większą nadzwyczaj śmiesznie; — i rozmawiając odszedłem w drugą stronę sali.

Przy drzwiach prowadzących do buduaru siedziały trzy damy i rozmawiały ze stojącymi obok nich Wiktorem i Kazimierzem; oba młodzi ludzie byli podoficerami za odznaczenie się w przeszlorocznej wyprawie, a w tej chwili zajęci widocznie żywo ich obchodzącą rozmową, bo na twarzy Wiktora malował się smutek; Kazimierz zaś zdawał się oburzony i jakby gotów do spełnienia jakiegoś ważnego przedsięwzięcia.

Dama siedząca najbliżej drzwi była żoną kapitana artylerji, nazywali ją Katarzyna Pietrówna; ojciec jej był dymisjonowanym już jenerałem, a matka prostą Tatarką wziętą do niewoli, a że była młodą i piękną dostała się

do podpułkownika M., przy którym pełniła rozmaite obowiązki, aż dopóki pan M., będący już pułkownikiem, nie zdecydował się dać jej tytułu żony przez wzgląd na czworo żyjących dzieci.

Katarzyna Pietrówna, była najmłodszą z rodzeństwa a w roku 1838 miała lat 26, wzrostu miernego, nadzwyczaj chuda, z dużym nosem, zaciśniętymi ustami i cerą żółto-zieloną; mówiła powoli i z cicha, a każdy jej wyraz trafiał do serca jak ostrze sztyletu. Obok niej siedziała Anna Maksimowna, kobieta lat 30, ogromnej twarzy, otwartej fizjonomji, z gięstem żywym i energicznym, mówiącą głośno i prędko, często uszczypliwa, a jednak z najlepszym sercem i charakterem. Nakoniec trzecie miejsce zajmowała Manifa Iwanowna, kobieta niewielka, lat dwudziestu kilku, chuda, czarna, mało mówiąca; o jej charakterze nie wiele powiedzieć można, jednak w ogóle była to istota nie nie znacząca, lecz dobra i nieszkodliwa nikomu. Kronika skandaliczna tylko utrzymywała, że się szalenie kochała w Wiktorze, ale za autentyczność tego ręczyć nie mogę.

— Więc cóż ta pańska pupilla, panie Wiktorze, czy rzeczywiście takie cudo jak to przyjaciel pana utrzymuje? — zapytała słodziutkim głosem przymrużywszy oczy, Katarzyna Pietrówna.

— Nie zdaje mi się, — rzekł zakłopotany Wiktor, aby Kazimierz przedstawiał ją paniom jako cud, tem bardziej, że ta biedna dziewczyna, nie na podziwienie lecz na litość zasługuje; — światło prawdziwej wiary dzięki staraniom czcigodnego kapłana, opromieniło tę zbolalą

dużę i węzłem braterskim, powiązało z nami na zawsze; a lubo ceremonija chrztu jeszcze nie dopełniona, jednak z własnego przekonania zerwała wszelkie stosunki z dawnymi współwyznawcami; a przecież jej ojciec i brat nie licząc dalszego rodzeństwa są mahometanami; któż nam zareczyć może, że związki krwi nie są silniejsze od tych, które w późniejszym wieku ze skłonności lub przekonania zawieramy, — któż wie jaka teraz walka odbywa się w jej sercu, jaki będzie onaj rezultat, témbardziej, że jakkolwiek zasady świętej wiary przyjęła z dobrą i nieprzymuszoną woli, jednakże one nie mogły jeszcze tak silnie ugruntować się w jej duszy, aby zwalczyć uczucie rodzinnej miłości wyssanej z mlekiem.

— O to bądź pan spokojny, mam powody mniemać, że owczarnia Chrystusa nie utraci tej owieczki.

— Cóż panią utwierdza w tém mniemaniu?

— Powiedz pan raczej przekonaniu, które opieram na związku, jaki łączy tę dziewczynę z jej dobroczyńcą.

— Jakże pani nazywasz ten związek; jeśli się zapytać wolno?

— Chociażby tylko wdzięcznością, a zdaje mi się, że pan pojmujesz całą siłę tego uczucia .... Jak pani sądzi, Manifo Iwanówno?

— Nie wiem prawdziwie dla czego mnie pani o to zapytuje — wyjąkała cała w płomieniach Manifa — dla czegoż ja mam?....

— Oto dla tego — rzekła dobitnie Anna Maximówna — że jeżeli czego dobrze nie pojmujemy, żądamy objaśnienia od ludzi kompetentnych, a wdzięczność jest

tak wielką cnotą, że zapytanie Katarzyny Pietrowny zaszczyt pani przynosi.

Wszystkie spojrzenia małego towarzystwa padły na mówiącą: Wiktora i Manify wyrażały, że ta cnota nie jest im obcą, — Kazimierza tryumf i podziękę, a Katarzyny Pietrowny wściekłość i zemstę.

Przez chwilę trwało uciążliwe milczenie, przerwane znowu przez Katarzynę Pietrowną; zwróciła ona mowę do Anny Maximówny z najśladszym, na jaki się mogła zdobyć uśmiechem:

— Dziękuję pani, żeś tak dobrze myśl moje oddać potrafiła, prawdziwie, ja sama nie umiałabym tego z taką prawdą powiedzieć; dla tego też nie zaniebdałam przy sposobności wywzajemnić się, o ile będę w stanie. Ale *à propos* tej niewolnicy, słyszałam, że już dwa razy proponowano za nią okup, a jednakże jej dotąd nie oddają.

— Ona jest branką Wiktora — odezwał się milczący dotąd Kazimiérz — do niego więc należy rozrzucić jej losem, i jestem pewny, że jeżeli Ajchanym zapragnie wrócić do ojca i rodziny, to Wiktor bez okupu powróci jej swobodę .... nie sprzedałby zaś nigdy za pieniądze istoty, która mu ślepo zaufała i za jego staraniem jest już prawie chrześcijanką.

— Jakże gorąco ujmujesz się pan za tą młodą Tarką... czyliżbyś się *także* w niej kochał? Ależ to byłaby zdrada, mój panie!

— *Honnay soit qui mal y pense* — odrzekł szyderczo Kazimiérz. — Pochlebiam sobie, że na zdraycę nie wyglądam, a wreszcie, gdybym się i zakochał, to jeszcze

nie byłoby nic nadzwyczajnego; najprzód, Ajchanym jest młoda, piękna, dobra, a wkrótce będzie rozumniejsza od wielu znajomych mi dam — dalej, jest z dobrej familji, ho spowinowacona z Elissujskim sultanem, a zatem może być żoną szlachcica, a to tém łatwiej, że są takie kobiety które prócz niewoli, nie miały z nią nic wspólnego, a dziś mimo różnych *ale*, szczycą się nazwiskiem ludzi zasłużonych krajowi.

Wypowiedziawszy jednym tchem całą tę tyradę, Kazimierz uklonił się siedzącym damom, a wzięwszy pod rękę mocno zmieszanego Wiktora, odciągnął go na stronę.

Katarzyna Pietrówna posiniawszy ze złości, wyszeptala: — poczekaj smarkaczu! zapłacisz mi za to.

## VII.

Rozmowa, której byliśmy świadkami, wpłynęła bardzo szkodliwie na położenie Kazimierza, — nie umiał pohamować słusznego oburzenia, jakie złośliwe uwagi Katarzyny Pietrowny w nim obudziły, — poszedł za popędem młodzieńczego zapалу i nie zważając na następstwa, dotknął najdrażliwszej strony, wspominając o nieprawem jej pochodzeniu; zadrasnął ranę zawsze świeżą w jej sercu, obrazil śmiertelnie dumę złą, próżną i do najwyższego stopnia mściwej kobiety; — to też poprzysięgła mu wieczną zemstę.

Nie myślę wcale stawać w obronie Kazimierza, chociaż pomimo wielką różnicę wieku, dziś najzupełniej pojmuję, jak dalece może nas oburzyć obelga niezasłużona, tém bardziej, gdy jest wymierzona przeciw słabszemu, prawie bezbronnemu; bo własne doświadczenie nie raz dało mi gorzko uczuć, że jakkolwiek podobne postępowanie znamionuje charakter prawy i szlachetny, — zawsze jednak jest nierozważne, choćby ze względu na ilość ludzi obdarzonych władzą, której tak często dla zaspokojenia



próżności lub nawet chwilowej fantazji niegodnie nadużywają.

Utrzymują zwykle, że przysłowia są mądrością narodów, a jednak między niemi są takie, których treść nie mądrego, a samą tylko chytrą w sobie mieści. Na przykład zacytowano mi następujące przysłowie, jako godne naśladowania: „*Pokorne ciele dwie matki sio*“ — czyż może być coś bardziej niekczemnego? Czyliż nie właściwiej byłoby powiedzieć: „*Podłość i pokora często chodzą w parze*.“ Człowiek uczciwy wypełniający swoją powinność czuje własną godność, jest użytecznym krajowi i społeczeństwu, — a przy takich warunkach żaden człowiek honoru pokory od niego nie żąda; — bo pokora tylko w obliczu Boga jest cnotą — przed ludźmi zaś jest tylko niekczemną uległością, którą chcemy pokryć lub okupić naszą głupotę, podłość a czasem i występki.

Im kto wyższe zajmuje w kraju stanowisko, tym bardziej powinien okazywać się nieufnym względem podwładnych, którzy się nazbyt płaszczą, a jednakże, o słabości ludzka! lubimy wszyscy kadzidło — i gdzie głaszczą naszą miłość własną, tam rozum milczy.

Mógłbym wiele przytoczyć dowodów na poparcie tego co dopiero powiedziałem, ale to byłoby zbyt zbytecznym, bo kiedy kto umie porządnie myśleć, a nie jest zupełnie wyzutym z honoru i poczciwości, podzieli w zupełności to zdanie i zapewne nie raz ubolewał nad niepojętą słabością możnych, którzy dogadzając dziecinnej próżności, wolą narażać na szwank własne a nawet publiczne sprawy, poruczając one głupcom lub też indywidualom podejrzanej

konduity, ale umiejącym płaszczyć się i potakiwać, niż powierzyć je ludziom prawym i zdolnym, lecz wypełniającym ściśle *tylko* powinność swoją. Mówiąc o tem, mimowoli nastreczają się nam smutne uwagi, jakie nieraz czynimy sobie, widząc, że pomimo ciągłego postępu na drodze cywilizacji, szumnie wygłaszanych zdań o honorze, cnocie, prawości, zamilowaniu obowiązków, wszystkie te zalety nie wystarczają do pozyskania zasłużonych względów, a często nawet spokojności; — że uniżonością i pochlebstwem daleko łatwiej trafiamy do zamierzonego celu.

Długo potrzeba żyć i zastanawiać się, aby dojść do tego smutnego doświadczenia, aby pozbywszy się wszelkich młodzieńczych marzeń, spojrzeć okiem mędrca na świat i społeczeństwo. Są wprawdzie ludzie, którzy za młodu wolni od złudzeń, rodzą się prawie z dojrzałym doświadczeniem; ale zdaje mi się, że na ich serce i charakter nie wiele liczyć można: są to zimne samoluby, dla których litość i współczucie są wyrazami bez znaczenia.

Kazimierz należał do liczby ludzi obdarzonych nadzwyczaj żywą wyobraźnią, czulym sercem i silną wolą, — nie wchodził on nigdy w układy z sumieniem wbrew przekonaniu, chociażby nawet okoliczności tego wymagały, — mówił prawdę z narażeniem siebie, a każda podłość oburzała go niesłychanie.

Oddawna nie lubił Katarzyny Pietrowny, bo w kilku wypadkach miał sposobność przekonać się o jej przewrotności; dla tego też usłyszawszy, z jaką ironią odzywała się o Ajchanym, którą bardzo lubił, nie wahał się upokorzyć tę panią przypomnieniem nieprawego jej pocho-

dzenia; śmiałość ta zrobiła mu zawziętą i niebezpieczną nieprzyjaciółkę.

Wkrótce po imieninach generałowej, Wiktor z Kazimierzem zaproszeni byli na obiad do Anny Maksymówny; uprzejma gospodyni rozmawiała z niemi o różnych rzeczach, a między innemi i o balu, na którym jak widzieliśmy, razem się znajdowali. — Z kolei więc zaczęto mówić o zuchwałej nauce, jaką Kazimierz pozwolił sobie dać Katarzynie Pietrównie.

— Wiesz pan zapewne, rzekła Anna, że nie lubię tej kobiety, bo zła i przewrotna i cieszyłabym się niesłychanie, gdyby kto inny upokorzył ją w mojej obecności; ale pan, w tém położeniu, możesz się narazić na wielkie nieprzyjemności, tém bardziej, że naszego dobrego generała nie ma, i niewiadomo, kiedy do nas wróci; a ten nowy zastępca nie bardzo mi się podoba.

— Może dla tego, że żonę opuścił? W takim razie pani jedynie *par esprit de corps* powstajesz przeciwko niemu; co do mnie, inne mam przekonanie i nie sądzę, aby nowy nasz zwierzchnik miał mnie przesładować z powodu jakichś plotek: nie prawdaż Wiktorze?

Takby się zdawało, a nawet pewny jestem, że tak jest, odpowiedział Wiktor.

— Otóż w czém się oba mylicie — rzekł na to dotąd niepostrzeżony, a od chwili będący w salonie i przysłuchujący się rozmowie kapitan L..., mąż gospodyni domu. — Właśnie wracam od pułkownika, który odebrał polecenie wysłać was obudwóch z Temir-Chan-Szury, cie-

bie panie Wiktorze do *Karakajtaku*; a ciebie panie Kazimierzu do *Ziranów*.

— Jakto! za co? kiedy? wykrzyknęli oba prawie jednocześnie.

— Za co? to łatwo zgadnąć, przynajmniej ciebie Kazimierzu, czuć tu djabelnie Katarzynę Pietrównę! Kiedy? nie dalej jak jutro; widzicie więc, że zaledwie macie czas zjeść obiad, pożegnać znajomych i przygotować się w drogę.

— Ale przecież w poleceniu do pułkownika musi być wyrażony powód, dla którego skazują nas na to wygnanie?

— Gdzież wy w tém rozporządzeniu upatryliście rozkaz skazujący was na wygnanie? Wszak w *Karakajtaku* równie jak w *Ziranach* jest wojsko, a gdzie są żołnierze, tam przecie i podoficerów potrzeba, no, czy jasno? Ale tu nie o to idzie, wiesz, kochany panie Kazimierzu, że umierającemu szwagrowi mojemu, majorowi Sznitników, przyrzekłeś zajmować się edukacją pozostałych po nim sierót, i dotąd pomimo swej młodości i nadzwyczaj żywego temperamentu, zastepowałeś im prawdziwie ojca; wierzą mi, że nietylko my, jako bliźcy krewni, ale nawet wszyscy obcy, twoje bezinteresowne poświęcenie oceniają i dla tego bądź pewny, że użyjemy wszelkich zależących od nas środków, chociażby działając tylko dla własnego interesu, aby to wygnanie jak go nazywasz, o ile można skrócić; nabierz więc otuchy i nie okazuj, że cię to boli, wypełniając ten rozkaz przykry i niesprawiedliwy. Co się zaś ciebie tyczy, panie Wiktorze to powiem szczerze, że

choć równie pragnęlibyśmy, ażebyś z nami pozostał, nie mamy przecież dość ważnych w oczach zwierzeznika powodów, aby czynić za tobą jakieś starania; znies więc tę niezasluzoną krzywdę, a jak wróci nasz poczciwy Frantz Karłowicz (Klugenau), to i ty zawitasz znowu do nas.

Po skończonym obiedzie, który przeszedł dosyć smutno, młodzi ludzie pożegnali uprzejmych gospodarzy, a przyjmawszy szczerze życzenia szczęśliwej podróży i rychłego powrotu, od obojga, i obietnicę zasilków na drogę, od samej pani, poszli do siebie przygotować się do marszu.

## VIII.

Powróćmy teraz do bohaterki naszej powieści, którą od przybycia jej do Temir-Chan-Szury, przestaliśmy się zajmować. Przy wystąpieniu z Aszalty, Wiktor jakkolwiek troskliwy o los młodej branki, nie przecież stanowczego względu na nią nie postanowił; — głównie mu chodziło o to, aby ją umieścić w przyzwoitym miejscu i zająć się jej wykształceniem; a że takiego miejsca gotowego nie miał, włożył więc obowiązek na Kazimierza, aby się zajął stosownym umieszczeniem Ajchanym i jej początkową edukacją.

Zaraz po przybyciu na miejsce, spotkał Kazimierz żołnierza Polaka, nazwiskiem Soczyńskiego, który miał własny dom, żonę, kobietę dobrą, umiejącą czytać, pisać i piękne kobiece roboty; — zaproponował mu więc, czyby za umówione wynagrodzenie zechciał przyjąć młodą tatarską dziewczynę na stół i stancję, jak również czy jego żona będzie mogła ją uczyć tego co sama umie? — na co gdy się Soczyński zgodził, umieszczono natychmiast w domu jego drzącą z bojaźni *Ajchanym*, a poczciwa żołnierka zajęła się nią zaraz z prawdziwie macierzyńską troskliwością.

Kiedy Wiktor z Kazimierzem udali się na miejsce nowego przeznaczenia, nasza bohaterka już jedenaście miesięcy mieszkała u Soczyńskich; czas ten, jakkolwiek krótki, uczynił ją przecież nie do poznania, tak dalece korzystnie wpłynął na jej rozwinięcie fizyczne i umysłowe.

Ajchanym zawsze była ładną, ale teraz gdy piękność jej rozwinęła się w całym blasku, gdy wzrostem i cudnie zgrabną kibicią przewyższyła wszystkie taneiczne damy, gdy duże jej czarne oczy, zamiast dziko ognistych spojrzeń, wyrażały dobroć i czułość, gdy w nich malował się rozum i pojęcie; przewyższyła wszystko cokolwiek o jej wdziękach wróżyć było można; była zachwycającą.

Pod względem ukształcenia umysłowego, równie wielki uczyniła postęp — mówiła płynnie po polsku i wcale nie źle po rosyjsku, umiała czytać, pisać i rachować tyle, ile dla kobiety potrzeba, — a w kobiecych robotach przeszła swoją nauczycielkę. Obznajmiona dokładnie z zasadami religii katolickiej, gotowa była do przyjęcia chrztu, który z powodu czasowej nieobecności księdza odbyć się nie mógł.

Niespodziewane oddalenie Wiktora i Kazimierza, których codziennie widywała, sprawiło na niej smutne wrażenie; ich przyjaźń, do której przywykła, czułe starania pierwszego i braterska opieka drugiego, zdawały się jej stokroć droższymi od chwili, jak jej onych zabrakło; dla tego też siedziała całymi godzinami smutna i głucha na słowa pociechy, jakimi dobra Soczyńska starała się ją uspokoić. — Na wszelkie perswazje, przepowiednie rychłego jej przyjaciół powrotu, odpowiadała ze łzami: „Naprawdę

staracie się mnie uspokoić, ja czuję, że mi grozi jakieś wielkie nieszczęście.“

We trzy miesiące po bitwie Aszaltyńskiej zjawił się w Temir-Chan-Szurze młody Tatar, imieniem *Aslan-Bek*, w towarzystwie kilkunastu *nukierów*\*) i ofiarował wykup za Ajchanym, mieniając się jej bliskim krewnym; lecz młoda branka na pierwszą o tém wzmiankę zaprzeczyła energicznie wszelkiemu z nim pokrewieństwu i o powrocie z nim ani słyszeć nie chciała, dając za powód szczery zamiar zostania chrześcijanką. Rzecz naturalna, że przestano nalegać na nią, a chociaż w miesiąc później tenże sam *Aslan-Bek* przybył powtórnie w tymże samym celu, opatrzony rekomendacyjnym listem Elissujskiego sultana, musiał jednak powrócić z niczem, bo Ajchanym bardziej niż kiedykolwiek trwała w swoim przedsięwzięciu.

Pozostawmy ją znowu oddającą się smutkowi i zwątpieniu, — a powróćmy do Wiktora i Kazimierza, których los również nie był godnym zazdrości.

*Karakajtak* jest to nie wielka prowincja rozciągająca się na kilkadziesiąt wiorst, począwszy od morza Kaspijskiego ku górcom, czyli wolnej *Tabessaraui*. Miejscem tymczasowego pobytu Wiktora był zakład wód mineralnych, położony przy samym brzegu morza a składający się z jednego wielkiego murowanego budynku, przeznaczonego na szpital wojskowy, z kilku pomniejszych dla pomieszczenia gości i z oddzielnych łazienek mieszczących w sobie sześć wanien, do których przez rury miedziane

\*) Jezdnych.

przeprowadzono z głównego wodozbioru siarczaną wodę, zawierającą w sobie do 40 stopni ciepła podług Réaumura.

Co rok podczas lata zjeżdżali się tu chorzy na kurację i dla tego przeznaczono pewną ilość wojska pod dowództwem oficera dla utrzymania porządku i oraz czuwania nad bezpieczeństwem kąpiących się, którzy bez tej koniecznej ostrożności byłiby niewątpliwie narażeni na rabunek ze strony najezdźników tabessarańskich, a w razie oporu na śmierć lub niewolę.

Ponieważ Wiktor przybył zawczasie, nie zastał przeto nikogo z przybyłych oprócz praporszczyka Sewrymowicza, pełniącego obowiązki tymczasowego komendanta i sztablekarza Ormianina z żoną, przybyłego także po służbie z *Nachiczewanu* z pod samego *Araratu*, a który miał zarządzać szpitalem przez czas trwania kąpieeli siarczanych i morskich. Latwo wnieść można, że w takiej samotności miał dosyć czasu do rozmyślenia o swojej doli, która mu się teraz w nie zbyt różowych przedstawiała barwach.

Położenie Kazimierza było bez porównania przykrzejszém, bo chociaż *Zirany* są tylko o 45 wiorst odległe od Temir-Chan-Szury, sama jednakże droga najeżona ostremi kamieniami, która się ciągnie przez strone góry i wąwozy aż do samego miejsca, da się we znaki każdemu, kto ją przebywać musi, a cóż dopiero powiedzieć o samém miejscu pobytu i trybie życia, jakie tam prowadzono!

W małej dolinie otoczonej zewsząd skalistemi i zupełnie nagimi górami, nad rzeką *Kojsu*, stał niewielki świeżo wybudowany fort. Na przestrzeni zaledwo kilkadziesiąt sążni kwadratowych, otoczonych wałem ze strzel-

nicami i czterema bastjonami, z których każdy opatrzony był jedną armatą ciężkiego kalibru, mieścił się dom dla komendanta i oficerów, koszary dla żołnierzy, kuchnia, łaźnia parowa i dom dla *markietanta* czyli dostawcy żywności; po za obrębem wału strzeżonego w dzień przez żołnierzy, a w nocy oprócz nich przez cztery ogromne psy do tego umyślnie ułożone, niepodobna było używać przechadzki bez narażenia się na oczywiste niebezpieczeństwo.

Oprócz prostych żołnierzy i podoficerów, których liczba do dwóchset dochodziła, było dwóch oficerów: kapitan *Żdanów* i porucznik *Leontiew*.

Dawid Efiłowicz *Żdanów*, syn prostego żołnierza, zaczął wojskową karierę w szkole wojennych kantonistów; doszedłszy lat 16, naznaczony był jako pisarz do kancelarii jednego z pułków dragonów; po trzydziesto-kilkuletniej służbie otrzymał stopień kapitana i tranzlokację do Apszerońskiego pułku piechoty. W czasie, o którym mówimy, dowodził drugą kompanją muszkieterów, składającą garnizon *fortu* i był zarazem onego komendantem.

Porucznik *Leontiew* był synem niezamożnego szlachcica w Małej Rosji zamieszkałego i służył wojskowo nie z powołania, lecz *dla chleba*. Młodszym był o lat kilkanaście od swego kapitana, lecz też te tylko jedne widać było między nimi różnice; pod względem umysłowego wykształcenia stali obadwaj na jednym punkcie, to jest na *zero*; a nawet *Żdanów* lubo nie szlachcic, stał może cokolwiek wyżej; przynajmniej to mu z jego kancelaryjnej służby pozostało, że pisał pięknie i dosyć ortograficznie — wówczas kiedy porucznik jego o kalligrafji

miał bardzo małe a o pisowni żadnego wyobrażenia. Zresztą byli to ludzie nie zli, harmonizujący z sobą pod względem zdań i upodobań — szczególnie do kieliszka, któremu wiernie od rana do wieczora na wyścigi holdowali.

W takie to towarzystwo dostał się Kazimierz, którego pan Żdanów przez wzgląd na jego urodzenie, wychowanie, a bardziej jeszcze dobre jego położenie u władzy, razem z sobą pomieścił.

W pierwszych dniach doświadczył wiele przykrości, będąc zmuszonym wypraszać się od ciągłych nalegań panów oficerów, aby z nimi fetował Bachusa pod postacią prostej gorzalki, — musiał znosić wiele docinków, któremi starano się wyszydzić jakąś mniemaną arystokrację, a to dla tego tylko, że nie chciał zostać pijakiem; nareszcie sprzykrzywszy sobie bezskuteczne w tym względzie starania, pozostawili go spokojnym, darząc niekiedy szyderczym spojrzeniem lub płaską epigrammą.

Siedział Kazimierz w tym prawdziwym więzieniu cały miesiąc, wstając co dzień o godzinie ósmej rano, prosto do kipiącego samowara, z którego jego towarzysze mieszkania, popijali już od godziny cienką, zaprawną wódką herbate, nazywaną przez nich kozackim ponczem. — Ubrawszy się brał książkę, i czytając, przemierzał djagonalnie pierwszą izbę, dostarczającą mu największej przestrzeni do spaceru: — o 10tej chcąc nie chcąc, musiał pić wódkę i znowu chodził aż do dwunastej, o której zwykle podawano obiad, składający się koniecznie z barszczu albo kapuśniaku i kotletów siekanych z cebulą — a w niedziele i święta dodawano naleśniki. — Po skończonym

obiedzie, tenże sam spacer z książką aż do wieczornej herbaty czyli raczej kozackiego poncza, poczem grano w karty. Ten tryb życia nudny, jednostajny i połączony z drobnymi nieprzyjemnościami, jakich w podobnym towarzystwie niepodobna było uniknąć, tak zmęczył naszego więźnia, że gdy odebrano rozkaz wysłania go do Temir-Chan-Szury, nie posiadał się z radości i przepędził noc bezsenną, nie mogąc doczekać się chwili wymarszu.

## IX.

W połowie maja wysłano z Temir-Chan-Szuryńskiego szpitala wojkowego, kilkudziesięciu chorych do wód mineralnych w *Karakajtaku*; Kazimierz, którego wychowaniecy z powodu skrofulów potrzebowali siarczanych kąpiel, otrzymał także pozwolenie zawieźć ich do wód i pozostać z nimi przez cały ciąg kuracji.

Wylądowawszy czterokonną brykę wszystkim co mogło służyć do wygody w podróży, zaopatrzywszy się w broń i w amunicję, wyruszył ze swemi pupillami w drogę, w towarzystwie sześciu oficerów i czterdziestu kilku żołnierzy chorych, nie licząc w to jednego oficera i 36 żołnierzy, którzy ich tylko do miejsca konwojować mieli.

Droga prowadząca z Temir-Chan-Szury do Karakajtaku, Derbentu, Kuby i t. d. jest nadzwyczaj malownicza i prawie bezpieczna. Przebywszy *Musselim-Aut*, wioskę tak nazwaną od imienia *Szamchala*, i *Paraut*, które na szczególną wzmiankę nie zasługują, następuje wieś *Gilli*, położona w pięknym miejscu, zabudowana czysto i symetrycznie, ma nadzwyczaj czystą i zdrową wodę, która ją kryształową wstęgą przez całą długość przetrzymuje.

Następnie przybywa się do *Kara-Budach-Kent*, przelicznej wsi otoczonej ogromnemi sadami, w których olbrzymie brzoskwinie i *ajca* \*) dominują. Dalej do *Bujnaki*, wioski w dzikim i cokolwiek górzystym miejscu stojącej; dzieli się ona na dwa auly, czysto tatarski i żydowski, obadwa, a szczególnież też ten ostatni nie odznaczają się wcale ani symetrią ani czystością; okolica dzika iglastemi drzewami zarosła, przykre czyni na przechodniu wrażenie. Kilka wiorst za wsią jest parów trzcina zarosły, nazywany *złodziejskim*, z tego powodu, że rabusie często się w nim ukrywają, oczekując na przejeżdżającą pocztę lub podróżnych z małym konwojem, co dla nich jest najłatwiejszą i bardzo korzystną zdobyczą.

Przebywszy *Kaja-Kent* o 35 wiorst od *Bujnaki* odległy, zarzuca się gościniec prowadzący przez *Willi-Kent* do *Derbentu* i zwraca się na lewo boczną drogą do wód mineralnych.

Tu krajobraz przybiera zupełnie inną barwę; naprzód przejeżdża się nie wielki las, obfitujący we wszelkiego rodzaju zwierzyne, a szczególnież złote i srebrne bażanty; następnie wjeżdża się na grunt zawierający w sobie niewyczerpane kopalnie torfu, obfite źródła białej i czerwonej *nafty* (oleum petri), tudzież mnogie jeziora słone, dostarczające wyborną kuchenną sól.

Samo miejsce, na którym stoją zabudowania do składu

\*) Owoce podwójnej wielkości dużej gruszki, kształtem do niej zbliżony, nadzwyczaj twarde i nie dający się jeść, aż cokolwiek przemarnięty; za to do potraw i konfitur doskonały, ma zapach ananasa.

wód mineralnych należące, otoczone jest na dwie lub trzy wiorsty najpiękniejszą łąką, pokrytą myriadami przecudnych kwiatów i przedstawiającą się oku jak pyszny perski kobierzec; od strony morza tylko, które od zakładu ledwie o pół wiorsty odległe, grunt jest piaszczysty, pokryty gdzie niegdzie kolczatemi krzewami i mnóstwem spacerujących żółwiów.

Przybycie Kazimierza szczerze uradowało Wiktora; dotąd, pomimo codziennie zwiększającego się towarzystwa, był prawie ciągle samotnym i zamysłonym; jakieś przecucie nieszczęścia dręczyło go nieustannie; a chociaż siłą woli i rozumu starał się zwalczyć niepokojące myśli, przypisując swój smutek samotności i tęsknocie, przecież dopiero gdy ujrzał przyjaciela, który mu przywiózł list od Ajchanym, cały jej własną ręką napisany, gdy się przekonał, że jest zdrową i spokojną, odzyskał dawny humor i choć na chwilę uczuł się prawie szczęśliwym.

Życie jakie prowadzili wszyscy chorzy przyjeżdżający do wód karakajtańskich było następujące: Rano od godziny 5 zaczynały się kąpiele, które stosownie do ilości pacjentów trwały mniej więcej do 10 lub 11. Od śniadania do obiadu podawanego zwykle o godzinie 3, ci którym cierpienia nie pozwalały wychodzić, zajmowali się podług upodobań czytaniem, gawędką lub bostonem, będącym w owych czasach w wielkiej modzie na Kaukazie; zdrowi szli na polowanie do przyległego lasu, o którym wspominałem lub nad morze na połów ryb i psów morskich. Należy wspomnieć, w jaki sposób odbywa się polowanie na te ostatnie.

Brzeg morza kaspijskiego, gdzie znajdują się siarczane karakajtańskie wody, jest prawie cały piaszczysty i zupełnie płaski. Foki czyli psy morskie jak wszystkie *amphibia*, przebywają częścią w wodzie częścią na lądzie; wychodząc na brzeg lubią wygrzewać się na gorącym piasku i dla tego, aby dostać się do suchego miejsca, oddalają się o kilkadziesiąt kroków od brzegu, w gromadach czasem pół tysiąca przechodzących. Wycieczki te odbywają najczęściej nad ranem, małemi partjami; wychodząc z wody oglądają się na wszystkie strony i gdy są pewne, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo; postępują naprzód aż do miejsca, gdzie znajdują piasek ciepły i bryzganiem fal niezwilżony.

Gdy zaczajeni lowcy przekonają się, że psy morskie zebrały się już w znacznej liczbie, wypadają z ukrycia uzbrojeni grubemi kijami i starają się jak najprędzej dobiec do samego brzegu; ale zaledwie się pokażą, już znak trwogi rozlega się w całej gromadzie ziemno-wodnych stworzeń, przed chwilą jeszcze tak wesoło i swobodnie tarzających się po piasku.

W mgnieniu oka porzucają zabawy i tłumnie spieszą ukryć się w wodzie; lecz na nieszczęście, myśliwi już są u brzegu i zabijają niemiłosiernie tych, co najdalej wyszedłszy z morza pospieszali za swemi towarzyszami. Biedne zwierzęta! na króciutkich łapkach, opatrzonych pletwami, mogą tylko powoli uciekać i to jeszcze na bardzo bliską metę, po zupełnie równym miejscu; a znów z powodu zbyt krótkości nóg, z trudnością zmieniają kierunek i byle jakiej zawady, jak np. kamienia, drzewa,



lub innej tém podobnej wyniosłości, przebyć nie są w stanie. Z tego powodu ciała zabitych stawiając nieprzebytą przeszkodę dla uciekających, zmuszają ich mimowolnie formować się w ściśniętą kolumnę.

Wtedy to nielitościwi myśliwcy, wiedzeni jedynie chęcią znakomitego zysku, rzucają się na bezbronną gromadę i silnemi razami palek, wymierzonymi w głowę, zabijają mnóstwo ofiar, które krzyczą jakimś rozdzierającym głosem. — Bywają jednak wypadki, że foki przywiedzione do ostateczności, rzucają się ze wściekłością na swych zabójców i kłapiąc ich zajadle, giną w tej nierównej walce.

Skóry psów morskich służą na torby myśliwskie, lub podróżne, oficerskie tornistry, czapki i t. p., tłuszcz zaś, który stanowi  $\frac{3}{4}$  całkowitej ich objętości, jest bardzo użyteczny i dla tego stanowi ważny artykuł handlu, zwłaszcza też w miastach portowych.

Oprócz polowania na psy morskie, odbywają się jeszcze wycieczki na bażanty, dzikie kaczki, *gagary* \*) labędzie i pelikany, których tu wielkie znajduje się mnóstwo, jak również zajęcy i sarn, które acz w mniejszej liczbie, przebywają w bliskości wód; zaś jelenie, dziki, niedźwiedzie, hyeny, pantery, a nawet tygrysy, zamieszkują miejsca bardziej odległe, szczególnież też trzciny, które dochodząc tu do wysokości drzew średniej wielkości, rosną w ogromnych kępach na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst kwadratowych.

Nieraz zdarzało mi się polować w tych trzciniowych

\*) Kaczki czerwone, znacznie większe od zwyczajnych.

lasach i często bywałem zdumiony ogromną ilością jeleni i dzików gromadnie przebiegających; to ostatnie, swojem charkaniem robią wielki hałas, a ciężkim biegiem tak silny tentent, że zdaje się jakoby ziemia trzęsła się do koła. — Niezliczone ścieżki i drożyny, wydeptane w różnych kierunkach przez dzikich mieszkańców tych olbrzymich kęp, formują gęstą, nieregularną siatkę, istny labirynt dla myśliwca. Z tego to powodu niebezpiecznie jest zapuszczać się w głąb lasu bez bussoli, lub kilku przewodników dokładnie z miejscowością obeznanych.

Rybolówstwo nie przedstawia tu ani niebezpieczeństwa ani też wielkiej rozmaitości, tém bardziej, że mało kto jako amator oddaje się tej zabawie; po wybrzeżu, w niewielkiej od siebie odległości, są umyślnie urządzone zakłady, trudniące się połowem ryb i wyrabianiem kleju i kawiaru. Zakład taki nazywa się po rosyjsku *rybnoj promysł*, a po tatarsku *icataga*. Składa się zwykle z dwóch niewielkich drewnianych budynków: jednego, w którym umieszczone są druciane rafki, przycięry, niecki i barylki, służące do przecierania, płukania, solenia i pakowania kawiaru, oraz drabinki i lassy do suszenia karuku, — i ten ma kształt zwyczajnej izby lub szopy; i drugiego, zbudowanego zwykle na samym brzegu morza lub rzeki, na czterech wysokich palach i to w taki sposób, że jedna jego połowa stać musi na twardym gruncie, druga zaś wznosi się po nad wodą.

Maj, Czerwiec i Lipiec, są miesiącami najkorzystniejszymi do polowa jesiotrów, oraz *siewrugi* i *białugi*, ryb, które oprócz ogromnej ilości mięsa, dają nadto klęj i wyborny kawiary.

Na linkach średniej grubości, przytwierdzonych do palów, bitych w miejscach najdogodniejszych do połowu, przywiązują rybacy na mocnych sznurkach mnóstwo wędek czyli haczyków podwójnych i potrójnych, niezaniebując przytém przyczepić jakiejś zachęty, np. kawałka opieczonego mięsa, słoniny lub czegoś podobnego; ryba zwiwszy zdobycz chwytą ją i zaczepia się na haczyk, czując ból rzaca się, a wtedy dziesięć haczyków zatapia się w jej ciele. Wówczas to zaczyna się ona szamotać i coraz bardziej wikłać w zastawione wiezy, a czuwający zdaleka rybak, ujrzawszy niezwykły ruch około wędek, czyli jak je nazywają *snaści*, daje znać towarzyszom, którzy natychmiast wsiadają do przygotowanej już łodzi, podpływają do samych *snaści*, krepują powrozami drzącą ze strachu ofiarę i przywiązawszy do tyłu łodzi, uwalniają od tkwiących w niej haczyków. Przybiwszy do brzegu, wpływają aż do środka stojącego na wodzie budynku i tam dopiero zajmują się platanem ryby; jeżeli zaś ona jest tak wielką, że nie mogą jej własnymi siłami podnieść, windują zdobycz za pomocą bloka; lub nawet w wodzie ogromnemi toporami na kawały ją przecinają. — Widziałem sam *białogę* ważącą 40 pudów czyli 1,600 funtów, a mówiono mi, że znajdują się daleko większe. — Z kości tej ryby wyrabiają Tatarzy kolby do karabinów i pistoletów, oraz rękojeści do szaszek.

Wiktor, który już nie pierwszy raz był u wód Karakajtańskich, zaznajomił Kazimiérza ze sposobem życia, przyjętym ogólnie przez leczących się w zakładzie, jakoteż

z miejscowością i rozrywkami, o jakich wspomnieliśmy wyżej. Czas płynął im dość jednostajnie i czekali niecierpliwie chwili, w której po ukończonej kuracji pacjenci rozjeżdżać się zaczęą, dla nich bowiem ta chwila byłaby hasłem powrotu do Temir-Chan-Szury.

## X.

Na początku Lipca chorzy, zakończywszy kurację w gorących wannach, zaczęli kąpać się w morzu, rzecz naturalna, że wraz z polepszeniem zdrowia odzyskiwali dobry humor, a nie zachowując już ściślej diety, prowadzili życie mniej wstrzemięźliwe i bez porównania weselsze.

Improwizowano tańce na obszernym trawniku, rozciągającym się pomiędzy wannami a szpitalem, grano w gry towarzyskie, słowem bawiono się jak można najlepiej. Nasi znajomi poszli za przykładem ogółu. Wiktor odzyskał dawną wesołość, témbardziej, że był spokojnym o zdrowie i los Ajchanym, od której już drugi list odebrał przez *Derbenckę* pocztę. W liście tym młoda Tatarka donosiła mu, że jest zdrową i prawie szczęśliwą. Jedną tylko okoliczność zdawała niepokoić naszego bohatera; w ostatnim swoim liście Ajchanym uwiadamiła go, że wkrótce po wyjeździe Kazimierza z Temir-Chan-Szury, spotkała przypadkiem Katarzynę Pietrównę: „Pani ta, pisała dalej, którą znałam tylko z widzenia i z reputacji jako kobietę złą i obłudną, okazała się dla mnie nadzwyczaj łaskawą, uprzejmą, a nawet bardzo życzliwą; mówiła mi

wiele o panu Wiktorze, jako o człowieku godnym i szlachetnym, dodając, że powinnam go czcić i kochać, jako mego przyjaciela i dobroczyńcę; a chociaż ta jej uwaga była dla mnie zbyteczną, przecież wdzięczną jej byłam za nią i wyrzucalam sobie to uczucie wstępu, jakiego doznałam przy pierwszym spotkaniu tej kobiety. Wasza religija, która w krótkce będzie i moją, uczy nas kochać, nawet nieprzyjaciół, dotąd nie wzniosłam się jeszcze tak wysoko, — nie mogę pokonać tej dzikiej a wrodzonej mi natury, która mnie zmusza kochać tylko dobrych, a nienawidzić złych i mścić się za doznane krzywdy. Może to pana rozniewać, że jeszcze dotąd jestem tak złą chrześcijanką, ale cóż robić? ja panu piszę szczerze, to co myślę i czuję, klamać nie umiem, a pan sam brzydzisz się klamstwem. Pracuję nad sobą, aby się poprawić ze wszystkiego, co kościół Chrystusa potępia, to też niewierzysz pan, jak usilnie starałam się pokonać nieprzyjazne dla Katarzyny P. uczucie, a dowodząc tego, widzę, że niemile wrażenie przy pierwszym z nią spotkaniu się nie było skutkiem przecucia, jak poprzednio sądziłam, lecz prostem uprzedzeniem tylko. Dzięki Bogu to uprzedzenie już zniknęło! Byłam u niej cztery razy, raz nawet zostałam na obiedzie, po którym Katarzyna Pietrówna zaprosiła mnie do swego powozu. Wyobraź pan sobie moją radość! — pierwszy raz w życiu jeździłam na spacer w powozie! Jaka ona dobra ta pani! a jak mile o panu wspomina! Doprawdy czuję, że wkrótce pokocham ją serdecznie!”

— Jak sądzisz Kazia o tej znajomości z Katarzyną Pietrówną? bo mnie ona bardzo niepokoi.

— Dla czego?

— Jakto? .... kobieta, która z takim przekąsem odzywała się zawsze o Ajchanym, teraz okazuje dla niej jakąś niepojętą życzliwość, ona co z lekceważeniem traktuje równe sobie damy, teraz zaprasza biedną Tatarkę na obiady i wozi ją własnym powozem, — wreszcie też przypomnij sobie, że z powodu rozmowy o Ajchanym na owym balu, pani Katarzyna została przez ciebie śmiertelnie obrażoną i wszakże w tej chwili nawet doświadczamy obudwa skutków jej zemsty. I onaż to dzisiaj miałaby szczerze być życzliwą? Wierżaj mi, to podejrzane, i mocno mię niepokoi obecne zbliżenie dwóch istot, tak do siebie niepodobnych, a to tēm więcej, że prostoduszna Ajchanym, może nierozważnie zaufać oświadczeniom przyjaźni tej przewrotnej kobiety.

— Prawda, że zła i przewrotna jak djabeł! ależ zdąrza się, że i przestępców dręczą wyrzuty sumienia; w każde serce może wstąpić chwila skruchy i żalu; a że na każdej drodze, szczególnie też na dobrej, pierwszy krok jest najtrudniejszy, więc jeżeli pani Katarzyna wstąpiła już na tę drogę, to któż wie, jak daleko zajdzie?

— Nie sądzę, ażebyś mówił na serjo, a bardziej jeszcze abyś mógł uwierzyć w tak nagłą zmianę charakteru pełnego złości i zdrady; mówisz tak zapewne dla uspokojenia mnie i zniszczenia obawy, która mię ogarnia, — dziękuje ci mój bracie, a zresztą trzeba się zdać na Opatrzność i czas, — przyszłość pokaże jak dalece myliłem się w moich przeczuciach.

Szafraniec rozerwał rozmowę dwóch przyjaciół, niosąc

list świeżo nadesłany z Derbentu; list ten adresowany był do Wiktora, lecz jakimś pismem niewyraźnem i zupełnie mu obcym, młody żołnierz z gorączkową niecierpliwością oderwał pieczętkę, lecz zaledwie przeczytał kilka wyrazów zbladł jak ściana, list z drżącój ręki wypadł na podłogę.

— Na Boga! — zawołał strwożony Kazimierz, jakąż to okropną odebralesz wiadomość? powiedz mi wszystko, abym z tobą smutek podzielił?

— Weź i czytaj — rzekł Wiktor, wskazując lęzący list; a Kazimierz pochwyciwszy go z podłogi, czytał co następuje:

*Tamir-Chan-Sura dnia 4 Lipca 1838 r.*

*Laskawcy panie Wiktorze!*

Mam honor donieść panu, że w domu moim zdarzyło się wielkie nieszczęście; wychowanica pańska, wczoraj o czwartej z południa wyszła do Katarzyny Pietrówny i dotąd niepowróciła jeszcze; pełen niespokojnością poszedłem tam dowiedzieć się o nią, ale mi powiedzieli słudzy, że nie wiedzą, a do samej pani nie chcieli nie dopuścić. Moja żona zalewa się łzami, a i ja płacze jak baba; zmiłuj się pan, nie gniewaj się na nas, bo my temu nie winni, a jeśli biedna sierota znajdzie się i znowu zamieszka u nas, to będę przez cały rok środy i piątki suszył na podziękowanie Panu Bogu, bo i myśmy ją jak córkę ukochali. U nas tu zpowodu nagłego zniknięcia

Ajchanym, powstał wielki rejdach. Sam pan generał posłał na różne strony, aby się o niej dowiedzieć, ale dotąd i śladu nie ma. O czem donosząc panu zostaje sługą

*Soczynski żołnierz.*

*P. S.* W ten moment dowiedzieliśmy się, że pannę Ajchanym uprowadzili Tatarzy drogą ku Derbentowi; może pan potrafi dowiedzieć się czegoś więcej po takim objaśnieniu. Poczta spotkała ich w nocy koło *Bujnaków*.

Dwaj przyjaciele przez długą chwilę pozostali w osłupieniu, aż gdy Kazimierz ujrzał grubą łzę, spływając po ogorzałym licu Wiktora, chwycił go za rękę i ściskając ją silnie rzekł z uczuciem:

— Uspokój się mój bracie! pamiętaj, że jesteś mężczyzną i żołnierzem — tu nie rozpaczaj, lecz działaj — potrzeba, ja poświęcam się na twoje usługi i uczynimy wszystko cokolwiek potrzeba będzie do wyszukania naszej biednej Ajchanym, a bądź pewny, że silna wola dwóch odważnych i energicznych ludzi wiele dokaże.

— Ale cóż zrobimy! — jakiż twój zamiar? — bo ja zupełnie straciłem głowę.

— Sam jeszcze nie wiem, — namyślę się; w każdym razie trzeba nam działać; boć zapewne niespodziewasz się, żeby ci odprowadzono tu twoją pupilę; — otóż ruszaj sobie gdzie chcesz — staraj się rozerwać, a mnie zostaw parę godzin do rozwagi. Jeżeli mi przyjdzie jaka szczęśliwa myśl, powiem ci ją gdy wrócisz, będziemy się nad nią wspólnie zastanawiać, wykazywać jej złą i dobrą stronę, a tym sposobem wskrzesimy w sobie energję, tak nana

potrzebną w tej chwili. Mam nadzieję, że usiłowania nasze dobry skutek wezmą. W każdym razie powtarzam ci raz jeszcze, zostaw mnie tu, a sam ruszaj na Boży świat. Widzisz mój bracie, piersi uciśniętej boleścią, trzeba koniecznie powietrza i widoku nieba, ruszaj więc sobie.

Wiktor podniesiony energicznemi słowy przyjaciela, które nań magnetycznie oddziaływały, wyszedł na brzeg morza pełen jakiejś niewytłumaczonej nadziei.

## XI.

Na drugi dzień ku wieczorowi, dwaj przyjaciele wyszli na polowanie; — nie tyle im szło o zdobycz ile o sposobność rozerwania smutnych myśli. Wiadomość o zniknięciu Ajchanym, mimo pełnych ufności rozumowań Kazimiérza, jeszcze ich przytłaczała ciężarem boleści i zwątpienia... Szli więc obadwaj z głowami pochylonemi, podobniejsi do zakochanych niż do myśliwych szukających zdobyczy. Już przeszli kwieciste łąki, źródła skalnego oleju i słone jeziora, już zbliżali się do pięknego lasu ciągnącego się ku *Kaja-Kent*, gdy ujrzeli gromadkę konnych, wynurzającą się z gęstwiny. Przodem szedł wysoki Tatar, a lubo zdawał się stąpać bez żadnego pośpiechu i wysilenia, przecież konni lekkim klusem zdążyć za nim musieli. W kilka minut dwaj przyjaciele mogli już rozpoznać jadących; był to znajomy im władca wioski *Erpeli*, kilkanaście wiorst od *Temir-Chan-Szury* odległej, nazwiskiem *Ułubej-Bek*, mężczyzna lat trzydziestu-kilku, kolosalnego wzrostu i bardzo pięknej urody, który przed kilkunastu dniami będąc w gościnie u Szamchala Tarnowskiego, w skutek kłótni wynikłej przy obiedzie zabił jego mlecz-

nego brata, i natychmiast po dokonaniem zabójstwa, uciekł do domu.

Stosunek jaki istnieje między dziećmi różnych rodziców, karmionych przez tę samą mamkę, uważa się u nas prawie za nie-nieznaczący, — u Tatarów zaś jest bliższym od tego, który łączy rodzonych braci. Szamchal przeto postanowił krwawo pomścić śmierć mlecznego brata, — jakoż zebrawszy kilka tysięcy swojej milicji, wyruszył do *Erpeli*, obległ basztę *Ułubej-Beka*, w której ten się zamknął i obwarował. Oblegający mściciel kazał nosić faszynę i okładać ją do koła suchem drzewem, następnie zaś zapalić to wszystko, aby nieprzyjaciela upiec za żywa wraz z jego stronnikami.

Już rozpoczęte dzieło zemsty zbliżało się do końca, gdy dano znać o tém jenerałowi von Klugonau. Nie tracąc ani chwili, wyruszył on na czele trzechset kozaków i dwóch armat, rozkazawszy pospieszać za sobą dwóm bataljonom *Apszerońskiego* pułku; jakoż gdy przybył do wsi, dym z drzewa ułożonego do koła baszty, zaczął się już kłębamii wznosić do góry, — i potrzeba było wielkiej działalności wojska i mieszkańców, tudzież niepospolitej energii i doświadczonej odwagi jenerała, aby oblegających rozpedzić i ugasić szerczący się płomień.

Oswobodzeni od okropnej śmierci obleżeńcy, ze łzami dziękowali swemu wybawcy, błagając aby ich nie opuszczal i od zemsty Szamchala ochronił; sam tylko *Ułubej-Bek* zdawał się obojętnym i nie okazał najmniejszego wzruszenia zdradzającego obawę o życie lub szczególną radość z niespodziewanego ratunku; z zimną powagą cho-

ciaż serdecznie uściskał on rękę swego wybawcy i przyrzekł być mu wdzięcznym na zawsze.

Kiedy wszystko wróciło do porządku, generał stanął obozem, Ulubeja z jego przyjaciółmi umieścił w osobnym namiocie, przy którym silną wartę postawiwszy, rozkazał poprosić do siebie Szamchała, obozującego po drugiej stronie aulu. Szamchał długo się wzdrygał i ociągał, aż nareszcie zniewolony perswazją i namowami kapitana Ewdokimowa, będącego na ówczas przy generale adjutantem, przyszedł ponury i zagniewany. Na wszelkie przedstawienia, że jako rosyjski poddany i mający stopień generała, powinien stosować się do istniejącego prawa, które samowolność i nadużycie surowo karze, odpowiadał: —

— Ja waszych praw nie znam, przeciwko wojskom walczyć nie będę i dla tego na teraz odstepuję od oblężenia; ale nie dziś to jutro lub kiedykolwiek zamordować każe zabójcę mojego młecznego brata.

Generał von Klugenu, widząc że wszelkie uwagi byłyby daremne, w tej chwili przestał nalegać. Ulubeja zabrał z sobą do Temir-Chan-Szury, gdzie pozornie osadziwszy go pod dobrą strażą w więzieniu, puścił pogłoskę jakoby tenże będąc również oficerem i poddanym rosyjskim, miał być sądzony podług prawa karnego za popełnione zabójstwo. — Po spisaniu protokołu i przesłuchaniu świadków, odesłał więźnia do Derbentu, gdzie w warownej fortecy mógł być zupełnie bezpiecznym, dopókiby Szamchał nie przyrzekł mu przebaczenia, o co starano się bardzo, ponieważ Ulubej-Bek był jednym z najwierniejszych

w okolicy władzców, a jako możny i nadzwyczaj waleczny, uważanym był za przedmurze i postrach dla niepokornych władzy, górali.

Oddział piechoty i kilkadziesiąt koni kozaków dotychczas, składających straż bezpieczeństwa, odpoczywali w lesie, Ulubej zaś z kilkunastu swoich nakierów nie obawiając się już w tym miejscu żadnej ze strony Szamchała zasadki, jechał do zakładu wód mineralnych, gdzie kilka dni przebyć zamierzał.

Kazimierz i Wiktor przywitawszy się z Ulubejem, zaniechali dalszej przechadzki, a powracając z nim razem do zakładu, rozpytywali o znajomych i nowiny; Kazimierz upatrzawszy chwilę kiedy przyjaciel jego zawiązał żywą z Ulubejem rozmowę, opowiadając mu o porwaniu Ajchany, usunął się na stronę i znakiem przywołał idącego pieszo Tatara. — Rozmowa ich trwała dosyć długo, a kiedy później młodzieniec powrócił do swego towarzysza, twarz jego dotąd smutna, wyrażała zadowolenie i spokój.

Teraz wypada nam zaznajomić czytelnika z owym pieszym Tatem.

Byłto wówczas mężczyzna lat 28miu, ogromnego wzrostu, ubiór jego składał się z płócienną niebieskiej koszuli, takichże szerokich niedostających do kostek szarawarów, baranięj wysokości lecz nieszpiczastej czapki, z ciżem z surowej skóry przytwierdzonych do nogi rzemykami i zawieszoną na plecach *czuchy* z sukna domowego wyrobu, podobnego cokolwiek do naszego *kazimierku*. Przez plecy miał przewieszoną długą gwintówkę i ladownicę, u boku kindżał, a pistolet za pasem. Chód Ta-

tara był niezgrabny, ale nadzwyczaj spory, zdawał się on zawsze na jedną nogę podrygiwać, a chociaż widocznie szedł bez żadnego wysilenia, jednakże wydążyć z nim pieszo było niepodobieństwem; dla tego też zwano go Szybko-biegiem, a władze rossyjskie często go używały do posylek wymagających wielkiego pospiechu.

Urodzony w *Irganaj*, wiosce o 6 wiorst od *Ziranów* odległej, bywał w tym forcie po kilka razy dziennie i pełnił rozmaite usługi. Tam to poznał go *Kazimiérz* i dość polubił nawet za jego niezmienną wesołość. *Eldar* (takie było nazwisko Tatara) przychodził każdego ranka pod okna sali i budził *Kazimierza pobudkę*, doskonale naśladując żołnierską trąbkę; następnie wchodził do pokoju, czyścił mu suknie i spełniał wszystkie rozkazy, a to wszystko za jedną szklankę wódki, którą nad wszystko przekładał. W *Ziranach* często zabrakło wiktualów, musiano więc starać się o żywność w najbliższych wioskach, to jest: *Irganaj* i *Arakan* o 6 wiorst, w dwóch przeciwnych punktach od fortu odległych. Otóż zdarzało się niaraz, że w ciągu jednego dnia *Eldar* trzykrotnie chodził do obudwu tych wiosek, co robiło odległość 72ch wiorst, a mimo takiego biegu nie czuł się utrudzonym. Często panowie oficerowie *Żdanow* i *Leontiew*, podpisawszy sobie wysmienicie, zabawiali się po swojemu i dla dogodzenia jakiejś niepojętej fantazji, posylali biedaka o miłe po trochę soli, wcale im niepotrzebnej, lub po parę główek czosnku i cebuli, które ze smakiem zjadali. *Eldar* byleby mu obiecać szklankę wódki, w nagrodę za trudy, biegł z ochotą i najdalej za godzinę powracał dopominać

się przyrzeczonej zapłaty, którą z rozkoszą małemi bykami wypiwszy, gotów był do nowej podróży.

W 1837 roku, jenerał *Fezè*, będąc z powrotem z wyprawy przez *Zirany*, gdzie właśnie jako w punkcie pod względem strategicznym bardzo dogodnym, zamierzał wystawić fortecę, potrzebował znieść się z komendantem twierdzy *Burnaja*, przy miasteczku *Tarku*, nad samém morzem Kaspijskiém będącej; ponieważ zaś miejsce to, jest o 96 wiorst od *Ziranów* odległe i wiedzie doń droga nadzwyczaj górzysta, najeżona skalami, a przytém niebezpieczna; potrzebaby więc było dla jednego listu wysłać najmniej bataljon piechoty z artylleryją i kozakami, a na odpowiedź przy największym pośpiechu, czekać przynajmniej dziesięć dni, których strata w ówczesnych okolicznościach bardzo wiele stanowiła; kłopotał się więc jenerał, jakby najlepiej w tym razie postąpić, gdy *Kadi\** *Arakański*, będąc jeszcze wiernym *Rossji*, dowiedziawszy się o tém, nastęrczył *Eldara*. Zapytany czy się podejmie odnieść list do komendanta *Burnoj* i przynieść jego odpowiedź, i w jakim to przeciągu czasu uskuteczni, — oświadczył, że podejmie się chętnie i odpowiedź w przeciągu jednej doby doręczy. Jenerał *Fezè* nie chciał z początku wierzyć, ale gdy go *Kadi Arakański* zapewnił, że to jest bardzo prawdopodobnem, ucieszył się bardzo i *Eldarowi* sowitą przyrzekł nagrodę. Zaledwie upłynęło 22 godzin, odpowiedź podpółkownika *Sachnowskiego*, komendanta *Burnej*, była w ręku jenerala, a uszczęśli-

\*) Naczelnik — Sędzia.



wiony Eldar wypił butelkę wódki i zaiskrzonym od radości wzrokiem, spoglądał na leżące przed nim pięćdziesiąt nowointeńskich rubli — powtarzając:

— Walla, Walla, *general emer tlik bugu!*\*)

Od tej chwili Eldar został przyjacielem Rossjan i ciągle przebywał z nimi, bądź to towarzysząc im w wyprawach, bądź też pełniąc w fortach i obozach obowiązki kurjera. Po rosyjsku wprawdzie jeszcze nie mówił, ale już rozumiał wszystko, co do niego mówiono.

Kazimierz opowiedział mu tedy o znamię Wiktor z powodu zniknięcia Ajchanym, — dodał, że ją widziano w towarzystwie kilkunastu zbrojnych, około *Bujnaki*; wspominał także, że podejrzewają Aslan Beka w tej sprawie, bo ojciec porwanej nie wiele troszczył się o nią, a nawet znał ją bardzo mało, bowiem w kilka lat po ożenieniu z powodu wynikłych nieporozumień rodzinnych, odesłał żonę do jej krewnych i odtąd z nią już nie żył; a byłby ją zabił z pewnością, gdyby się nie obawiał Sultana Elissujskiego, którego była powinowatą. Sądzić więc należało, że Ajchanym znajduje się albo w rękach Aslan-Beka, lub też u krewnych, gdzie mieszkała z matką przed bitwą Cudacharską.

Wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, Eldar przyrzekł na drugi dzień wyprawić się w podróż, celem pozyskania pewnych wiadomości, gdzie się obecnie znajduje Ajchanym, prosił tylko o trochę pieniędzy na drogę i o tydzień cierpliwości.

\*) Po tatarsku znaczy: „A mój Bóg! jaki to dobry generał!”

Kazimierz znając dobrze roztropność Tatarów i sumienność w wykonywaniu dawanych mu zleceń, ucieszył się bardzo z jego przyrzeczenia, a widząc jak chętnie zabierał się do dzieła, był już prawie pewnym, że wkrótce odkryją miejsce obecnego pobytu Ajchanym.

Powróciwszy do domu, zawiadomił o wszystkim Wiktora, a tegoż dnia jeszcze, dwaj przyjaciele wezwawszy do siebie szybko-biega, dali mu potrzebne na drogę pieniądze i parę flaszek wódki, aby tak uzbrojony wyruszył w drogę.

## XII.

Miasto Derbent, odległe o 40 wiorst od wód mineralnych Karakajtakskich, leży na pochyłości wzgórza, ciągnącej się aż do wybrzeży morza; zabudowane w kształcie amfiteatru, którego najwyższym punktem jest mała warownia, mieszcząca w sobie niewielki garnizon, kilkanaście ciężkich dział i moździerzy, skład prochu, mieszkanie komendanta i kancelarję.

Widok z fortecy na miasto i morze, jest prawdziwie czarujący; płaskie dachy kryte smolowcem, ciągną się regularnemi kondygnacjami z góry na dół, a połączone schodkami, służą oraz za miejsce do przechadzki dla mieszkańców i w każdej chwili dnia przedstawiają zdziwionemu oku Europejczyka niby cudowną mozajkę ruchomą. Całe miasto opasane jest olbrzymim murem, sięgającym na kilkadziesiąt sążni w morze. Tradycja powiada, że ten mur jest dziełem Aleksandra Wielkiego. Długość jego wynosi przeszło dwa tysiące, wysokość ośm, a szerokość trzy sążnie. Ludność przechodzi cyfrę 25,000, składa się prawie wyłącznie z Tatarów i Persów, trudniących się handlem. Miasto jest bardzo bogate, chociaż jak wszy-

stkie azjatyckie, brudne i nieporządnie zabudowane. Uliczki kręte i tak ciasne, szczególnie w górze ku fortecy, że gdy osiel, których tam wielkie jest mnóstwo, stanie na poprzek ulicy, ominąć go niepodobna. Ku środkowi dopięro są okazałsze domy, wspaniałe meczety i obszerny *Karawan-Seraj*. Ten ostatni przedstawia coś nakształt naszego Gościnnego Dworu w Warszawie, tylko rozmiary jego są nierównie większe. Tam to w małych i ciemnych sklepikach siedzą kupcy, z podłożonemi pod siebie nogami, na odkładanych okiennicach, służących im jednocześnie i za krzesło i za stół do rozkładania towarów; i w najgłębszem milczeniu palą fajki lub *kaljan*. Ubiór ich składa zwykle: jedwabna karmazynowa lub innego jaskrawego koloru koszula, także szarawary i w deseń wyrabiane skarpetki, — pantofle bowiem leżą obok nich i wdzielają się tylko przy wyjściu na ulicę; bezszmet także jedwabny lub tyftykowy, kontusz z cienkiego sukna, pas kaszmirowy i wysoka śpiczasta czapka z czarnego polyskującego się bucharskiego baranka, kompletują ten strój malowniczy. Brody noszą czarne i pasowe, a paznogie pięknego wiśniowego koloru. Żaden z nich nie zaczepi przechodnia ani słowem ani gestem, a gdy ktoś zażąda, aby mu pokazano towar, kramarz czyni to z taką powagą i tak leniwo, jak gdyby kupującemu największą łaskę wyrządził; zdarza się czasem, że któryś z tych karawan-serajowych kramarzy zaprasza do siebie kupujących, ale to już pewnie nie Tatar lecz Ormianin lub może i Gruzin nawet.

W Karawan-Seraju dostaniesz wszystkiego czego zapragniesz, a czego miejscowe środki dostarczyć mogą; są

tam wszelkiego rodzaju sorbety, są winiarnie, są i restauracje, a wszystko to przedstawia się na okiennicy. Za zbliżeniem się do jednego z takich zakładów, słyszeć się daje loskot w takt wybijany. Tajemnicze to tempo tłumaczy dopiero siedzącego na ziemi Tataru, który z zakłamanymi rękami sieka od razu dwoma kindżałami baraninę, z której na poczekaniu przyrządza stósownie do żądania *szaszłyk* lub *kiebab*.

Szaszłyk robi się w następujący sposób: Małe plasterki baraniny, posolone z obu stron, wkładają się na rożen i macerują warstwami cebuli; gdy się ten rodzaj kotletów upiecze na węglach w ciągu kwadransu, można je podać na stół. — *Kiebab* jest już więcej skomplikowany: naprzód trzeba baraninę posiekać bardzo drobno i w miarę posolić, następnie porobić z niej galki nakształt naszych pulpetów i wrzucać takowe do patelni, w której wre tłuszcz z baraniego *kurdiuka*; gdy się te pulpety usmażą, wkłada się one na talerz, a ztąd posypane jakimś trocinami z kwaśnego drzewa, koloru czerwonego, przechodzą do ust biesiadników, którzy je biorą palcami, a to z przyczyny, że żaden z Tatarów nie ma dotąd obrażenia o użyciu i potrzebie widelców.

Tuż za miastem na około zaczynają się sady rozciągające się daleko, za niemi idą plantacje szafranu, krokoszu, bawełny, marzanny, ryżu i t. p. — Dolna część miasta dotykająca morza, którąby raczej przedmieściem nazwać można, jest zabudowana na sposób europejski; — tam są koszary linjowego bataljonu, mieszkania oficerów, żonatych żołnierzy i cywilnych

rosyjskich urzędników. Przedmieście to nazywa się *Dubary*.

Otóż w tych *Dubarach* w maleńkiej stancyjce siedzieli przy herbacie Wiktor z Kazimierzem, a przed nimi ze szklanką wódki w rękę stał znajomy nam *Eldar*. — Siedm dni dopiero upłynęło od czasu, kiedyśmy go widzieli wychodzącego na odszukanie Ajchanym, a już dwa dni jak wrócił i dobre przyniósł nowiny. — Na łóżku i stołkach leżały tatarskie beszmetry, czuchy, popachy\*), czewiuki\*\*), gwintówki, kindżały, pistolety, szaszki i patrontasze.

Młodzi przyjaciele widocznie zamyslili o jakiejś wyprawie, jakoż następująca rozmowa zdawała się przekonywać o tém dowodnie.

— Powiadasz tedy mój przyjacielu, że widziałeś na własne oczy Ajchanym? — zapytał Wiktor.

— A — a! wyrzekł potwierdzająco Tatar.

— I mówileś z nią?

— *Jok* — odpowiedział *Eldar*, czyniąc poruszenie ręką, jakie my zwykle czynimy głową, gdy chcemy wyrazić przeczenie lub powątpiewanie.

— I dla czegoż?

— Bo jest pilnie strzeżona i nikomu obcemu zbliżać się do niej nie wolno; ale do *sakli*, gdzie ją trzymają, trafię o północy, a stara *Bike* karteczkę niezawodnie doręczy.

\*) Popachy, (Czapki.)

\*\*) Czewiaki — rodzaj papuci z cienkiej skóry.

— Ale czy nas stara nie zdradzi?

— Stara Bike? uchowaj Boże!... ona przecież nasza, jej syn mieszka w Irganaju, i wiercie mi panowie, że radaby ptakiem polecieć w swoje strony, ale samej kobiecie trudno to uczynić, bo i drogi nie wie, i wielkie jest niebezpieczeństwo w lasach, a przytém gdyby ją złapali, spotkałby niebogę taki los, jak każdego zbiega. — Zresztą ona już utraciła połowę zmysłów i nie dziw, czternaście już lat znajduje się w tej niewoli.

— A więc niech nam Bóg dopomoże... mamy już wszystko co do przebrania potrzeba; wieczorem przed zamknięciem bram wyjdziemy, a co los zdarzy, to będzie.

W godzinę po zachodzie słońca, trzech młodych Tatarów po bojowemu uzbrojonych, wyszło z Derbentu bramą do *Kuby* prowadzącą. — Szli w milczeniu oglądając się niekiedy po za siebie, aż dopiero gdy mineli sady i bliższe plantacje, odezwał się jeden z nich pół głosem:

— Słuchaj Eldar, czy sądzisz, że przede dniem stanieny pod Hazrami?

— Nie — wcale nie sędzę... Raz dla tego, że to za daleko na wasze nogi, powtóre że noc będzie ciemna a droga zła, nakoniec, niewiemy jeszcze jak się nam powiedzie z przeprawą przez *Jelomę* i *Samurę*.

— Prawda, te przekłete przeprawy mogą bardzo opóźnić naszą podróż, bo gdyby nie to ....

— Co nagle, to po djable, mówi nasze przysłowie — odezwał się po polsku trzeci towarzysz podróży; — jesteś

egoistą mój Wiktorze, myślisz tylko, aby co prędzej zobaczyć i oswobodzić twoją Ajchanym, a zapominasz o trudach, jakie mamy przed sobą i niebezpieczeństwach, na jakie się narażamy; nie mówię tego bynajmniej z obawy jednych albo drugich, chętnie idę na tę wyprawę godną prawdziwie rycerza średnich wieków, dla ciebie i dla niej, bo jestem waszym przyjacielem, ale co prawda nie życze sobie wcale, przez niewczesny pośpiech, podstawić głowę pod kindzał.

— Przepraszam cię mój drogi, ale widzisz ....

— Dajże mi skończyć, nie bądź gorączką. — Przypuścimy, że idąc krokiem Eldara przez całą noc, niespotykając żadnych przeszkód na drodze, stanieny rano pod Hazrami, — i cóż na tem zyskamy? — oto, że gdyby nas odkryto, co być bardzo może, jeżeli cały dzień przepędzimy w bliskości wioski dość ludnej, biedna Ajchanym mogłaby nas oczekiwać na próżno aż do dnia sądnego.

— Masz słusność mój drogi Kazimierzu — a więc radź, ulóż plan kampanji, a my z Eldarem wykonamy go posłusznie.

— A więc słuchajcie, — odezwał się Kazimierz po rosyjsku, aby być i od Eldara zrozumianym; starajmy się przed świtem przeprowadzić przez rzeki, i zagłębić w las przyległy, — tam odpocząwszy, znajdziemy jakie bezpieczne miejsce dla mnie i dla ciebie Wiktorze, Eldara zaś poszlemy prosto do *Hazróu*; on jako Tatar, mający język i miejscowość, może podróżować wśród dnia; nie ściągając na siebie żadnego podejrzenia, a jako krewny starszej Bike, może nawet wejść do domu *Astau-Beka*, i do

ręczyć twój bilecik Ajehanym. Jeżeli kobiety wynajdą sposobność wymknąć się dziś wieczorem, przyprowadzi je do nas, — w przeciwnym razie, zatrzyma się dopóki nie nastąpić się stósowna pora do ucieczki. — Cóż ty na to, Eldarze?

— *Jakszi bojar, czoeh jakszi scallach* (dobrze panie, doskonale).

— A teraz milezenie i buczność!

I znówu podróżni nasi postępowali w cichości, przerywanej szczekaniem psów pasterskich, stróżujących *kutany* \*) lub płacziwem wyciem szakali.

Już minęli aul *Ogłobli* i zbliżali się do Samury, gdy usłyszeli przeraźliwy skrzyp *arb* tatarskich, coraz bardziej zbliżających się. W położeniu, w jakim się znajdowali, szło im bardzo o to, aby nie zdradzić swojego *incognito*, co nastąpiłoby niechybnie przy spotkaniu z Tatarami, albowiem ci swoim zwyczajem nie przepuściliby ich, nie wdawszy się z nimi w pogadankę, a nasi przyjaciele zaledwie kilka słów po tatarsku umieli; dla tego też wszyscy trzej rzucili się w bok i ukryli w głębokich zaróślach o kilkadziesiąt kroków przy drodze.

Ciekawym będzie może dla czytelników kształt tak zwanej *arby* tatarskiej.

*Arba*, jest to wóz na dwóch kołach, większych lub mniejszych, stósownie do okolicy i zwyczaju; — i tak u Kumyków, Czeczeńców, Czerkiesów i Taulinców, arby

\*) Miejsca ogrodzone, gdzie zamykają na noc pasące się trzody. —

budują się na kołach mających około dwóch arszynów średnicy, a ze trzydzieści szprych umieszczonych jednemi końcami w bardzo grubej i niekształtnej piaście, drugimi zaś w niekutyh dzwonach. Piasta pomimo swój nadzwyczajnej grubości, ma tylko ciasne wydrążenie, w które wkłada się oś, najczęściej czworokańciasta, koła bowiem u Tatarów nie obracają się na osi tak jak u nas, ale razem z osią kręcą się pod środkiem wozu, — a lubo czasem ten walec, na końcach którego są przytwierdzone koła, smarują jakimś białym rozczynem z baraniego tłuszczu, przecież wozy, zwłaszcza jeżeli ciągną gromadnie, wydają tak nieznośny skrzyp, że prawie ani mówić ani rozumieć się nie można. Kiedy im kto z europejczyków wspomni o tej niedogodności, chwając nasz sposób smarowania, odpowiadają dumnie:

Złodzieje tylko i ludzie mający złe zamiary podróżują cicho, aby o nich niewiedziano, — ucziwy człowiek jedzie głośno i nikogo się nie obawia.

Zresztą, widać że ten skrzyp ma dla nich jakąś przyjemną harmonję, bo nawet w śpiewach swoich, starają się go naśladować. *Arbaci*, czyli woźnice, siedząc na swoich arbach, zawsze coś muszą śpiewać; nie troszczą się o słowa, bo te każdy z nich łatwo improwizuje, biorąc za przedmiot jaką scenę z życia domowego, lub wypadków wojennych, a w ostatnim razie nawet obecną chwilę, a muzykę do takiego tekstu poddaje mu skrzypiąca arba. Naprzykład: pierwszy *Arbaci*, to jest ten, który jedzie na pierwszej arbie, improwizuje w ten sposób, naśladując głosem skrzypienie osi: *Arba gederum meu otur*

*di, ukus jaksi, joł jaksi, E<sub>2</sub> - - e - - e, \*)* ten ostatni nosowy ton podchwytuje reszta jego towarzyszków i ciągnie póty, póki improwizator następnej nie zacznie strofy, których liczba jest większą lub mniejszą, stósownie do zdolności improwizatora. W prowincji Kurdów jako w kraju mało górzystym, poprzerznanym bystreńmi rzekami i potokami, arby są daleko wyższe; koła mają w średnicy około czterech arszynów, a czasem i więcej, — ciągnięone są zwykle przez parę bawolów, których tam do wszystkich rolniczych prac i przewożenia ciężarów używają, lub przez jednego konia, jeżeli arba jest kupiecka, naładowana towarem z Persji prowadzonym.

Gdy skrzyp wozów i piosnka *arbaczi* już tylko w odaleniu slyszć się dawały, nasi podróżni wyszli z ukrycia, i spieszonym krokiem podążyli ku brzegom Samury. Samura bierze początek około góry *Stah - Dagħ* i wpada do morza Kaspijskiego, przebiegając nie wielką, bo zaledwie kilkunastu milową przestrzeń, płynie nadzwyczaj bystro, jest wszakże zwykle nie głęboka i można ją bezpiecznie w bród przebywać; lecz potrzeba tylko najmniejszej odmiany powietrza, mającej wpływ na topnienie śniegów w górach; a już nietylko Samura, ale Jeloma. Buhan i proste nawet strumyki zamieniają się w nieprzebyte prawie potoki. Wzburzone nurty szalonym pędem toczą się aż do morza, przewracając wszystko cokolwiek na swęj drodze napotkają, a przeprawa staje się trudną i bardzo niebezpieczną. W takich razach podróżni lub kupcy, rozkładają się obozem na brzegu i oczekują dopóki wody nie opadną,

\*) Wód się toczy a ja siedzę, woły dobre i droga dobra.

lecz wojsko dążące na ważną wyprawę, lub transporty z przesyłkami nie cierpiącemi zwłoki, muszą się narażać na oczéwiste nawet niebezpieczeństwo w przeprawie. Wtedy jednak przedsiębiorą następujące środki: kilkudziesięciu, a nawet kilkuset kozaków i nukierów na silnych i przywykłych do tego koniach, wjeżdżają w rzekę i wyciągają liniję w jeden lub dwa rzędy, stósownie do bystrości wody, od jednego brzegu aż do drugiego; spienione fale rozbijając się o tę żywą kratę, tracą znacznie na sile i woda poniżej już płynie z mniejszą gwałtownością. Piechota przewiesiwszy karabiny przez plecy, postępuje trzymając się silnie za ręce całemi plutonami i brnie na drugą stronę, mając wody pod pachy, a nieraz i wyżej. Biada temu! ktoby się oderwał od tego łańcucha, odbyłby niezawodnie szybką podróż aż do morza, płynąc po dwadzieścia węzłów na godzinę. Arby i powozy także przejeżdżają, korzystając z oporu, jaki stawia przeprawiająca się piechota i stojąca na koniach kawalerja. Pomimo tych wszystkich środków ostrożności, zdarzają się jednakże smutne wypadki; — jednego z nich nieledwie byłem świadkiem, przybyłem bowiem w parę godzin po okropnym zdarzeniu:

Kapitan artylerji Karganów, jechał z żoną i dwojgiem dzieci do Derbenta, trafił właśnie na wezbrane wody, a niechcąc, czy niemogąc czekać aż opadną, chciał koniecznie przeprawić się na drugą stronę Samury; — zawezwali więc kilkudziesięciu Tatarów konnych, którzy połączwszy się z konwojem, wjechali w wodę, formując liniję stawiającą opór falom. Karganów przeprawił naprzód furgon z bagażami i ten przeszedł szczęśliwie; następnie

wyprawił powóz, zaprzężony czterema końmi w poręcz, w którym znajdowała się jego żona z dziećmi. Wszystko szło dobrze aż do środka rzeki, ale tam gdzie i woda głębsza i pod jej był gwałtowniejszy, konie zaczęły się chwiać, i z ogromnym wysileniem noga za nogą postępowały w ukosnym kierunku, nareszcie przyprzężny najbardziej na przed balwanów wystawiony, upadł i podciąwszy nogi swym towarzyszom powalił w wodę, okropny krzyk rozległ się w jednej chwili w powozie, na brzegu i na całej linii, rozpaczliwie, lecz bez porządku, rzucono się na ratunek tonącym, — ale nim zdołano dostać się do nich, już powóz wraz z końmi, przewracany falami na wszystkie strony, toczył się szybko do morza.

Niepodobna opisać rozpaczny nieszczęśliwego Karganowa, w którego oczach utonęła żona i dwoje dzieci, chciał sobie życie odebrać, ale go rozbrojono. Nieszczęśliwy ojciec! nie wiem co się z nim później stało.

Eldar wyprzedziwszy znacznie Wiktora i Kazimierza idących powoli z powodu zbyt ciężkiego utrudzenia, szedł przekonać się o stanie wody; obaczywszy że przeprawa łatwa i zupełnie bezpieczna, usiadł na ziemi i zapaliwszy fajkę, czekał spokojnie na przybycie współtowarzyszy. W godzinę później wszyscy trzej trzymając się za ręce, przeszli Samurę mając wodę zaledwie wyżej kolan, i to w niektórych miejscach; następnie i z większą nawet łatwością przeszli Jelomę i zagłębili się w las ciągnący się aż ku Hazrom.

Głównym teraz zadaniem było znaleźć wygodne i bezpieczne schronienie, w którym młodzi ludzie mogliby oze-

kiwać na powrót Eldara, a może nawet i na przybycie Ajchanym; bo tu już dobry skutek ich wyprawy zależał tylko od wielkiej odwagi i większej jeszcze przezorności. Najmniejsza nieostrożność mogła zepsuć wszystko, — obecność obcego w tej stronie człowieka a zwłaszcza *giaura*, obudziłaby niezawodnie uspiąną czujność Tatarów, wzniciła podjęzienie Aslan - Beka, a sprawcę tego naraziłaby na śmierć niechybną.

Nasi bohaterowie zastanowiwszy się dobrze, zatrzymali się nie dochodząc pięć wiorst od aulu, tam odszukali znany Eldarowi wielki odłam skały, mający w sobie grocie mogącą wygodnie sześciu ludzi pomieścić, a naznawszy do niej mnóstwo suchych liści i trawy, umieścili się w tym tajemniczym schronieniu.

Niezamordowany Eldar puścił się zaraz w dalszą drogę, zamierzając przybyć do Hazrów rano, ułożyć tam plan ucieczki ze starą Bike i powrócić do groty. Krzyk sójki trzykrotnie powtórzony miał oznaczać przybycie szybkiego.

Zostawszy sami dwaj przyjaciele, rzucili się na wygodne łoża i pomimo niepewności, w jakiej się znajdowali i niebezpieczeństw, na jakie z powodu mnóstwa drapieżnych zwierząt mogli być narażeni, usnęli natychmiast. Śpiew niezliczonego mnóstwa ptaków i trzask łamiących się gałęzi, obudził ich wkrótce; zerwali się szybko i chwycili za pistolety obok leżące, lecz ich obawa wkrótce minęła, gdy ujrzeli stado jeleni wesoło w różnych kierunkach przebiegające, — Kazimierz posłuszny instynktowi myśliwca, porwał gwintówkę i brał już na cel pysznego

rogacza, gdy Wiktor zatrzymał mu rękę czyniąc uwagę, że odgłos strzela mógłby w to miejsce sprowadzić Tatarów i zniweczyć wszystkie usiłowania dla wyzwolenia Ajchanym.

Pojmując całą słusność tej uwagi, Kazimierz położył strzelbę i usiadł spokojnie przed otworem groty. Jelenie nie wiedząc o niebezpiecznym dla nich sąsiedztwie, pasły się swobodnie; młode lanie wyprawiały tysiące skoków, a rogacze wyzywając się do boju, walczyły z sobą w obec licznie zgromadzonych samiec, to znów położywszy na karku ogromne rosochate rogi, przebiegły w kółko w różnych podskokach, jakoby rycerze w szrankach przed zaczęciem turniejów.

Już było blisko południa a Eldar nie wracał. Niepokojność Wiktora wznosiła się z każdą chwilą, tworzył on sobie rozmaite domysły, jedne niedorzeczniejsze od drugich i niemi ciągle niepokoił Kazimierza, który nie wiele zważając na to, porządkował na rozesłanej burce przygotowane śniadanie, składające się z wódki, kielbasy, kawiaru, balyka, chleba i wina.

— Do ciebie Wiktorze — rzekł wychylając spory kubek wódki.

— Nie mam apetytu, ani pić ani jeść nie będę... ale ten Eldar, co się z nim stało?

— Przestań narzekać jak dziecko, Eldar lada moment nadejdzie, a jeżeli się opóźni, to właśnie cieszyć nas powinno, bo będzie oczwistym znakiem, że wróci razem z Ajchanym, która zapewne kazała mu oczekiwać nocy, jako pory najdogodniejszej do ucieczki.

— Dałby Bóg! — rzekł spokojniejszy już Wiktor.

Okolo piątej po południu, trzask łamiących się suchych gałęzi i szum liści, zwiastowały przybycie człowieka lub zwierza. — w obu razach należało mieć się na baczności; Wiktor z Kazimierzem chwycili za broń i stanęli przy otworze groty, gotując się do obrony, lecz w tej chwili ukazał się Eldar. Położywszy palec na ustach na znak milczenia i ostrożności, posuwał się na brzuchu oglądając niespokojnie po za siebie. — nakoniec przybywszy do samej groty, wśliznął się szybko w otwór i kilka minut pozostawał nieruchomy, przysłuchując się z nateżoną uwagą, czy nie usłyszy jakiego szelestu, a gdy przekonał się, że go nikt nie śledzi, opowiedział dzieje i skutki swojej wyprawy.

Przybywszy do Hazrów, udał się on wprost do domu Aslan-Beka; — zobaczywszy starą Bike, dowiedział się od niej, że Ajchanym już była o wszystkiém uwiadomiona, i z niecierpliwością oczekuje chwili oswobodzenia. Aslan-Beka nie było w domu; wyjechał przed dwoma dniami do *Achty* i dopiero nazajutrz spodziewano się jego powrotu, była to więc najstósowniejsza do ucieczki chwila, szło tylko o to, aby uspić czujność starego Hassana, któremu w nieobecności Aslan-Beka, powierzono nadzór nad wszystkiém. Uradzili przeto, że tegoż dnia wieczorem Ajchanym wyjdzie na zwykłą przeładzkę w towarzystwie Bike, że następnie skierują się ku cmentarzowi położonemu niedaleko od lasu będącego na drodze do Samury, a Eldar o zmierzchu niepostrzeżony od nikogo, ma się znajdować za ogrodzeniem cmentarza i stąd służyć zbie-



gom za przewodnika aż do wejścia w las, gdzie Wiktor z Kazimierzem oczekiwać będą. Wtedy zaś już wszyscy razem uciekać będą drogą ku Derbentowi, aby się dostać pod opiekę pierwszych czat rosyjskich.

Plan był dobrze pomysłany. Wiktor cieszył się jak dziecko i naglił towarzyszy do wyruszenia na stanowiska; lecz Eldar prosił o parę godzin zwłoki, utrzymując, że widział dwóch Tatarów śledzących go w powrocie do lasu, a nawet zdawało mu się słyszeć kroki jednego z nich w bliskości samej grotty. Nie zważano więc na nalegania Wiktora i wyruszone dopiero po siódmej wieczorem.

Wyszedszy z grotty, Eldar który służył za przewodnika udał się w kierunku Derbentu; uszedłszy ze dwie wiorsty, wszyscy trzej zwrócili się na powrót, okalając znacznie zwyczajną drogę, i z wielką ostrożnością postępując, przybyli jeszcze przed zmierzchem na umówione miejsce; — tam Wiktor z Kazimierzem schroniwszy się w gęstym krzaku leszczyny, wysłali Eldara ku cmentarzowi.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca zniknęły za wierzchołkami przyległych gór. — ciemność szybko zaczęła pokrywać ziemię i już z trudnością można było rozróżniać bliskie nawet przedmioty, gdy dal się słyszeć po trzykroć i w równych odstępach powtórzony głos sójki. Był to znak Eldara uwiadamiający o szczęśliwym skutku wyprawy. Młodzieńcy wybiegli z ukrycia i stanęli blisko drogi, — wkrótce ujrzeli trzy postacie szybko ku nim posuwające się, a za chwilę Wiktor przyjął w otwarte objęcia mocno wzruszoną Ajchanym. Kazimierz przywitał ją serlecznym uściśnięciem ręki, wezwał orszak do

marszu, a wszyscy oceniając należycie wartość każdej na próżno straconej chwili, pospieszyli za Eldarem, który ich poprowadził przez gęstwinę w prostym kierunku ku rzece.

Szli długo w zupełnym milczeniu, — czasem tylko Wiktor prowadząc opierając się na jego ramieniu Ajchanym, zapytywał ją cichym ledwo słyszalnym głosem, o wszystko co się wydarzyło od jego wyjazdu z Temir-Chan-Szury, i ze zgrozą trudną do opisania dowiedział się, że biedna dziewczyna wywieziona na spacer przez Katarzynę Pietrównę, wydana została zdradziecko w ręce czekającego za miastem Aslan-Beka. Młodzi kochankowie szczęśliwi sobą wzajemnie, nie czuli zmęczenia; z nadzwyczajną szybkością przedzierali się przez krzaki, winogrody i powoje, i zdążali tuż za Eldarem, który postępując krokiem pewnym, zatrzymywał się jednakże często, słuchając czy ich nie gonią, lub oczekując na opóźniających się Kazimierza i starą Bike, dla których podróż ta mniej mając powabu, tém uciążliwszą była.

Okolo północy przybyli szczęśliwie nad Jelomę i bez trudu przeprawili się na drugą stronę rzeki; tam odpocząwszy godzinę, poszli dalej i równo ze dniami stanęli na brzegu Samury.

Ajchanym okazująca dotąd wiele siły i odwagi, teraz gdy niebezpieczeństwo już prawie minęło, uczuła się tak słabą i zmęczoną, że prosiła usilnie o kilka godzin wytchnienia. Wiktor głosował także za odpoczynkiem, ale Eldar opierał się temu, utrzymując, że dopiero w murach Derbentu będzie się czuł zupełnie bezpiecznym. Gdy przecież ze strony obudwóch kobiet i Wiktora znalazł

zbyt mocny opór, prosił przynajmniej, aby natychmiast przeprawiono się przez Samurę, a dopiero na drugiej stronie myślano o wypoczynku. On zaś pójdzie tymczasem postarać się o najęcie koni do najbliższego aulu. Gromadka zbiegów uznała słusność rad przezornego Tataru, — przeprawiwszy się na drugą stronę rzeki, zasiadła do śniadania.

Już parę godzin upłynęło od chwili, gdy Eldar poszedł po konie, Ajchanym spała na burce Wiktora, gdy niebo dotąd czyste, nagle zaczęło się chmurzyć, wiatr ciepły z kłębamii mgły przelatywał, a powierzchnia wody na rzece, zaczęła wzdymać się i wyrastać w fale, z początku słabo szumiące, później cokolwiek spienione, nareszcie w kompletne balwany; — deszcz kroplisty obudził śpiącą. W tej chwili ujrzeni na drodze od Derbentu, Eldara wraz z drugim Tatarzem jadących konno i prowadzących dwa inne już okulbaczone wierzchowce.

Zaledwie zdołano uporządkować porozrzucane na trawie burki i resztki żywności, najęte konie już nadeszły, lecz w chwili kiedy Wiktor z Ajchanym umieszcili się na jednym, Kazimierz na drugim, a na dwóch pozostałych usiłowano umieścić Eldara, Bike i właściciela, orszak składający się przeszło z dwudziestu konnych, pędzących cwałem, stanął na przeciwnym brzegu rzeki.

Ajchanym zaledwie rzuciła okiem na zbliżających się Tatarów, wydała krzyk przeraźliwy i zaczęła tulić się do Wiktora, wołając: „Na miłość Boga, uciekajmy, to Aslan-Bek goni za nami, poznałam jego białego konia“. Jakby na potwierdzenie jej słów i obawy, kilka strzałów rozle-

gło się natychmiast i kule świsnęły koło uszu uciekających. Nie było czasu do namysłu, bo w téjże chwili pomimo rozlukanéj wody, jeźdźcy tatarscy mając na czele swego dowódcę, rzucili się wspanione nurty. Eldar nie tracąc przytomności, umiesciwszy starą Bike na jednym z pozostałych wierzchowców, wskoczył sam na drugiego a powiadziawszy Tatarowi, aby po odbiór koni i należnych mu pieniędzy zgłosił się do Ibrahim-Beka, mieszkającego w Derbencie i znanego wszystkim w okolicy, popchnął go w trawę i puścił się za uciekającymi przodem towarzyszymi.

Jakkolwiek Aslan-Bek i jego nukiery, mieli konie silne i przywykłe do tego rodzaju przeprawy, przecież nie mogli podolać rozlukanem falom unoszącem ich ciągle w ukośnym kierunku; dopiero po kwadaransie nadzwyczajnego wysilenia, w czasie którego Aslan-Bek, rzucał się jak szalony, bił niemilosiernie dzielnego konia i miotał straszne przekleństwa, wypłynęli na drugą stronę, lecz o pół wiorsty niżej od głównej drogi. Bez żadnego wytchnienia tak potrzebnego wierzchowcom, Tatarzy polecili cwałem ku Derbentowi.

Uciekający znacznie wyprzedziwszy pogoń, odetchnęli swobodniej i zwofnili biegu; ich spienione konie parskaly głośno i szeroko otwartemi nozdrzami chciwie chwytaly powietrze. Ajchanym utrzymywana silną ręką Wiktora, na przednim łęku siodła, czuła się strudzoną szalonym pędem rumaka. Stara Bike klusowała w takim nieładzie i z tak komicznie skrzywioną twarzą, że Kazimierz obejrzawszy się na nią parsknął śmiechem, pomimo całej niespokojności i obawy. Już minęli *Ogłobli* i zbliżali się

ku polom derbenckim, pyszne sady zieleniały w dali, a pikiety kozackie czujnym okiem przeglądały okolice, ażali nie ujrzą zbliżającego się nieprzyjaciela, kiedy Eldar oglądający się ciągle po za siebie, ujrzał w odległości wiorsty tuman kurzu, z poza którego wynarzył się naprzód koń biały, sadząc konwulsyjnym prawie wysileniem sążnistemi susami, a za nim w nierównych odstępach jeszcze trzech innych jeźdźców, reszta zaś jak się zdawało pozostała w tyle.

Uciekający na ten widok, podwoili szybkości biegu swych koni, pragnąc jak najprędzej dostać się do sadów, gdzie w owej porze, zawsze dosyć ludzi napotkać było można. Eldar podcinał wierzchowca Bike, który niewprawną prowadzony ręką, nie tylko nie miał chęci zdążyć za towarzyszymi, lecz nadto kilkakrotnie próbował już pozbyć się swego żeńskiego jeźdźca, — pędzili tak przeszło wiorstę, mając pogoń za sobą w równej prawie odległości, nareszcie na zakręcie drogi, stracili ją zupełnie z oczu.

Wkrótce potem zagłębili się w sady, gdzie nie obawiając się już niczego, jechali stepo i wesoło rozmawiając, przypominali sobie szczegóły niebezpieczeństw. Bike służyła Kazimierzowi za niewyczerpany przedmiot do żartów; naśladował on jej wykrzywiania i podskoki na siodle, z którego biedna kobieta raz na ogon, drugi raz na szyję zjeżdżała, i śmiał się jak szalony, a wszyscy ochoczo mu wtórowali. Już byli blisko miasta, gdy z tyłu za nimi dał się słyszeć tentent galopującego konia, — obrócili się wszyscy jednocześnie i z trudnym do opisania przerażeniem ujrżeli Aslan-Beka, który zatrzymawszy się

o kilkadziesiąt kroków, krzyknął piorunującym głosem: *Tochta giur! ana senem....* poczekaj psie niewierny!... i schwywszy gwintówkę, wymierzył do Wiktora trzymającego na rękach na wpół omdlałą Ajchanym. Błysnęło na panewce, a razem z hukiem ozwał się rozpaczliwy krzyk Wiktora; rzucili się wszyscy ku niemu, nie zważając na stojącego w miejscu Aslan-Beka i oczekującego na skutek swego strzału. Gdy się przybliżyli okropny widok przejął ich dreszczem, krew płynąca po ręce Wiktora, tryskała obficie z głębokiej rany, którą biedna Ajchanym otrzymała w szyję poniżej lewego ucha; słabe jęki ranionej objawiały, że jeszcze żyje i świadczyły zarazem o jej cierpieniu. Wszyscy obecni stali około niej ze spuszczonei głowami, a gdy jej zabójca przekonawszy się, że zemsta jego była zupełną, zaśmiał się szyderezco i zawróciwszy konia, powracał stepo do nadjeżdżających za nim nukierów, nikomu nawet do głowy nie przyszło, aby go ścigać. Kazimierz wprawdzie porwał za broń i chciał wziąć na cel, stojącego jeszcze naówczas Aslan-Beka, lecz Ajchanym tak błagalnie nań spojrzała, że nie mógł oprzeć się tej niemiej, lecz wymownej prośbie, i opuścił strzelbę.

Trudno opisać co się działo w duszy Wiktora; trzymając ciągle na rękach nieszczęśliwą ofiarę barbarzyństwa jej prześladowcy, machinalnie śledził oczyma ruchy Eldara, który z pomocą lamentującej Bike zajmował się opatrzeniem rany.

Przybywszy do Derbentu na dawną kwaterę w Du-barach, posłano natychmiast po wojskowego lekarza i ta-

tarskiego *lakima*, którzy opatrzwszy chorą oświadczyli bez ogródki, że rana jest ciężka, niebezpieczna i mało pozostawia nadziei. Niestety, ich przepowiednia rychło ziścić się miała: Ajchanym przepędziwszy noc w okropnych cierpieniach, uspokoiła się nad ranem, rozmawiała długo i przytomnie z Wiktorem, Kazimierzem i starą Bike, prosząc ich, aby mogła dopełnić ceremonji chrztu, do przyjęcia którego dawno była przygotowaną. — Wezwany ksiądz ormiański, udzielił ten sakrament młodej neofitce. Chrzestnymi rodzicami byli: Kazimierz i żona majora P. — Przez parę godzin chora leżała spokojnie, cichą szepiąc modlitwę, później żegnała wszystkich obecnych, a Wiktora prosiła ze łzami, aby o niej pamiętał, jako o przyjaciółce, na krótko oddalającej się, aby ją kochał i nie płakał po niej, mówiąc że się czuje zupełnie szczęśliwą i wierzy w połączenie dusz w przyszłym życiu. — O godzinie 1ej z południa biedna Ajchanym żyć przestała. — W niemęj rozpaczony Wiktorem i Kazimierzem, odprowadziwszy zwłoki drogiej im wychowanki na ormiański cmentarz, powrócili do *Karakajaku*, a wkrótce potem do Temir-Chan-Szury.

Życie obozowe i niebezpieczeństwa, na jakie prawie codziennie każdy wojskowy na Kaukazie narażać się musi, nie pozwalają oddawać się wyłącznie jednej, smutnej czy nawet wesołej myśli: — zmiana miejsc, zatrudnień, osób i okoliczności, oddziaływa koniecznie w ten sposób, że mając ciągle wyobraźnię zajętą rozmaitemi i różnemi

wrażeniami, nie możemy poświęcić się jednemu tylko uczuciu z całą siłą namiętności, dla tego też z czasem smutek Wiktora znacznie się zmniejszył, a lubo i dotąd przy każdym widzeniu się z Kazimierzem wspomina swoją Ajchanym, to przecie to wspomnienie nie jest już rozpaczą, lecz smutkiem tylko.

Pozostawszy jeszcze lat ośm na Kaukazie i dosłużywszy się kilku oficerskich stopni, Wiktor z Kazimierzem powrócili do kraju — pierwszy gospodaruje na małej po ojcu odziedziczonej wiosce, drugi zaś powtórnie wstąpiwszy do służby, ożenił się, i już na rodzinnej mieszkając ziemi, wspomina często minione niebezpieczeństwa — i Kaukaz górzysty, i dawnych towarzyszy, i jak sen rozwiane pamiątki lat ubiegłych.





131254